

EKRANIZACJA POWIEŚCI JUŻ W KINACH!

# NICHOLAS SPARKS

DLA CIEBIE  
WSZYSTKO

# NICHOLAS SPARKS

## DLA CIEBIE WSZYSTKO

Z angielskiego przełożyła  
MAGDALENA SŁYSZ



Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:  
THE BEST OF ME

Copyright © Nicholas Sparks 2011  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Magdalena Słyż 2012

Redakcja: Barbara Nowak

Artwork © 2014 Relativity Media  
Wszystkie prawa zastrzeżone

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7659-455-2

WYDAWCA

Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo Sp. z o.o.)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

## O książce

Dawson Cole i Amanda Collier. Chłopak z nizin społecznych, wychowany w rodzinie cieszącej się jak najgorszą sławą w całym hrabstwie Pamlico. I dziewczyna z przeciwnego bieguna społecznego pragnąca zostać nauczycielką. Różnice wynikające z pochodzenia, wychowanie, nieprzychylni ludzie – wszystko to sprawiło, że tych dwoje nie mogło być razem, choć oboje bardzo tego pragnęli. Dawson, który w młodości niechcący zabił człowieka, nigdy się z tym nie pogodził. Żyje samotnie, pracując na platformach wiertniczych i pokutując za dawne winy. Amanda, mimo że wyszła za mąż i urodziła dzieci, czuje się nieszczęśliwa. Po latach dawni kochankowie spotykają się w rodzinnym miasteczku na pogrzebie starego przyjaciela. Stłamszone przed laty uczucie powraca – ale czy uda im się odnaleźć szczęście na przekór całemu światu? Przeszłość i związane z nią konflikty odzywają się ze zdwojoną siłą...

# NICHOLAS SPARKS

Współczesny amerykański pisarz, którego książki o łącznym nakładzie przekraczającym 85 milionów egzemplarzy ukazały się w ponad 50 językach. Serca czytelników podbił w 1997 swoim debiutem – powieścią **Pamiętnik**. Kolejne – m.in. **Noce w Rodanthe**, **Anioł Stróż**, **Ślub**, **Prawdziwy cud**, **I wciąż ją kocham**, **Wybór**, **Ostatnia piosenka**, **Szczęściarz**, **Bezpieczna przystań** oraz **Dla Ciebie wszystko** – znajdowały się przez wiele miesięcy w czołówce światowych rankingów sprzedaży. Najnowsza powieść, Najdłuższa podróż, wkrótce po ukazaniu się trafiła na pierwsze miejsca list bestsellerów. Większość książek Sparksa została przeniesiona na duży ekran, a w filmowych adaptacjach wystąpiły takie gwiazdy amerykańskiego kina, jak Rachel McAdams i Ryan Gosling (**Pamiętnik**), Diane Lane i Richard Gere (**Noce w Rodanthe**) czy Robin Wright i Kevin Costner (**List w butelce**).

[www.nicholassparks.com](http://www.nicholassparks.com)

*Tego autora*

PAMIĘTNIK  
ŚLUB  
LIST W BUTELCE  
JESIENNA MIŁOŚĆ  
NOCE W RODANTHE  
NA RATUNEK  
NA ZAKRĘCIE  
ANIOŁ STRÓŻ  
TRZY TYGODNIE Z MOIM BRATEM  
PRAWDZIWY CUD  
OD PIERWSZEGO WEJRZENIA  
SZCZĘŚCIARZ  
WYBÓR  
I WCIĄŻ JĄ KOCHAM  
OSTATNIA PIOSENKA  
BEZPIECZNA PRYZYTAŃ  
DLA CIEBIE WSZYSTKO  
NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ

# Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[Epilog](#)



*Scottowi Schwimerowi, wspaniałemu przyjacielowi*

## Podziękowania

Są książki, których napisanie wymaga więcej pracy niż innych, i *Dla Ciebie wszystko* właśnie do nich należy. Trudno mi się pisać tę powieść – nie będę wymieniać przyczyn, aby Was nie znudzić – i bez pomocy następujących osób pewnie wciąż bym nad nią siedział. Więc bez zbędnych słów chcę im podziękować.

Przede wszystkim Cathy, mojej żonie: kiedy się poznaliśmy, zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia i mimo upływu lat nic się w tym względzie nie zmieniło. Jesteś niezrównana i zawsze uważałem się za szczęściarza, że zostałeś moją żoną.

Milesowi, Ryanowi, Landonowi, Lexie i Savannah: jesteście radością mojego życia i moją wielką dumą. Jako moje dzieci zawsze będziecie tym, co mam najlepszego.

Theresie Park, mojej agentce literackiej: po zakończeniu pracy nad szkicem powieści znalazłem się *na zakręcie* i jestem Ci wdzięczny nie tylko za pomoc w pracy, ale także za cierpliwość, którą mi wtedy okazałaś. Cieszę się bardzo, że jesteś moją agentką. Ogromnie Ci dziękuję.

Jamie Raab, mojej redaktorce: jak zwykle przysłałaś powieści *na ratunek*, a twoje rady były trafione w dziesiątkę. Jesteś nie tylko świetną redaktorką, ale również wspaniałym człowiekiem. Dziękuję.

Howiemu Sandersowi i Keyi Khayatian, moim agentom filmowym: to *prawdziwy cud*, że podstawą naszych relacji są honor, inteligencja i pasja. Oboje ucieleśniliście te cechy – zawsze – i dziękuję Wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Denise DiNovi, producentce *Listu w butelce* – i oczywiście innych adaptacji filmowych moich powieści: stałaś się dla mnie kimś więcej niż tylko współpracowniczką. Jesteś moją przyjaciółką i wzbogaciłaś moje życie. Bardzo Ci dziękuję.

Marty'emu Bowenowi: świetnie się spisałeś jako producent *I wciąż ją kocham*, doceniam jednak nie tylko twoje wysiłki, ale także przyjaźń. Dziękuję Ci za to, co zrobiłeś, i cieszę się, że znowu razem pracujemy.

Davidowi Youngowi, prezesowi zarządu Hachette Book Group: bez wątpienia to dzięki Tobie stałem się *szczęściarzem* i doceniam wszystko, co robisz. Wielkie dzięki.

Abby Koons i Emily Sweet z Park Literary Group: najszczerze wyrazy wdzięczności za Waszą pracę. Obie robicie dla mnie więcej, niż byście musiały, i bardzo to doceniam. Och, Emily, i jeszcze jedno. Gratulacje z okazji *ślubu*...

Jennifer Romanello, mojej rzeczniczce prasowej z GCP: jesteś moim *aniołem stróżem* podczas

spotkań z czytelnikami... *Grazie* za wszystko, jak zwykle. Jesteś świetna.

Stephanie Yeager, mojej asystentce: od czasu pracy na planie *Nocy w Rodanthe* dzięki Tobie moje życie toczy się gładko. Doceniam wszystko, co robisz, i bardzo Ci dziękuję.

Courtenay Valenti i Gregowi Silvermanowi z Warner Bros.: dziękuję, że mi zaufaliście i uwierzyliście w tę książkę w ciemno, bez czytania. Nie była to łatwa decyzja, ale doceniam *Wasz wybór*. Przede wszystkim ogromnie się cieszę, że ponownie będę z Wami pracował.

Ryanowi Kavanaugh i Tuckerowi Tooleyowi z Relativity Media oraz Wyckowi Godfreyowi: bardzo cieszy mnie perspektywa filmowej adaptacji *Bezpiecznej przystani* i chciałbym podziękować Wam wszystkim za to, że znowu będę mógł z Wami pracować. To dla mnie zaszczyt, nie zapominam o tym, i wiem, że doskonale się spisiecie.

Adamowi Shankmanowi i Jennifer Gibgot: dzięki za wspaniałą robotę przy ekranizacji *Ostatniej piosenki*. Zaufałem Wam i doskonale daliście sobie radę... czego nigdy nie zapomnę.

Lynn Harris i Markowi Johnsonowi: podjęcie z Wami pracy dawno temu było jedną z najlepszych decyzji w mojej karierze. Wiem, że od tamtej pory nakręciliście mnóstwo filmów, ale ja zawsze będę Wam wdzięczny za filmową wersję *Pamiętnika*.

Lorenzowi DiBonaventurze: dziękuję za adaptację *Jesiennej miłości*. Z upływem czasu coraz bardziej lubię ten film.

Davidowi Parkowi, Sharon Krassney, Flag i wszystkim innym z Grand Central Publishing i United Talent Agency: od czasu *Trzech tygodni z moim bratem* minęło już piętnaście lat naszej współpracy. Dziękuję Wam za wszystko!

Dawson Cole zaczął mieć halucynacje zaraz po wybuchu na platformie, w dniu, w którym powinien był stracić życie.

Wydawało mu się, że przez czternaście lat, które przepracował na odwiertach, widział już wszystko. W 1997 roku na jego oczach pilot przed lądowaniem stracił kontrolę nad helikopterem. Maszyna spadła na platformę wiertniczą i stanęła w ogniu, a on doznał na plecach poparzeń drugiego stopnia, gdy ruszył z pomocą. Zginęło wtedy trzynastu ludzi, większość z nich jeszcze w helikopterze. Cztery lata później, kiedy na platformie przewrócił się dźwig, eksplodujące kawałki metalu wielkości piłki baseballowej niemal urwały mu głowę. W 2004 roku był jednym z nielicznych pracowników, którzy pozostali na miejscu, gdy w platformę uderzył huragan „Ivan”, wiejący z prędkością ponad stu mil na godzinę, a fale na morzu były tak wysokie, że nawet przemknęło mu przez myśl, aby wziąć spadochron, w razie gdyby konstrukcja nie wytrzymała i runęła. Ale były też inne niebezpieczne sytuacje. Ludzie popełniali błędy, części urządzeń pękały, siniaki i rozcięcia były wśród ekipy na porządku dziennym. Dawson widział więcej złamanych kości, niż umiałby zliczyć, przeżył dwa poważne zbiorowe zatrucia pokarmowe, które powaliły całą załogę, a przed dwoma laty, w 2007 roku, patrzył, jak statek dostawczy po odpłynięciu od platformy zaczął tonąć – w ostatniej chwili przyszedł mu na pomoc kuter pobliskiej straży wybrzeża.

Jednakże ta eksplozja to było coś zupełnie innego. Ponieważ nie nastąpił wyciek ropy – tym razem mechanizmy bezpieczeństwa zadziałały – sprawa przeszła w ogólnokrajowych mediach prawie bez echa i po kilku dniach o niej zapomniano. Ale dla tych, którzy byli na miejscu, stała się przyczyną nocnych koszmarów. Rankiem wszystko przebiegało normalnie. Dawson monitorował stanowiska pomp, gdy nagle wybuchł jeden ze zbiorników na ropę. Zanim zdążył się zorientować, co się stało, siła eksplozji rzuciła go na sąsiedni barak. Później wszystko stanęło w ogniu. Na całej platformie pokrytej warstwą tłuszczu i ropy szybko zapanowało prawdziwe piekło. Zaraz potem wstrząsnęły nią dwa jeszcze większe wybuchy. Pamiętał, że wyciągnął dwóch ludzi z ognia, ale podczas czwartej, najsilniejszej eksplozji, drugi raz poszybował w powietrze. Później przypominał sobie mgliście, że leciał w stronę wody. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był zginąć wskutek upadku. Gdy jednak odzyskał przytomność, unosił się na wodach

Zatoki Meksykańskiej, mniej więcej dziewięćdziesiąt mil na południe od zatoki Vermilion w Luizjanie.

Jak większość innych nie zdążył włożyć kombinezonu ochronnego ani kamizelki ratunkowej, ale w wodzie, pomiędzy kolejnymi falami, dostrzegł ciemnowłosego mężczyznę, który machał do niego z oddali, jakby dawał mu znak, żeby do niego podплыwał. Dawson skierował się w jego stronę, przedzierając się przez fale, wyczerpany i oszołomiony. Ubranie i buty ciągnęły go w dół, i gdy zaczęły słabnąć mu ręce i nogi, już myślał, że utonie. Miał wprawdzie wrażenie, że jest

blisko celu, ale z powodu wysokich fal nie widział dobrze i nie miał pewności. W tym momencie zauważył samotną kamizelkę ratunkową, która unosiła się w pobliżu, wśród szczytów platformy. Zdobył się na ostatni wysiłek, dopłynął do niej i uczył się jej. Później powiedziano mu, że przebywał w wodzie blisko cztery godziny i oddalił się od platformy prawie milę, gdy uratował go statek dostawczy, który szybko przyplynał na miejsce wypadku. Dawson został wciągnięty przez burtę i zaniesiony pod pokład, gdzie znajdowali się już inni rozbitkowie. Cały dygotał od hipotermii i był w szoku. Choć wzrok mu się mącił – później zdiagnozowano u niego lekki wstrząs mózgu – uświadomił sobie, jakie miał szczęście. Wokół siebie widział bowiem ludzi ze strasliwymi poparzeniami na ramionach i rękach, z krwotokami z uszu i połamanymi kośćmi. Większość z nich znał po imieniu. Na platformie niewiele jest miejsc, do których można by się udać – to w gruncie rzeczy taka mała wioska na środku oceanu – więc prędzej czy później każdy w końcu trafiał do baru, sali rekreacyjnej albo siłowni. Ale jeden człowiek wydał mu się nieznajomy, mężczyzna, który patrzył na niego z drugiego końca zatłoczonego pomieszczenia. Ciemnowłosey, około czterdziestki, miał na sobie niebieską wiatrówkę, którą pewnie dał mu ktoś ze statku. Dawson pomyślał, że facet nie pasuje do tego miejsca, bo wyglądał raczej na pracownika biurowego niż fizycznego. On jednak pomachał do niego i nagle Dawson przypomniał sobie postać, którą widział w wodzie – to był ten sam człowiek – i nagle poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Zanim zdążył określić przyczynę tego niepokoju, zarzucono mu koc na ramiona i zaprowadzono w kąt, gdzie zbadał go lekarz pokładowy.

Gdy wrócił na dawne miejsce, ciemnowłosego mężczyzny już nie było.

W ciągu kolejnej godziny na pokład przybyli następni rozbitkowie, ale niewielu, i Dawson, ogrzawszy się, zaczął się niepokoić losem reszty załogi. Nigdzie wokół siebie nie widział ludzi, z którymi pracował przez tyle lat. Później dowiedział się, że zginęły dwadzieścia cztery osoby. Ciała większości z nich odnaleziono, ale nie wszystkich. I gdy leżał w szpitalu, mimowolnie myślał o tym, że wiele rodzin nie poznało się w sposób właściwy ze swoimi bliskimi.

Od czasu wypadku miał kłopoty ze snem, nie dlatego, że nawiedzały go koszmary, ale po prostu nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go obserwuje. Czuł się nawiedzony, jakkolwiek śmiesznie to brzmiało. Dniem i nocą kątem oka dostrzegał ruch, ale gdy odwracał głowę, nie widział nikogo, kto mógłby ten ruch powodować. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie wariuje. Lekarz twierdził, że to reakcja na szok powypadkowy i że jego mózg jeszcze nie doszedł do zdrowia po wstrząsie. Brzmiało to sensownie i logicznie, ale Dawson miał wątpliwości. Mimo to pokiwał głową, słuchając lekarza. Ten wypisał mu receptę na środki nasenne, on jednak nawet jej nie zrealizował.

Gdy załatwiano kwestie prawne, dostał płatny urlop sześciomiesięczny. Potem, trzy tygodnie po zakończeniu urlopu, firma zaproponowała mu ugodę, więc podpisał stosowne dokumenty. Do tego czasu zgłosiło się do niego z pół tuzina prawników, z których każdy aż się palił, żeby wystąpić do sądu z powództwa grupowego, ale on chciał mieć święty spokój. Przyjął oferowaną rekompensatę i jeszcze tego samego dnia zaniósł czek do banku. Mając na koncie wystarczająco dużą sumę, by w pojęciu niektórych uchodzić za bogatego, kazał przelać większość z tych środków na rachunek bankowy na Kajmanach. Stamtąd zostały przełazane na firmowe konto w Panamie, którego otwarcie wymagało minimum formalności, aż wreszcie trafiły do miejsca przeznaczenia. Jak zwykle praktycznie nie można już było ich wytropić.

Zatrzymał sobie z tego niewiele, tylko tyle, żeby starczyło na opłacenie czynszu i codzienne

wydatki. Nie miał dużych potrzeb. Bo też i niewiele pragnął. Mieszkał w jednoosobowej przyczepie stojącej na końcu bitej drogi pod Nowym Orleansem, i ci, którzy ją widzieli, za jej główną zaletę pewnie pocztywali to, że nie została zmieciona przez huragan „Katrina” w 2005 roku. Z plastikową okładziną, która popękała i wyblakła, stała na tufowych blokach, tymczasowym fundamencie, który z czasem przybrał charakter stały. W przyczepie znajdowały się pojedyncza sypialnia i łazienka, ciasny salonik i kuchnia tak mała, że mieściła się w niej jedynie minilodówka. Ściany nie miały prawie izolacji, więc podłoga po latach wypaczyła się od wilgoci i Dawson czuł się tak, jakby chodził po kamieniach. Linoleum w kuchni pękało w kątach, mały dywan był już niemal wytarty, a całe wyposażenie pochodziło z wyprzedaży i było kompletowane przez długi czas. Ścian nie ozdabiała żadne zdjęcia. Choć Dawson mieszkał w tej przyczepie prawie piętnaście lat, traktował ją nie tyle jako dom, ile miejsce, w którym spał, jadł i brał prysznic.

Mimo wieku przyczepa była jednak tak czysta jak domy w Garden District. Dawson zawsze miał fioła na punkcie czystości i porządku. Dwa razy do roku naprawiał pęknięcia i uszczelniał wszelkie dziury, żeby do środka nie dostawały się gryzonie ani insekty, przed wyjazdem na platformę szorował podłogę w kuchni i łazience środkiem do dezynfekcji, a także opróżniał szafki ze wszystkiego, co mogło zgnić albo zapleśnieć. Przeważnie pracował trzydzieści dni z rzędu, a potem miał trzydzieści dni wolnego, więc tylko żywność w puszcze mogła przetrwać w nienaruszonym stanie więcej niż tydzień, zwłaszcza latem. Po powrocie znowu szorował całą przyczepę od góry do dołu i wietrzył ją, żeby pozbyć się zapachu stęchlizny.

Jednakże miał tam spokój i tak naprawdę niczego więcej nie potrzebował. Przyczepa znajdowała się ćwierć mili od głównej drogi, a najbliższy sąsiad mieszkał jeszcze dalej. Po miesiącu spędzonym na platformie Dawson pragnął właśnie czegoś takiego. Jedną z rzeczy, do których nigdy się nie przyzwyczaił, był nieustanny hałas. Nienaturalny hałas. Począwszy od warkotu dźwigów, stale przenoszących coś z miejsca na miejsce, czy huku powodowanego przez helikoptery i pompy, aż po niekończące się walenie metalu o metal – ta lakofonia nie milkła ani na chwilę. Na platformie wydobywano ropę przez całą dobę, co oznaczało, że hałas nie ustawał nawet wtedy, gdy Dawson usiłował spać. Próbował go ignorować podczas tych trzydziestu dni pracy, ale po powrocie do przyczepy zawsze uderzała go panująca wokół błoga cisza, kiedy słońce stało wysoko na niebie. Rankami słyszał ptasi śpiew dochodzący spośród drzew, a wieczorami, po zmierzchu, dobiegało go synchroniczne cykanie świerszczy i kumkanie żab. Zwykle działało to na niego kojąco, ale od czasu do czasu dźwięki te przywoływały mu na pamięć rodzinny dom, a wtedy wracał do przyczepy, żeby odpędzić wspomnienia. W takich razach starał się skupić na prostych codziennych czynnościach, które wypełniały mu życie, gdy przebywał na stałym lądzie.

Jadł. Spał. Biegał i ćwiczył podnoszenie ciężarów, majstrował w samochodzie. Wybierał się na długie przejażdżki bez celu, bo nigdzie konkretnie nie jechał. Od czasu do czasu chodził na ryby. Czytał co wieczór i okazjonalnie pisywał listy do Tucka Hostetlera. I to wszystko. Nie miał telewizora ani radia, ale choć był posiadaczem telefonu komórkowego, na jego liście kontaktów znajdowały się jedynie numery służbowe. Robił zakupy – kupował głównie żywność – i raz w miesiącu zajeżdżał do księgarni, ale nie zapuszczał się do Nowego Orleansu. Od czternastu lat nie był na Bourbon Street ani we French Quarter; nie wypił kawy w Cafe Du Monde ani nie strzelił sobie hurricane’a w Lafitte Blacksmith Shop Bar. Zamiast w siłowni ćwiczył za przyczepą pod sfatygowanym brezentem, który rozpiął między swoim domem a pobliskimi drzewami. Nie

chodził do kina ani do kumpla, żeby razem z nim oglądać mecze, gdy w niedzielne popołudnia grali Saints. Miał czterdzieści dwa lata i nie był na randce od czasów nastoletnich.

Większość ludzi nie chciałyby ani nie potrafiłyby tak żyć, ale nie znali Dawsona. Nie wiedzieli, jaki jest ani co zrobił, i to mu odpowiadało.

Pełnego ciepłego popołudnia w połowie czerwca odebrał telefon i wróciły do niego wspomnienia. Był na urlopie od prawie dziewięciu tygodni. Pierwszy raz od niemal dwudziestu lat musiał pojechać do domu. Ta myśl zakłóciła mu spokój, ale wiedział, że nie ma wyboru. Tuck był dla niego kimś więcej niż przyjacielem; był jego drugim ojcem. I w ciszy, gdy tak myślał o tamtym roku, który okazał się punktem zwrotnym w jego życiu, Dawson znowu dostrzegł ruch w polu widzenia. Odwrócił się, ale niczego nie zauważył, i znowu przyszło mu na myśl, że wariuje.

\*

Zadzwoił do niego Morgan Tanner, prawnik z Orientu w Karolinie Północnej, żeby powiadomić go o śmierci Tucka Hostedlera. „Są pewne sprawy, które musimy omówić osobiście”, oświadczył. Zakończywszy rozmowę, Dawson natychmiast zarezerwował miejsce w samolocie i pokój w tamtejszym pensjonacie, a potem zadzwonił do kwaciarni i poprosił o dostarczenie tam wiązanki.

Następnego rana zamknął przyczepę, okrążył ją i skierował się do małej szopy, w której trzymał samochód. Był czwartek, 18 czerwca 2009 roku. Dawson wziął ze sobą jedyny garnitur, jaki miał, i worek żeglarski, który spał w nocy, gdy nie mógł spać. Odemknął kłódkę i podciągnął harmonijkowe drzwi, patrząc, jak na wóz, który reperował i odnawiał od czasów szkoły średniej, padają promienie słońca. Był to fastback z 1969 roku, jeden z tych samochodów, które robiły wrażenie za prezydentury Nixona i wciąż budziły podziw. Wyglądał, jakby dopiero zjechał z linii montażowej, i przez te wszystkie lata mnóstwo nieznanym ludziom chciało go od niego odkupić. Dawson jednak stale odmawiał. „To coś więcej niż tylko samochód”, odpowiadała krótko, nie wdając się w wyjaśnienia. Tuckby zrozumiał, o co chodzi.

Dawson rzucił worek żeglarski na fotel pasażera i położył na nim garnitur. Potem usiadł za kierownicą i obrócił kluczyk w stacyjce. Gdy silnik zaskoczył z głośnym warkotem, wyjechał samochodem na zwirową alejkę, po czym szybko wysiadł, żeby zamknąć szopę. Robiąc to, przebiegł w myślach listę rzeczy, które musiał ze sobą zabrać, i upewnił się, że niczego nie zapomniał. Dwie minuty później mknął już główną drogą, a po półgodzinie wjeżdżał na parking długoterminowy pod lotniskiem w Nowym Orleanie. Nie lubił zostawiać samochodu w takich miejscach, ale nie miał innego wyjścia. Wziął bagaż i ruszył do terminalu, gdzie na stanowisku linii lotniczych czekał na niego bilet samolotowy.

Na lotnisku panował duży ruch. Mężczyźni i kobiety szli obok siebie ramieniem, rodziny wybierały się w odwiedziny do dziadków albo do Disney Worldu, studenci kursowali między domem a uczelnią. Biznesmeni w podróżach służbowych ciągnęli za sobą bagaż podręczny na kółkach i stukali w klawiatury telefonów komórkowych. Dawson stanął w wolno posuwającej się kolejce. Gdy znalazł się przy okienku, pokazał dowód tożsamości i odpowiedział na podstawowe pytania dotyczące zasad bezpieczeństwa, a potem odebrał karty pokładowe. Miał jedną przesiadkę w Charlotte, gdzie musiał czekać na połączenie niewiele ponad godzinę. Nie najgorzej.

Po wylądowaniu w New Barn i odebraniu samochodu z wypożyczalni czekała go jeszcze czterdziestominutowa jazda. Zakładając, że nie będzie żadnych opóźnień, powinien być w Orientalu późnym popołudniem.

Dopiero gdy zajął miejsce w samolocie, uświadomił sobie, jaki jest zmęczony. Nie wiedział, o której godzinie w końcu zasnął – gdy spoglądał na zegarek była prawie czwarta nad ranem – ale pomyślał, że prześpi się w samolocie. Zresztą po przyjeździe do miasteczka nie miał w nim co robić. Był jedynakiem, matka odeszła, gdy miał trzy lata, a ojciec wyświadczył światu przysługę i zapił się na śmierć. Dawson od lat nie miał kontaktu z rodziną i nie zamierzał go odnawiać.

To miała być krótka podróż, tam i z powrotem. Załatwi, co ma do załatwienia, i wraca, nie zamierzał bowiem zostać dłużej, niż będzie to konieczne. Być może wychował się w Orientalu, ale nigdy tak naprawdę nie czuł się tam u siebie. Miasteczko, które znał z dzieciństwa, było dla niego jedynie jak sielski obrazek z reklamy biura podróży polecającego je do zwiedzenia. W pamięci większości ludzi, którzy spędzili tam popołudnie, zapisywało się jako dziwna miejscowość, ciesząca się popularnością wśród malarzy, poetów i emerytów, którzy pragnęli spędzić jesień życia, żeglując po rzece Neuse. W Orientalu znajdował się piękny urokliwy rynek, pełen sklepów z antykami, galerii sztuki oraz kawiarni, i odbywało się tam niewiarygodnie dużo festiwali jak na miasteczko liczące niespełna tysiąc mieszkańców. Jednakże prawdziwy Oriental, ten, który poznał jako dziecko i młody chłopak był zamieszkały przez ludzi, których przodkowie osiedli tu jeszcze w czasach kolonizacji. Ludzi takich jak sędzia McCall, szeryf Harris, Eugenia Wilcox czy Collierowie i Bennettowie, którzy mieli ziemię, uprawiali zboże, sprzedawali drewno i zakładali rozmaite przedsiębiorstwa.

Byli wpływowi i to oni rządzą w miasteczku, które zawsze należało do nich. I robili wszystko, aby tak pozostało.

Dawson przekończył się o tym na własnej skórze, gdy miał osiemnaście lat, a potem znowu, gdy skończył dwadzieścia trzy lata. Wtedy odszedł stamtąd na dobre. Nigdzie w hrabstwie Pamlico Cole'om nie żyło się łatwo, a już na pewno nie w Orientalu. Z tego, co wiedział, każdy z nich, aż po pradziadka, siedział w więzieniu. Byli skazywani za rozmaite przestępstwa, począwszy od napadu z pobiciem przez podpalenie aż po próbę zabójstwa i samo zabójstwo – bo kamienista, porośnięta drzewami farma, na której mieszkała ich liczna rodzina, była jak udzielne państwo rządzące się własnymi prawami. Stało na niej kilka rozpadających się chat, duże, wieloosobowe przyczepy kempingowe, szopy sklecone ze złomu oraz odpadów, i szeryf unikał tego miejsca jak ognia, chyba że już naprawdę nie mógł. Myśliwi także omijali tę ziemię szerokim łukiem, bo dobrze wiedzieli, że napis na tablicy granicznej: „Do osób wkraczających bezprawnie na ten teren będzie się strzelać”, to nie ostrzeżenie, ale zapowiedź. Wśród Cole'ów byli bimbrownicy i dealerzy narkotyków, pijacy, brutale bijący żony, ojcowie i matki stosujący przemoc wobec dzieci, złodzieje i sutenerzy, generalnie osoby przejawiające skłonność do przemocy. Według artykułu zamieszczonego w nieistniejącym już czasopiśmie uchodzili w swoim czasie za najgorszą, najniebezpieczniejszą, najbardziej mściwą rodzinę na wschód od Raleigh. Ojciec Dawsona nie był wyjątkiem. Jako dwudziesto – i trzydziestolatek przeważnie siedział w więzieniu za różne przestępstwa, między innymi zabicie człowieka nożem do łodu po tym, jak ten zajechał mu drogę. Dwukrotnie stawał przed sądem za morderstwo i był zwalniany od zarzutów, ponieważ świadkowie zająścia znikali, tak że nawet członkowie rodziny wiedzieli, że lepiej z nim nie zadzierać. Jak to się stało, że matka za niego wyszła – na to pytanie Dawson nie potrafił



odpowiedzieć. Nie winił jej za ucieczkę. Przez większość dzieciństwa miał ochotę zrobić to samo. Nie miał też do niej żalu, że nie zabrała go ze sobą. Cole'owie byli bardzo zaborczy wobec swojego potomstwa i wiedział, że ojciec prędzej czy później odnalazłby jego matkę i odebrał go jej. Mówił mu to nieraz i Dawson wolał nie pytać, co stary by zrobił, gdyby nie chciała oddać syna. Domyślał się odpowiedzi.

Ciekaw był, ilu członków rodziny mieszka jeszcze na farmie. Gdy w końcu odszedł, oprócz ojca pozostali na niej dziadek, czterech stryjów, trzy ciotki i szesnaścioro kuzynów. Kuzyni byli już dorośli i dorobili się własnych dzieci, więc pewnie miał więcej krewnych niż kiedyś, ale nie chciał nic o tym wiedzieć. Może był to świat, w którym się wychował, ale jak w wypadku Orientalu nie identyfikował się z nim. Prawdopodobnie miała z tym coś wspólnego jego matka, kimkolwiek była, bo na pewno nie czuł się jednym z nich. Jako jedyny spośród swoich kuzynów w szkole nie wdawał się w bójki i miał dobre stopnie. Trzymał się z dala od narkotyków i alkoholu, i w okresie nastoletnim unikał kuzynów, którzy rozbijali się po mieście, szukając guza – zwykle mówił im, że musi zajrzeć do destylatora albo pomóc rozebrać na części samochód ukradziony przez kogoś z rodziny. Chodził z pochyloną głową i starał się za bardzo nie rzucać w oczy.

To było jak chodzenie po cienkiej linie. Cole'owie może i byli bandą kryminalistów, ale to nie znaczy, że nie mieli swojego rozumu, i Dawson czuł intuicyjnie, że powinien kryć się ze swoją odmiennością. Był prawdopodobnie jedynym dzieckiem w dziejach szkoły, które uczyło się pilnie, aby nie zdać testu, i przeprawiało w dzienniku swoje stopnie na gorsze. Nauczył się po kryjomu wylewać piwo z puszki, dziurawiąc ją nożem, gdy ktoś z rodziny na moment odwrócił się do niego plecami, a żeby nie spotykać się z kuzynami, wymawiał się pracą i wracał do domu dopiero po północy. Przez jakiś czas to działało, ale potem fasada zaczęła pękać. Jeden z jego nauczycieli wspomniał popijającemu kumpłowi ojca, że Dawson jest najlepszym uczniem w klasie; ciotki i stryjowie zaczęli zauważać, że jako jedyny wśród kuzynów nie miał dotąd kłopotów z prawem. W rodzinie, która nade wszystko ceniła lojalność i solidarność, wyraźnie był odmieńcem, a trudno o większy grzech.

Budziło to wściekłość jego ojca. Choć Dawson był regularnie bity od wczesnego dzieciństwa – ojciec szczególnie lubił używać w tym celu pasa i rzemieni – to gdy skończył dwanaście lat, owo bicie nabrało charakteru osobistego. Ojciec tłukł go, aż plecy Dawsona robiły się czarnosine, a po godzinie wracał i zabierał się do jego nóg i rąk. Nauczyciele wiedzieli, co się dzieje, ale ponieważ bali się o siebie i swoje rodziny, ignorowali problem. Szeryf udawał, że nie widzi sińców i pęg, gdy Dawson wracał ze szkoły do domu. Reszta rodziny się nie przejmowała. Abee i Szalony Ted, starsi kuzyni, sami naskakiwali na niego nieraz i bili go równie mocno jak ojciec – Abee uważał, że gówniarzowi się należy, a Szalony Ted po prostu dla hecy. Abee, wysoki, potężny, z łapami jak bochny chleba, był porywczy i brutalny, ale bystrzejszy, niż można by sądzić. Natomiast Szalony Ted był drobnej budowy. W przedszkolu poranił innego chłopca, dźgając go ołówkiem, gdy pokłócili się o ciastko, a w piątej klasie został w końcu wyrzucony ze szkoły, bo posłał do szpitala kolejnego kolegę. Plotka głosiła, że jako nastolatek zabił ćpuna. Dawson uznał, że lepiej nie podejmować z nimi walki. Nauczył się jedynie osłaniać przed ciosami, aż w końcu kuzyni się znudzili albo zmęczyli – a może jedno i drugie.

Jednakże nie angażował się w rodzinne interesy i coraz bardziej utwierdzał się w postanowieniu, że nigdy tego nie robi. Z czasem zauważył, że im bardziej krzyczy, tym mocniej ojciec go bije, więc mimo bólu zaciskał usta. Ojciec był wprawdzie brutalem, ale

z rodzaju despotów, a Dawson czuł, że despoci wdają się tylko w te walki, które mają szansę wygrać. Wiedział, że kiedyś w końcu stanie się na tyle silny, żeby mu się przeciwstawić, a wtedy przestanie się go bać. Gdy spadały na niego ciosy, myślał o tym, jaką odwagą wykazała się jego matka, przecinając więzy z rodziną.

Robił wszystko, co mógł, aby przyspieszyć proces dorastania i męźnienia. Przywiązywał wypchany szmatami worek do drzewa i walił w niego pięściami przez całe godziny. Podnosił kamienie i części silnika tak często, jak tylko miał okazję. Ćwiczył pompki, pompki i jeszcze raz pompki przez całe dni. Zanim skończył trzynaście lat, przybył na wadze dziesięć funtów, a rok później – jeszcze dwadzieścia. Jednocześnie rósł i rósł. W wieku piętnastu lat dorównywał już ojcu wzrostem. Pewnej nocy, miesiąc po jego szesnastych urodzinach, ojciec, który pił cały wieczór, podszedł do niego z pasem. Wtedy Dawson rzucił się na niego i odebrał mu pas. Zapowiedział ojcu, że zabije go, jeśli jeszcze kiedyś spróbuje go tknąć.

Tamtej nocy, ponieważ nie miał dokąd pójść, schronił się w warsztacie samochodowym Tucka. Kiedy Tuck zastał go tam nazajutrz rano, Dawson zapytał, czy nie mógłby dostać u niego pracy. Tamten nie miał powodu, żeby mu pomagać – chłopak był dla niego kimś obcym, a poza tym pochodził z rodziny Cole'ów. Wytarł ręce w bandanę, którą wetknął do tylnej kieszeni spodni, i sięgając po papierosy, spojrzął Dawsonowi w oczy. Miał wtedy sześćdziesiąt jeden lat, był wdowcem drugi rok. Kiedy się odezwał, Dawson wyczuł w jego oddechu alkohol. Mężczyzna miał głos zachrypły od cameli bez filtra, które palił od dzieciństwa. Mówił z miejscowym akcentem, jak Dawson.

– Może i umiesz rozbierać samochody, ale czy potrafisz składać je do kupy?

– Tak proszę pana – odparł Dawson.

– Idziesz dziś do szkoły?

– Tak, proszę pana.

– To przyjdź tu po lekcjach. Zobaczymy, co umiesz.

Wrócił więc po szkole i wychodził ze skóry, aby pokazać, ile jest wart. Wieczorem, po pracy, padał deszcz i kiedy Dawson schował się przed nim w garażu, Tuck już tam na niego czekał.

Mężczyzna nic nie powiedział. Zaciągnął się tylko dymem z papierosa i popatrzył na Dawsona spod zmrużonych powiek. W końcu zabrał go do domu. Dawson nie spędził już ani jednej nocy na rodzinnej farmie. Tuck nie brał od niego pieniędzy za kwatery, Dawson tylko sam kupował sobie jedzenie. Z upływem miesięcy po raz pierwszy w życiu zaczął myśleć o przyszłości. Oszczędzał, ile mógł; pozwolił sobie jedynie na kupno fastbacka ze złomowni i kupował olbrzymie kubki mrożonej herbaty w barze. Popijając herbatę, wieczorami po pracy remontował wóz i marzył, że pójdzie do college'u – jako pierwszy Cole. Myślał o tym, żeby wstąpić do wojska albo wynająć własny kąt, ale zanim się na coś z tego zdecydował, niespodziewanie pojawił się w warsztacie ojciec. Przyszedł z Szalonym Tedem i Abeem. Obaj kuzyni trzymali w rękach kije baseballowe, a Ted dodatkowo miał w kieszeni nóż – Dawson widział jego zarys.

– Dawaj forszę, którą zarabiasz – zażądał ojciec bez wstępów.

– Nie – sprzeciwił się Dawson.

– Wiedziałem, że tak powiesz. Dlatego przywiodłem Teda i Abeego. Albo po dobroci oddasz to, co jesteś mi winien za to, że dałeś nogę, albo oberwiesz.

Dawson milczał. Ojciec dłużej w zębach wykałaczką.

– Posłuchaj, wystarczy jedno przestępstwo w miasteczku, żeby skończyło się to twoje słodkie

życie. Włamanie, może pożar. Kto wie? Podrzucimy dowód gdzie trzeba, zadzwonimy do szeryfa z anonimowym doniesieniem, a resztą zajmą się już przedstawiciele prawa. Jesteś tu w nocy sam, nie masz żadnego alibi, a jeśli o mnie chodzi, możesz gnść resztę życia za kratami, w betonowych ścianach. Nie będę płakał z tego powodu. Więc lepiej od razu daj forszę.

Dawson wiedział, że ojciec nie blefuje. Z kamienną miną wyjął pieniądze z portfela. Ojciec przeliczył banknoty, wypluł wykałaczkę na ziemię i uśmiechnął się krzywo.

– Do zobaczenia za tydzień.

Dawson nie miał wyjścia. Chomikował małe sumy ze swoich zarobków, tak że miał na dalszy remont fastbacka i mrożoną herbatę, ale większość pieniędzy przekazywał ojcu. Choć podejrzewał, że Tuck wie, co się dzieje, ten nic na ten temat nie mówił. Nie dlatego, że bał się Cole'ów. Po prostu uważał, że to nie jego sprawa. Zaczął jednak gotować dla siebie zbyt obfite posiłki.

– Nie dałem rady zjeść wszystkiego, więc jeśli masz ochotę... – mówił, przynosząc talerz do garażu. Częściej jednak zostawiał go i wracał do domu bez słowa. Taki był między nimi układ i Dawson to szanował. Szanował Tucka. Na swój sposób stał się on najważniejszą osobą w jego życiu i Dawson nie wyobrażał sobie, żeby coś mogło to zmienić.

Aż do dnia, w którym w jego życie wkroczyła Amanda Collier.

Choć znał Amandę od lat – w hrabstwie Pamlico była tylko jedna szkoła średnia i chodzili do niej oboje – po raz pierwszy zamienili ze sobą więcej niż kilka zdawkowych słów wiosną w przedostatniej klasie. Dawson zawsze uważał ją za ładną, ale nie on jeden. Amanda cieszyła się ogólną sympatią, należała do tych dziewcząt, które w stołówce zawsze siedzą przy stole z koleżankami, a chłopcy zabiegają o ich uwagę; pełniła funkcję gospodarza klasy i była cheerleaderką. Jeśli wziąć pod uwagę także to, że pochodziła z bogatej rodziny, nie ulegało wątpliwości, iż jest dla niego równie nieosiągalna jak aktorka z telewizji. Nie rozmawiał więc z nią do czasu, gdy na zajęciach laboratoryjnych z chemii znaleźli się ze sobą w jednej parze, tworząc zespół.

Gdy wykonywali doświadczenia i uczyli się razem do testów semestralnych, zdał sobie sprawę, że Amanda nie jest wcale taka, jak myślał. Przede wszystkim to, że pochodziła z rodziny Collierów, a on z Cole'ów, nie miało dla niej znaczenia, co go zaskoczyło. Śmiała się swobodnie, krótkim śmiechem, a kiedy się uśmiechała, to łobuzersko, jakby wiedziała o czymś, o czym nie wiedział nikt inny. Włosy miała koloru miodu, oczy jak ciepłe letnie niebo i czasami, gdy pisali równania chemiczne w zeszytach, dotykała ramienia

Dawsona, żeby zwrócić na coś jego uwagę, a on potem czuł ten jej dotyk przez wiele godzin. Popołudniami, gdy pracował w warsztacie, zauważał, że ciągle o niej myśli. Przez całą wiosnę zbierał się na odwagę, żeby zaprosić ją na lody, a w miarę zbliżania się końca roku szkolnego spędzali ze sobą coraz więcej czasu.

Był rok 1984 i Dawson miał siedemnaście lat. Pod koniec lata wiedział już, że jest zakochany, a kiedy nastał chłód i liście zaczęły spływać na ziemię czerwonymi i żółtymi wstążkami, miał pewność, że – choć wydawało się to szaleństwem – chciałyby spędzić z nią resztę życia. Byli ze sobą przez cały następny rok, czuli się sobie coraz bliżsi i spędzali razem każdą wolną chwilę. Przy Amandzie mógł być sobą; przy Amandzie zaczął cieszyć się życiem. Ale nawet wtedy myślał tylko o tym, że to ich ostatni wspólny rok

Mówiąc dokładniej, myślał tylko o Amandzie.

Dawson w samolocie przygotował się do lotu. Siedział przy oknie, mniej więcej pośrodku tylnej części kadłuba, obok młodej kobiety z rudymi włosami, po trzydziestce, smukłej i wysokiej. Nie w jego typie, ale dość ładnej. Sąsiadka nachyliła się ku niemu, gdy zapinała pas bezpieczeństwa, i uśmiechnęła się przepraszająco.

Dawson w odpowiedzi skinął głową, odniósł jednak wrażenie, że kobieta chce nawiązać rozmowę, dlatego wyjrzał przez okno. Patrzył, jak wózek, który przywiózł bagaże, oddala się od maszyny, i zaczął myśleć o Amandzie, co często mu się zdarzało. Przypomniał sobie, jak tamtego lata chodzili popływać w Neuse – mieli śliskie ciała, gdy w wodzie ocierali się o siebie; albo jak Amanda przysiadła na ławie w warsztacie, podczas gdy on pracował nad swoim samochodem u Tucla: obejmowała ramionami podciągnięte kolana, a on myślał tylko o tym, że niczego bardziej nie pragnie, jak patrzeć tak na nią do końca życia. W sierpniu, gdy wreszcie po raz pierwszy udało mu się uruchomić wóz, zabrał ją na plażę. Leżeli na ręcznikach, trzymali się za ręce i rozmawiali o ulubionych książkach, filmach, które zrobiły na nich wrażenie, swoich sekretach i marzeniach dotyczących przyszłości.

Kłócili się także i Dawson się zorientował, że Amanda potrafi być zapalczywa. Klótnie nie zdarzały im się często, ale też nie należały do rzadkości; co jednak godne uwagi, choć oboje szybko się zapalali w dyskusji, niemal równie szybko wracali do równowagi. Czasami szło o drobiazgi

– Amanda zawsze miała swoje zdanie, nie można było temu zaprzeczyć – i przez chwilę sprzeczali się gwałtownie, zwykle nie dochodząc do porozumienia. W takich sytuacjach, mimo że naprawdę wpadał w gniew, nie mógł nadziwić się jej uczciwości, prawości biorącej się z tego, że zależało jej na nim bardziej niż na czymkolwiek w życiu.

Nikt z wyjątkiem Tucla nie rozumiał, co w nim widziała. Chociaż początkowo kryli się ze swoją znajomością, Oriental był małym miasteczkiem i ludzie w końcu zaczęli o nich gadać. Przyjaciele odsuwali się od Amandy jeden po drugim i było tylko kwestią czasu, gdy jej rodzice dowiedzą się o wszystkim. Dawson był z Cole'ów, a ona z Collierów i to wystarczyło aż nadto, żeby wywołać ich sprzeciw. Najpierw łudzili się, że Amanda po prostu przechodzi okres buntu, i próbowali zachować spokój. Kiedy to nie odniosło skutku, poczuli stanowcze kroki. Zabrali córce prawo jazdy i zabronili korzystać z telefonu. Jesienią miała zakaz wychodzenia z domu przez całe tygodnie – nie wolno jej było umawiać się z nikim w weekendy. Dawson nie był do niej dopuszczany; ojciec Amandy nie mówił o nim inaczej jak „ten bezwartościowy biały śmieć”. Matka błagała ją, żeby zerwała tę znajomość, a w grudniu ojciec przestał się do Amandy odzywać.

Te trudności i sprzeciw otoczenia jednak tylko ich do siebie zbliżyły i kiedy Dawson publicznie brał ją za rękę, Amanda odpowiadała uściskiem, jakby to miało być wyzwanie dla wszystkich dookoła. Ale on nie był naiwny; chociaż tak wiele dla niego znaczyła, zawsze czuł, że to musi się kiedyś skończyć. Wdawało się, że wszystko i wszyscy sprzyśleli się przeciwko nim. Jego ojciec w końcu też dowiedział się o Amandzie i zapytał go o nią, gdy przyszedł po pieniądze. Choć nie posunął się do żadnych gróźb, Dawsonowi zrobiło się niedobrze, gdy usłyszał jej imię w ustach starego.

W styczniu Amanda skończyła osiemnaście lat, ale rodzice nie wyrzucili jej z domu, choć byli na nią wściekli. Jej jednak nie obchodziło, co sobie myślą – a przynajmniej tak zawsze mówiła Dawsonowi. Czasami, po kolejnej awanturze z rodzicami, w środku nocy wymyślała się przez okno swojego pokoju i biegła do garażu. On często czekał tam na nią, ale zdarzało się, że dźgała go łokciem, kładąc się obok niego na macie, którą rozkładał na podłodze w biurze. Potem szli razem nad potok i Dawson obejmował ją ramieniem, gdy siadali na jednej z niższych gałęzi starego dębu. W świetle księżycy, kiedy z wody wyskakiwały barweny, Amanda relacjonowała mu kłótnię z rodzicami – głos jej się przy tym łamał, ale zawsze starała się oszczędzać jego uczucia. On kochał ją za to, lecz dobrze wiedział, co myślą o nim państwo Collierowie. Któregoś wieczoru, gdy rozpląkała się po kolejnej kłótni w domu, delikatnie zwrócił jej uwagę, że byłoby dla niej lepiej, gdyby przestała się z nim spotykać.

– Ty tego chcesz? – zapytała szeptem ze złością.

Przyciągnął ją do siebie i objął.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa – odpowiedział cicho.

Przysunęła się do niego i oparła głowę na jego ramieniu. Gdy przytulał ją do siebie, nigdy bardziej nie żałował, że urodził się w rodzinie Cole'ów.

– Jestem najszczęśliwsza z tobą – powiedziała w końcu.

Tej nocy kochali się po raz pierwszy. I przez następne dwadzieścia lat nosił w sercu te słowa i wspomnienie tamtej nocy, bo mówiła wtedy za nich oboje – za siebie i za niego.

\*

Po przylocie do Charlotte Dawson zarzucił sobie worek i garnitur na ramię i przeszedł przez terminal. Ledwie zwracał uwagę na panujący wokół ruch, bo wspominał tamto ostatnie lato z Amandą. Wiosną dostała zawiadomienie, że przyjęto ją na Duke University – a marzyła o tym od dzieciństwa. Perspektywa rozstania, w połączeniu z izolacją ze strony rodziny i znajomych, tylko podsycała ich pragnienie, żeby spędzać ze sobą każdą wolną chwilę. Godzinami przebywali na plaży, wybierali się na długie przejażdżki, nastawiając głośno muzykę w samochodzie, lub po prostu siedzieli u Tucka w garażu. Przysięgali sobie, że po jej wyjeździe niewiele się zmieni; albo on będzie odwiedzał ją w Durham, albo ona jego tutaj. Amanda wierzyła, że znajdą jakiś sposób, aby się widywać.

Jej rodzice jednak mieli inne plany. W pewien sobotni rano, z tydzień przed wyjazdem Amandy do Durham, przyparli ją do muru, zanim zdążyła uciec z domu. Mówiła tylko matka, ale wiadomo było, że ma całkowite poparcie ojca.

– Sprawy zaszyły za daleko – zaczęła i zadziwiająco spokojnym tonem oświadczyła Amandzie, że jeśli zamierza spotykać się z Dawsonem, będzie musiała we wrześniu wyprowadzić się z domu i opłacać swoje rachunki, a także czesne za college, bo oni nie zamierzają jej dłużej utrzymywać. – Po co mamy marnować pieniądze na twoje wykształcenie, skoro rujnujesz sobie życie?

Gdy Amanda próbowała protestować, matka nie dała jej dojść do słowa.

– On cię ciągnie w dół, Amando, choć jesteś jeszcze za młoda, aby zdawać sobie z tego sprawę. Jeśli chcesz mieć swobodę osoby dorosłej, będziesz musiała wziąć na siebie związane z tym obowiązki. Jeżeli chcesz, rujnuj sobie życie, wiążąc się z Dawsonem... nie możemy cię przed tym powstrzymać. Ale nie będziemy ci w tym pomagać.

Amanda wybiegła z domu. Myślała tylko o tym, że musi odnaleźć Dawsona. Ale kiedy dotarła do garażu, płakała tak bardzo, że nie mogła mówić. Dawson przytulił ją do siebie i gdy wreszcie przestała szlochać, chaotycznie opowiedziała, co się stało.

– Wyszliśmy razem – wydusiła wciąż ze łzami na policzkach.

– Gdzie? – zapytał. – Tutaj? W garażu?

– Nie wiem. Coś wymyślmy.

Dawson milczał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Musisz iść do college'u – powiedział w końcu.

– A co mi tam studia – sprzeciwiła się. – Zależy mi przede wszystkim na tobie.

Opuścił bezradnie ramiona.

– Mnie też na tobie zależy. Ale właśnie dlatego nie mogę ci pozwolić na takie poświęcenie – oznajmił.

Pokręciła głową zaskoczona.

– To żadne poświęcenie. Wszystko przez moich rodziców. Traktują mnie jak małą dziewczynkę.

– To z mojego powodu i oboje o tym wiemy. – Kopnął jakiś kamyk leżący pod nogami. – Jeśli się kogoś kocha, to trzeba pozwolić mu odejść, prawda?

Po raz pierwszy oczy błysnęły jej niebezpiecznie.

– A jeśli będzie miał wrócić, to wróci, tak? Myślisz, że tak to działa? Jak w filmie? – Chwycała go za ramię i wbiła mu palce w ciało. – My nie jesteśmy z filmu. Znajdziemy jakiś sposób, żeby być razem. Zatrudnię się jako kelnerka albo ktoś taki, wynajmiemy mieszkanie.

Odpowiedział cicho, żeby głos mu się nie załamał:

– Z czego? Myślisz, że mój ojciec przestanie przychodzić do mnie po pieniądze?

– Przenieśliśmy się gdzieś.

– Gdzie? Z czym? Ja nic nie mam. Nie rozumiesz tego? – Na chwilę zamilkł, a kiedy nie odpowiedziała, mówił dalej: – Próbuję być realistą. Rozmawiamy o twoim życiu. W którym nie ma dla mnie już miejsca.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że twoi rodzice mają rację.

– Chyba tak nie myślisz.

Usłyszał w jej głosie coś prawie jak strach. Chociaż pragnął ją wziąć w ramiona, specjalnie cofnął się o krok.

– Wracaj do domu – powiedział.

Zbliżyła się do niego.

– Dawsonie...

– Nie! – wykrzyknął i znów się cofnął. – Nie słuchasz mnie. To koniec, rozumiesz? Próbowaliśmy, ale się nie udało. Życie toczy się dalej.

Zbladła, jej twarz stała się woskowa, jakby martwa.

– Więc to tak?

Zamiast odpowiedzieć, odwrócił się i ruszył w głąb garażu. Wiedział, że jeśli na nią spojrzy, zmieni zdanie, a nie mógł jej tego zrobić. Nie mógł. Wetknął głowę pod maskę fastbacka, żeby nie widzieć jej łez.

Kiedy w końcu odeszła, Dawson osunął się na brudną betonową podłogę obok swojego

samochodu i tkwił tam wiele godzin, aż wreszcie przyszedł Tuck i usiadł przy nim. Milczał przez długi czas.

– Zerwałeś z nią – odezwał się w końcu.

– Musiałem. – Dawson ledwie mógł wydobyć z siebie głos.

– Uhm. – Tuck pokiwał głową. – Skądś to znam.

Słońce wspinało się coraz wyżej po niebie, spowijając wszystko poza garażem ciszą, która kojarzyła się ze śmiercią.

– Słusznie postąpiłem?

Tuck włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej papierosy, żeby zyskać na czasie. Postukał paczką, wytrząsając camela.

– Nie wiem. Jest między wami coś magicznego, nie ma co zaprzeczać. I przez tę magię trudno wam będzie zapomnieć. – Tuck poklepał go po plecach i wstał. Nigdy do tej pory nie mówił tak dużo o nim i Amandzie. Gdy się oddalał, Dawson zmrużył powieki przed blaskiem słońca i do oczu znowu napłynęły mu łzy. Wiedział, że Amanda zawsze będzie tym, co w nim najlepsze, drugim ja, które zawsze pragnął poznać.

Nie wiedział natomiast, że nie zobaczy jej więcej ani nie będzie miał okazji z nią porozmawiać. W następnym tygodniu

Amanda wyjechała na uniwersytet w Durham, a miesiąc później Dawson został aresztowany.

Kolejne cztery lata spędził w więzieniu.

Amanda wysiadła z samochodu i objęła spojrzeniem nędzny budynek na obrzeżach Orientalu, który Tuck nazywał domem. Jechała trzy godziny, więc z przyjemnością rozprostowała teraz nogi. Wciąż miała zeszywniałe ramiona i kark – była to pamiątka po porannej kłótni z Frankiem, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego Amanda musi pojechać na pogrzeb. Analizując to teraz, kiedy od sprzeczki upłynęło trochę czasu, stwierdziła, że w tym, co mówił, był sens. W ciągu prawie dwudziestu lat małżeństwa ani razu nie wspomniała o Tucku Hostetlerze; gdyby ich role, jej i Franka, się odwróciły, pewnie też by była niezadowolona.

W gruncie rzeczy pokłócili się nie o Tucka i jej sekrety, a nawet nie o to, że miała spędzić kolejny długi weekend z dala od rodziny. Oboje wiedzieli, że ta kłótnia to po prostu dalszy ciąg konfliktu, który z niewielkimi przerwami trwał od dziesięciu lat. Zresztą przebiegła w sposób typowy. Nie była głośna ani gwałtowna – Frank na szczęście nie był z tych zawziętych i w końcu przed wyjściem do pracy wymamrotał zdawkowe przeprosiny. A Amanda jak zwykle przez resztę poranka i popołudnia usiłowała zapomnieć o całej sprawie. Przecież tak naprawdę niewiele mogła zrobić i z czasem nauczyła się nie przejmować wzajemnymi pretensjami i chłodem, które od dawna charakteryzowały ich wzajemne relacje.

Gdy jechała do Orientalu, zadzwonili do niej zarówno Jared, jak i Lynn, jej starsze dzieci, i ucieszyła się, że może z kimś pogadać. Oboje mieli wakacje i od kilku tygodni w domu panował nieustanny zamęt, jaki powodują nastolatki. Pogrzeb Tucka nie mógł wypaść w lepszej porze. Jared i Lynn od dawna zamierzali spędzić weekend z przyjaciółmi, Jared z niejaką Melody, a Lynn z koleżanką ze szkoły średniej, nad jeziorem Norman, nad którym rodzice dziewczyny mieli dom. Annette – „cudowny efekt wpadki”, jak nazywał ją Frank – wyjechała na dwutygodniowy obóz. Pewnie też by zadzwoniła, gdyby nie obowiązujący tam zakaz korzystania z telefonu komórkowego. Który nie był taki zły – w przeciwnym razie bowiem ta mała trajkotka telefonowałaby rano, w południe i wieczorem.

Amanda uśmiechnęła się na myśl o dzieciach. Chociaż pracowała jako ochotnik na pediatrycznym oddziale onkologicznym Duke University, jej życie kręciło się wokół nich. Od urodzenia Jareda zajmowała się domem i mimo że Amandzie odpowiadała rola matki, gdzieś w głębi duszy przeszkadzały jej wiążące się z nią ograniczenia. Wolałaby myśleć, że jest kimś więcej niż tylko żoną i matką. Poszła do college'u, żeby zostać nauczycielką, i nawet zastanawiała się, czy nie zrobić doktoratu, aby później wykładać na którejś z lokalnych uczelni. Po studiach uczyła w trzeciej klasie... ale potem życie zrobiło swoje. Jako prawie czterdziestodwulatka czasami żartowała, że nie może się doczekać, kiedy dorośnie, aby wreszcie zrozumieć, czym chce się w życiu zajmować.

Ktoś mógłby nazwać jej stan kryzysem wieku średniego, ale ona sama nie była pewna, czy to rzeczywiście to. Choć przecież nie czuła potrzeby sprawienia sobie sportowego samochodu, umówienia się na wizytę do chirurga plastycznego czy wyjazdu na jakąś wyspę na Karaibach.



Nie była też wcale znudzona; Bóg wie, że miała co robić w domu i w szpitalu. Po prostu czuła, że straciła z oczu osobę, którą kiedyś chciała być, i bała się, że nie zdoła jej już odnaleźć.

Przez długi czas uważała się za szczęściarę, i to w dużej mierze za sprawą Franka. Poznała go podczas imprezy stowarzyszenia studentów na drugim roku studiów. Mimo gwaru i zamieszania zdołali znaleźć ciche kąty i rozmawiali aż do rana. Dwa lata starszy od niej Frank był poważny i inteligentny, i już tamtej pierwszej nocy wiedziała, że powiedzie mu się w życiu niezależnie od tego, czym postanowi się zajmować. I tak to się zaczęło. Frank co prawda wyjechał w sierpniu do Chapel Hill, aby studiować stomatologię, ale spotykali się ze sobą przez następne dwa lata. Zaręczyny były tylko kwestią czasu i w lipcu 1989 roku, gdy tylko Amanda skończyła college, wzięli ślub.

Po miesiącu miodowym na wyspach Bahama podjęła pracę nauczycielki w miejscowej podstawówce, ale gdy następnego lata urodził się Jared, wzięła urlop wychowawczy. Osiemnaście miesięcy później na świat przyszła Lynn i Amanda nie wróciła już do szkoły. Frankowi udało się wtedy pożyczyć dość pieniędzy, żeby otworzyć własną praktykę i kupić mały dom w Durham. Były to cienkie lata; Frank chciał poradzić sobie sam i nie korzystał z pomocy ani swojej rodziny, ani jej. Mieli szczęście, jeśli po zapłaceniu rachunków zostało im wystarczająco pieniędzy, aby wypożyczyć film na weekend. Rzadko jadali poza domem, a kiedy zepsuł im się samochód, Amanda tkwiła w domu przez miesiąc, zanim wreszcie stać ich było na naprawę. Wszyscy spali w nocy pod dodatkowymi kocami na łóżkach, żeby oszczędzić na ogrzewaniu. Choć był to stresujący i wyczerpujący okres, to patrząc wstecz na swoje życie, Amanda wiedziała, że wówczas byli z Frankiem najszczęśliwsi.

Potem gabinet Franka zaczął dobrze prosperować i pod wieloma względami ich życie przybrało z góry wiadomy bieg. Frank pracował, podczas gdy ona zajmowała się dziećmi. Gdy sprzedali swój pierwszy dom i przeprowadzili się do większego, który zbudowali w lepszej dzielnicy miasteczka, urodziła im się Bea. Wtedy życie zaczęło toczyć się szybciej. Frank odnosił coraz większe sukcesy w pracy, a Amanda woziła Jareda do szkoły i z powrotem, a potem podrzucała

Lynn do parków i do koleżanek, woząc ze sobą Beę, która siedziała między nimi w foteliku przypięta pasami. W tych latach wróciła do dawnych planów zawodowych związanych ze studiami doktoranckimi; przejrzała nawet kilka programów nauczania, myśląc, że zdecyduje się na któryś z nich, gdy Bea pójdzie do przedszkola. Ale po śmierci córeczki straciła zapęd. Spokojnie odłożyła podręczniki przygotowujące do egzaminów i schowała do szuflady podanie na studia.

Gdy niespodziewanie znowu zaszła w ciążę – z Annette – utwierdziła się w decyzji, aby już nie wracać na studia. Z nową energią postanowiła poświęcić się odbudowaniu życia rodzinnego i ochoczo rzuciła się w wir zajęć związanych z dziećmi, choćby tylko po to, żeby nie dopuszczać do siebie rozpacz. Gdy z biegiem lat wspomnienia o małej siostrzyczce zaczęły blednąć, Jared i Lynn powoli wrócili do normalności i Amanda cieszyła się z tego. Wesola Annette wniosła do domu nowy rodzaj radości i mogli nawet udawać, że stanowią pełną, kochającą się rodzinę, której nie dotknęła żadna tragedia.

Amandzie jednak trudniej było udawać, że taksamo jest w jej małżeństwie.

Nigdy się nie łudziła, że małżeństwo to wieczne szczęście i miłość. Jeśli weźmie się dwoje ludzi, dorzuci nieuniknione góry i dolki i wszystko razem pomiesza, to choćby para bardzo się kochała, nie uniknie konfliktów. Czas też zrobił swoje. Poczucie bezpieczeństwa i zażyłość były

cudowne, ale jednocześnie powoli zabijały pasję i namiętność.

Przewidywalność i przyzwyczajenie uniemożliwiały jakiegokolwiek niespodzianki. Nie było już żadnych nowych historii do opowiedzenia, każde z nich potrafiło dokończyć zdanie za to drugie i oboje, zarówno ona, jak i Frank, doszli do punktu, w którym jedno spojrzenie staje się tak wymowne, że słowa są już niepotrzebne. Jednakże utrata Bei ich zmieniła. Amanda z pasją podjęła ohotniczą pracę w szpitalu; Frank natomiast zaczął pić na całego i stał się regularnym alkoholikiem.

Amanda wiedziała, gdzie leży granica między zwykłym pićm a alkoholizmem. Sama nigdy nie stroniła specjalnie od alkoholu. Na imprezach w college'u kilka razy wypila o jednego drinka za duzo i wciąż lubila wyszczyć kieliszek wina do kolacji. Czasami pozwalala sobie i na drugi, ale to przewaznie jej wystarczalo. Natomiast Frank, który pocztatkowo pil, zeby zabic bol, powoli wpadl w nalog.

Patrzac w przeszlosc, Amanda myslala czasami, ze mogla to przewidziec. W college'u Frank lubil ogladac z kolegami mecze koszykowki, popijajac przy tym alkohol; na studiach, zeby rozluznic sie po zajeciach, czesto strzelal sobie dwa albo trzy piwa. Ale w tych ciezkich miesiacach, gdy Bea byla chora, dwa, trzy piwa stopniowo przeszly w szesciopak, a gdy mala umarla, nawet dwa szesciopaki. Po dwuch latach od smierci Bei, kiedy Annette byla juz w drodze, Frank upijal sie nawet wtedy, gdy nastepnego rana szedl do pracy. Ponzniej zdarzalo mu sie to cztery-piec razy w tygodniu i ostatniego wieczoru nie bylo inaczej. Chwiejnym krokiem wszedl o polnocy do sypialni, pijany jak zwykle, i zaczal chrzpac tak glono, ze musiala sie przeniesc do gozcinnego pokoju. I to jego picie, a nie Tuck, bylo prawdziwym powodem klotni tego rana.

W ciagu minionych lat widziala wszystko po kolei, od belkotania przy obiedzie czy podczas barbecue az po upijanie sie do nieprzytomnosci i upadek na podloge sypialni. Poniewaz jednak Frank byl powszechnie uwazany na doskonałego dentyste, rzadko kiedy nie przychodzil do pracy i zawsze oplacal rachunki, nie uwazal, ze ma jakikolwiek problem. Poniewaz pod wzplywem alkoholu nie stawal sie brutalny ani nieprzyjemny, byl wrzcz pewien, ze nie ma problemu. Poniewaz pil zwykle piwo, jego zdaniem bylo niemozliwe, zeby mial problem.

I tak powoli stawal sie czlowiekiem, za którego Amanda nigdy by nie wyszla. Nie potrafilaby zliczyc, ile razy plakala z tego powodu. I probowala z nim rozmawiac. Proсила, zeby pomyslal o dzieciach. Blagala, zeby poszedl z nia na terapie dla par i razem poszukali rozwiazania, albo wsciekala sie na niego za jego egoizm. Nie odzywala sie nieraz przez cale dnie, zmuszala go, zeby tygodniami spal w pokoju gozcinnym, i zarliwie modlila sie do Boga. Mniej wzcej raz do roku Frank bral sobie jej prosby do serca i na jakis czas przestawal pic. Potem, po kilku tygodniach, wypijal piwo do obiadu. Tylko jedno. I tego wieczoru nie mial problemu. Nastepnego tez byc moze nie. Ale otwieral drzwi i demon wracal. I Frank znowu po jakimis czasie trafil kontrole nad picciem. Wtedy

Amanda zadawala sobie te same pytania co dawniej. Dlaczego, gdy ulegal nalogowi, nie mogl po prostu odejsc? I dlaczego nie chcial zrozumiec, ze rujnuje ich malzenstwo?

Nie wiedziala. Wiedziala tylko, ze to ja wyczerpuje. Przez wzekszość czasu miala poczucie, ze dzieci moga liczyc tylko na nia. Jared i Lynn byli juz wystarczajaco dorozli, aby prowadzic samochod, ale co by bylo, gdyby ktorems z nich zdarzyl sie jakis wypadek, kiedy Frank bedzie pijany? Wskoczy wtedy do samochodu, przypnie Annette z fotelikiem do tylnego siedzenia

i pojedzie pędem do szpitala? Albo gdyby któreś zachorowało? Coś takiego już się zdarzyło. Wprawdzie nie dzieciom, ale jej. Przed kilkoma laty po zjedzeniu czegoś nieświeżego wymiotowała przez parę godzin. W tym czasie Jared dopiero robił prawo jazdy, a Frank poszedł w tango. Ponieważ była już niebezpiecznie odwodniona, Jared okolo północy w końcu zawiózł ją do szpitala, podczas gdy Frank siedział rozwalony na tylnym siedzeniu i udawał trzeźwego. Mimo osłabienia zauważyła, że syn wciąż zerkał w lusterko wsteczne z wyrazem rozczarowania i gniewu na twarzy. Czasami myślała, że biedak stracił tej nocy niewinność – ojciec przestał być dla niego autorytetem.

Stanowiło to dla Amandy stałe, męczące źródło niepokoju i była już wyczerpana ciągłym martwieniem się o to, co dzieci myślą i czują, gdy widzą ojca chwiejącego się na nogach. Obawiała się, że Jared i Lynn już go nie szanują. Albo że w przyszłości któreś z nich – Jared, Lynn czy Annette – pójdą w jego ślady, będą szukać ucieczki w alkoholu, pigułkach i Bóg wie czym jeszcze i zrujną ją sobie życie.

Nigdzie też nie znajdowała pomocy. I bez Anonimowych Alkoholików wiedziała, że nic nie może zrobić, aby wpłynąć na Franka, bo dopóki sam nie zrozumie, iż ma problem, i nie postanowi z niego wyjść, będzie pić dalej. A co to oznaczało dla niej? Że będzie musiała dokonać wyboru. Podjąć decyzję, czy chce to ciągnąć, czy zakończyć. Sporządzić listę sankcji i trzymać się jej. W teorii było to łatwe. W praktyce jednak tylko budziło w niej złość. Bo jeśli to Frank miał problem, dlaczego ona miała ponosić za to odpowiedzialność? Ale jeżeli rzeczywiście uzależnienie było chorobą, to czy właśnie teraz nie potrzebował jej pomocy najbardziej, a przynajmniej wsparcia? Jak w takim razie – jako żona, która przysięgała, że będzie z nim w zdrowiu i chorobie – miała uzasadnić rozwód, rozbicie rodziny, zwłaszcza po tym, co razem przeszli? Musiała więc być albo bezwzględna matką i żoną albo pozbawioną kręgosłupa współniczką, gdy tak naprawdę pragnęła jedynie żyć z mężczyzną, za jakiego kiedyś go uważała.

Dlatego to wszystko było takie trudne. Nie chciała rozvodu z Frankiem ani rozbicia rodziny. Choć ich małżeństwo było kompromisem, w głębi duszy wierzyła w swoją przysięgę i chciała jej dotrzymać. Kochała mężczyznę, którym był dawniej Frank i którym mógł być znowu, ale tu i teraz, gdy tak stała przed domem Tucka Hostetlera, czuła smutek i samotność. I mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jak do tego doszło, że tak wygląda jej życie.

\*

Wiedziała, że matka się jej spodziewa, ale nie była jeszcze gotowa przed nią stanąć. Potrzebowała więcej czasu, więc gdy zaczął zapadać zmierzch, ruszyła przez zarośnięte podwórko do zagraconego garażu, w którym Tuck przez całe dni odnawiał stare samochody. W środku stał chevrolet corvette stingray – model z lat sześćdziesiątych, jak się domyślała. Sunąc dłonią po masce, bez trudu wyobraziła sobie, że Tuck lada chwili wróci do garażu – że jego zgarbiona sylwetka ukaże się na tle zachodzącego słońca. Będzie w poplamionym kombinezonie, z lysiną przeświecającą przez rzadniejące siwe włosy i twarzą tak pooraną zmarszczkami, jakby to były blizny.

Choć Frank tego rana podejrzliwie wypytywał ją o Tucka, powiedziała niewiele, tylko że był dawnym przyjacielem rodziny. To nie wyczerpywało tematu, ale co innego miała powiedzieć? Sama przed sobą musiała przyznać, że jej przyjaźń z Tuckiem była dziwna. Znała go w czasach,

gdy chodziła do szkoły średniej, a ponownie spotkała się z nim dopiero przed sześcioma laty, w wieku trzydziestu sześciu lat. Przyjechała wtedy do Orientalu, żeby odwiedzić matkę, i gdy siedziała w Irvin's Diner przy kawie, przypadkiem usłyszała, że plotkuje o nim grupa starszych panów.

– Tuck Hostetler wciąż potrafi wyczyniać cuda z samochodami, ale już całkiem zwariował – powiedział jeden z nich i zaśmiał się, kręcąc głową. – Niech sobie mówi do żony nieboszczki, ale nie gada potem, że słyszy jej odpowiedź!

Jego kolega prychnął.

– Zawsze był z niego dziwak, nie ulega wątpliwości.

To było do Tucka niepodobne, więc zapłaciwszy za kawę, wsiadła do samochodu i odnalazła niemal zapomnianą bitą drogę prowadzącą do jego domu. Skończyło się na tym, że spędzili całe popołudnie na walącym się ganku; siedzieli na bujanych fotelach i rozmawiali. Od tego czasu wpadała do niego z wizytą, gdy tylko była w miasteczku. Początkowo zdarzało się to raz czy dwa razy na rok – nie była w stanie odwiedzać matki częściej – ale ostatnio przyjeżdżała do Orientalu nawet pod jej nieobecność. Tuck się starzał i choć wolała myśleć, że po prostu zagląda do staruszka, aby sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku, to oboje znali prawdziwy powód jej wizyt.

Panowie z baru mieli rację, w pewnym sensie. Tuck się zmienił. Nie był już tym milczącym, trochę zagadkowym, czasami posepnym człowiekiem, którego pamiętała, ale także nie był wariatem. Odróżniał fantazje od rzeczywistości i zdawał sobie sprawę, że jego żona zmarła, i to dawno temu. Po prostu – jak ostatecznie uznała – miał zdolność urzeczywistniania tego, co chciał urzeczywistnić. Choćby tylko na własny użytek. Kiedy w końcu zapytała go o jego „rozmowy” z niezbytającą żoną, odpowiedział rzeczowo, że

Clara żyje i zawsze będzie żyła. Nie tylko z nią rozmawia – wyznał – ale także ją widzi.

– Chcesz powiedzieć, że jest duchem? – zapytała.

– Nie – odparł. – Mówię tylko, że nie chce, abym był sam.

– Jest tu teraz z nami?

Tuck obejrzał się przez ramię.

– Nie widzę jej, ale słyszę, że szwenda się po domu. Amanda wyteżyła słuch, ale usłyszała jedynie skrzywienie foteli bujanych.

– Czy bywała tu... już wtedy? W dawnych czasach? Wciągnął głęboko powietrze, a kiedy się odezwał, w jego głosie słychać było zmęczenie.

– Nie. Ale wówczas nie próbowałem jej zobaczyć.

Było coś niezaprzecalnie wzruszającego, niemal romantycznego, w jego przekonaniu, że za życia kochali się na tyle mocno, żeby móc być razem po jej śmierci. Kto nie uznałby tego za romantyczne? Każdy chce wierzyć, że istnieje wieczna miłość. Ona też w to wierzyła, kiedyś, gdy miała osiemnaście lat. Ale teraz wiedziała, że miłość to skomplikowana sprawa, jak samo życie. Nie sposób jej zrozumieć ani przewidzieć, jak się będzie rozwijać. Poza tym miłość pozostawia po sobie długi żal. Ten żal zaś budzi w człowieku pytania w rodzaju „co by było, gdyby”, na które nie ma odpowiedzi. Co by było, gdyby Bea nie umarła? Gdyby Franknie wpadł w alkoholizm? Gdyby wyszła za mąż za miłość swojego życia? Czy wtedy rozpoznałaby w sobie tę kobietę, która patrzy na nią w lustrze?

Oparłszy się o samochód, zaczęła się zastanawiać, co Tuck powiedziałby na te jej rozważania.

Tuck, który każdego ranka jadł jajka i gruboziarniste pieczywo w Irvin's Diner i wrzucał prażone orzeszki ziemne do szklanek z pepsi, którą pił; Tuck, który mieszkał w tym samym domu przez blisko siedemdziesiąt lat i tylko raz wyjechał z ojczystego stanu, kiedy został powołany do wojska podczas drugiej wojny światowej. Tuck, który słuchał radia albo gramofonu, zamiast oglądać telewizję, bo zawsze tak robił. W przeciwieństwie do niej wchodził w rolę, którą wyznaczyło mu życie. Wiedziała, że w tym pogodzeniu się jest pewna mądrość, choć sama nie potrafiła do niej dojść.

Oczywiście, Tuck miał Clarę i tu kryło się wyjaśnienie. Pobrawszy się jako siedemnastolatkiem, przeżyli razem czterdzieści dwa lata i słuchając Tucka, Amanda z czasem poznała historię ich życia. Cichym głosem opowiedział jej, że Clara trzykrotnie poroniła, ostatni raz z poważnymi komplikacjami. Kiedy lekarz poinformował ją, że nie będzie miała dzieci, tak płakała, że – mówiąc słowami Tucka – zapadła w roczny sen. Amanda dowiedziała się, że Clara uprawiała ogród warzywny i kiedyś nawet zdobyła pierwszą nagrodę w stanowym konkursie na największą dynię – wyblakła niebieska wstęga tkwiła wciąż za lustrem w sypialni. Kiedy Tuck otworzył interes, zbudowali mały domek na niewielkiej działce nad rzeką Bay pod Vandemere, przy którym Oriental mógł się wydawać wielkim miastem, i spędzali tam co roku wiele tygodni, bo Clara uważała, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Clara miała zwyczaj nucić do dźwięków z radia podczas sprzątanía domu i Tuck co jakiś czas zabierał ją na tańce do Red Lee's Grill, gdzie Amanda chadzała często, gdy była nastolatką.

Było to życie – doszła w końcu do wniosku – oparte na wzajemnym zrozumieniu, pełne miłości i zadowolenia czerpanego z rzeczy najdrobniejszych. Życie godne i szlachetne, niepozbawione smutków, ale spełnione jak mało które. Wiedziała, że Tuck był tego świadomy bardziej niż kokolwiek inny.

– Z Clarą zawsze było dobrze – podsumował kiedyś.

Może to intymny charakter jego opowieści, a może jej rosnąca samotność sprawiły, że z biegiem czasu Tuck stał się jej powiernikiem, czego nigdy by się nie spodziewała. To z nim dzieliła swój ból i rozpacz po śmierci Bei, i to właśnie u niego na ganku dała upust wściekłości na Franka; to jemu zdradzała swoje lęki o dzieci, a nawet obawę, że jej życie potoczyło się nie tak, jak miało. Opowiadała mu o niezliczonych zrozpaczonych rodzicach i niewiarygodnie pogodnych dzieciach z oddziału, a on jakby rozumiał, że praca z nimi była dla niej czymś w rodzaju odkupienia, choć nigdy tego nie powiedział. Przeważnie po prostu ujmował jej dłoń swoimi powykęcany mi, zatłuszczonymi rękami i milczał, co działało na nią kojąco. W końcu stał się jej najlepszym przyjacielem i czuła, że Tuck Hostetler zna ją taką, jaka była naprawdę, lepiej niż kokolwiek inny w jej obecnym życiu.

A teraz ten przyjaciel i powiernik odszedł. Już za nim stęskniona spojrzała na stingraya; ciekawa była, czy wiedział, że to ostatni samochód, nad którym pracuje. Nic takiego nie mówił, ale gdy cofnęła się pamięcią, uświadomiła sobie, że musiał to podejrzewać. Gdy była u niego ostatnio, dał jej zapasowy klucz do swojego domu i powiedział, puszczając do niej oko:

– Nie zgub go, bo będziesz musiała wybić szybę, żeby dostać się do środka.

Schowała klucz do kieszeni i zapomniała o sprawie, bo tego wieczoru Tuck mówił inne dziwne rzeczy. Pamiętała, że gdy przeszukiwała szafki kuchenne, aby przyrzucić z czegoś kolację, on siedział przy stole i palił papierosa.

– Wolisz białe czy czerwone wino? – zagadnął ją bez związku.

– Zależy – odpowiedziała, przesuwając konserwy. – Do kolacji czasami piję kieliszek czerwonego.

– Mam czerwone wino – oznajmił. – Tam, w tamtej szafce.

Odwróciła się.

– Chcesz, żebym je otworzyła?

– A co mi po nim. Wolę pepsy i orzeszki. – Strząsnął popiół do wyszczerbionego kubka po kawie.

– Mam też świeże steki. Zamawiam je u rzeźnika co poniedziałek. Leżą na dolnej półce w zamrażalniku. Grill jest za domem.

Podeszła do lodówki.

– Mam ci upiec na grillu stek?

– Nie. Zwykle trzymam je na koniec tygodnia.

Zawahała się, bo nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

– Więc... tak tylko mi mówisz?

Pokiwał głową i nic więcej nie powiedział. Amanda przypisała to jego dziwne zachowanie wiekowi i zmęczeniu. W końcu usmażyła mu jajka na bekonie i wysprzątała dom. Tuck tymczasem siedział w głębokim fotelu przy kominku z kocem na ramionach i słuchał radia. Mimowolnie zauważyła, jak bardzo się skurczył, był o wiele drobniejszy niż kiedyś, w czasach jej młodości. Przed wyjściem naciągnęła mu koc na ramiona, bo sądziła, że zasnął. Oddychał ciężko, jakby z trudem. Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Kocham cię, Tuck – szepnęła.

Poruszył się lekko, pewnie coś mu się śniło, a kiedy odwróciła się do drzwi, usłyszała, że westchnął.

– Dziękuję za tobie, Claro – wymamrotał.

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział w jej obecności. Słysząc w nich było bolesną samotność w jednej chwili zrozumiała, dlaczego przed laty przyjął do siebie Dawsona. Tuck pomyślała, też czuł się samotny.

\*

Zadzzwoniwszy do Franka, aby mu powiedzieć, że przyjechała na miejsce – już mówił bełkotliwie – Amanda szybko zakończyła rozmowę i w myślach podziękowała Bogu, że dzieci spędzają weekend poza domem.

W warsztacie znalazła kartkę z wykazem zleceń i zaczęła się zastanawiać, co zrobić z samochodem. Szybki rzut oka na listę zleceńodawców powiedział jej, że stingray należy do obrońcy z drużyny Carolina Hurricanes, i odnotowała w pamięci, żeby porozmawiać o tym z prawnikiem Tucka. Odłożywszy kartkę, odruchowo zaczęła myśleć o Dawsonie. On także był częścią jej sekretu. Nie powiedziała Frankowi o Tucku, bo musiałyby powiedzieć mu jednocześnie o Dawsonie, a tego nie chciała. Tuck wiedział, że tak naprawdę odwiedzała go właśnie z powodu Dawsona, przynajmniej na początku. Nie miał jej tego za złe, bo bardziej niż kokolwiek inny zdawał sobie sprawę, jaką moc mają wspomnienia. Czasami, kiedy słońce przebijało się przez zadaszenie i zalewało podwórko niemal płynnym ciepłym światłem, prawie czuła obecność Dawsona i wtedy uświadamiała sobie, że Tuck wcale nie postradał zmysłów. Duch Dawsona, podobnie jak Clary, był wszędzie.

Chociaż wiedziała, że nie ma sensu się zastanawiać, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby została z Dawsonem, to ostatnio regularnie odczuwała potrzebę powracania w to miejsce. A im częściej tu przyjeżdżała, tym żywsze stawały się wspomnienia; z głębszej przeszłości powracały do niej dawno zapomniane zdarzenia i przeżycia. Tu dobrze pamiętała, jak silna się czuła, gdy była z Dawsonem, jak wyjątkowa i piękna. Przypominała sobie z niezwykłą jasnością własną pewnością, że Dawson jest jedynym człowiekiem na świecie, który dobrze ją rozumie. Przede wszystkim jednak uświadamiała sobie, jak bardzo go kochała i jak ufnie, z jaką pasją on odwzajemniał jej uczucie.

Dzięki Dawsonowi, z jego cichym, milczącym sposobem bycia, uwierzyła, że wszystko jest możliwe. Wędrując teraz po zastawionym gratami garażu, z wciąż unoszącą się w powietrzu wonią benzyny i oleju, wspominała setki wieczorów, które tu spędziła. Przesunęła palcami po ławce, na której siadywała godzinami i patrzyła, jak Dawson z brudnymi rękami pochyła się nad otwartą maską fastbacka i od czasu do czasu przykręca coś albo odkręca kluczem francuskim. Nawet wtedy na jego twarzy nie było śladu młodzieńczej niewinności, tak typowej dla ich rówieśników, a kiedy na jego przedramieniu poruszały się gruzłowate mięśnie, widziała ciało mężczyzny, którym powoli się stawał. Jak wszyscy inni w Orientale wiedziała, że ojciec bił go stale, i kiedy Dawson pracował bez koszuli, dostrzegała blizny na jego plecach, niewątpliwie pozostawione przez kłamię od pasa. Nie była pewna, czy on sam w ogóle jest ich świadom, przez co jeszcze trudniej było jej na nie patrzeć.

Był wysoki i szczupły, z ciemnymi włosami nad ciemniejszymi oczami, i wiedziała, że z wiekiem stanie się jeszcze przystojniejszy. Wyglądał inaczej niż wszyscy Cole'owie, więc zapytała go kiedyś, czy jest podobny do matki. Siedzieli wtedy w jego samochodzie, a po przedniej szybie spływały krople deszczu. Tak jak Tuck mówił cichym głosem i zawsze zachowywał spokój.

– Nie wiem – odparł i wytarł zaparowaną szybę.

– Ojciec spalił wszystkie jej zdjęcia.

Pod koniec lata, które spędzili razem, pojechali do małej przystani nad strumieniem długo po zachodzie słońca. Dawson słyszał, że ma być burza, i rozłożywszy koc na deskach pomostu, obserwowali w milczeniu, jak niebo przecinają błyskawice. Miała świadomość, że jej rodzice byliby wściekli, gdyby wiedzieli, gdzie jest i z kim, ale w tej chwili nic nie miało znaczenia oprócz spadających gwiazd, jego ciepłego ciała i czulego gestu, którym przytulił ją do siebie, jakby nie wyobrażał sobie bez niej przyszłości.

Czy wszystkie pierwsze miłości były takie? Jakoś w to wątpiła; nawet teraz tamto wydawało jej się bardziej realne niż wszystko inne, co przeżyła. Czasami zasmucała ją myśl, że nigdy nie zagna już takiego uczucia, ale potem przypominała sobie, że życie tłum i wszelką namiętność; przekonała się aż za dobrze, że sama miłość nie wystarczy.

Mimo to, gdy wyjrzała na podwórko za garażem, wbrew woli znowu zaczęła się zastanawiać, czy Dawson przeżył ponownie takie uczucie i czy jest szczęśliwy. Chciała wierzyć, że tak, ale byłemu więźniowi na pewno nie było w życiu łatwo. Pewnie potem znowu trafił do więzienia, zaczął brać narkotyki i może już nie żył, choć te wszystkie obrazy nie pasowały jej do człowieka, którego kiedyś znała. Dlatego właśnie nigdy nie zapytała o niego Tucka; bała się tego, co mogłaby usłyszeć, a milczenie starszego pana tylko utwierdziło ją w podejrzeniach. Już bardziej wolała niepewność, choćby tylko dlatego, że pozwalała jej pamiętać go takim, jakim był dawniej.

Czasami jednak była ciekawa, co on czuje, gdy myśli o tamtym roku, który spędzili we dwoje, czy też uważa, że przeżyli coś niezwykłego. A może zupełnie o niej zapomniał.



Samolot wylądował w New Bern, gdy słońce rozpoczęło powolną wędrówkę w stronę horyzontu na zachodzie. Dawson przebył wynajętym samochodem rzekę Neuse, wjechał do Bridgeton i skręcił na autostradę numer 55. Po obu jej stronach, w pewnej odległości, wznosiły się zabudowania gospodarskie przeplatane co jakiś czas suszarniami tytoniu, które popadły w ruinę. Płaski krajobraz lśnił w popołudniowym słońcu i Dawson miał wrażenie, że nic się tu nie zmieniło od czasu jego wyjazdu wiele lat temu, a być może nawet w ciągu stu lat. Przejechał przez Grantsboro i Alliance, Bayboro i Stonewall, miasteczka jeszcze mniejsze od Orientalu, i stwierdził, że hrabstwo Pamlico wygląda jak zagubione w czasie, zapomniana kartka w porzuconej dawno książce.

Był to także jego dom i choć wiązało się z nim wiele bolesnych wspomnień, to właśnie tu Dawson zaprzyjaźnił się z Tuckiem i tu poznał Amandę. Zaczął rozpoznawać miejsca z dzieciństwa i w ciszy panującej w samochodzie zadał sobie pytanie, kim by się stał, gdyby w jego życie nie wkroczyli ci dwoje. Bardziej jednak zastanawiało go to, gdzie by teraz był, gdyby wieczorem 18 września 1985 roku doktor David Bonner nie wybrał się pobiegać.

Doktor Bonner przeniósł się do Orientalu w grudniu poprzedniego roku wraz z żoną i dwójkiem małych dzieci. Przez wiele lat w miasteczku nie było żadnego lekarza. Poprzedni, przeszedłszy w 1980 roku na emeryturę, przeprowadził się na Florydę i rada miejska od tego czasu usilnie starała się znaleźć kogoś na jego miejsce. Lekarz był bardzo potrzebny, ale mimo rozmaitych korzyści, jakie oferowało miasteczko, niewielu było kandydatów, którzy chcieliby się przenieść na prowincję, bo tak to trzeba nazwać. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności żona doktora Bonnera, Marilyn, wychowała się w tej okolicy i jak Amanda była nie byle kim. Jej rodzice, Bennetowie, hodowali jabłka, brzoskwinie i jagody w wielkich sadach na obrzeżach Orientalu, więc doktor Bonner po ukończeniu stażu przeprowadził się do rodzinnego miasteczka żony i otworzył tu praktykę.

Miał dużo pracy od samego początku. Zmęczeni dojazdami do odległego o czterdzieści minut drogi New Barn pacjenci tłoczyli się pod jego gabinetem, ale lekarz nie miał złudzeń, że dorobi się tu dużych pieniędzy. W tak ubogim rejonie kraju było to po prostu niemożliwe, niezależnie od tego, jak prosperowała praktyka i jakie się miało koneksje rodzinne. Choć nikt w miasteczku o tym nie wiedział, sad był potężnie zadłużony i już w dniu, w którym David zamieszkał w Orientalu, teść poprosił go o pożyczkę. Ale choć później także wspierał teściów finansowo, koszty życia na szczęście były tu na tyle niskie, że mógł kupić dom w stylu kolonialnym z czterema sypialniami oraz widokiem na Smith Creek. Poza tym żona z radością wróciła w rodzinne strony. Jej zdaniem Oriental był idealnym miejscem na wychowanie dzieci i w dużej mierze miała rację.

Doktor Bonner uwielbiał sporty na świeżym powietrzu. Uprawiał surfing i pływał; jeździł na rowerze i biegał. Ludzie widywali go często, jak po pracy biegł Broad Street i w końcu zniknął za zakrętem na przedmieściach. Znajomi machali do niego z samochodów i pozdrawiali go

klaksonem, a on odpowiadał skinieniem głowy, nie zwalniając. Czasami, po szczególnie długim dniu pracy, wybierał się na jogging dopiero tuż przed zmierzchem i tak było właśnie 18 września 1985 roku. Wyszedł z domu, gdy w miasteczku zapadał zmrok. Choć doktor Bonner o tym nie wiedział, drogi były śliskie. Po południu padał deszcz, na tyle długo, żeby wydobyć tłuszcz z maładamu, ale nie tak intensywnie, aby go zmyć.

Ruszył w drogę swoją zwykłą trasą, którą przebiegał w pół godziny, ale tego wieczoru nie wrócił do domu. Gdy wszedł księżyc, Marilyn zaczęła się niepokoić i poprosiwszy sąsiadkę, żeby przypilnowała dzieci, wsiadła do samochodu, aby poszukać męża. Tuż za zakrętem na skraju miasteczka, w pobliżu zagajnika, zobaczyła karetkę pogotowia. Obok stał szeryf i powiększająca się grupa ludzi. Na miejscu dowiedziała się, że jej mąż stracił życie, zabity przez ciężarówkę, nad którą kierowca stracił panowanie.

Ciężarówka, jak powiedziano Marilyn, należała do Tucka Hostetlera. Kierowca, który miał stanąć przed sądem za nieumyślne spowodowanie śmierci, miał osiemnaście lat i został już zakuty w kajdanki.

Nazywał się Dawson Cole.

\*

Dwie mile od przedmieść Orientalu – i zakrętu, który zapamiętał na całe życie – Dawson dostrzegł starą żwirową drogę, prowadzącą na rodzinną farmę, i zaczął myśleć o ojcu. Kiedy siedział w areszcie stanowym w oczekiwaniu na proces, któregoś razu pojawił się strażnik i poinformował go, że ma gościa. Chwilę później Dawson zobaczył ojca, który gryził w zębach wyłaczkę.

– Uciekłeś z domu, spotykałeś się z tą bogatą lalą, miałeś plany. I zobacz, gdzie wylądowałeś? W pudle. – Dostrzegł złośliwy błysk w oczach ojca. – Miałeś się za lepszego ode mnie, a to błąd. Jesteś taki sam jak ja.

Dawson nic na to nie odpowiedział; gdy tak patrzył na ojca z głębi celi, przepełniło go coś zbliżonego do nienawiści. Poprzyściął sobie wtedy, że cokolwiek się zdarzy, już nigdy więcej nie spotka się z ojcem.

Do procesu nie doszło. Wbrew radzie obrońcy publicznego Dawson przyznał się do winy i mimo że prokurator nie domagał się aż takiej kary, dostał najwyższy jej wymiar. Został osadzony w zakładzie penitencjarnym Caledonia w Halifaxie w Karolinie Północnej i pracował na należącej do więzienia farmie przy uprawie kukurydzy, pszenicy, bawełny i soi; podczas żniw ociekał potem w palącym letnim słońcu, a podczas orki przemarzał na kość w lodowatym północnym wietrze. Choć korespondował z Tuckiem za pośrednictwem poczty elektronicznej, przez cztery lata nie miał ani jednego widzenia.

Po zwolnieniu warunkowym wrócił do Orientalu. Pracował u Tucka i słyszał szepty mieszkańców miasteczka, gdy od czasu do czasu jeździł na zakupy do supermarketu. Wiedział, że jest wyrzutkiem, jednym z Cole'ów, który zabił nie tylko zięcia Bennettów, ale także jedyne go lekarza w miasteczku, i przytłaczało go poczucie winy. W takich chwilach jechał do kwaciarni w New Barn, a potem na cmentarz w Orientalu, gdzie pochowano doktora Bonnera. Wczesnym rankiem albo późnym wieczorem, gdy wokół nie było ludzi, kładł kwiaty na jego grobie. Czasami stał przy nim godzinę albo i dłużej; myślał o żonie i dzieciach, które zostawił nieboszczyk. Poza

tymi wizytami przez cały rok trzymał się na uboczu, starał się unikać ludzi.

Jednakże rodzina jeszcze z nim nie skończyła. Kiedy ojciec zjawił się w warsztacie, żeby ponownie zacząć zabierać mu pieniądze, przywodził ze sobą Teda. Sam miał śrutówkę, a Ted – kij baseballowy, lecz popełnili błąd, że przyszli bez Abeego. Kiedy Dawson powiedział im, żeby się wynieśli, Ted zareagował szybko, ale nie dość szybko. Cztery lata pracy w polu zahartowały Dawsona i był gotowy do walki. W efekcie łomem złamał Tedowi nos i szczękę, a ojca rozbroił i połamal mu żebra. Gdy obaj leżeli na ziemi, wycelował do nich ze śrutówki i zapowiedział, żeby więcej nie przychodzili. Ted prosił płaczkliwie, by go nie zabijał, a ojciec tylko wył z bólu. Od tej pory Dawson spał ze śrutówką przy boku i rzadko opuszczał działkę. Wiedział, że rodzina może przyjść po niego w każdej chwili, ale cóż, życie okazało się nieprzewidywalne. Niespełna tydzień później Szalony Ted zakłuł nożem człowieka w barze i znalazł się za kratkami. Z niewiadomego powodu ojciec zaś już nigdy się pojawił. Dawson nie zastanawiał się nad przyczyną. Liczył tylko dni do czasu, gdy wreszcie wolno mu było opuścić miasteczko, i kiedy zwolnienie warunkowe dobiegło końca, zawiązał śrutówkę w ceratę, schował do pudełka i zakopał pod dębem za domem Tucka. Później wsadził swoje rzeczy do bagażnika, pożegnał się z Tuckiem i wyjechał na autostradę. Wylądował w Charlotte, znalazł sobie pracę jako mechanik samochodowy i zapisał się na wieczorowy kurs dla spawaczy w miejscowym college'u. Później wyjechał do Luizjany i zatrudnił się w rafinerii ropy. I w końcu zaczął pracować na platformach.

Od wyjścia z więzienia starał się nie rzucać w oczy i przeważnie był sam. Nie odwiedzał przyjaciół, bo ich nie miał. Po zerwaniu z Amandą nie spotykał się z żadnymi dziewczynami, gdyż – mimo upływu lat – wciąż nie mógł przestać o niej myśleć. Żeby się do kogoś zbliżyć, kogokolwiek, musiałby opowiedzieć mu o swojej przeszłości, a na to nie miał ochoty. Był ekskwizytem z rodziny kryminalistów i pozbawił życia porządnego człowieka. Choć odbył karę i żył uczciwie, wiedział, że nie wybaczy sobie tego, co zrobił.

\*

Był już niedaleko. Dawson zbliżał się do miejsca, w którym potrafił doktora Bonnera. Zauważył przelotnie, że na zakręcie, w miejscu, gdzie kiedyś rosły drzewa, wybudowano niski przyzadziasty budynek ze żwirowym parkingiem od frontu. Patrzył jednak na drogę, nie odwracał głowy.

Niecałą minutę później był już w Orientale. Przejechał przez miasteczko i znalazł się na moście przerzuconym nad zbiegiem Greens Creek i Smith Creek. Gdy jako chłopak uciekał od rodziny, często siadywał przy tym moście i patrzył na żagłówki; wyobrażał sobie dalekie porty, do których zawiąjały, miejsca, które sam kiedyś pragnął odwiedzić.

Zwolnił urzeczony widokiem jak za dawnych lat. W marinie panował duży ruch, ludzie krzatali się na swoich łodziach, wnosili lodówki turystyczne albo odwiązywali cumy. Spojrzał na drzewa i widząc kołyszące się gałęzie, stwierdził, że można będzie płynąć tylko na żaglach nawet do samego wybrzeża.

W lusterku wstecznym dostrzegł pensjonat, w którym zamierzał się zatrzymać, ale nie był jeszcze gotowy, żeby się zameldować. Wyłączył silnik po drugiej stronie mostu i wysiadł. Z ulgą rozprostował nogi. Zastanowił się przelotnie, czy wieniec z kwaciarni już przybył, ale uznał, że niebawem się dowie. Spojrzał na Neuse i przypomniał sobie, że na odcinku przed Pamlico Sound

to najszersza rzeka w Stanach Zjednoczonych, o czym mało kto wiedział, nawet w Karolinie Północnej. Wygrał już jeden zakład o to, zwłaszcza na platformach, bo wszyscy obstawiali Missisipi. Sam dowiedział się o tym od Amandy.

Zaczął o niej myśleć, jak zwykle: co porabia, gdzie mieszka, jak wygląda jej codzienne życie. Zakładał, że wyszła za mąż, i ciękaw był, jakiego mężczyzną wybrała. Mimo że dobrze ją znał, nie mógł wyobrazić jej sobie śmiejącej się albo śpiącej z innym. Przypuszczał, że to nie ma znaczenia. Przed przeszłością można uciec, jeśli znajdzie się coś lepszego, i domyślał się, że tak właśnie postąpiła. Miał wrażenie, że wszyscy poza nim to potrafią. Każdy czegoś żałuje i każdy popełnia błędy, ale z nim było inaczej. On nie mógł uwolnić się od swojego brzemienia – i znowu pomyślał o doktorze Bonnerze i rodzinie, której go odebrał.

Gdy tak patrzył w wodę, nagle pożałował, że tu przyjechał. Wiedział, że Marilyn Bonner wciąż mieszka w miasteczku, ale nie chciał się z nią zobaczyć, nawet przypadkiem. I choć przypuszczał, że rodzina na pewno dowie się o jego przyjeździe, z nią także nie miał ochoty się spotkać.

Nie miał tu czego szukać. Chociaż rozumiał, dlaczego Tuck poprosił swojego prawnika, żeby zawiadomił go o jego śmierci, to nie miał pojęcia, dlaczego staruszek zażyczył sobie, aby Dawson tu przyjechał. Od czasu gdy się o tym dowiedział, zachodził w głowę, o co tu chodzi, ale nie znajdował odpowiedzi. Tuck ani razu nie prosił, żeby go odwiedził; lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, co Dawson zostawił za sobą. Sam także nigdy nie wybrał się do Luizjany i choć Dawson regularnie do niego pisywał, ten rzadko odpowiadał. Musiał mieć swojej powody – doszedł do wniosku Dawson, ale na razie nie bardzo wiedział jakie.

Już miał wrócić do samochodu, gdy nagle znowu zauważył znajomy ruch na obrzeżach pola widzenia. Okręcił się na pięcie i bezskutecznie próbował go zlokalizować; wtedy po raz pierwszy od wypadku na platformie zjeżyły mu się włoski na karku. Coś tam jednak było, uświadomił sobie nagle, nawet jeśli jego umysł nie potrafił tego zidentyfikować. Słońce odbijało się w wodzie i tak go oslepiało, że musiał zmrużyć oczy. Osłonił je dłonią i objął wzrokiem marinę. Dostrzegł starszego pana z żoną wchodzących jachtem w ślizg; na przystani mężczyzna bez koszuli zaglądał pod pokrywę silnika swojej łódki. Zauważył też innych: parę w średnim wieku kręcącą się po pokładzie jachtu, grupę nastolatków wyjmujących przenośną lodówkę po dniu spędzonym na wodzie. Na drugim końcu mariną w rejs wypływała inna łódź, żeby złapać jeszcze w żagle popołudniową bryzę – nie było w tym wszystkim nic niezwykłego. Już miał się odwrócić, gdy spostrzegł ciemnowłosego mężczyznę w niebieskiej wiatrówce, który patrzył w jego stronę. Stał u stóp przystani i jak on osłaniał ręką oczy. Gdy Dawson powoli opuścił dłoń, tamten zrobił to samo. Dawson cofnął się szybko o krok, nieznajomy też. Dawson poczuł, że traci dech, i serce zaczęło walić mu w piersi.

To niemożliwe. To nie dzieje się naprawdę.

Słońce już stało nisko za jego plecami, dlatego nie mógł dostrzec twarzy mężczyzny, ale mimo niknącego światła Dawson nagle poczuł pewność, że to tego człowieka widział wtedy na oceanie i potem na kutrze dostawczym. Zamrugał gwałtownie powiekami i zmrużył oczy, patrząc uważnie. Kiedy jednak skupił wzrok, zobaczył tylko słup w porcie i postrzępione liny przywiązane na czubku.

Pojawienie się tej postaci wytrąciło Dawsona z równowagi i nagle zapragnął od razu pojechać do domu Tucka. Przed laty miejsce to było dla niego schronieniem i natychmiast przypomniał sobie, jakie dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Jakś nie miał ochoty na pogawędkę w pensjonacie, w którym się zameldował; chciał być sam, żeby zastanowić się nad widokiem ciemnowłosego mężczyzny. Albo wstrząs mózgu, jakiego doznał, był poważniejszy, niż przypuszczali lekarze, albo mieli rację co do szoku. Wjeżdżając na drogę, postanowił jeszcze raz skonsultować się z lekarzami w Luizjanie, choć podejrzewał, że nie powiedzą mu niczego nowego.

Oddalił od siebie niepokojące myśli i odsunął szybę. Jadąc krętą szosą, wciągnął w płuca pierwotny zapach sosen i słonawej wody. Kilka minut później skręcił na bitą drogę prowadzącą do domu Tucka. Samochód podskakiwał na wybojach i gdy Dawson pokonał zakręt, ukazał się przed nim dom. Ku swojemu zdziwieniu zobaczył przed nim bmw. Wiedział, że to nie może być wóz Tucka. Po pierwsze, był za czysty, poza tym starszy pan nie jeździłby zagranicznym samochodem; nie z powodu zastrzeżeń co do ich jakości, ale po prostu nie miał narzędzi metrycznych, żeby je naprawiać. Zresztą Tuck zawsze wolał ciężarówki, zwłaszcza z początku lat sześćdziesiątych. W ciągu ostatnich lat kupił i wyremontował ich z pół tuzina, potem jeździł nimi jakiś czas i sprzedawał, jeśli trafił się kupiec. Bo Tuckowi nie chodziło o pieniądze, tylko o przyjemność z naprawy takiego wozu.

Dawson zatrzymał się obok bwm i wysiadł z samochodu, zdziwiony, że dom tak niewiele się zmienił. Zawsze wyglądał nędznie jak buda, nawet gdy Dawson w nim mieszkał, a wewnątrz dopominało się remontu i sprawiało wrażenie niewykończonego. Amanda kiedyś nawet kupiła Tuckowi roślinę w doniczce, żeby ożywić to miejsce, i doniczka wciąż stała w kącie na ganku, ale kwiaty dawno już zwiędły. Dawson pamiętał, jak dziewczyna się cieszyła, gdy wręczała Tuckowi prezent, choć on nie bardzo wiedział, co z nim zrobić.

Ogarnął spojrzeniem dom i okolicę. Po gałęzi derenia biegła wiewiórka. Spośród drzew dobiegł ostrzegawczy odgłos kardynała, ale poza tym miejsce wyglądało na opuszczone. Ruszył wzdłuż domu, w stronę garażu. Tam, w cieniu sosen, było chłodniej. Gdy okrążył róg domu i wyszedł na słońce, zauważył kobietę, która stała tuż za wejściem do garażu i oglądała stary klasyczny samochód, pewnie ostatni, jaki remontował Tuck. Najpierw pomyślał, że to pewnie przedstawicielka kancelarii prawnej, i już miał do niej zawołać, gdy nagle się odwróciła. I głos uwiązał mu w gardle.

Nawet z daleka wyglądała jeszcze piękniej, niż ją pamiętał, i przez długi – nieskończenie długi czas – nie mógł nic powiedzieć. Przyszło mu do głowy, że znowu ma halucynacje, ale zamrugał powoli powiekami i uświadomił sobie, że to nie to. Była całkiem realna i stała tam, w miejscu, które kiedyś było ich azyłem.

I gdy Amanda patrzyła na niego po tych wszystkich latach, zrozumiał, dlaczego Tuck ściągnął go tutaj.

Żadne z nich nie było w stanie się odezwać ani zrobić kroku, nawet gdy minęło pierwsze zaskoczenie i rozpoznali się wzajemnie. Dawson pomyślał przede wszystkim, że Amanda jest znacznie bardziej wyrazista w rzeczywistości niż w jego wspomnieniach. Jej jasne włosy błyszcząły w popołudniowym słońcu jak polerowane złoto, a niebieskie oczy robiły elektryzujące wrażenie nawet z daleka. Ale gdy tak jej się przyglądał, powoli dostrzegł także drobne zmiany. Jej twarz straciła typową dla młodości miękkość. Kości policzkowe stały się bardziej wydatne, oczy jakby głębiej osadzone, a w ich kącikach pojawiły się ledwie widoczne zmarszczki. Czas obszedł się z nią bardzo łagodnie, doszedł do wniosku. Od czasu gdy widzieli się ostatni raz, stała się piękną dojrzałą kobietą.

Amanda także chłonęła to, co widzi. Dawson miał na sobie koszulę paskowego koloru wetkniętą niedbale w sprane dzinsy, co podkreślało kształt wciąż wąskich bioder i szerokich ramion. Uśmiechał się tak samo jak dawniej, ale jego ciemne włosy były dłuższe niż w czasach młodości i zauważyła, że siwieją na skroniach. Piwne oczy tak samo przykuwały uwagę jak w jej wspomnieniach, lecz odniosła wrażenie, że dostrzega w nich zmęczenie, jak u kogoś, kto miał za sobą cięższe życie, niż się spodziewał. I nagle, być może dlatego, że zobaczyła go tutaj, w miejscu, w którym tył wspólnie przeżyli, pojęła, że z emocji nie wie, co powiedzieć.

– Amanda? – zapytał w końcu i ruszył ku niej.

Gdy wypowiadała jej imię, usłyszała w jego głosie zdziwienie i przede wszystkim właśnie dzięki temu uświadomiła sobie wreszcie, że jest realny. On tu jest, pomyślała, to naprawdę on, i gdy zbliżał się do niej, odniosła wrażenie, że czas się cofa, jakkolwiek było to niemożliwe. Kiedy wreszcie stanął przy niej i rozłożył ramiona, padła w nie całkiem naturalnie, jak za dawnych czasów. On przyciągnął ją do siebie i objął mocno, jak wtedy gdy się kochali, a ona przytuliła się do niego i znowu poczuła jak osiemnastolatka.

– Cześć, Dawson – szepnęła.

Trzymał ją w ramionach przez długi czas i tak stali objęci w zachodzącym słońcu. Dawson przez moment miał wrażenie, że zadrżała. Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, Amanda wyчуła, że przepełniają ją emocje.

Przyjrzała mu się z bliska i zauważyła zmiany, jakich dokonał w nim czas. Był już mężczyzną. Twarz miał ogorzałą, jak ktoś, kto spędza dużo czasu na słońcu, włosy lekko mu się przerzedziły.

– Co tutaj robisz? – zapytał. Dotknął jej ramienia, jakby chciał się upewnić, że jest rzeczywistość.

Dzięki temu pytaniu doszła do siebie. Przypomniła sobie, po co tu przyjechała, i nieznacznie się cofnęła.

– Jestem tu z tego samego powodu co ty. Kiedy przyjechałeś?

– Przed chwilą – odparł. Zaczął się zastanawiać, co go skłoniło, żeby wybrać się do domu Tucka, bo przecież tego nie planował. – Nie wierzę, że cię widzę. Wyglądasz... niesamowicie.

– Dziękuję. – Poczula, że rumieniec oblewa jej policzki. – Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– Nie wiedziałem – wyjaśnił. – Nagle poczułem, że muszę tu zajrzeć, i zobaczyłem samochód przed domem. Więc poszedłem dalej tutaj i...

Amanda dokończyła za niego:

– I ujrzałeś mnie.

– Uhm. – Kiwnął głową i po raz pierwszy spojrzął jej w oczy. – I ujrzałem ciebie.

Wciąż miał intensywne spojrzenie, więc Amanda zrobiła kolejny krok do tyłu. Liczyła, że dystans ułatwi im sprawę. I że Dawson nie zrozumie jej źle. Wskazała dom.

– Chcesz tu przenoćować?

Spojrzał na dom spod zmrużonych powiek, a potem znowu zwrócił spojrzenie na nią.

– Nie, zarezerwowałem pokój w pensjonacie w miasteczku. A ty?

– Zatrzymam się u mamy. – Zauważyła jego zdziwione spojrzenie i wyjaśniła: – Tata zmarł jedenaście lat temu.

– Przykro mi – rzucił.

Skinięła głową, nic więcej nie mówiąc, i Dawson przypomniał sobie, że w przeszłości tak właśnie dawała do zrozumienia, że wolałaby zmienić temat. Gdy zerknęła w stronę garażu, zrobił krok w tamtym kierunku.

– Pozwolisz? – zapytał. – Nie byłem tam od lat.

– Jasne, jasne, że tak – odparła. – Nie krępuj się.

Patrzyła, jak Dawson się oddala, i wyraźnie się rozluźniła; wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że napięła ramiona.

On tymczasem zajrzał do małego, ciasnego biura, potem przesunął ręką po stole w warsztacie i rdzewiejącej feldze. Wędrując powoli po garażu, potoczył wzrokiem po drewnianych ścianach, otwartym sklepieniu z belek, stalowej beczce stojącej w kącie, do której Tuck wlewał zużyty olej. Pod tylną ścianą stały podnośnik hydrauliczny i zatraskiwana skrzynia na narzędzia, a przed nimi wznosił się stos opon. Naprzeciwko stołu, po drugiej stronie garażu, znajdowały się spawarka i inny sprzęt do spawania. W kącie, przy rozpylaczu lakieru, stał oparty zakurzony wentylator, pod sufitem wisiały gołe żarówki, a wszędzie, na każdej powierzchni, leżały części samochodowe.

– Nic się tu nie zmieniło – zauważył.

Weszła za nim w głąb garażu. Wciąż czuła się niepewnie i starała się trzymać od Dawsona w bezpiecznej odległości.

– Pewnie nie. Tuck zawsze starał się odkładać narzędzia na miejsce, zwłaszcza w ostatnich kilku latach. Chyba zdawał sobie sprawę, że zaczyna tracić pamięć.

– Biorąc pod uwagę jego wiek to wręcz niewiarygodne, że wciąż remontował samochody.

– Szło mu już wolniej. Brał tylko jeden, najwyżej dwa rocznie, i to tylko wtedy, gdy wiedział, że da sobie radę. Żadnych większych napraw, nic w tym rodzaju. To od dłuższego czasu pierwszy wóz, jaki tutaj widzę.

– Wygląda na to, że często go odwiedzałaś.

– Nie tak często. Widywaliśmy się co kilka miesięcy. A przez długi czas w ogóle nie mieliśmy ze sobą kontaktu.

– Nigdy nie wspominał o tym w listach – zdziwił się Dawson.

Wzruszyła ramionami.

– O tym, że do ciebie pisał, też nie mówił.

Pokiwał głową, a potem znowu spojrzął na stół do pracy. Na brzegu leżała starannie złożona bandana Tucka, jedna z wielu, i Dawson, unosząc ją, postukał palcem o blat.

– Wciąż są tu inicjały, które wyciąłem. Moje i twoje.

– Wiem – odparła. Pod nimi widniały słowa „na zawsze”. Splotła ramiona na piersi, starając się nie patrzeć na jego ręce. Były spracowane i silne, ręce pracownika fizycznego, ale jednocześnie kształtne i zgrabne.

– Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma – zauważył.

– Wiem.

– Mówisz, że tracił pamięć?

– Trochę. Biorąc pod uwagę, ile miał lat i jak dużo palił, był w całkiem dobrej formie, gdy widziałam go ostatnio.

– Kiedy to było?

– Chyba w lutym.

Wskazał stingraya.

– Wiesz coś o tej bryce?

Pokręciła głową.

– Tylko tyle, że Tuck nad nią pracował. Na podkładce ze zleceniami jest zamówienie oraz notatki Tucka na temat samochodu, ale poza nazwiskiem właściciela te informacje nic mi nie mówią. To dla mnie czarna magia. Wszystko jest tam.

Dawson odnalazł zamówienie i przejrzał notatki, a potem podszedł do samochodu. Amanda patrzyła, jak otwiera maskę i pochyla się, aby pod nią zajrzeć. Koszula napięła mu się na ramionach, więc odwróciła wzrok – nie chciała, aby zauważył, że mu się przygląda. Po minucie Dawson zainteresował się małymi pudełkami, które stały na stole. Zdjął z nich przykrywkę i pokręcił głową, a potem ze zmarszczonym czołem obejrzał części.

– To dziwne – rzekł.

– Co takiego?

– To nie był żaden remont. Głównie robota przy silniku i drobne naprawy. Gaźnik, sprzęgło, kilka innych rzeczy. Pewnie Tuck na razie czekał na te części. Ze starymi samochodami czasami nie idzie takszybko.

– Co to znaczy?

– Między innymi to, że właściciel wozu nie wyjedzie nim z garażu.

– Poproszę prawnika, żeby skontaktował się z tym człowiekiem. – Odgarnęła z oczu pasmo włosów. – I tak muszę się z nim spotkać.

– Z prawnikiem?

– Uhm. – Kiwnęła głową. – To on mnie zawiadomił o śmierci Tucka. Powiedział, że muszę przyjechać.

Dawson zamknął maskę samochodu.

– A nie nazywa się przypadkiem Morgan Tanner?

– Znasz go? – zapytała zdziwiona.

– Nie, ale ja też mam się z nim jutro spotkać.

– O której godzinie?

– Jedenastej. Z tobą umówił się o tej samej porze, mam rację?

Dopiero po chwili dotarło do niej to, czego Dawson zdążył się już domyślić – że Tuck



zaaranżował to ich spotkanie po latach. Gdyby nie spotkali się u niego, doszłoby do tego następnego dnia. Kiedy pojęła, co to oznacza, nagle poczuła się rozdarta; nie wiedziała, czy miałyby ochotę walnąć Tucka za to, czy go ucałować.

Na jej twarzy musiały uwidocznić się te emocje, bo Dawson zagadnął:

– Rozumiem, że nie wiedziałaś, co Tuckkuje.

– Nie.

Spśród drzew wyleciało stado szpaków i Amanda patrzyła, jak wznoszą się w górę, a potem zmieniają kierunek, kreśląc abstrakcyjne wzory na niebie. Gdy znowu spojrzała na Dawsona, stał oparty o stół, z twarzą w półcieniu. Przysięgłaby, że tu, w miejscu, z którym wiązało się tyle wspomnień, ma przed sobą tamtego młodego Dawsona, ale przypomniała sobie, że oboje są już zupełnie innymi ludźmi. Właściwie obcymi.

– Minęło dużo czasu – powiedział w końcu, przerywając ciszę.

– Tak, rzeczywiście.

– Chciałbym ci zadać tysiąc pytań.

Uniosła brew.

– Tylko tysiąc?

Roześmiał się, ale odniosła wrażenie, że usłyszała w tym nutę smutku.

– Ja też mam do ciebie kilka pytań – ciągnęła. – Ale zanim je zadam, powinieneś wiedzieć, że jestem mężatką.

– Wiem. Zauważyłem obrączkę. – Wetknął kciuk do kieszeni spodni, a potem oparł się o stół i przełożył jedną nogę nad drugą. – Jak długo jesteś zamężna?

– W przyszłym miesiącu minie dwadzieścia lat.

– Masz dzieci?

Nie odpowiadała przez chwilę, bo myślała o Bei. Nigdy nie wiedziała, jak odpowiadać na to pytanie.

– Troje – odparła w końcu.

Zauważył jej wahanie i nie był pewien, jak ma je rozumieć.

– A twój mąż? Polubiłbym go?

– Franka? – Zarumieniła się na wspomnienie bolesnych rozmów, jakie prowadziła z Tuckiem na temat swojego małżeństwa, i zaczęła się zastanawiać, ile Dawson z tego wie. Nie dlatego, że nie miała do Tucka zaufania, ale nagle ogarnęło ją przeczucie, że Dawson przejrzy ją, jeśli zacznie kłamać. – Jesteśmy ze sobą już długo.

Odniosła wrażenie, że Dawson zastanawia się nad jej odpowiedzią. Potem odepchnął się od stołu. Minał ją i skierował się do domu. Miał ruchy sportowca.

– Pewnie Tuck dał ci klucz? Muszę się czegoś napić.

– Poczekaj! Tuck ci powiedział?

Dawson odwrócił się do niej i szedł dalej tyłem.

– Nie.

– To skąd o tym wiesz?

– Bo mnie go nie przesłał, a jedno z nas powinno go mieć.

Stanął w miejscu, zbита z tropu, próbując się zorientować, co Dawson może wiedzieć. W końcu ruszyła za nim ścieżką.

Jednym płynnym skokiem pokonał schody na ganek i zatrzymał się przed drzwiami. Amanda

wydołała klucz z torebki i gdy wsuwała go do zamka, otarła się o Dawsona. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

W środku było cudownie chłodno i Dawson pomyślał, że wewnątrz domu stanowi przedłużenie lasu: wszędzie tylko drewno, ziemia i naturalne barwy. Ściany z desek i sosnowa podłoga z biegiem lat pociemniały i zaczęły skrzypieć, a brązowe zasłony nie bardzo przykrywały zacieki pod oknami. Wyściełane oparcia foteli i poduszki na krzasiastej kanapie były niemal zupełnie wytarte. Zaprawa murarska na kominku zaczęła pękać, a cegły wokół otworu były całkiem czarne, pokryte sadzą tysięcy ogni, jakie tu płonęły. Przy drzwiach znajdował się mały stół, na którym stał stos albumów, gramofon, pewnie jeszcze starszy od Dawsona, i rozklekotany stalowy wiatrak. W powietrzu unosił się zapach papierosów, więc po otwarciu jednego z okien Dawson włączył wentylator i wsłuchał się w jego terkot. Podstawa trochę się chwiała.

Amanda zatrzymała się przy kominku i spojrzała na stojące tam zdjęcie. Tuck i Clara w dwudziestą piątą rocznicę małżeństwa.

Dawson ruszył ku niej i zatrzymał się obok.

– Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę fotografię – odezwał się. – Pracowałem u Tucka już z miesiąc, gdy pozwolił mi wejść do domu. Zapytałem wtedy, kim jest ta kobieta. Nie wiedziałem nawet, że kiedyś był żonaty.

Czuła bijące od niego ciepło, choć starała się to ignorować.

– Jak mogłeś nie wiedzieć?

– Bo go nie znałem. Nie rozmawiałem z nim nigdy, dopiero gdy pojawiłem się u niego tamtej nocy.

– To dlaczego wtedy do niego przyszedłeś?

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – I nie wiem, dlaczego pozwolił mi zostać.

– Bo chciał, żebyś tu był.

– Powiedział ci to?

– Nie wprost. Ale niedługo przed twoim pojawieniem się zmarła Clara i myślę, że byłeś mu potrzebny.

– A ja sądziłem, że po prostu pił tamtego wieczoru. I nie tylko tego jednego.

Amanda cofnęła się pamięcią do przeszłości.

– Ale Tuck przecież nie był pijakiem, prawda?

Dawson dotknął zdjęcia w skromnej drewnianej ramce, jakby próbował sobie wyobrazić świat bez Tucka.

– Ty go jeszcze wtedy nie znałaś. Bardzo lubił whiskey i czasami wytaczał się z garażu, trzymając w ręce do połowy opróżnioną butelkę. Wycierał twarz bandaną i mówił mi, że byłoby lepiej, gdybym znalazł sobie inne lokum. Powtarzał to co wieczór przez pierwsze pół roku, gdy tu mieszkaliśmy. A ja kładłem się spać z nadzieją, że następnego rana nie będzie pamiętał, co mówił. Aż wreszcie któregoś dnia po prostu przestał pić i nigdy więcej nie powiedział mi, żebym się wynosił. – Zwrócił się do niej i jego twarz znalazła się zaledwie kilka cali od jej twarzy. – Był porządnym człowiekiem – dodał.

– Wiem. – Był tak blisko... za blisko... czuła jego zapach. Pachniał mydłem i pizzem. – Mnie też go brakuje.

Cofnęła się i żeby znowu stworzyć dystans, sięgnęła po jedną z wytartych poduszek, które leżały na kanapie. Na dworze słońce zachodziło już za drzewa i w małym pokoju pociemniało

jeszcze bardziej. Dawson chrząknął.

– Napijmy się czegoś. Jestem pewien, że Tuck ma w lodówce mrożoną herbatę.

– Tuck nie pił mrożonej herbaty. Ale pewnie miał w lodówce pepsa.

– Zobaczymy. – Ruszył do kuchni.

Te jego płynne ruchy. Pokręciła lekko głową, żeby wyzwoić się od tej myśli.

– Jesteś pewien, że powinniśmy to robić?

– Na pewno Tuck właśnie tego chciał.

Podobnie jak salon kuchnia wyglądała niczym przeniesiona w czasie, prosto z katalogu Sears, Roebuck z lat czterdziestych ubiegłego wieku: toster wielkości mikrofalówki, pudełkowata lodówka z rączką, na zasuwkę. Drewniany blat był przy zlewie czarny od wody, a z szafek wokół gałek odłaziła biała farba. Kwieciste zasłony – najwyraźniej zawieszono jeszcze przez Clare – przybrały brzydki szarozółty kolor od dymu papierosowego. Pośrodku stał mały okrągły stół dla dwóch osób z papierową serwetką podłożoną pod jedną nogę, żeby się nie chwiały. Dawson otworzył zasuwkę przy lodówce, sięgnął do środka i wyjął dzbanek herbaty. Amanda dołączyła do niego, gdy stawał go na blacie.

– Skąd wiedziałeś, że w lodówce będzie mrożona herbata? – zapytała.

– Domyśliłem się. Tak jak tego, że masz klucze – odpowiedział. Otworzył kredens i wyjął z niego dwa słoiki po dzemie.

– O czym ty mówisz?

Nalał herbaty do słoików.

– Tuck wiedział, że przyjedziemy tu oboje, a pamiętał, że lubię mrożoną herbatę. Więc zadbał o to, żeby była w lodówce.

Jasne. Ta sama sztuczka co z prawnikiem. Ale zanim zdążyła się nad tym zastanowić, Dawson podał jej słoik z herbatą i w ten sposób sprowadził ją do rzeczywistości. Gdy brała od niego herbatę, ich palce się zetknęły.

Unióś swój słoik

– Za Tucka – wzniosł toast.

Amanda stuknęła się z nim słoikiem i stwierdziła, że nie wytrzyma dłużej tego wszystkiego – bliskości Dawsona, fali wspomnień, emocji, które ogarnęły ją w jego ramionach, świadomości, że są w tym domu sami. Jakiś głos w głębi duszy mówił jej szeptem, że musi uważać, że nic dobrego z tego nie wyniknie, i wtedy przypomniała sobie, że ma męża i dzieci. Ale to tylko wprawiło ją w większą dezorientację.

– A więc dwadzieścia lat, tak? – zapytał w końcu Dawson.

Mówił o jej małżeństwie, ale ponieważ była zdekoncentrowana, dotarło to do niej dopiero po chwili.

– Prawie. A ty? Ożeniłeś się?

– Chyba nie było mi to pisane.

Spojrzała na niego znad krawędzi słoika.

– Wciąż się rozglądasz?

– Ostatnio stałem się samotnikiem.

Oparła się o blat. Nie bardzo wiedziała, jak rozumieć jego odpowiedź.

– Gdzie teraz mieszkasz?

– W Luizjanie. Pod Nowym Orleanem.

– Podoba ci się tam?

– Tak, jest w porządku. Dopiero gdy tu przyjechałem, uświadomiłem sobie, że jest tam tak jak tutaj. Tu roślinie więcej sosen i hiszpańskiego mchu, ale poza tym nie widzę specjalnych różnic.

– Z wyjątkiem aligatorów.

– Uhm. Z ich wyjątkiem. – Uśmiechnął się blade. – Teraz kolej na ciebie. Gdzie mieszkasz?

– W Durham. Zostaliśmy tam po ślubie.

– I przyjeżdżasz do Orientu kilka razy do roku, żeby odwiedzić mamę?

Pokiwała głową.

– Kiedy tata żył, to oni przyjeżdżali do nas, ze względu na dzieci. Ale po śmierci taty sprawy się skomplikowały. Mama nigdy nie lubiła prowadzić, więc teraz ja przyjeżdżam tutaj. – Upiła łyk herbaty, a potem ruchem głowy wskazała stół. – Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że usiądę? Potwornie bolą mnie nogi.

– Czuj się jak u siebie. Ja trochę postoję. Przez cały dzień siedziałem w samolocie.

Wzięła swój słoik i podeszła do stołu, czując na sobie jego wzrok.

– Czym się zajmujesz w Luizjanie? – zapytała, gdy siadała za stołem.

– Pracuję jako pomocnik wiertacza na platformie wydobywającej ropę. Pomagam wprowadzać rurę płuczkową do szybu i ją wyprowadzać, sprawdzam szczelność zworników, nadzoruję pracę pomp. To pewnie nic ci nie mówi, bo prawdopodobnie nigdy nie byłeś na takiej platformie, ale trudno to inaczej wyjaśnić.

– Daleko odszedłeś od napraw samochodów.

– Nie tak daleko, jak ci się zdaje. Zasadniczo wciąż mam do czynienia z silnikami i urządzeniami mechanicznymi. A w wolnym czasie naprawiam samochody. Fastback jeździ jakówka.

– Masz go jeszcze?

Uśmiechnął się szeroko.

– Lubię ten wóz.

– Nie – poprawiła go – uwielbiasz. Gdy przychodziłam, zawsze musiałam cię od niego odciągać. Często mi się to nie udawało. Jestem zdziwiona, że nie nosisz jego zdjęcia w portfelu.

– Noszę.

– Naprawdę?

– Żartowałem.

Zaśmiała się tak bez troski jak kiedyś.

– Od jak dawna pracujesz na platformach wiertniczych?

– Od czternastu lat. Zaczynałem jako zwykły robot, potem byłem robotem wykwalifikowanym, a teraz popatrz... jestem pomocnikiem wiertacza.

– Najpierw robot niewykwalifikowany, potem wykwalifikowany i wreszcie pomocnik wiertacza?

– Co mam powiedzieć? Tam, na oceanie, mówimy własnym językiem. – Z roztargnieniem przesunął palcem po jednej z rys na starym blacie. – A ty? Pracujesz? Kiedyś chciałeś zostać nauczycielem.

Napiła się mrożonej herbaty i kiwnęła głową.

– Uczyłam przez rok, ale potem urodziłam Jareda, najstarszego syna, i chciałam zostać z nim w domu. Później z kolei przyszła na świat Lynn i... przez kilka lat dużo się działo, między innymi

umarł mój ojciec, to był trudny okres. – Urwała ze świadomością, jak wiele pomija. Ale wiedziała, że to nie pora ani miejsce, żeby opowiadać o Bei. Wyprostowała się i mówiła dalej spokojnie: – Kilka lat później urodziła się Annette i wtedy już nie miałam po co wracać do pracy. Ale od dziesięciu lat udzielam się ochotniczo w szpitalu przy Duke University. Organizuję na jego rzecz lunchy charytatywne. To czasami niełatwe, ale przynajmniej mam poczucie, że coś z siebie daję.

– Ile lat mają twoje dzieci?

Zaczęła odliczać na palcach.

– Jared w sierpniu skończy dziewiętnaście i właśnie zaliczył pierwszy rok w college’u, Lynn ma siedemnaście i idzie do ostatniej klasy. Annette, dziewięcioletka, skończyła trzecią klasę. Jest uroczą, beztroską dziewczynką. Jared i Lynn natomiast są w trudnym wieku, wydaje im się, że wszystko wiedzą, w przeciwieństwie do mnie, oczywiście.

– Chcesz powiedzieć, że są tacy jak kiedyś my?

Zastanowiła się nad tym niemal ze smutkiem.

– Może.

Dawson zamilkł. Wyjrzał przez okno, a ona podążyła za jego wzrokiem. Potok przybrał barwę żelaza, w płynącej powoli wodzie odbijało się ciemniejące niebo. Stary dąb na brzegu niewiele się zmienił od dawnych czasów, ale pomost przegnił i pozostały po nim tylko pale.

– Same wspomnienia, Amando – zauważył cicho.

Może za sprawą tonu, jakim to powiedział, poczuła, że coś w niej zaskakuje, jakby jakiś klucz przekręcił się w starym zamku.

– Tak – odparła w końcu. Przerwała i objęła się ramionami. Przez chwilę w kuchni słychać było jedynie szum lodówki. Górne światło rzucało obojętny blask na ściany, tak że profile ich obójga tworzyły na nich ruchome wzory.

– Jak długo zamierzasz tu zostać? – zapytała po chwili.

– Mam samolot w poniedziałek rano. A ty? Ile masz czasu?

– Niewiele. Powiedziałam Frankowi, że wrócę w niedzielę. Mama wolałaby, żebym została w Durham. Jej zdaniem przyjazd na pogrzeb to poroniony pomysł.

– Dlaczego?

– Bo nie lubiła Tucka.

– Chcesz powiedzieć, że nie lubiła mnie.

– Nie znała cię tak naprawdę – wyjaśniła Amanda. – Skreśliła cię z góry. Zawsze wiedziała, jak powinno potoczyć się moje życie. To, czego ja sama chcę, nie miało dla niej znaczenia. I pod tym względem ani trochę się nie zmieniła. – Wytarła skroploną wodę ze stoika. – Kilka lat temu niepotrzebnie jej powiedziałam, że wpadłam do Tucka... można by pomyśleć, że popełniłam jakieś przestępstwo.

Potem wciąż prawiała mi kazania, pytała, dlaczego go odwiedzam, chciała wiedzieć, o czym rozmawiamy, i cały czas pouczała mnie jak dziecko. Więc w końcu przestałam jej mówić o spotkaniach z Tuckiem. Mówiłam, że jadę na zakupy albo że zamierzam zjeść lunch na plaży z moją przyjaciółką Martha. Martha, z którą dzieliłam pokój w college’u, mieszka w Salter Path i choć często rozmawiamy ze sobą przez telefon, nie widziałyśmy się od lat. Nie mam ochoty odpowiadać na wścibskie pytania matki, więc ją okłamuję.

Dawson zamieszał swoją herbatę, zastanawiając się nad tym, co powiedziała Amanda,

a potem patrzył, jak powierzchnia napoju się uspokaja.

– Gdy tu jechałem, mimo woli myślałem o moim ojcu, o tym, że zawsze musiał mieć nad wszystkim kontrolę. Nie twierdzę, że twoja matka jest do niego podobna, ale może w ten sposób chce cię ustrzec przed popełnieniem błędów.

– Uważasz, że błędem było odwiedzać Tucka?

– Jeśli chodzi o niego, nie. A o ciebie? To zależy czego u niego szukałaś, a tylko ty to wiesz.

Miała ochotę się bronić, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, dostrzegła pewną prawidłowość, która charakteryzowała ich relacje w dawnych czasach. Jedno mówiło coś zaczepnego pod adresem drugiego, co często prowadziło do kłótni, i teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jej tego brakowało. Nie kłótni, ale zaufania, z którego one wynikały, i przebaczenia, które następowało potem w nieunikniony sposób. Bo w końcu zawsze sobie wybaczali.

W głębi duszy podejrzewała, że Dawson ją testuje, ale nie podjęła dyskusji. Natomiast, ku swojemu zdziwieniu, pochyliła się nad stołem i powiedziała niemal automatycznie:

– Masz jakieś plany związane z kolacją dziś wieczorem?

– Nie, żadnych. Dlaczego pytasz?

– W lodówce są steki, gdybyś miał ochotę zjeść tutaj.

– A co z twoją mamą?

– Zadzwońię do niej i powiem, że później wyjechałam.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Nie – odrzekła. – Ale niczego już nie jestem pewna.

Potań kciukiem szkło i przyjrzał jej się w milczeniu.

– Dobrze. – Kiwnął głową. – Niech będą steki. Jeśli się nie zepsuły.

– Są z poniedziałku – wyjaśniła, bo przypomniała sobie, co Tuck jej kiedyś mówił. – Grill jest za domem, jeśli chcesz zabrać się do kolacji.

Chwilę później był już za drzwiami; ale Amanda wciąż czuła jego obecność, nawet gdy wyjmowała z torebki telefon komórkowy.

Kiedy węgle już się rozżarzyły, Dawson wrócił do środka, żeby wziąć steki od Amandy, która już posmarowała je oliwą i przyprawiła. Otworzywszy drzwi, zobaczył ją zagłębioną do kredensu. W ręce z roztargnieniem trzymała puszkę wieprzowiny z fasolą.

– Czego szukasz?

– Próbuję znaleźć coś do steków, ale poza tym nie ma tu wiele – wyjaśniła i pokazała puszkę.

– Co mamy do wyboru? – zapytał i umył ręce nad zlewem.

– Poza fasolą jest pieczywo pełnoziarniste, sos do spaghetti w butelce, mąka naleśnikowa, pół pudełka makaronu typu penne, no i cheerios. W lodówce są masło, musztarda i keczup. No i, oczywiście, mrożona herbata.

Strzepnął wodę z rąk

– Mogą być cheerios.

– Ja chyba wolę makaron. – Przewróciła oczami. – Nie powinieneś piec steków?

– Chyba powinienem – odpowiedział i musiała powściągnąć uśmiech. Kącikiem oka zobaczyła, że wziął talerz z mięsem i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaśnięciem.

Niebo przybrało aksamitny, głęboki kolor purpury i pojawiły się już na nim gwiazdy. Potok za sylwetką Dawsona wyglądał jak czarna wstęga, a czubki drzew lśniły niczym srebro w blasku wschodzącego księżyca.

Nalała wody do garnka, wsypała szczyptę soli i włączyła gaz na kuchence; potem wyjęła z lodówki masło. Gdy woda się zagotowała, wrzuciła do niej makaron i przez kilka minut szukała cedzaka. Wreszcie znalazła go w głębi szafki przy kuchence.

Gdy makaron się ugotował, odcedziła go i wrzuciła z powrotem do garnka. Dodała masło, czosnek granulowany, odrobinę pieprzu i soli. Szybko podgrzała fasolę z puszki i była gotowa ze wszystkim, nim Dawson wrócił z talerzem steków.

– Wspaniale pachnie – zauważył, nie kryjąc zdziwienia.

– Masło i czosnek – wyjaśniła. – To zawsze działa. A jak steki?

– Jeden krwisty, drugi średnio wysmażony. Mnie odpowiadają oba, ale nie byłem pewny, jaki ty wolisz. Zawsze mogę jeszcze rzucić któryś na grill, żeby się przypiek.

– Może być średnio wysmażony – powiedziała uspokajająco.

Dawson postawił talerz na stole i przeszukał szafki, a następnie szuflady, w poszukiwaniu talerzy, szklanek i sztućców. Amanda zauważyła w otwartym kredensie dwa kieliszki i przypomniała sobie, co Tuck powiedział jej podczas ostatniej wizyty.

– Napijesz się wina? – zapytała.

– Ale nie sam.

Kiwnęła głową i otworzyła szafkę, którą kiedyś wskazał jej Tuck. Znalazła w niej dwie butelki czerwonego wina. Wybrała cabernet i otworzyła go, podczas gdy Dawson kończył nakrywać stół. Nalała wina do kieliszków i podała jeden Dawsonowi.

– W lodówce jest butelka sosu do steków, jeśli masz ochotę – rzuciła.

Dawson znalazł sos, a Amanda tymczasem przełożyła makaron i fasolę do misek. Podeszli do stołu jednocześnie i gdy oboje spojrzeli na dwa nakrycia, zauważyła, że wyrwało mu się z piersi lekkie westchnienie. Żeby pokryć skrępowanie, Dawson wziął z blatu butelkę wina, a Amanda, kręcąc głową, usiadła przy stole.

Pociągnęła łyk wina i poczuła jego smak na podniebieniu. Gdy nałożyli sobie na talerze, Dawson jakby się zawahał, patrząc na swoją porcję.

– W porządku? – Zaniepokoiła się.

Dźwięk jej głosu sprowadził go na ziemię.

– Tak, tylko próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadłem taki posiłek.

– Steki? – zapytała. Ukroiła kawałek mięsa i podniosła go do ust na widelcu.

– Mam na myśli całość. – Wzruszył ramionami. – Na platformie jem z kolegami w stołówce, a w domu sam i zwykle kończy się na czymś najprostszym.

– A nie jadasz na mieście? W Nowym Orleanie jest mnóstwo świetnych knajpek i restauracji.

– Rzadko kiedy tam jeżdżę.

– Nawet na randki? – zażartowała między kolejnymi kęsami.

– Nie umawiam się na randki – wyjaśnił.

– Nigdy?

Zabrał się do krojenia steku.

– Nigdy.

– Dlaczego?

Czuł na sobie jej badawczy wzrok, gdy pijąc wino, czekała na odpowiedź. Poprawił się na krześle.

– Tak jest lepiej – odparł.

Jej ręka z widelcem zatrzymała się w połowie drogi do ust.

– Ale nie z mojego powodu, prawda?

Starał się mówić spokojnym głosem.

– Nie bardzo wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć.

– Bo chyba nie sugerujesz, że... – zaczęła.

Ponieważ nie odpowiedział, spróbowała ponownie.

– Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że... że nie spotykałeś się z nikim od czasu naszego rozstania?

Dawson znowu nic nie odpowiedział i Amanda odłożyła widelec. Usłyszała, że jej głos brzmi zaczepnie, gdy podjęła:

– Tylko mi nie mów, że to przeze mnie... prowadzisz takie życie.

– Powtarzam: nie wiem, co mam ci powiedzieć.

Spojrzała na niego zwięzonymi oczami.

– Teraz ja z kolei nie wiem, co powiedzieć.

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że sprawiasz wrażenie żyjącego samotnie przeze mnie. Jakby... to była moja wina. Masz pojęcie, jak się przez to czuję?

– Nie powiedziałem tego, żeby cię zranić. Miałem tylko na myśli...

– Wiem dobrze, co miałeś na myśli – fuknęła. – Coś ci jednak powiem. Kochałam cię tak



samo jak ty mnie, ale niezależnie od przyczyny to nie było nam pisane i musiało się skończyć. Nie ty ze mną zerwałeś ani ja z tobą. – Położyła dłonie na stole. – Chcesz, żebym odjechała stąd z poczuciem winy, że spędzisz resztę życia samotnie? Przeze mnie?

Popatrzył na nią.

– Nie musisz się nade mną litować.

– To dlaczego chcesz wywołać we mnie litość?

– Wcale nie chcę – odciął się. – Nawet nie odpowiedziałem na twoje pytanie. Dopatrujesz się w moich słowach czegoś, czego w nich nie ma.

– Więc się mylę?

Zamiast odpowiedzieć, wziął nóż do ręki.

– Czy nikt ci nigdy nie mówił, że jeśli nie chcesz znać odpowiedzi na jakieś pytanie, to nie powinnaś go zadawać?

Mimo że pobił ją jej własną bronią – kiedyś zawsze tak robił – nie mogła sobie darować i wyrzuciła z siebie:

– Wszystko jedno. To nie moja wina. Jeśli chcesz zrujnować sobie życie, to proszę bardzo.

Kim jestem, żeby ci mówić, co masz robić?

Ku jej zdziwieniu Dawson parsknęła śmiechem.

– Dobrze wiedzieć, że ani trochę się nie zmieniłaś.

– Zmieniłam się. Możesz mi wierzyć.

– Niewiele. Wciąż próbujesz mi mówić, co mam myśleć. Nawet jeśli twoim zdaniem rujnuję sobie życie.

– Najwyraźniej potrzebujesz kogoś, kto by ci to powiedział.

– Kiedy spróbuję cię uspokoić, dobrze? Ja także się nie zmieniłem. Jestem sam, bo zawsze byłem sam. Zanim się poznaliśmy, robiłem wszystko, żeby trzymać się z dala od rodziny. Kiedy się tu zjawiłem, Tuck czasami nie odzywał się do mnie przez całe dni, a kiedy wyjechałaś, wsadzili mnie do pudła. Gdy zostałem zwolniony, nikt w miasteczku nie chciał mnie znać, więc się stąd wyniosłem. Skończyło się na tym, że większość miesięcy w roku pracuję na środku oceanu, a to nie jest dobre miejsce, żeby nawiązywać znajomości... wiem to najlepiej. Owszem, są pary, które potrafią przetrwać taką regularną rozłąkę, ale częściej spotyka się złamane serca. Łatwiej być samemu, a poza tym przyzwyczailem się już do tego.

Zastanowiła się nad jego odpowiedzią.

– Chcesz wiedzieć, czy ci wierzę?

– Nie bardzo.

Zaśmiała się wbrew sobie.

– A mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie? Możesz nie odpowiadać, jeśli wolisz o tym nie rozmawiać.

– Pytaj, o co chcesz – odparł i wziął do ust kęs steku.

– Co się zdarzyło w tamtą noc, gdy doszło do wypadku? Słyszałam coś niecoś, mama też mi o tym opowiadała, ale nie znam całej historii i nie wiem, w co mam wierzyć, a w co nie.

Dawson żuł przez chwilę w milczeniu.

– Nie ma wiele do opowiedzenia – odparł w końcu. – Tuck zamówił komplet opon do impali, którą remontował, ale nie wiadomo dlaczego wysłano je do sklepu w New Barn. Zapytał mnie więc, czybym po nie pojechał, i pojechałem. Trochę padało i gdy wracałem do miasteczka,

zapadł już zmrok – Przerwał, jakby próbował zrozumieć sens czegoś, co nie da się zrozumieć. – Z naprzeciwka nadjechał samochód, facet nieźle gazował. Albo kobieta. Nigdy się tego nie dowiedziałem. W każdym razie kierowca przekroczył linię, gdy się do niego zbliżałem, więc musiałem gwałtownie zjechać na bok. Chwilę później zobaczyłem, że tamten mnie mija, i wypadłem z drogi. Potem ujrzałem doktora Bonnera, ale... – Obrazy, które stanęły mu przed oczami, były wciąż bardzo wyraźne, jak zwykle. Ten sam koszmar. – Miałem wrażenie, że wszystko działo się w zwolnionym tempie. Wcisnąłem hamulec i kręciłem kierownicą, ale droga i trawa były śliskie, więc...

Urwał. Amanda w ciszy dotknęła jego ramienia.

– To był wypadek – szepnęła.

Dawson nic na to nie odpowiedział, ale gdy szurnął nogami pod stołem, Amanda zadała mu oczywiste pytanie.

– Dlaczego poszedłeś do więzienia? Jeśli nie byłeś pijany i nie przekroczyłeś dozwolonej prędkości?

Kiedy wruszył ramionami, zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź. Była ona prosta jak jego nazwisko.

– Tak mi przykro – powiedziała, choć te słowa zabrzmiały nieadekwatnie.

– Wiem. Ale nie współczuj mi – odparł. – Współczuj rodzinie doktora Bonnera. Przez mnie nie wrócił do domu. Przez mnie jego dzieci wychowują się bez ojca. Przez mnie jego żona wciąż jest sama.

– Nie wiesz tego – zaprotestowała. – Może ponownie wyszła za mąż.

– Nie wyszła – odparł. Zanim zdążyła zapytać, skąd to wie, opuścił głowę i wbił wzrok w talerz.

– A ty? – zapytał gwałtownie, jakby kończył poprzedni wątek, zatrząskując wieko. Pożałowała, że poruszyła ten temat. – Opowiedz mi, co robiłaś od czasu, gdy się widzieliśmy po raz ostatni.

– Nie wiem, od czego zacząć.

Sięgnął po butelkę wina i dolał im obojgu.

– Może od tego, jak poszłaś do college'u.

Amanda się poddała. Opowiedziała mu o swoim życiu, początkowo rysując je grubą kreską. Dawson słuchał z uwagą, zadawał jej pytania, gdy mówiła, próbował wydobyć z niej więcej szczegółów. Wkrótce słowa zaczęły przychodzić z większą łatwością. Opowiedziała o koleżankach z pokoju, zajęciach w college'u i wykładowcach, którzy ją inspirowali. Wyznała, że ten rok, podczas którego pracowała jako nauczycielka, był dla niej trudny, bo nie mogła oswoić się z myślą, że nie jest już studentką. Wspomniała o tym, jak poznała Franka, chociaż gdy o nim mówiła, miała dziwne poczucie winy, więc potem tego unikała. Opisała swoich przyjaciół i miejsca, które odwiedziła przez te wszystkie lata, ale głównie skupiała się na dzieciach. Starła się scharakteryzować ich osobowości, wady i zalety, próbując nie chwalić się nadmiernie osiągnięciami.

Od czasu do czasu, gdy kończyła jakiś wątek, pytała Dawsona o jego życie na platformie wiertniczej albo poza nią, ale on tak sterował rozmową, aby wrócić do jej spraw. Wydawał się autentycznie zainteresowany jej życiem i Amanda opowiadała o nim w sposób dziwnie naturalny, jakby podjęli dawno przerwana rozmowę.

Później usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozmawiała tak z Frankiem, na przykład gdy wychodzili gdzieś razem. Frank jednak pił i przeważnie sam mówił; jeśli podejmowali temat

dzieci, to zazwyczaj omawiali ich postępy w szkole i ewentualne problemy, zastanawiali się, jak najlepiej je rozwiązać. Ich rozmowy były rzeczowe i konkretne, Frank rzadko pytał ją o codzienne sprawy, zainteresowania. Rozumiała, że to typowe dla małżeństw o długim stażu; niewiele było nowości, o których można by pogadać. Miała jednak wrażenie, że jej relacje z Dawsonem zawsze były inne, i teraz zaczęła się zastanawiać, czy życie zrobiłoby swoje także z ich związkiem. Wydawało jej się, że to niemożliwe, ale skąd miała wiedzieć na pewno?

Rozmawiali do późnego wieczora, za oknem przygasły już gwiazdy. Zerwał się wiatr, który szumiał wśród drzew jak fale oceanu. Butelka wina była pusta i Amanda czuła się odprężona. Było jej wygodnie i ciepło. Dawson zaniósł naczynia do zlewu i zabrał się do zmywania, podczas gdy ona stała obok niego i wycierała. Co jakiś czas zauważała, że spoglądała na nią badawczo, gdy podawał jej talerz albo kieliszek, i chociaż nie widzieli się połowę życia, miała niesamowite uczucie, że wcale nie stracili ze sobą kontaktu.

\*

Kiedy skończyli zmywać w kuchni, Dawson wskazał tylne drzwi.

– Masz jeszcze trochę czasu?

Amanda zerknęła na zegarek i choć wiedziała, że powinna już jechać, odpowiedziała mimowolnie:

– Mam, niewiele, ale mam.

Otworzył drzwi, więc wymięła go i zesłała po trzeszczących drewnianych stopniach. Księżyc był już wysoko na niebie i jego blask przydawał krajobrazowi dziwnej, egzotycznej urody. Na ziemi leżała srebrna rosa, która zmoczyła jej palce u stóp przez wycięcie pantofli, w powietrzu unosił się intensywny zapach sosen. Szli obok siebie, a dźwięk ich kroków tłumilo cykanie świerszczy i szept liści.

Nad potokiem wznosił się stary dąb, którego nisko rosnące gałęzie odbijały się w wodzie. Rzeka zabrała część brzegu, tak że nie można było dosięgnąć gałęzi, aby się nie zamoczyć, więc przystanęli.

– Siady waliśmy tu kiedyś – zauważył Dawson.

– To było nasze miejsce – potwierdziła. – Zwłaszcza wtedy, gdy pokóciłam się z rodzicami.

– Poczełaj. Kłóciłaś się wtedy z rodzicami? – Udał zdziwienie. – Chyba nie o mnie, prawda?

Dźgnęła go łokciem.

– Zabawny z ciebie facet. Ale dobra. Wdrapywaliś się na drzewo, ty obejmowałeś mnie ramieniem, a ja płakałam. Pozwalałeś mi się wyzalić, aż w końcu się uspokajałam. To były dramatyczne chwile, prawda?

– Nie zauważyłem.

Słumila śmiech.

– A pamiętasz, jak barweny wyskakiwały z wody? Czasami było ich tak wiele, jakby dawały jakieś przedstawienie.

– Na pewno dziś też będą wyskakiwać.

– Wiem, ale to już nie będzie to samo. Gdy tu przychodziliśmy, musiałam je zobaczyć. A one jakby zawsze wiedziały, że tylko coś szczególnego poprawi mi samopoczucie.

– Myślałem, że to ja poprawiałem ci samopoczucie.

– Nie, zdecydowanie barweny – zaczęła się z nim droczyć.

Odpowiedział uśmiechem.

– Przychodziliście tu z Tuckiem?

Pokręciła przecząco głową.

– Brzeg był dla niego zbyt stromy. Ale kiedyś przyszedłam sama. W każdym razie taki miałam zamiar.

– Co to ma znaczyć?

– Chciałam sprawdzić, czy poczuję się w tym miejscu tak jak kiedyś, ale w końcu tu nie doszłam. Nie żeby zobaczyła czy usłyszała coś po drodze, ale zaczęłam się bać, że ktoś może być w lesie i... poniosła mnie wyobraźnia. Uświadomiłam sobie, że jestem sama, i jeśli coś się stanie, będę zdana tylko na siebie. Więc zawróciłam, weszłam do domu i nigdy więcej już tu nie przyszedłam.

– Aż do dziś.

– Teraz nie jestem sama. – Przyjrzała się wirom w wodzie, licząc, że zobaczy wyskakującą barwę, ale nic takiego nie nastąpiło. – Aż trudno uwierzyć, że tyle czasu upłynęło... – szepnęła.

– Byliśmy tacy młodzi.

– Nie tak bardzo – sprzeciwił się cicho, ale z dziwną stanowczością.

– Byliśmy dziećmi, Dawsonie. Wtedy tak nie myśleliśmy, ale kiedy stajesz się rodzicem, zmienia ci się perspektywa. Lynn ma siedemnaście lat i nie mogę sobie wyobrazić, żeby czuła to samo co ja wtedy. Nawet nie ma jeszcze chłopaka. A gdyby wymyślała się z domu przez okno w środku nocy, pewnie zareagowałabym tak jak moi rodzice.

– Gdyby nie podobał ci się jej chłopak, chcesz powiedzieć?

– Nawet gdybym uważała, że jest dla niej stworzony. – Zwróciła ku niemu twarz. – Co myśłyśmy sobie wtedy myśleli?

– Nic – odparł. – Nie myśleliśmy. Byliśmy zakochani. Patrzyła na niego, a w jej oczach odbijał się blask księżyca.

– Przepraszam, że cię nie odwiedziłam ani nawet nie napisałam. Gdy zamknęli się w Caledonii.

– Nie masz za co przepraszać.

– Nie, wcale nie. Ale myślałam o tym... o nas. Nieustannie. – Wyciągnęła rękę i dotknęła dębu, jakby chciała przejąć od niego trochę siły. Potem ciągnęła: – Tylko za każdym razem, gdy siadałam do pisania, czułam się jak sparalizowana. Nie wiedziałam, jak zacząć. Czy napisać ci o moich zajęciach, koleżankach z pokoju? Czy zapytać, jak wygląda twoje życie? Gdy w końcu coś naskrobałam, czytałam to i zawsze miałam zastrzeżenia. Rwałałam kartkę i obiecywałam sobie, że następnego dnia zacznę od nowa. Ale następnego dnia było tak samo. Potem minęło już za dużo czasu i...

– Nie mam do ciebie żalu – zapewnił ją. – Wtedy też nie miałem.

– Bo już o mnie zapomniałeś?

– Nie – odparł. – Bo sam sobie nie mogłem spojrzeć w oczy. A świadomość, że ruszyłeś do przodu, była dla mnie bardzo ważna. Chciałem, żebyś wiodła takie życie, jakiego ja nie mógłbym ci zapewnić.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Owszem.

– Jeśli tak myślałeś, to byłeś w błędzie. Każdy chciałby zmienić coś w swoim życiu,

Dawsonie. Ja także. Moje życie nie jest wcale idealne.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Wtedy, przed laty, mogła powiedzieć mu wszystko i choć teraz jeszcze do tego nie dojrzała, czuła, że to tylko kwestia czasu. Ta świadomość ją przestraszyła, choć musiała przyznać, że Dawson obudził w niej coś, czego nie czuła od bardzo dawna.

– Czy bylibyś zły, gdybym ci powiedziała, że jeszcze nie jestem na to gotowa?

– Ależ skąd.

Posłała mu słaby uśmiech.

– Więc cieszymy się chwilą, dobrze? Tak jak kiedyś? Tu jest tak spokojnie.

Księżyc wciąż wspinał się po niebie, spowijając otoczenie eteryczną poświatą; oddalone od niego gwiazdy migotały jak małe pryzmaty. Gdy tak stali obok siebie, Dawson zaczął się zastanawiać, jak często Amanda myślała o nim w minionych latach. Rzadziej niż on o niej, tego był pewny, ale miał wrażenie, że oboje są samotni, choć w inny sposób. On był samotnikiem w rozległym krajobrazie, podczas gdy ona zagubioną twarzą w bezimiennym tłumie. Ale czy tak nie było zawsze, nawet w czasach młodości? To właśnie ich do siebie zbliżyło i jakoś znaleźli razem szczęście.

Usłyszał w ciemnościach, że Amanda wzdycha.

– Chyba powinnam już jechać.

– Wiem.

Przyjęła jego odpowiedź z ulgą, ale była jednocześnie trochę rozczarowana. Odwrócili się od strumienia i w milczeniu ruszyli ku domowi oboje pogrążeni w myślach. Dawson wyłączył światła, podczas gdy ona zamknęła drzwi frontowe, a potem powoli skierowali się do swoich samochodów. Dawson pochylił się i otworzył jej drzwi.

– Do zobaczenia jutro u prawnika – powiedział.

– O jedenastej.

W świetle księżycy jej włosy przypominały srebrną kaskadę i musiał powstrzymać impuls, żeby przeczesać je palcem.

– To był bardzo przyjemny wieczór. Dziękuję za kolację.

Gdy tak stała przed nim, nagle przysła jej do głowy szalona myśl, że mógłby ją pocałować, i po raz pierwszy od czasów college'u poczuła, że traci oddech pod wpływem czyjegoes spojrzenia. Była odwróciła się, zanim nawet podjął jakąkolwiek próbę.

– Miło było cię znowu zobaczyć, Dawsonie.

Usiadła za kierownicą i odetchnęła z ulgą, gdy zamknęła za nią drzwi wozu. Uruchomiła silnik i wrzuciła wsteczny bieg.

Machał jej, gdy cofała samochód i zawracała, a potem patrzył za nią, kiedy odjeżdżała zwirowym podjazdem. Czerwone tylne światła jej samochodu podskakiwały lekko, aż w końcu zniknęły za zakrętem.

Dawson powoli wrócił do garażu. Przekręcił włącznik światła i gdy goła żarówka się zapaliła, usiadł na stosie opon. Panował całkowity spokój, tylko pojedyncza ćma podleciała do światła. Gdy objęła się o żarówkę, Dawson uświadomił sobie, że Amanda daleko odeszła od przeszłości. Niezależnie od trosk i smutków, które ukrywała – bo tego był pewien – udało jej stworzyć życie, jakiego zawsze chciała. Miała męża, dzieci, dom w mieście i jej wspomnienia wiązały się głównie z rodziną, tak jakbyć powinno.

Gdy tak siedział w garażu Tucka, miał świadomość, że okłamuje samego siebie, jeśli sądzi, że on też ruszył naprzód. Nie ruszył. Zawsze przypuszczał, że Amanda zostawiła go daleko za sobą, ale teraz już wiedział to na pewno. Poczul, że coś w nim pęka. Pożegnał się z nią dawno temu i od tego czasu chciał wierzyć, że postąpił słusznie. Teraz jednak, w żółtym świetle opuszczonego cichego garażu, nie był już tego taki pewny. Wciąż kochał Amandę i wieczór spędzony w jej towarzystwie tego nie zmienił. Ale gdy sięgał po kluczyki, uświadomił sobie coś, czego się nie spodziewał.

Wstał i wyłączył światło, a potem ruszył do samochodu. Czuł się dziwnie zmęczony. Bo świadomość, że jego uczucia do Amandy się nie zmieniły, to było jedno; ale odkrycie, że nigdy się nie zmienią i będzie musiał jakoś stawić czoło przyszłości, to zupełnie co innego.

Zasłony w pensjonacie były cienkie i światło słoneczne obudziło Dawsona już kilka minut po świcie. Przewrócił się w łóżku na drugi bok liczył, że jeszcze zaśnie, ale w końcu uznał, iż nie ma szans. Wstał i rozciągał się przez kilka minut. Rankiem wszystko go bolało, zwłaszcza plecy i ramiona. Ciekaw był, jak długo jeszcze będzie mógł pracować na platformach; w jego ciele kumulowały się urazy fizyczne oraz zmęczenie i tracił formę z każdym rokiem.

Sięgnął po worek marynarski, wyjął strój do joggingu, włożył go na siebie i cicho zszedł po schodach. Pensjonat okazał się taki, jak przypuszczał: cztery pokoje na piętrze, kuchnia, jadalnia i salon na parterze. Właściciele, jak można się było spodziewać, upodobali sobie motywy marynistyczne: na stolikach stały miniaturowe drewniane żagłówki, na ścianach wisiały obrazy przedstawiające szkunery. Nad kominkiem znajdowało się wiekowe koło sterowe, a na drzwiach przy pięta była mapa z zaznaczonymi kanałami.

Właściciele jeszcze chyba spali. Kiedy meldował się poprzedniego wieczoru, poinformowali go, że zamówiona przez niego przesyłka z kwiaciarni znajduje się już w jego pokoju i że śniadanie jest o ósmej. Miał więc mnóstwo czasu, żeby zrobić to, co zamierzał.

Na dworze ledwie pojaśniało. Lekka mgła nad rzeką unosiła się nad ziemią niczym niskie chmury, ale niebo ponad nią było nieskazitelnie błękitne i czyste, jak okiem sięgnąć. Robiło się ciepło, co zapowiadało nadejście upałów. Kilka razy wyrzucił ramiona w górę i zaczął biec, jeszcze zanim dotarł do drogi. Po kilku minutach rozgrzał się i wyrównał krok.

Na drodze było pusto, gdy wbiegł na mały rynek Orientalu. Minął dwa sklepy z antykami, sklep żelazny i kilka agencji handlu nieruchomościami; Irvin's Diner po drugiej stronie był już czynny, a przed wejściem stało kilka samochodów. Mgła nad rzeką zaczęła się rozpraszać i gdy odetchnął głęboko, poczuł w nozdrzach zapach soli i sosen. Przy marinie minął bar kawowy z garstką gości i kilka minut później rozluźnił się na tyle, że mógł znowu przyspieszyć. Nad zatoką krążyły z krzykiem mewy, a gdy przebiegał obok starego sklepu z przynętą, zobaczył, że ludzie w dole niosą łodówki na swoje łodzie.

Minął kościół Pierwszego Zboru Baptystów, podziwiając jego okna witrażowe. Usiłował sobie przypomnieć, czy zwrócił na nie uwagę w dzieciństwie. Potem odszukał kancelarię Morgana Tannera. Znał adres i w końcu zauważył tabliczkę na małym ceglany m budynku między drogerią a sklepem numizmatycznym. Widniało na niej nazwisko jeszcze jednego prawnika, ale chyba nie pracowali razem. Zaczął się zastanawiać, dlaczego Tuck wybrał akurat Tannera. Dopóki ten do niego nie zadzwonił, nigdy o nim nie słyszał.

Opuściwszy centrum miasteczka, Dawson skręcił w główną drogę i znalazł się na przedmieściach. Biegł przed siebie bez żadnego określonego celu.

Nie spał dobrze tej nocy. Jego myśli krążyły bezustannie wokół Amandy i Bonnerów. W więzieniu, poza Amandą, myślał tylko o Marilyn Bonner. Podczas rozprawy sądowej powołano ją na świadka i w swoim zeznaniu podkreślała to, że nie tylko została pozbawiona męża,

a jej dzieci – ojca, ale także, że ma zrujnowane życie. Łamiącym się głosem wyznała, że nie wie, jak teraz utrzyma się z dziećmi i co się z nimi wszystkimi stanie. Jak się bowiem okazało, doktor Bonner nie wykupił ubezpieczenia na życie.

W końcu Marilyn Bonner straciła dom. Przeprowadziła się do rodziców, do sadu, ale jej życie było ciągłą walką o byt. Jej ojciec przeszedł już na emeryturę i cierpiał na rozedmę płuc. Matka miała cukrzycę i spłata pożyczki zaciągniętej pod hipotekę pochłaniała wszystkie pieniądze, jakie przynosił sad. Ponieważ rodzice potrzebowali stałej opieki, Marilyn nie mogła podjąć pracy na pełny etat. Jej mała pensja, nawet w połączeniu z emeryturami rodziców, ledwie wystarczała na pokrycie bieżących wydatków, a czasami i to nie. Stary dom na farmie, w którym mieszkali, powoli się rozpadał, a spłata pożyczki się opóźniała, co powodowało zaległości.

Kiedy Dawson wyszedł z więzienia, rodzina Bonnerów znalazła się w rozpaczliwej sytuacji. Dowiedział się o tym dopiero sześć miesięcy później, gdy pojechał na farmę z przeprosinami. Marilyn otworzyła mu drzwi, Dawson ledwie ją poznał; włosy jej posiwiały, a cera stała się ziemista. Ona natomiast rozpoznała go od razu i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, kazała mu się wynosić; krzyczała histerycznie, że zrujnował jej życie, że zabił jej męża, i teraz ona nie ma dość pieniędzy, żeby wynająć potrzebnych pracowników i naprawić przeciekający dach. Wołała, że bankierzy grożą jej przejęciem sadu i że zaraz wezwie policję. Nie życzyła sobie go więcej widzieć. Dawson odjechał, ale później, wieczorem, wrócił pod dom i obejrzał zaniedbaną konstrukcję; obszedł rzędy drzewek brzoskwiniowych i jabłoni. W następnym tygodniu, otrzymawszy pobory od Tucka, udał się do banku i polecił przesłać niemal całą sumę Marilyn Bonner, razem ze wszystkimi oszczędnościami, jakie udało się mu zebrać po wyjściu z więzienia, bez informacji, od kogo pieniądze pochodzą.

W następnych latach Marilyn wiodło się już lepiej. Jej rodzice zmarli, więc dom na farmie i sad przeszły na nią; choć czasami było jej trudno, zaczęła spłacać pożyczkę i przeprowadzać konieczne naprawy. Obecnie nie miała już żadnych długów na hipotecę. Kilka lat po jego wyjeździe z miasteczka wprowadziła sprzedaż domowych przetworów na zamówienia e-mailowe. Za pomocą Internetu rozkręciła interes tak, że nie musiała już martwić się o rachunki. Choć nie wyszła ponownie za mąż, od prawie szesnastu lat spotykała się z niejakim Leem, księgowym.

Jeśli chodzi o dzieci, Emily ukończyła East Carolina University i w końcu przeniosła się do Raleigh, gdzie podjęła pracę kierowniczką sklepu towarowego, prawdopodobnie przygotowując się do przejęcia w przyszłości interesu po matce. Alan mieszkał na farmie, w przyczepie, którą kupiła mu matka, i choć nie poszedł do college'u, miał stałą pracę i na zdjęciach, które otrzymywał Dawson, sprawiał wrażenie zadowolonego z życia.

Fotografie przychodziły do Luizjany raz do roku, razem z krótkimi informacjami na temat Marilyn, Emily i Alana; wynajęty przez Dawsona prywatny detektyw był sumienny, ale nie nadmiernie wścibski.

Dawson czasami miał poczucie winy, że każe obserwować Bonnerów, ale musiał wiedzieć, czy w jakikolwiek sposób im pomógł. Tylko tego pragnął od czasu tamtego wypadku i to było powodem, dla którego od przeszło dwudziestu lat co miesiąc wysyłał im czeki, prawie zawsze za pośrednictwem nieznanych zagranicznych banków. Był przecież odpowiedzialny za największą stratę w życiu tej rodziny i gdy teraz biegł cichymi uliczkami, wiedział, że robi, co tylko będzie mógł, żeby odkupić swoją winę.



Abee Cole czuł, że od gorączki robi mu się niedobrze, i przeszedł go dreszcze, mimo że było ciepło. Przed dwoma dniami wziął kij baseballowy, żeby dołożyć facetowi, który go sprowokował, ale okazało się, że tamten miał nóż do kartonu. I to parszywy, który zostawił na brzuchu Abeego paskudnie wyglądającą ziejącą ranę. Tego rana zauważył, że sączy się z niej zielona ropa, cuchnąca jak kanał ściekowy, chociaż brał leki, które podobno miały pomóc. Jeśli gorączka mu szybko nie przejdzie, zamierzał stłuc kijem baseballowym swojego kuzyna na Calvina, który zaklinał się, że antybiotyki rąbnięte przez niego od weterynarza na pewno podziałają.

W tej chwili jednak zobaczył Dawsona biegnącego po drugiej stronie ulicy i zaczął się zastanawiać, co z tym fantem zrobić.

Ted znajdował się w sklepie spożywczym tuż za nim i Abee był ciekaw, czy on także zauważył kuzyna. Pewnie nie, bo inaczej wybiegłby ze sklepu jak rozwścieczony niedźwiedź. Od momentu gdy usłyszał, że Tuck odwalił kłotę, tylko czekał na przyjazd Dawsona. I prawdopodobnie w tym czasie ostrzył noże, ładował broń, sprawdzał granaty i bazooki, czy jakie tam cholerstwo trzymał w tej dziurze, w której mieszkął z Ellą, swoją flamą.

Ted miał nie po kolei w głowie. Od zawsze. Wściekły pies i tyle. Dziewięć lat więzienia też nie nauczyły go panować nad sobą. W ostatnich kilku latach doszło do tego, że już nikt nie mógł utrzymać go w ryzach, choć, jak Abee często dochodził do wniosku, miało to swoje dobre strony. Brat był skutecznym egzekutorem i dlatego wszyscy na farmie byli mu posłuszni. Ostatnio budził strach nawet członków najbliższej rodziny i Abee był z tego zadowolony. Krewniacy nie wścibiali nosa w nie swoje sprawy i robili, co im kazał. Choć Abee nie przepadał za bratem, uważał go za bardzo użytecznego.

Ale teraz, gdy w miasteczku pojawił się Dawson, trudno było przewidzieć, co Tedowi strzeli do łba. Abee się spodziewał, że Dawson przyjedzie na pogrzeb Tucka, ale miał nadzieję, że kuzyn będzie na tyle mądry, żeby złożyć nieboszczykowi wyrazy uszanowania i ulotnić się, zanim kłólkowiek się dowie o jego powrocie. Tak postąpiłby każdy, kto miałby choć krzywny rozum, a Dawson był na tyle bystry – tego Abee był pewien – aby się domyślać, że Ted ma ochotę go zabić, gdy tylko patrzy w lustro i widzi swój przetrącony nos.

Abee miał gdzieś, co się stanie z Dawsonem. Ale nie chciał, żeby Ted niepotrzebnie narobił wszystkim kłopotu. Już i tak trudno było prowadzić rodzinny interes; federalni, gliny i szeryf stale interesowali się nie tym, co trzeba. Nie tak jak za dawnych czasów, kiedy przedstawiciele prawa bali się rodziny. Teraz gliniarze mieli do dyspozycji helikoptery, psy gończe i urzędnika na podczerwień, a do tego jeszcze swoich ludzi. Abee musiał myśleć o takich sprawach i przewidywać.

Chodziło o to, że Dawson był o wiele sprytniejszy niż te przygłupy, z którymi zwykle miał do czynienia Ted. Cokolwiekby o nim mówić, zrobił miazgę z Teda i swojego tatuśka, mimo że obaj byli uzbrojeni po zęby, a to był nie lada wyczyn. Nie bał się żadnego z kuzynów i na pewno był przygotowany na spotkanie z nimi. Potrafił być ostry, gdy sytuacja tego wymagała, i dlatego lepiej by było, gdyby Ted wziął na wstrzymanie. Ale oczywiście nie weźmie, bo nie myśli.

A jeszcze tego brakowało, żeby Ted poszedł do paki. Abee go potrzebował, zwłaszcza że połowa rodziny była na głodzie i ciągle wyczyniała jakieś głupoty. Jeśli nie dopilnuje Teda, ten dobierze się do Dawsona i znowu skończy przed sądem. Na tę myśl Abeemu skręcił się żołądek i znowu zebrało mu się na mdłości.

Wychylił się i wyrzygał na asfalt. Otarł usta wierzchem dłoni, gdy Dawson w końcu zniknął za

rogiem. Ted wciąż tkwił w sklepie. Abee odetchnął z ulgą i postanowił nie mówić bratu, co widział. Zadrżał ponownie. Paliło go w brzuchu i czuł się okropnie. Kto by się spodziewał, że facet będzie miał przy sobie majcher?

Nie żeby Abee chciał drania zabić – zamierzał go tylko ostrzec, jego i wszystkich innych, którzy mieli jakieś plany wobec Candy. Następnym razem nie będzie jednak ryzykować. Taki już był; gdy ktoś zalał mu za skórę, nie odpuszczał. Ale zachował ostrożność – zawsze był ostrożny, gdy w grę wchodził konflikt z prawem – tyle że wszyscy się przekonają, iż lepiej trzymać łapy z dala od jego dziewczyny. Nie gapić się na nią ani z nią nie gadać, nie mówiąc już o zaciągnięciu jej do łóżka. Pewnie ona sama nie będzie zachwycona, w końcu jednak zrozumie, że teraz należy tylko do niego. Nie chciałby zdefasonować jej tej ładnej buźki, żeby to do niej dotarło, ale jeśli będzie trzeba, trudno.

\*

Candy nie bardzo wiedziała, co ma zrobić z Abeem Cole'em. Owszem, umówili się kilka razy i pewnie teraz mu się wydawało, że ma do niej jakieś prawa. Był facetem, a ona już dawno ich wszystkich rozgryzła, nawet takie uparte lby jak Abee. Może miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, ale była na swoim od siedemnastego roku życia i nauczyła się, że dopóki nosi długie rozpuszczone blond włosy i patrzy na facetów w ten sposób, może wodzić ich na pasku. Wiedziała, jak sprawić, żeby facet czuł się fascynujący, nawet największy tępak i przez ostatnie siedem lat to działało. Dzięki pewnemu starszkowi z Wilmington miała już mustanga z opuszczanym dachem, a od słodziutkiego Chińczyka z Charlestonu dostała mały posążek Buddy, podobno ze szczerzego złota, który postawiła w oknie. Gdyby tylko powiedziała Abeemu, że kończy jej się forsa, już on by o nią zadbał i poczuł się jak król.

Hm, może to nie był wcale taki zły pomysł. Nie pochodziła stąd i kiedy przed kilkoma miesiącami przyjechała do Orientalu, nie miała pojęcia, kim są tu Cole'owie. Im więcej się o nich dowiadywała, tym większe miała wątpliwości, czy powinna pozwolić zbliżyć się Abeemu do siebie. Nie dlatego, że był kryminalistą. W Atlancie przez kilka miesięcy chodziła z dealerem narkotyków, od którego dostała prawie dwadzieścia tysięcy dolców i który był tak samo zadowolony z tego układu jak ona. Nie, chodziło raczej o Teda, przy którym nie czuła się komfortowo.

Abee często prowadził się z bratem i szczerze mówiąc, Ted budził w niej strach. Nie tylko ze względu na dziobatą twarz i żółte zęby, ale raczej z powodu aury, która go otaczała. Gdy się do niej wyszczerzał, była w tym jakaś małpia złośliwość, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma ochotę ją udusić, czy pocałować, ale jedno i drugie sprawiłoby mu jednakową frajdę.

Na widok Teda od samego początku dostawała ciarek choć musiała przyznać, że im lepiej poznawała Abeego, tym bardziej się obawiała, że obaj są ulepieni z tej samej gliny. Abee ostatnio stawał się coraz bardziej... zaborczy, i to zaczynało ją niepokoić. Chyba przyszła pora zwinąć żagle. Zmyć się na północ, do Wirginii, albo na południe, na Florydę, wszystko jedno. Wyjechałaby już jutro, gdyby miała forszę na podróż. Pieniądze nigdy jej się nie trzymały, ale pomyślała, że gdyby w nadchodzący weekend popracowała nad klientami w barze i dobrze rozegrała partię, w niedzielę miałyby już dość gotówki, żeby dać stąd nogę, zanim Abee by się zorientował, że zniknęła.

Samochód dostawczy wypadł za środkową linię i zjechał na pobocze, a potem wrócił na swój pas, ponieważ Alan Bonner usiłował wydobyć papierosa z paczki, stukając nią o udo, i jednocześnie starał się nie wylać kawy z kubka, który trzymał między nogami. Z nastawionego na cały regulator radia leciała piosenka country, coś o facecie, który stracił psa, chciał psa albo zamierzał zjeść psa, ale tekst przecież był mniej ważny niż rytm, a ten utwór miał rytm jak trzeba. A w dodatku był piątek, co oznaczało, że do długiego wspaniałego weekendu pozostało już tylko siedem godzin pracy, i Alan miał z tego powodu świetny humor.

– Może by to przyciszyć? – zagadnął Buster.

Buster Tibson był nowym praktykantem w firmie – dlatego w ogóle znalazł się w samochodzie – i przez cały tydzień albo narzekał, albo zadawał głupie pytania. Każdego by to doprowadziło do szału.

– Dlaczego? Nie podoba ci się ta piosenka?

– W regulaminie piszą, że słuchanie radia rozprasza kierowcę. Ron szczególnie to podkreślał, gdy mnie przyjmował.

To była kolejna wkurzająca rzecz. Buster należał do tych, którzy przestrzegają przepisów. Pewnie dlatego Ron go zatrudnił.

Alan wydobył wreszcie papierosa, wetknął go między zęby i zaczął szukać zapalniczki. Ta z kolei tkwiła głęboko w kieszeni, więc gdy ją wyciągał, musiał uważać, żeby nie wylać kawy.

– Nie przejmuj się tym. Jest piątek, pamiętasz?

Buster chyba nie był zadowolony z tej odpowiedzi i kiedy Alan na niego zerknął, zauważył, że facet ma na sobie świeżo wyprasowaną koszulę. I na pewno się postarał, żeby Ron to zauważył. Pewnie przyszedł do pracy z kartką do pisania i długopisem, żeby notować wszystko, co Ron mu mówi, i podziwiać jego mądrość.

No i to jego imię. Jak można nazwać dziecko Buster?

Samochód ponownie zjechał na pobocze, gdy Alan wreszcie wydobył zapalniczkę.

– Hej, co to, do licha, za imię, Buster? – zagadnął.

– Rodzinne. Od strony mamy. – Buster zmarszczył czoło. – Ile mamy dziś dostaw?

Przez cały tydzień zadawał to samo pytanie i Alan zachodził w głowę, po co mu konkretna liczba. Dostarczali napoje bezalkoholowe, orzeszki, chipsy i suszoną wołowinę na stacje benzynowe i do sklepów spożywczych, ale cały wic polegał na tym, żeby za bardzo się nie spieszyć, bo inaczej Ron dowali im następne zlecenia. Alan przekonał się o tym w ostatnim roku i nie zamierzał popełniać tego samego błędu. Już i tak objeżdżał całe Pamlico, co oznaczało, że musiał kursować tam i z powrotem najnudniejszymi drogami w historii ludzkości. Chociaż była to najlepsza robota, jaką kiedykolwiek miał. Znacznie lepsza niż praca na budowie albo w ogrodach, mycie samochodów czy co tam jeszcze robił od ukończenia szkoły średniej. Przez okno wpadało świeże powietrze, mógł słuchać muzyki tak głośno, jak chciał, i żaden szef nie patrzył mu na ręce. Płaca też była nie najgorsza.

Przytrzymując kierownicę łokciami, Alan osłonił papierosa złożonymi dłońmi i zapalił go, a potem wydmuchnął dym przez otwarte okno.

– Wystarczająco dużo. Będziemy mieć szczęście, jeśli zdąży my wszystko obskoczyć.

Buster odwrócił się ku oknu po stronie pasażera.

– To może powinniśmy robić krótsze przerwy na lunch.

Ten gówniarz był naprawdę wkurzający. Tak, gówniarz, choć technicznie rzecz biorąc, Alan był od niego młodszy. Ale jeszcze tego brakowało, aby smarkacz doniósł na niego Ronowi.

– Nie chodzi o sam lunch – powiedział, przybierając poważny ton. – Chodzi o obsługę. Nie możesz tak po prostu wejść i wyjść. Musisz pogadać z ludźmi. Sprawić, żeby klient był zadowolony. To element naszej pracy. Dlatego zawsze staram się postępować zgodnie z regulaminem.

– I palisz papierosy? Wiesz, że nie powinieneś palić w vanie.

– Każdy ma jakąś słabość.

– Ani nastawiać radia na ful.

Ho, ho. Gówniarz najwyraźniej sporządza listę. Alan musiał szybko coś wymyślić.

– To ze względu na ciebie, kapujesz? Pracujesz u nas już tydzień i świetnie ci idzie. Trzeba to uczcić. I kiedy skończymy na dzisiaj, pochwalę cię przed Ronem.

Wzmianka o Ronie wystarczyła, że Buster zamilił na kilka minut, co nie stanowiło wielkiego osiągnięcia, ale po tygodniu spędzonym z facetem w jednym wozie każda chwila ciszy była cenna. Jeszcze tylko musi wytrzymać do końca dnia, a w następnym tygodniu będzie miał wana tylko dla siebie. Dzięki Bogu.

A wieczorem? Trzeba dobrze zacząć weekend, czyli zrobić wszystko, żeby zapomnieć o Busterze. Chciał skoczyć do Tidewater, knajpy pod miasteczkiem, jedynego miejsca, w którym toczyło się jakieś nocne życie; zamierzał napić się tam piwa, zagrać w bilard, a jeśli szczęście mu dopisze, może nawet pogadać z tą ładniutką barmanką. Nosila obcisłe dzinsy, które opinały ją wszędzie tam, gdzie trzeba, i pochylała się w skąpej bluzeczce, gdy podawała mu piwo, przez co smakowało jeszcze lepiej. Takie miał plany na sobotni i niedzielny wieczór, jeśli tylko matka umówi się ze swoim wieloletnim przyjacielem Leem, a nie wpadnie do przyczepy jak zeszej nocy.

Nie miał pojęcia, dlaczego matka nie wyjdzie za Lea; wtedy na pewno miałyby lepsze rzeczy do roboty niż pilnowanie dorosłego syna. Wolałyby, żeby nie liczyła na to, że Alan dotrzyma jej towarzystwa, bo nie chciał, aby się zawiodła. Co z tego, że w poniedziałek nie będzie się do niczego nadawał? Buster znajdzie się we własnym samochodzie dostawczym i jeśli to nie jest powód do świętowania, to co miałoby nim być?

\*

Marilyn Bonner martwiła się o Alana.

Nie cały czas, oczywiście, i starała się nad tym panować. Był już przecież dorosły i miał prawo podejmować własne decyzje. Ale była jego matką i wiedziała, w czym leży jego problem: otóż zawsze wybierała łatwiejszą drogę, prowadzącą donikąd, zamiast trudniejszej, która by coś zmieniła na lepsze. Niepokoilo ją, że syn podchodzi do życia bardziej jak nastolatek niż dwudziestosiedmioletni mężczyzna. Poprzedniego wieczoru, gdy zajrzała do jego przyczepy, grał na komputerze i od razu zapytała, czy też chciałaby spróbować. Gdy tak stała w progu, zdumiała się wbrew sobie, jak mogła wychować syna, który nic o niej nie wie.

Wiedziała jednak że mogło być gorzej. Znacznie gorzej. Najważniejsze, że Alan wyszedł na prostą. Był dobry z natury, miał pracę i nie pakował się w kłopoty, a to już niezłe w tych czasach

i w jego wieku. Mówcie, co chcecie, ale przecież czytała prasę i słyszała, o czym się mówi w miasteczku. Wiedziała, że wielu kolegów Alana, młodych mężczyzn, których znała od małego, nawet tych z lepszych rodzin, brało narkotyki albo piło za dużo i zdarzało się, że kończyli w więzieniu. Nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, gdzie mieszkali. Zbyt wielu ludzi gloryfikowało amerykańską prowincję i małe miasteczka, które w ich oczach upodabniały się do pejzaży Normana Rockwella, a przecież rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Z wyjątkiem posad lekarzy i prawników albo tych, którzy prowadzili własne firmy, w Orientale nie było dobrze płatnych stanowisk pracy, tak samo zresztą jak w innych miejscowościach, jeśli o to chodzi. I choć pod pewnymi względami było to doskonałe miejsce do wychowywania dzieci, to młodzi ludzie nie mieli tu przyszłości. W małych miasteczkach nie było – i nie mogło być – pracy dla kierownictwa średniego szczebla, w weekendy człowiek nie miał gdzie pójść ani nawet się z kim spotkać. Dlaczego Alan mimo wszystko chciał tu zostać, to przekraczało jej pojęcie, ale dopóki był zadowolony i jakoś sobie radził na tym świecie, zamierzała go wspierać, nawet jeśli to oznaczało, że musiała kupić mu na start przy czepę kempingową rzut kamieniem od domu.

Nie, nie miała żadnych złudzeń co do Orientale. Pod tym względem nie była podobna do innych dobrze urodzonych mieszkańców miasteczka; straciwszy męża jako młoda żona i matka dwojga małych dzieci, zaczęła patrzeć na życie inaczej. To, że pochodziła z Bennettów i studiowała na UNC, nie powstrzymało bankierów przed próbą zajęcia sadu. Nazwisko i koneksje nie pomogły jej także w utrzymaniu walczącej z biedą rodziny. Nawet dyplom z ekonomii, który uzyskała na UNC, nie dawał przepustki do lepszego świata.

W końcu wszystko sprowadzało się do pieniędzy. Do tego, co kto robi, a nie kim jest – dlatego nie trawiła już panującego w Orientale porządku. Wolą zatrudnić ciężko pracującą imigrantkę niż dziewczynę z towarzystwa po UNC czy Duke, która by uważała, że coś jej się od świata należy. Ludzie pokroju Evelyn Collier czy Eugenii Wilcox pewnie uznaliby taką opinię za bluźnierczą, ale ona od dawna widziała we wszy stkich im podobnych dinozaury trzymające się kurczowo świata, który już odchodził w przeszłość. Na ostatnim zebraniu rady miejskiej nawet to powiedziała. Kiedyś wywołałoby to oburzenie, ale Marilyn była jedną z nielicznych bizneswomen w miasteczku, której dobrze się wiodło, i nikt nie mógł zakwestionować jej zdania – łącznie z Evelyn Collier i Eugenią Wilcox.

Od śmierci Davida bardzo ceniła sobie swoją ciężko zdobytą niezależność. Nauczyła się wierzyć intuicji i musiała przyznać, że choć pewnie nikt by się tego po niej spodziewał, podobało jej się to, że może sterować własnym życiem. Pewnie właśnie dlatego odrzucała ciągle ponawiane przez Lea propozycje małżeństwa. Jako księgowy w Morehead City był bystry, dobrze sytuowany i zabawny. A co najważniejsze, szanował ją i dzieci zawsze za nim przepadały. Emily i Alan nie mogli zrozumieć, dlaczego wciąż mówiła „nie”.

Leo jednak wiedział, że nie usłyszy od niej „tak”, i to mu nie przeszkadzało, bo prawdę mówiąc, obojgu im było wygodnie w takim układzie. Nazajutrz wieczorem pewnie obejrzą razem film, a w niedzielę pójdzie do kościoła, a potem wybierze się na cmentarz, na grób Davida, jak to miała w zwyczaju co tydzień odprawić ćwierć wieku. Później spotka się z Leem na obiedzie. Kochała go na swój sposób. Może nie była to miłość, którą inni by rozumieli, ale co z tego. Im obojgu wystarczało to, co mieli.

Po drugiej stronie miasteczka Amanda piła kawę przy stole kuchennym i usiłowała ignorować wymowne milczenie matki. Minionego wieczoru, gdy wreszcie przyjechała do domu, matka

czekała na nią w salonie i zasypała ją pytaniami, zanim Amanda zdążyła usiąść.

Gdzie byłaś? Dlaczego przyjechałaś tak późno? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Zadzwoniłam – przypomniała jej Amanda i zamiast wdawać się w pełną wyrzutów rozmowę, do jakiej najwyraźniej dążyła matka, wymamrotała, że boli ją głowa i musi się położyć do łóżka w swoim pokoju. Jeśli teraz milczenie matki miało coś oznaczać, to właśnie to, że ma do córki pretensje. Oprócz krótkiego „dzień dobry”, gdy Amanda zjawiła się w kuchni, nie powiedziała nic więcej. Podeszła tylko do toastera i wzdychając demonstracyjnie, włożyła do niego pieczywo. Gdy się opiekało, westchnęła ponownie, tym razem głośniej.

Rozumiem, chciała powiedzieć Amanda. Jesteś urażona. Może jednak przejdiesz nad tym do porządku? Ale zamiast tego piła kawę, postanawiając, że nie da się sprowokować do kłótni, choćby matka nacisnęła nie wiadomo ile guzików.

Usłyszała, że tost wyskoczył. Matka otworzyła szufladę i wyjęła nóż, po czym zamknęła ją z trzaskiem. Zaczęła smarować grzanek masłem.

– Czujesz się już lepiej? – zapytała w końcu, ale się nie odwróciła.

– Tak dziękuję.

– Powiesz mi, co się dzieje? Albo gdzie byłaś?

– Już mówiłam, późno wyjechałam. – Amanda starała się mówić spokojnym głosem.

– Dzwoniłam do ciebie, ale wciąż włączała się poczta głosowa.

– Bateria mi padła. – To kłamstwo wymyśliła minionej nocy podczas jazdy do domu rodziców. Spodziewała się tych wszystkich pytań.

Matka wzięła jej talerz.

– Dlatego nie zadzwoniłaś do Franka?

– Rozmawiałam z nim wczoraj, godzinę po tym, jak wrócił z pracy do domu. – Wzięła poranną gazetę i z wystudiowaną nonszalancją przebiegła wzrokiem po nagłówkach.

– Tak? Bo dzwonił tutaj.

– No i?

– Był zdziwiony, że jeszcze cię nie ma – prychnęła matka. – I powiedział, że z tego, co wie, wyjechałaś około drugiej.

– Musiałam jeszcze coś załatwić – odparła. Zauważyła, że kłamstwa przychodzą jej bez trudu, ale przecież miała praktykę.

– Wydawało mi się, że był przybity.

Nie, tylko zalany, pomyślała Amanda. Nie przypuszczała, żeby potem cokolwiek pamiętał. Wstała od stołu i dołała sobie kawy.

– Zadzwonię do niego później.

Matka usiadła.

– Byłam zaproszona na brydża zeszłego wieczoru.

Więc o to chodzi, domyśliła się Amanda. Przy najmniej częściowo. Matka była uzależniona od brydża, grała od trzydziestu lat w tym samym gronie.

– Powinnaś była pójść.

– Nie mogłam, bo miałaś przyjechać. Myślałam, że zjemy razem kolację. – Matka wyprostowała się za stołem. – Eugenia Wilcox musiała mnie zastąpić.

Eugenia Wilcox mieszkała przy tej samej ulicy, w innej starej rezydencji, równie okazałej jak Evelyn. Choć podobno matka Amandy i Eugenia były przyjaciółkami – znały się przez całe

życie – zawsze ze sobą rywalizowały dosłownie o wszystko, począwszy od tego, która miała ładniejszy dom i ogród, a skończywszy na tym, która piekła lepsze ciasto.

– Przepraszam, mamó - powiedziała Amanda i ponownie usiadła. – Powinnam była cię uprzedzić.

– Eugenia nie ma pojęcia, jak się licytuje, i zepsuła całą partię. Martha Ann zadzwoniła dziś rano i bardzo się na nią skarżyła. Ale powiedziałam jej, że przyjechałaś, i... od słowa do słowa... zaprosiła nas do siebie dziś wieczorem.

Amanda ściągnęła brwi i odstawiła kubek z kawą.

– Chyba nie przyjąłś tego zaproszenia?

– Ależ oczywiście, że tak.

Oczom Amandy ukazał się obraz Dawsona.

– Nie wiem, czy będę miała czas – zaczęła improwizować. – Wieczorem może być czuwanie przy zwłokach...

– Może być? Co to znaczy? Albo jest czuwanie, albo go nie ma.

– Po prostu nie jestem pewna. Prawnik, który do mnie zadzwonił, nie mówił nic o uroczystościach pogrzebowych.

– To dość dziwne, nie sądzisz? Że nic konkretnego ci nie powiedział...

Może, przyznała w myślach Amanda. Ale nie dziwniejsze niż to, że Tuck wszystko tak zaaranżował, żebyśmy z Dawsonem zeszłego wieczoru zjedli u niego kolację.

– Na pewno tylko wypełnia życzenie Tuła.

Na wzmiankę o Tucku matka przesunęła palcami po naszyjniku z pereł, który miała na szyi. Nigdy nie wychodziła z sypialni bez makijażu ani biżuterii, przynajmniej Amanda nigdy jej bez nich nie widziała, i tego dnia było tak samo. Evelyn Collier ucieleśniała ducha starego Południa i tak miało pozostać aż do jej śmierci.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego koniecznie musiałaś przyjechać. Przecież tak naprawdę nie znałaś tego człowieka.

– Znałam, mamó.

– Dawno temu. Gdybyś jeszcze mieszkała w miasteczku, tobym rozumiała. Ale nie było powodu, żebyś specjalnie tu przyjeżdżała.

– Chciałam go pożegnać.

– Nie miał najlepszej reputacji, jak wiesz. Wielu ludzi uważało go za wariata. Co mam powiedzieć znajomym, gdy zapytają, po co przyjechałaś?

– A musisz cokolwiek mówić?

– Będą pytać, dlaczego zjawiałaś się w miasteczku – wyjaśniła matka.

– Dlaczego mieliby o to pytać?

– Bo się tobą interesują.

Amanda pochwyliła w tonie matki coś, czego nie umiała określić. Zastanawiając się nad tym, dołała sobie śmietanki do kawy.

– Nie wiedziałam, że jestem takim ciekawym tematem do rozmów – zauważyła.

– To wcale nie takie dziwne, jeśli się dobrze zastanowić. Już rzadko kiedy przyjeżdżasz z Frankiem albo z dziećmi. Nic nie poradzę, że ludziom wydaje się to podejrzane.

– Już o tym rozmawialiśmy – odparła Amanda, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Frank pracuje, a dzieci chodzą do szkoły, co nie znaczy, że nie mogą przyjechać tu z wizytą. Córki czasami tak

robią. Odwiedzają matki.

– Czasami jednak wcale matek nie widują. To właśnie ludzi tak zastanawia, jeśli chcesz znać prawdę.

– O czym ty mówisz? – Amanda spojrzała na nią spod zmrużonych powiek.

– Mówię o tym, że przyjeżdżasz do Orientalu, gdy mnie tu nie ma. I mieszkasz w moim domu, nawet mnie o tym nie informując. – Nie starała się już kryć swojego gniewu.

– Nie miałaś pojęcia, że o tym wiedziałam, prawda?

W zeszłym roku przyjechałaś, gdy popłynęłam w rejs. A jeszcze rok wcześniej, kiedy wybrałam się w odwiedziny do siostry, do Charlestonu. To małe miasteczko, Amando. Ludzie mają oczy. Moje przyjaciółki cię widziały. Nie rozumiem tylko, jak mogłaś przypuszczać, że się o niczym nie dowiem.

– Mamo...

– Przestań. – Matka uniosła wypięlegnowaną dłoń. – Dobrze wiem, po co przyjeżdżałaś. Może jestem stara, ale to nie znaczy, że mam demencję. Bo z jakiego powodu przyjechałaś teraz na pogrzeb? To jasne: przyjeżdżałaś, żeby się z nim spotkać. I to do niego jeździłaś, gdy wybierałaś się na zakupy, mam rację? I gdy mówiłaś, że umówiłaś się z koleżanką na plaży? Okłamywałaś mnie cały czas.

Amanda spuściła wzrok i nic nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. W ciszy usłyszała westchnienie. Kiedy matka ponownie się odezwała, w jej głosie nie było już wrogości.

– Wiesz co? Ja też kłamałam, w twoim imieniu, Amando, i już mnie to zmęczyło. Ale jestem twoją matką i możesz ze mną porozmawiać.

– Dobrze, mamo. – Usłyszała w swoim głosie nadąsany ton nastolatki i poczuła do siebie niechęć.

– Czy z dziećmi dzieje się coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Nie. Dzieci radzą sobie świetnie.

– Więc chodzi o Franka?

Amanda obróciła kubekuszką w drugą stronę.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zapytała matka.

– Nie – odparła Amanda bezbarwnie.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nie – powtórzyła.

– Co się z tobą dzieje, Amando?

Z jakiegoś powodu, słysząc to pytanie, pomyślała o Dawsonie. Na moment znowu znalazła się w kuchni Tucla i poczuła na sobie spojrzenie Dawsona. I nagle zrozumiała, że nie pragnie niczego innego, jak tylko znowu się z nim spotkać, niezależnie od konsekwencji.

– Nie wiem – mruknęła w końcu. – Chciałabym wiedzieć, ale nie mam pojęcia.

\*

Gdy Amanda poszła pod prysznic, Evelyn Collier stanęła na tylnym ganku i zapatrzyła się w delikatną mgłę, która unosiła się nad rzeką. Była to jej ulubiona pora dnia, podobnie zresztą jak kiedyś, w dzieciństwie. Wtedy jednak nie mieszkała nad rzeką; mieszkała niedaleko młyna należącego do jej ojca, ale w weekendy przychodziła na most i czasami siedziała na nim



godzinami, patrząc, jak słońce stopniowo rozprasza mgłę. Harvey wiedział, że zawsze chciała mieszkać nad rzeką, i dlatego kupił ten dom kilka miesięcy po tym, jak się pobrali. Oczywiście nabył go od swojego ojca za bezcen – Collierowie mieli wtedy mnóstwo ziemi – więc nie stanowiło to dla niego szczególnego wysiłku finansowego, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że zrobił to dla niej, i teraz żałowała, że nie ma go przy sobie, choćby po to, żeby porozmawiać z nim o Amandzie. Co się z nią ostatnio działo, do licha? Ale Amanda zawsze była zagadką, nawet jako dziewczyna. Miała własne zdanie i od czasu gdy nauczyła się chodzić, zawsze była uparta jak osioł. Jeśli Evelyn każała jej trzymać się blisko, Amanda oddalała się przy pierwszej okazji; jeśli poleciła jej ładnie się ubrać, ta wkładała na siebie coś, co wyciągnęła z samego dna szafy. Kiedy jednak była mała, dawało się nią jakoś kierować. W końcu wywodziła się z rodziny Collierów i ludzie mieli wobec niej konkretne oczekiwania. Ale potem, gdy weszła w okres nastoletni? Jakby diabeł w nią wstąpił. Najpierw ten Dawson Cole – Cole! – a potem kłamstwa, wymykanie się z domu, niekończące się fupy i co raz to nowe odżywki, gdy Evelyn próbowała przemówić jej do rozumu. Od stresu posiwały jej włosy i gdyby nie bourbon, nie wie, jak przeszłaby przez te okropne lata – choć oczywiście Amanda nie miała o tym pojęcia.

Gdy wreszcie udało im się odciągnąć ją od tego Cole'a i poszła do college'u, sytuacja jakby się poprawiła. Przyszły lata spokoju i stabilizacji, pojawiły się wnuki – wielka radość oczywiście. Przykra sprawa z tą malutką, była jeszcze szkrabem, uroczym i ślicznym, ale Pan Bóg nigdy nie obiecywał, że życie upłynie bez cierpienia. Cóż, Evelyn na przykład poroniła rok przed urodzeniem Amandy. Cieszyła się jednak, że Amanda w końcu się jakoś pozbierała – Bóg wie, że bliscy bardzo jej potrzebowali – i nawet zaangażowała się w działalność charytatywną. Evelyn wprawdzie wybrałaby coś mniej męczącego, choćby Junior League, ale szpital przy Duke University to porządna instytucja i przynajmniej mogła opowiadać przyjaciółkom o organizowanych przez córkę lunchach na cele dobroczynne czy nawet o jej ohotniczej pracy.

Ale ostatnio Amanda zeszała z wytyczonej drogi – i jeszcze kłamała jak nastolatka! Och, nigdy nie były ze sobą szczególnie blisko i Evelyn już dawno pogodziła się z tym, że nie jest im to pisane. To mit, że matka i córka są najlepszymi przyjaciółkami, zresztą przyjaźń jest mniej ważna niż więzy rodzinne. Przyjaciele przychodzą i odchodzą, a rodzina zawsze zostaje. Nie, nie zwierzały się sobie, ale zwierzenia to często zwykłe wylewanie żalu, czyli strata czasu i energii. Życie nie jest usłane różami. Takie było i zawsze będzie, nie inne, więc po co się żalić? Albo wprowadza się w nim jakieś zmiany, albo nie, a potem ponosi się konsekwencje.

Nie trzeba było być jasnowiedzem, aby się domyślić, że Amanda i Frank mają kłopoty. Evelyn w ostatnich latach prawie nie widywała zięcia, ponieważ Amanda zwykle przyjeżdżała do niej sama. I rzeczywiście, z tego, co pamiętała, Frank trochę za bardzo lubił piwo. Ale przecież ojciec Amandy też nie stronił od bourbona. Małżeństwo nie jest nieustającym pasmem szczęścia. Były takie lata, że prawie nie mogła patrzeć na Harveya, nawet miała ochotę od niego odejść. Gdyby Amanda ją o to zapytała, przyznałaby się do tego szczerze, ale od razu przypomniałaby córce, że medal ma dwie strony. Młode pokolenie nie rozumiało, że małżeństwo jest jak ogród i że trzeba je pielęgnować, co oznacza, że zarówno Frank, jak i Amanda powinni wyciągnąć węże i zabrać się do podlewania, jeśli chcą, żeby było lepiej. Ale Amanda nie zapytała.

Wielka szkoda, bo Evelyn mogłaby jej powiedzieć, że swoimi kłamstwami tylko komplikuje sprawę. Jeśli okłamywała matkę, na pewno nie mówiła też prawdy Frankowi – to logiczne. A gdy człowiek zaczyna kłamać, nie może przestać. Evelyn nie miała pewności, ale sądziła, że Amanda

jest zagubiona, a ludzie popełniają błędy, gdy są zagubieni. Z czego wynikało, że w ten weekend powinna być wyjątkowo czujna, czy córce się to podobało, czy nie.

\*

Dawson był w miasteczku.

Ted Cole stał na schodach przed domem, palił papierosa i gapił się w mięsne drzewa, jak zawsze je nazywał, gdy chłopcy wracali z polowania. Na uginających się gałęziach wisiały dwa martwe jelenie, odarte ze skóry i wypatroszone, a wokół nich latały muchy, podczas gdy na ziemi zbierała się krew.

Po wpływem porannego wiatru gnijące zwłoki poruszyły się lekko i Ted głęboko zaciągnął się dymem papierosa. Widział Dawsona i wiedział, że Abee też go zauważył. Ale potem się tego wyparł, co wkurzyło Teda niemal tak samo jak bezczelność Dawsona, który śmiał się tu pojawić.

Miał już powoli dość brata. Miał dość słuchania jego poleceń, zastanawiania się, dokąd idzie cała rodzinna forsą. Zbliżał się czas, kiedy Abee w końcu przegnie. Drogi braciszek ostatnio nie miał szczęścia. Ten gość z nożem o mało go nie zabił, co jeszcze kilka lat temu byłoby nie do pomyślenia. Nie doszłoby do tego, gdyby Ted przy tym był, ale Abee nie powiedział mu, co kuje, a to stanowiło kolejny znak, że staje się nieostrożny. To wszystko przez tą nową lalę – Candy, Cammie czy jak się tam, do cholery, nazywała. No, buźkę miała ładną, ciało też chętnie by obejrzał sobie z bliska, ale była babą, a zasady mówiły jasno: jeśli chcesz czegoś od baby, to bierz, a jeśli jej się to nie spodoba albo będzie robić miny, pokaż jej, gdzie jest jej miejsce. Po kilku takich lekcjach wszystkie się nauczą. Ale Abee jakby o tym zapomniał.

I okłamał go, bujał w żywe oczy. Ted rzucił peta na ziemię, myśląc o tym, że wkrótce on i brat będą musieli się porachować, na bank. Ale są sprawy ważne i ważniejsze: najpierw musiał rozprawić się z Dawsonem. Czekał na tę chwilę od lat. Przez Dawsona miał przetrącony nos i musieli mu drutować szczękę; to przez niego tamten facet zaczął się z niego śmiać, czego Ted nie mógł puścić płazem i w rezultacie przesiedział dziewięć lat w pudle. Nikomu, kto by próbował z nim pogrywać, nie ujdzie to na sucho. Nikomu. Ani Dawsonowi, ani Abeemu. Nikomu. Poza tym czekał na to od długiego, bardzo długiego czasu.

Ted odwrócił się i wszedł do domu. Chałupa została zbudowana na przełomie wieków i pojedyncza żarówka wisząca na kablu ledwie rozpraszała ciemności. Tina, jego trzyletnia córka, siedziała na starej kanapie przed telewizorem i oglądała jakąś disnejowską kreskówkę. Ella przeszła obok niej bez słowa. W kuchni na patelni znajdowało się coś tłustego i Ella wróciła do karmienia dziecka, które siedziało zapłakane w swoim wysokim krzeselku, z buzią umazaną czymś żółtym i lepkim. Ella miała dwadzieścia lat, wąskie biodra, cienkie brązowe włosy i piegi na policzkach. Sukienka, którą nosiła na sobie, nie maskowała wydatnego brzucha. Ella była w siódmym miesiącu ciąży i czuła się zmęczona. Wiecznie czuła się zmęczona.

Ted wziął z blatu kluczyki od samochodu i Ella odwróciła się do niego.

– Wy chodzisz? – zapytała.

– Nie twoja sprawa – burknął.

Kiedy ponownie zwróciła się do dziecka, on poklepał je po głowie i ruszył do sypialni. Wyjął spod poduszki glocka i zatknął go zapas. Ogarnęło go podniecenie – poczuł się jak w swoim żywiole.

Przyszła pora zrobić porządek, raz na zawsze.

Kiedy Dawson wrócił do pensjonatu po joggingu, w salonie kilku innych gości popijało kawę i czytało bezpłatne egzemplarze „USA Today”. Gdy szedł po schodach do swojego pokoju, czuł zapach jajek na bekonie dochodzący z kuchni. Wziął prysznic, włożył dżinsy i koszulę z krótkim rękawem, a potem zszedł na śniadanie.

Gdy sadowił się przy stole, prawie wszyscy pozostali byli już po śniadaniu, więc jadał samotnie. Mimo że się przebiegł, nie był głodny, ale właścicielka pensjonatu – kobieta po sześćdziesiątce, która nazywała się Alice Russell i przeniosła się do Orientu po przejściu na emeryturę przed ośmiu laty – postawiła przed nim talerz ze śniadaniem i czuł, że byłaby rozczarowana, gdyby nie zmiótł wszystkiego. Miała w sobie coś z babci, a fartuch i prosta sukienka jeszcze potęgowały to wrażenie.

Gdy jadał, Alice wyznała mu, że jak wiele innych osób przenieśli się z mężem do Orientu, aby żeglować. Męża to jednak szybko znudziło, więc przed kilkoma laty kupili pensjonat. O dziwo, kobieta zwracała się do Dawsona „panie Cole”, jakby zupełnie go nie znała, chociaż wspomniał, że pochodzi z miasteczka. Najwyraźniej wciąż była tu obca.

A jego rodzina nigdzie się nie wyniosła. Widział Abeego przed sklepem spożywczym i skręciwszy za róg, wbiegł między domy i skierował się z powrotem do pensjonatu, unikając głównej drogi, w stopniu, w jakim było to możliwe. Nie chciał żadnych zatargów z rodziną, zwłaszcza z Tedem i Abeem, ale dręczyło go niepokojące uczucie, że kuzyni nie zostawią go w spokoju.

Miał jednak coś do zrobienia. Po śniadaniu wziął wiązankę, którą zamówił jeszcze w Luizjanie, i wszedł do wynajętego samochodu. Podczas jazdy stale zerkał w lusterko wsteczne, aby mieć pewność, że nikt go nie śledzi. Na cmentarzu przeszedł między znajomymi pomnikami i stanął przy grobie doktora Davida Bonnera.

Tak jak liczył, na cmentarzu nie było prawie nikogo. Złożył kwiaty u podstawy nagrobka i pomodlił się krótko za zmarłego i jego rodzinę. Po kilku minutach wrócił do pensjonatu. Wysiadłszy z samochodu, rozejrzał się uważnie. Błękitne niebo rozciągało się aż po horyzont i robiło się coraz cieplej. Ponieważ poranek był zbyt piękny, aby go zmarnować, Dawson postanowił się przejść.

Słońce odbijało się w wodach Neuse, więc włożył na nos okulary przeciwsłoneczne. Zlustrował ulicę, przechodząc na drugą stronę. Choć sklepy były czynne, chodniki wydawały się opustoszałe, co sprawiło, że przez moment zastanowił się nad tym, jak właściciele wychodzą na swoje.

Spojrzał na zegarek – do spotkania z prawnikiem miał jeszcze pół godziny. Przed sobą w oddali zauważył bar kawowy, który minął podczas porannego joggingu, i mimo że nie miał ochoty na kolejną kawę, pomyślał, że kupi butelkę wody. Gdy ruszył przed siebie, poczuł, że zrywa się wiatr, i jednocześnie zobaczył, że ktoś wychodzi z baru. Na ten widok od razu się uśmiechnął.

Amanda stała przy kontuarze w Bean, dosypując śmietankę w proszku i cukier do kubka z etiopską kawą. Bean, niegdyś mały domek z widokiem na zatokę, oferował ze dwadzieścia gatunków kawy i doskonale ciastka, więc Amanda zawsze chętnie tu wstępowała, gdy tylko przyjeżdżała do Orientu. Podobnie jak Irvin's Diner było to ulubione miejsce spotkań mieszkańców miasteczka, którzy przychodzili tu, żeby wymienić się plotkami. Za plecami słyszała szmer rozmów. Mimo że poranny szczyt już minął, w barze panował większy tłok, niż się spodziewała. Dwudziestokilkuletnia dziewczyna za kontuarem nie przestawała się krzątać, odkąd Amanda weszła do środka.

Desperacko potrzebowała kawy. Rozmowa z matką tego rana podzielała na nią otępią jęć. Wcześniej, gdy była pod prysznicem, przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić do kuchni i nie podjąć z Evelyn szczerzej rozmowy. Ale gdy się wytarła, zmieniła zamiar. Chociaż miała nadzieję, że kiedyś w końcu znajdzie u matki zrozumienie i współczucie, to wciąż Amandzie łatwiej było wyobrazić sobie szok i rozczarowanie na jej twarzy, gdy usłyszy o Dawsonie. To dałoby początek pogardliwej, gniewnej tyradzie, jednej z tych, które wygłaszała, gdy Amanda była nastolatką. Matka należała do kobiet starej daty, wyznawała tradycyjne wartości. Według niej decyzje były dobre albo złe, wybory słuszne albo niesłuszne, pewne granice nieprzekraczalne. Istniały zasady postępowania, zwłaszcza jeśli chodzi o rodzinę, których bezwzględnie należało przestrzegać. Amanda znała te zasady; zawsze wiedziała, jakie matka wyznaje poglądy. Uważała, że trzeba być odpowiedzialnym i liczyć się z konsekwencjami swoich działań. Nie tolerowała użalania się nad sobą. Amanda zdawała sobie sprawę, że czasami taka postawa ma swoje zalety; sama wyznawała podobną filozofię w stosunku do dzieci i wiedziała, że to wychodzi im na dobre.

Różnica między nimi polegała jednak na tym, że matka zawsze była pewna swego. Nigdy nie traciła wiary w siebie ani słuszność decyzji, które podejmowała, jakby życie było piosenką i miała jedynie maszerować w jej rytm, wierząc, że wszystko się jakoś ułoży. Amanda często miała wrażenie, że matka niczego nie żałuje.

Amanda była inna. Nie mogła też zapomnieć, jak brutalnie matka zareagowała na chorobę Bei, a potem jej śmierć. Oczywiście wyraziła swoje współczucie i przyjechała, żeby zająć się Jaredem i Lynn, gdy Amanda jeździła z małżonkiem do szpitala Centrum Medycznego Duke University; raz czy dwa ugotowała dla nich nawet obiad po pogrzebie. Ale Amanda nie potrafiła zrozumieć jej stoickiej postawy wobec nieszczęść, a swego czasu nie mogła strawić kazania, które matka wygłosiła może trzy miesiące po śmierci Bei o tym, że Amanda powinna „wskoczyć z powrotem w siodło” i przestać „roztkliwiać się nad sobą”. Jakby strata dziecka to było zerwanie z chłopakiem. Wciąż czuła przypływ gniewu, gdy sobie to przypominała, i czasami miała wątpliwości, czy matka jest w ogóle zdolna do współczucia.

Z westchnieniem uświadomiła sobie jednak, że matka żyła w innym świecie niż ona. Nie poszła do college'u, nie mieszkała nigdzie poza Orientem, i być może tu kryła się przyczyna. Godziła się z pewnymi rzeczami, bo nie miała pojęcia, że można żyć inaczej. I sama wychowała się w kochającej rodzinie, choć własnej córce okazywała niewiele ciepła. Ale kto wie? Amanda jednak obawiała się, że jeśli zwróci się do matki, ściągnie na siebie więcej kłopotów, niż jest to warte, a w tej chwili nie była na to gotowa.

Gdy nakładała pokrywkę na kubek z kawą, zadzwonił jej telefon komórkowy. Zobaczywszy, że to Lynn, wyszła na mały ganek i przez kilka minut rozmawiała z córką. Później zadzwoniła do Jareda na komórkę; obudziła go i przez chwilę słuchała jego sennego mamrotania. Zanim się rozłączył, powiedział, że zobaczą się w niedzielę. Żałowała, że nie może zadzwonić do Annette, ale pocieszyła się myślą, że dziewczynka pewnie dobrze się bawi na obozie.

Po chwili wahania zatelefonowała także do Franka, do gabinetu. Nie zdążyła tego zrobić rano, jak powiedziała matce. Oczywiście musiała zacząć, aż będzie miał wolną chwilę między wizytami pacjentów.

– Cześć – przywitał ją, gdy wreszcie podszedł do telefonu. Podczas rozmowy z nim zorientowała się, że nie pamiętał, iż poprzedniego wieczoru dzwonił do jej matki. Sądząc jednak po głosie, był zadowolony, że ją słyszy. Zapytał o jej matkę i Amanda powiedziała mu, że wybierają się wieczorem na kolację; on z kolei poinformował ją, że w niedzielę przed południem umówił się na golfa ze swoim przyjacielem Rogerem, a potem zamierzali razem obejrzeć mecz Bravesów w Country Clubie. Z doświadczenia wiedziała, że skończy się to ciężkim pijaństwem, ale próbowała zapanować nad złością, bo zdawała sobie sprawę, że kłótnia niewiele da. Frank zapytał o pogrzeb i jej późniejsze plany. Chociaż odpowiedziała na te pytania szczerze – że jeszcze nic nie wie – uświadomiła sobie, że celowo nie wspomina o Dawsonie. Frank niczego nie zauważył, ale gdy kończyli rozmowę, Amanda miała nieprzyjemne poczucie winy. To i tłumiony gniew wystarczyły, żeby ją dziwnie rozstroić.

\*

Dawson zaczął w cieniu magnolii, aż Amanda schowa telefon komórkowy do torebki. Odniosł wrażenie, że widzi na jej twarzy niepokój, ale gdy poprawiała pasek na ramieniu, przybrała znowu nieprzeniknioną minę.

Tak jak on miała na sobie dżinsy, i gdy zbliżał się do niej, zauważył, że turkusowa bluzka podkreśla kolor jej oczu. Pograżona w myślach przestraszyła się trochę, kiedy go zobaczyła.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do niego. – Nie spodziewałam się, że cię tutaj zobaczę.

Dawson wszedł na ganek, patrząc, jak Amanda przesuwając dłońmi po starannie spiętych w kucyk włosach.

– Chciałem napić się wody przed spotkaniem.

– Nie kawy? – Wskazała za siebie. – Mają tu najlepszą w miasteczku.

– Wypiłem już jedną filiżankę do śniadania.

– Poszedłeś do Irvin's Diner? Tuck uwielbiał to miejsce.

– Nie. Zjadłem w pensjonacie, w którym się zatrzymałem. Śniadanie jest wliczone w cenę pokoju, a Alice miała wszystko, co trzeba.

– Alice?

– Supermodelka w kostiumie kąpielowym, która prowadzi biznes. Nie ma powodu, żebyś była zazdrosna.

Parsknęła śmiechem.

– Hm, na pewno. Jak zaczął się dzień?

– Dobrze. Przebiegłem się i przy okazji zobaczyłem, co się zmieniło.

– No i?

– Jakbym cofnął się w czasie. Czulem się jak Michael J. Fox w *Powrocie do przyszłości*.

– Na tym między innymi polega urok Orientalu. Kiedy tu jesteś, masz wrażenie, że reszta świata nie istnieje i twoje problemy znikają.

– Mówisz jak w reklamie Chamber of Commerce.

– Na tym z kolei polega mój urok

– Między innymi, oczy wiście.

Gdy to mówił, znowu uderzyła ją intensywność jego spojrzenia. Nie była przyzwyczajona, żeby tak na nią patrzono – wręcz przeciwnie, podczas wykonywania codziennych obowiązków czuła się wręcz niewidzialna. Zanim jednak zdążyła się zastanowić nad przyczyną swojego skrępowania, Dawson wskazał ruchem głowy drzwi do baru.

– Kupię tę wodę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wszedł do środka, a ona ze swojego punktu obserwacyjnego zauważyła, że ładna dwudziestokilkuletnia kasjerka stara się na niego patrzeć, gdy skierował się do dużej przeszklonej lodówki. Kiedy znalazł się w głębi baru, dziewczyna pospieszenie zerknęła do lustra za kontuarem i powitała Dawsona przy kasie szerokim uśmiechem. Amanda szybko odwróciła głowę, zanim zauważył jej wzrok

Minutę później Dawson wyszedł z baru, usiłując zakończyć rozmowę z kasjerką. Amanda zmusiła się, żeby zachować powagę na twarzy, i oboje, jakby za milczącym porozumieniem, zeszedł z ganku i ruszyli w stronę punktu z najlepszym widokiem na marinę.

– Ta dziewczyna przy kasie flirtowała z tobą – zauważyła.

– Była po prostu miła.

– Wcale nie ukrywała swoich intencji.

Wzruszył ramionami i odkorkował butelkę.

– Nie zauważyłem.

– Jak mogłeś nie zauważyć?

– Myślałem o czymś innym.

Po jego tonie zorientowała się, że to nie koniec, więc czekała na dalszy ciąg. Dawson spojrzał zmrużonymi oczami na łódzie w marinie, które podskakiwały na wodzie.

– Widziałem dziś rano Abeego – powiedział w końcu. – Gdy wyszedłem pobiegać.

Amanda zeszywniała na dźwięk tego imienia.

– Jesteś pewien, że to był on?

– To mój kuzyn, pamiętasz?

– I co dalej?

– Nic.

– To dobrze, prawda?

– Jeszcze nie wiem.

Amanda się przestraszyła.

– Co to znaczy?

Nie odpowiedział od razu. Pociągnął łyk wody i Amanda niemal słyszała, jak pracuje jego mózg.

– Chyba to, że powinienem trzymać się z dala od miasteczka. I być przygotowanym, że po mnie przyjdą.

– Może nie przyjdą.

– Może – zgodził się. – Na razie nie ma się czym przejmować, no nie? – Zakręcił butelkę

i zmieniał temat rozmowy. – Jak myślisz, co pan Tanner chce nam przekazać? Był dość tajemniczy, gdy rozmawiałem z nim przez telefon. Nie chciał powiedzieć mi nic na temat pogrzebu.

– Mnie też nie. Dziś rano właśnie komentowałyśmy to z mamą.

– Tak? A jak się ma twoja mama?

– Była niezadowolona, że przeze mnie nie poszła na brydża zeszłego wieczoru. Ale za to zmusiła mnie, żebym wybrała się z nią dziś na kolację do jej koleżanki.

Dawson się uśmiechnął.

– Więc... czy to znaczy, że masz czas do kolacji?

– Dlaczego pytasz? Masz jakąś propozycję?

– Sam nie wiem. Dowiedzmy się najpierw, co pan Tanner ma nam do zakomunikowania. To mi zresztą przypomina, że powinniśmy już do niego iść. Jego kancelaria znajduje się przecznicę dalej.

Amanda sprawdziła, czy dobrze nakryła kubek z kawą, i poszli we wskazanym przez Dawsona kierunku, wędrując od cienia do cienia.

– Pamiętasz, jak mnie zapytałeś, czy możesz postawić mi lody? – zagadnęła. – Tamtego pierwszego razu?

– Pamiętam, że się zastanawiałem, dlaczego powiedziałaś tak

Zignorowała jego uwagę.

– Zabrałeś mnie do cukierni, tej ze staroświecką fontanną i długim kontuarem. Oboje wybraliśmy deser lodowy z gorącą polewą kajmakową. Mają tam lody własnej roboty i do tej pory lepszych nie jadłam. Nie mogę uwierzyć, że zamknęli to miejsce i rozebrali.

– Tak? Kiedy?

– Nie wiem. Sześć, siedem lat temu? Pewnego dnia, podczas jednej z wizyt w miasteczku, zauważyłam, że już jej nie ma. Zrobiło mi się smutno. Zabierałam tam moje dzieci, kiedy były małe, i zawsze świetnie się bawiły.

Dawson ujrzał przed oczami Amandę siedzącą z dziećmi w starej cukierni, ale nie bardzo potrafił wyobrazić sobie ich twarze. Czy były podobne do niej, czy do swojego ojca? – zaczął się zastanawiać. Czy miały jej ogień, gorące serce?

– Myślisz, że twoje dzieci chciałyby się tutaj wychowywać? – zapytał.

– Kiedy były małe, podobało im się tu. To śliczne miasteczko, z mnóstwem miejsc do zabawy i odkrywania. Ale z wiekiem pewnie zaczęłyby się tu dusić.

– Tak jak ty?

– Uhm – potwierdziła. – Tak jak ja. Nie mogłam się doczekać, kiedy stąd wyjadę. Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale złożyłam papiery na New York University i do Boston College, żeby poznać smak życia w dużym mieście.

– Jak mógłbym zapomnieć? Obie te uczelnie wydawały mi się takie odległe – odparł Dawson.

– Tak.. ale mój ojciec studiował na Duke University i słyszałam tę nazwę przez całe dzieciństwo. Oglądałam w telewizji mecze tamtejszej drużyny koszykarskiej. Tak chyba było zapisane w gwiazdach... że jeśli tylko dostanę się na Duke, będę tam studiować. I wybór okazał się słuszny, bo uczelnia była świetna, nawiązałam tam wiele przyjaźni i dojrzałam. Poza tym nie wiem, czy dobrze bym się czuła w Nowym Jorku albo Bostonie. Wciąż w głębi duszy jestem dziewczyną z małego miasteczka. Lubię słyszeć cykanie świerszczy, gdy kładę się spać.



– Wobec tego spodobałoby ci się w Luizjanie. To światowa stolica wszelkiego robactwa.

Uśmiechnęła się i upiła łyk kawy.

– A pamiętasz, jak pojechaliśmy na wybrzeże, gdy zbliżał się huragan „Diana”? Jak prosiłam cię, żebyś mnie tam zabrał, a ty usiłowałeś wybić mi to z głowy?

– Myślałem, że zwariowałaś.

– Ale i tak w końcu mnie tam zabrałeś. Bo tak bardzo chciałam. Ledwie mogliśmy wysiąść z samochodu, tak silny był wiatr, a ocean... jakby wystąpił z brzegów. Białe grzywy aż po horyzont. Ty trzy małeś mnie w objęciach i próbowałeś przekonać, żebyśmy wsiedli do wozu.

– Nie chciałem, żeby coś ci się stało.

– Widujesz takie sztormy na oceanie, gdy pracujesz na platformie wiertniczej?

– Nie tak często, jak byś przypuszczała. Jeśli mamy połączenie z lądem, zwykle nas ewakuują.

– Zwykle?

Wzruszył ramionami.

– Meteorolodzy czasami się mylą. Znalazłem się kilka razy na obrzeżach huraganu, i to było naprawdę przerażające. Jest się wtedy na łasce natury. Musisz się skulić, gdy platformą miota wiatr, i masz świadomość, że nikt nie przyjdzie ci na ratunek. Widziałam kilku facetów, którzy tego nie wytrzymali.

– Pewnie też bym nie wytrzymała.

– Byłaś bardzo odważna, gdy przechodziła „Diana” – zwrócił jej uwagę.

– Tylko dlatego, że byłeś przy mnie. – Amanda zwołniała kroku. Przybrała poważny ton. – Wiedziałem, że nie dopuścisz, aby coś mi się stało. Zawsze czułam się przy tobie bezpieczna.

– Nawet wtedy, gdy mój ojciec i kuzyni przychodzili do Tucka? Po pieniądze?

– Uhm – odparła. – Nawet wtedy. Nie bałam się twojej rodziny.

– Miałaś szczęście.

– Sama nie wiem. Gdy byliśmy ze sobą, od czasu do czasu widywałam Teda albo Abeego w miasteczku, czasami spotykałam też twojego ojca. Och, mieli głupawe uśmiešky na twarzach, gdy natykaliśmy się na siebie, ale nigdy nie budzili we mnie lęku. A później, gdy przyjeżdżałam tu latem, po tym jak Ted znalazł się w więzieniu, Abee i twój ojciec trzymali się ode mnie z daleka. Chyba wiedzieli, co byś im zrobił, gdyby coś mi się stało. – Zatrzymała się w cieniu drzewa i spojrzała na Dawsona. – Nie, nigdy się ich nie bałam. Ani razu. Bo miałam ciebie.

– Pokładasz we mnie nadmierną wiarę.

– Czyżby? Chcesz powiedzieć, że pozwolilibyś im mnie skrzywdzić?

Nie musiał odpowiadać. Widziała po jego wyrazie twarzy, że się nie myliła.

– Zawsze się ciebie bali. Nawet Ted. Znali cię tak jak ja.

– Ty też się mnie bałaś?

– Nie to miałam na myśli – wyjaśniła. – Wiedzieli, że mnie kochasz i że zrobiłbyś dla mnie wszystko. Między innymi dlatego tak cierpiałam, gdy ze mną zerwałeś, Dawsonie. Bo już wtedy miałam świadomość, że taka miłość się nie zdarza. Tylko szczęściarze mogą jej doświadczyć.

Przez chwilę Dawson nie był w stanie nic powiedzieć.

– Przykro mi – odparł w końcu.

– Mnie też. – Nie starała się nawet ukryć dawnego smutku. – Ale ja miałam szczęście i jej doświadczyłam, pamiętasz?

Wszedłszy do kancelarii Morgana Tannera, Dawson i Amanda usiedli w małej poczekalni z porysowaną sosnową podłogą. Stały w niej stoliki zavalone starymi czasopismami i strzępiące się wyściełane krzesła. Recepcjonistka, która, sądząc z wyglądu, musiała już dawno przekroczyć wiek emerytalny, czytała powieść w miękkiej oprawie. Niewiele miała do roboty. W ciągu dziesięciu minut, które tam spędzili, telefon nie zadzwonił ani razu.

Wreszcie drzwi gabinetu się otworzyły i wyszedł zza nich starszy mężczyzna z grzywą siwych włosów i krzaczastymi szpakowatymi brwiami, w pogniecionym garniturze. Gestem zaprosił ich do środka.

– Amanda Rodley i Dawson Cole, jak przypuszczam? – Ucisnął im ręce. – Jestem Morgan Tanner i chciałbym złożyć wam obojgu wyrazy współczucia. Musi wam być ciężko.

– Dziękujemy panu – odparła Amanda.

Dawson tylko skinął głową.

Tanner wskazał im dwa skórze fotele z wysokimi oparciami.

– Usiądźcie, proszę. To nie potrwa długo.

Gabinet Tannera prezentował się zupełnie inaczej niż recepcja. Znajdowały się w nim mahoniowe regały wypełnione setkami książek prawniczych, a okno wychodziło na ulicę. Na ozdobnym antycznym biurku z bogato rzeźbionymi rogami stała lampa, najwyraźniej od Tiffany’ego. Przed biurkiem stały skórzane fotele, a na jego blacie spoczywała orzechowa szkatułka.

– Przepraszam, że musieliście czekać. Rozmawiałem przez telefon, żeby dopilnować ostatnich szczegółów.

– Mówiąc to, obszedł biurko. – Pewnie zastanawiacie się, po co te wszystkie sekrety, ale wypełniam tylko wolę Tucka. Był dość zasadniczy i miał własne wyobrażenie o pewnych sprawach. – Przyjrzał im się spod gęstych brwi. – Ale chyba nie muszę wam o tym mówić. – Amanda zerknęła ukradkiem na Dawsona, gdy Tanner usiadł za biurkiem i wziął do ręki leżącą przed nim teczkę. – Cieszę się, że przyjechaliście oboje. Tuck też by się cieszył, sądząc z tego, jak o was mówił. Na pewno macie do mnie pytania, więc od razu przystąpię do rzeczy. – Uśmiechnął się do nich krótko i odsłonił zaskakująco równe białe zęby. – Jak wiecie, ciało Tucka zostało znalezione we wtorek rano przez Rexa Yarborough.

– Kogo? – zapytała Amanda.

– Listonosza. Okazuje się, że regularnie zaglądał do Tucka. Zapukał do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Ponieważ dom nie był zamknięty na klucz, wszedł do środka i znalazł Tucka w łóżku. Zadzwonił po szeryfa. Oględziny wykazały, że nie ma śladów przestępstwa. Wtedy szeryf zadzwonił do mnie.

– Dlaczego akurat do pana? – spytał Dawson.

– Bo Tuck prosił go o to przed śmiercią. Powiadomił biuro szeryfa, że jestem wykonawcą jego testamentu i należy się ze mną skontaktować, gdy umrze.

– Mówi pan tak, jakby Tuck wiedział, że jest bliski śmierci.

– Chyba to czuł – wyjaśnił Tanner. – Tuck Hostetler był starym człowiekiem i nie bał się stawić czoła wynikającym z tego realiom. – Pokręcił głową. – Chciałbym być tak przygotowany i zdecydowany jak on, gdy przyjdzie na mnie pora.

Amanda i Dawson spojrzeli na siebie, ale nic nie powiedzieli.

– Namawiałem go, żeby powiadomił was oboje o swojej ostatniej woli i planach, ale z jakiegoś powodu chciał je zachować w tajemnicy. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak mu na tym zależało. – Tanner mówił niemal ojcowskim tonem. – Nie ukrywał też, że by liście mu bardzo bliscy.

Dawson pochylił się do przodu na fotelu.

– Wiem, że to nie najważniejsze, ale jak się poznaliście?

Tanner kiwnął głową, jakby spodziewał się tego pytania.

– Poznałem Tucka osiemnaście lat temu, gdy oddałem mu starego mustanga do naprawy. Pracowałem wówczas w dużej kancelarii w Raleigh jako jeden ze współników. Byłem lobbyistą, jeśli chcecie znać prawdę. Prowadziłem sprawy związane z rolnictwem. Ale przechodząc do rzeczy: przyjechałem tu na kilka dni, żeby sprawdzić postęp prac. Dotychczas tylko słyszałem o Tucku i z obawą powierzałem mu swój samochód. Tak czy owak, w końcu się poznaliśmy i doszedłem do wniosku, że podoba mi się tempo tutejszego życia. Kilka tygodni później, gdy przyjechałem odebrać wóz, nie wziął ode mnie dużo, a wykonał niesamowitą robotę. Minęło piętnaście lat. Czułem się wypalony, więc pod wpływem impulsu postanowiłem przejść na emeryturę i przenieść się tutaj. Tylko że nie do końca mi się to udało. Po roku czy jakoś tak otworzyłem małą kancelarię. Prowadzę niewiele spraw, głównie sporządzam testamenty oraz umowy dotyczące sprzedaży i kupna nieruchomości. Nie muszę pracować, ale nie lubię bezczynności. A moja żona jest zadowolona, że wychodzę z domu na kilka godzin w tygodniu.

Tak czy inaczej któregoś ranka przypadkiem spotkałem Tucka w Irvin's Diner i powiedziałem mu, że jeśli będzie czegoś potrzebował, może na mnie liczyć. I w lutym tego roku, ku mojemu zaskoczeniu, skorzystał z mojej propozycji.

– Dlaczego zwrócił się do pana, a nie do...

– Innego prawnika w miasteczku? – dokończył pytanie Tanner. – Odniosłem wrażenie, że szukał kogoś nowego w miasteczku. Nie za bardzo wierzył, że prawnicy są zobowiązani do tajemnicy, jeśli chodzi o sprawy klientów, mimo że zapewniałem go o tym. Czy jeszcze coś chcielibyście wiedzieć na ten temat?

Gdy Amanda zaprzeczyła ruchem głowy, przysunął do siebie teczkę i włożył na nos okulary do czytania.

– Wobec tego przejdźmy do rzeczy. Tuck zostawił mi dokładne instrukcje na wypadek swojej śmierci. Musicie wiedzieć, że przede wszystkim nie życzył sobie tradycyjnego pochówku. Chciał, aby jego ciało zostało skremowane, i zgodnie z jego wolą stało się to wczoraj. – Wskazał stojącą na biurku szkatułkę, dając do zrozumienia, że zawiera prochy Tucka.

Amanda zbladła.

– Ale przecież właśnie wczoraj przyjechaliśmy.

– Wiem. Tuck prosił, żebyśmy załatwił to przed waszym przyjazdem.

– Nie chciał, żebyśmy przy tym byli?

– Nie chciał, żeby był przy tym kłókolwiek.

– Dlaczego?

– Mogę tylko powiedzieć, że wyrażał się bardzo stanowczo na ten temat. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to wydaje mi się, że pragnął wam oszczędzić przykrości związanych z pogrzebem. – Wyjął z tełki kartkę i podniósł ją. – Powiedział... cytuję... „nie ma powodu, żeby moja śmierć

była dla nich ciężarem”. – Zdjął okulary i pochylił się w fotelu, próbując coś wyczytać z ich twarzy.

– Innymi słowy, nie ma pogrzebu? – zapytała Amanda.

– Nie w tradycyjnym sensie.

Amanda spojrzała najpierw na Dawsona, a potem znowu na Tannera.

– To dlaczego Tuck chciał, żebyśmy przyjechali?

– Poprosił mnie, żebym się z wami skontaktował, bo liczył, że zrobicie dla niego coś innego, coś ważniejszego. Zażyczył sobie, żebyście we dwoje rozsyпали jego prochy w szczególnym dla niego miejscu, w którym chyba żadne z was nigdy nie było.

Amanda domyśliła się po chwili.

– Chodzi o domek w Vandemere?

Tanner pokiwał głową.

– Tak, zgadza się. Jutro byłoby idealnie, wszystko jedno o jakiej porze. Oczywiście, jeśli to wam nie odpowiada, sam się tym zajmę. I tak muszę tam pojechać.

– Może być jutro, jak najbardziej – zgodziła się Amanda.

Tanner uniósł kartkę.

– Tu jest adres. Pozwoliłem sobie także wydrukować wskazówki dotyczące dojazdu. To trochę daleko od utartych szlaków, jak pewnie się domyślicie. I jeszcze jedno: Tuck prosił, żebym przekazał wam to. – Wyjął z teczki trzy zaklejone koperty. – Zobaczycie, że na dwóch z nich widnieją wasze imiona. Prosił jednak, żebyście przed ceremonią przeczytali razem list w nieoznaczonej kopercie.

– Ceremonią? – powtórzyła nierozumie jąco Amanda.

– Przed rozsypaniem prochów – wyjaśnił Tanner. Podał im kartkę z trasą dojazdową i listy. – Naturalnie możecie przy tym powiedzieć coś od siebie, jeśli chcecie.

– Dziękujemy. – Amanda odebrała od niego wszystko. Tajemnicze listy wydały jej się dziwnie ciężkie. – A co z tamtymi dwoma?

– Z tego, co zrozumiałem, macie je przeczytać później.

– Z tego, co pan rozumiał?

– Tuck nie wdawał się w wyjaśnienia, jeśli o to chodzi. Powiedział tylko, że po przeczytaniu pierwszego listu będziecie wiedzieli, kiedy otworzyć pozostałe dwa.

Amanda spojrzała na koperty i schowała je do torebki, zastanawiając się nad tym wszystkim, co powiedział im Tanner. Dawson sprawiał wrażenie równie zaintrygowanego.

Tanner jeszcze raz zajrzał do teczki.

– Macie jakieś pytania?

– Czy Tuck określił, gdzie konkretnie w Vandemere mamy rozsypać jego prochy?

– Nie – odparł Tanner.

– To skąd mamy wiedzieć, gdzie to zrobić, skoro nigdy tam nie byliśmy?

– Spytałem go o to samo i odpowiedział, że się zorientujecie.

– Czy miał na myśli jakąś konkretną porę dnia?

– Zostawił to wam. Życzył sobie jednak, żeby to była prywatna uroczystość. Prosił mnie na przykład o dopilnowanie, żeby w prasie nie pojawiła się żadna informacja o jego śmierci, nawet nekrolog. Odniosłem wrażenie, że nie chce, aby kłólowiek poza wami dwojgiem dowiedział się, że umarł. I starałem się wypełnić jego życzenie na tyle, na ile było to możliwe. Oczywiście

mimo wszystkich moich wysiłków sprawy nie udało się utrzymać w tajemnicy, ale chcę, abyście wiedzieli, że robiłem, co w mojej mocy.

– Czy Tuck powiedział, dlaczego mu na tym zależy?

– Nie – odparł Tanner. – A ja nie pytałem. Znałem go już na tyle, by wiedzieć, że gdyby chciał, toby sam mi o tym powiedział. – Spojrzał na Amandę i Dawsona, czekając na dalsze pytania. Ponieważ jednak oboje milczeli, otworzył teczkę. – Jeśli chodzi o majątek Tucka, to wiecie, że nie miał żadnego żyjącego krewnego. Choć być może uznacie, że ze względu na żalobę to nieodpowiednia chwila, aby rozmawiać o testamencie, Tuck prosił mnie, aby przekazać wam jego ostatnią wolę, gdy oboje tu będziecie. Pozwolicie, że to zrobię? – Kiedy skinęli głowami, kontynuował: – Tuck nie był zbyt zamożny. Miał kawałek ziemi, a także niewielkie sumy na kilku rachunkach bankowych. Wciąż dokonuję szacunków, ale powinniście wiedzieć jedno: prosił, abyście wzięli sobie z jego rzeczy to, co chcecie, nawet jeśli miały to być jeden przedmiot. Gdybyście nie zgadzali się co do czegoś, macie to rozstrzygnąć tutaj, na miejscu. Będę się zajmował egzekucją testamentu przez kilka miesięcy, ale zasadniczo dom i ziemia mają zostać sprzedane, a uzyskane pieniądze trafią na dziecięcy oddział onkologiczny szpitala przy Duke University. – Tanner uśmiechnął się do Amandy.

– Tuck sądził, że to panią ucieszy.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Amanda czuła, że Dawson, chociaż milczy, śledzi wszystko z uwagą. – To wspaniałomyślny gest z jego strony. – Zawahała się, bardziej wzruszona, niż chciałaby przyznać. – On... wiedział, ile to będzie dla mnie znaczyć.

Tanner pokłwał głową, przejrzał dokumenty w teczkę, a potem je odłożył.

– To już wszystko, chyba że coś jeszcze przychodzi wam do głowy.

Nie było jednak nic takiego, więc zaczęli się żegnać. Amanda wstała, a Dawson wziął z biurka orzechową szkatułkę. Tanner także wstał, ale nie wyszedł zza biurka. Amanda ruszyła z Dawsonem do wyjścia. Przed drzwiami Dawson zatrzymał się i odwrócił, marszcząc brwi.

– Panie Tanner?

– Słucham?

– Powiedział pan coś, co mnie zaciękało.

– Tak?

– Zauważył pan, że byłoby świetnie, gdybyśmy pojechali do Vandemere jutro. Rozumiem, że miał pan na myśli „jutro” w stosunku do dnia dzisiejszego.

– Tak

– Może pan zdradzić dlaczego?

Tanner przesunął teczkę na środek biurka.

– Przykro mi – odparł. – Nie mogę.

\*

– O co chodzi? – zapytała Amanda.

Szli do jej samochodu, który stał przed barem kawowym. Zamiast odpowiedzieć, Dawson wsadził rękę do kieszeni.

– Umówiła się gdzieś na lunch?

– Nie odpowiesz na moje pytanie?

– Nie wiem, co mam myśleć. Tanner nie udzielił mi odpowiedzi.

– Ale dlaczego w ogóle go o to zapytałeś?

– Bo jestem ciekawski – wyjaśnił. – Zawsze wszystko mnie ciekawiło.

Amanda przeszła przez ulicę.

– Nieprawda – powiedziała w końcu. – Wręcz przeciwnie. Zawsze przyjmowałeś stan rzeczy ze stoickim spokojem. Ale wiem, co tam knujesz.

– Co takiego?

– Próbujesz zmienić temat.

Nawet nie starał się zaprzeczyć. Zamiast tego wziął szkatułkę pod pachę.

– Ty także nie odpowiadałaś na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– Spytałem, czy umówiłaś się gdzieś na lunch. Bo jeśli nie, znam świetne miejsce.

Zawahała się, bo pomyślała o małym miasteczku w ch plotkach, ale Dawson jak zwykle przejrzał ją na wyłot.

– Zaufaj mi – powiedział. – Wiem, dokąd cię zabrac.

\*

Pół godziny później znowu byli u Tucka, siedzieli nad potokiem na łocu, który Amanda znalazła w szafie. Po drodze Dawson kupił w Brantlee's Village Restaurant kanapki i kilka butelek wody.

– Skąd wiedziałeś, o czym myślałam? – zapytała, wracając do ich poprzedniej rozmowy. W obecności Dawsona przypominała sobie, jak to jest, gdy ktoś odgaduje jej myśli, zanim ona je wypowie. Gdy byli młodzi, wystarczyło szybkie spojrzenie albo nieznaczny gest, aby jedno natychmiast zorientowało się, co myśli albo czuje drugie.

– W miasteczku mieszkają twoja mama i wszyscy jej znajomi. Jesteś mężatką, a ja kimś, z kim cię kiedyś coś łączyło. Nietrudno się domyślić, że wolałybyś, aby nas razem nie widziano.

Była zadowolona, że to rozumiał, lecz gdy wyjmował kanapki z torby, ogarnęło ją poczucie winy. Powiedziała sobie, że po prostu jedzą razem lunch, ale to nie była cała prawda i dobrze o tym wiedziała.

Dawson zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył.

– Z indykiem czy kurczakiem? – zapytał, wyciągając do niej obie kanapki.

– Wszystko jedno – odparła. Potem jednak zmieniła zdanie. – Z kurczakiem poproszę.

Podał jej kanapkę razem z butelką wody. Amanda rozejrzała się dookoła, zwracając uwagę na panującą ciszę. Po niebie płynęły rzadkie białe chmury, a w pobliżu domu dwie wiewiórki goniły się po pniu dębu porośniętego mchem hiszpańskim. Po drugiej stronie strumienia żółw wygrzewał się w słońcu na balu. Mimo że Amanda wyrosła w tym otoczeniu, nagle wydało się jej dziwnie obce, był to zupełnie inny świat niż ten, w którym żyła obecnie.

– Co myślisz o spotkaniu z prawnikiem? – zapytał Dawson.

– Tanner wygląda na przyzwoitego człowieka.

– A co z listami, które napisał Tuck? Masz jakieś domysły?

– Po tym, co dziś usłyszałam? Nie, nie mam.

Dawson kiwnął głową. Odwinął kanapkę z opakowania i Amanda zrobiła to samo.

– Pediatryczny oddział onkologiczny, tak?

Skinęła głową i natychmiast pomyślała o Bei.

– Mówiłam ci, że pracuję ochotniczo w szpitalu przy Duke University. Zbieram też dla nich fundusze.

– Wszem, ale nie wspomniałaś, na jakim oddziale – zauważył. Odpakował już kanpkę, lecz jeszcze jej nie napoczął. Amanda usłyszała pytający ton w jego głosie i wiedziała, że Dawson czeka na odpowiedź. Z roztargnieniem odkręciła butelkę.

– Frank i ja mieliśmy jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę. Urodziła się trzy lata po Lynn. – Przerwała, żeby zebrać siły, ale skądś wiedziała, że przy Dawsonie te słowa nie będą dla niej takie dziwne ani bolesne jak przy innych.

– Gdy miała osiemnaście miesięcy, zdiagnozowano u niej raka mózgu. Nie można go było operować i mimo wysiłków niesamowitego zespołu lekarzy i pracowników oddziału umarła po sześciu miesiącach. – Spojrzała na stary strumień, czując dawny, głęboki ból, smutek który, jak wiedziała, nigdy jej nie opuści.

Dawson wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

– Jak miała na imię? – zapytał cicho, delikatnie.

– Bea.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało, słychać było jedynie szmer potoku i szum liści w górze. Amanda nie czuła potrzeby, aby coś jeszcze dodać, a Dawson nie oczekiwał tego. Wiedziała, że rozumiał jej uczucia, i miała wrażenie, że nawet czuł ból, choćby tylko dlatego, że nie mógł pomóc.

\*

Po lunchu zebrali resztki jedzenia, wzięli koc i ruszyli do domu. Dawson wszedł za Amandą do środka i odprowadził ją wzrokiem, gdy odnosiła koc na miejsce. Była w niej pewna powściągliwość, jakby się bała, że przekroczy jakąś niewidzialną granicę. Wyjął szklanki z kredensu w kuchni i nalał do nich mrożonej herbaty. Gdy Amanda wróciła, podał jej jedną z nich.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Uhm. – Wzięła od niego szklankę. – Nic mi nie jest.

– Przepraszam, jeśli wprawiłem cię w przygnębienie.

– To nie twoja wina – odparła. – Po prostu czasami trudno mi mówić o Bei. A poza tym to dla mnie dość niezwykły weekend.

– Dla mnie też – przyznał. Oparł się o blat szafek – Jak chcesz się do tego zabrać?

– Do czego?

– Przejrzenia rzeczy w domu. Żeby sprawdzić, czy coś byś stąd chciała wziąć.

Amanda zaczerpnęła powietrza. Miała nadzieję, że z niczym się nie zdradziła.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że to coś niestosownego.

– Ależ skąd. Przecież chciał, żebyśmy go zapamiętali.

– Zawsze będę go pamiętać, niezależnie od wszytkiego.

– A co powiesz na to? Może chciał być dla nas czymś więcej niż tylko wspomnieniem? Może chciał, żebyśmy mieli coś po nim?

Napiła się mrożonej herbaty. Doszła do wniosku, że Dawson pewnie ma rację. Ale myśl, że

miałaby przeglądać rzeczy Tucka, aby wybrać coś na pamiątkę, wydała jej się przykra.

– Zaczekajmy z tym. Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie. Powiedz, gdy będziesz gotowa. Masz ochotę posiedzieć trochę na zewnątrz?

Kiwnęła głową i wyszła za nim na tylny ganek. Tam usadowili się na starych fotelach bujanych Tucka. Dawson oparł szklankę na udzie.

– Wyobrażam sobie, że Tuck i Clara często to robili – odezwał się. – Siadali sobie na dworze i patrzyli, jak przemija świat.

– Pewnie tak

Zwrócił się do niej.

– Cieszę się, że go odwiedzałaś. Trudno mi było znieść myśl, że zawsze jest tu sam.

Amanda czuła wilgoć na zimnym szkłe, które trzymała w dłoni.

– Wiesz, że on widział Clarę? Po jej śmierci?

Dawson zmarszczył czoło.

– O czym ty mówisz?

– Zaklinał się, że ona wciąż tu jest.

Przypomniał sobie obrazy i ruch, które czasami dostrzegał.

– Jakto ją widział?

– Po prostu. Widział ją i z nią rozmawiał – wyjaśniła.

Zamrugał powiekami.

– Chcesz powiedzieć, że Tuck widział ducha?

– No co ty? Nigdy ci o tym nie mówił?

– Nie rozmawiał ze mną o Clarze i kropka.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nigdy?

– Powiedział mi tylko, jak miała na imię.

Amanda odstawiła szklankę i opowiedziała mu część z tego, czego dowiedziała się od Tucka w ostatnich latach.

O tym, jak odszedł ze szkoły w wieku dwunastu lat i znalazł pracę w warsztacie samochodowym stryja; jak poznał Clarę w kościele, gdy miał czternaście lat i od razu wiedział, że kiedyś się z nią ożeni; jak cała jego rodzina, łącznie ze stryjem, przeprowadziła się na północ w poszukiwaniu pracy podczas Wielkiego Kryzysu i nigdy już nie wróciła. Mówiła o początkowym okresie małżeństwa z Clarą, o jej pierwszym poronieniu i o tym, jak ciężko Tuck pracował na farmie teścia, a nocami budował ten dom. Wyjaśniła, że Clara po wojnie miała jeszcze dwa poronienia. Opowiedziała, jak Tuck budował warsztat, a potem zaczął odnawiać samochody; wyremontował między innymi cadillaca dobrze zapowiadającego się piosenkarza, który nazywał się Elvis Presley. Gdy doszła do śmierci Clary i do tego, że Tuck widywał jej ducha, Dawson wypił swoją herbatę i wpatrywał się w szklankę, starając się odnaleźć w tej opowieści człowieka, którego znał.

– Nie mieści mi się w głowie, że nigdy o tych sprawach nie rozmawiał z tobą – powiedziała Amanda.

– Pewnie miał powody. Może ciebie lubił bardziej.

– Wątpię. Ja po prostu zaprzyjaźniłam się z nim w późniejszym okresie życia. Ty znałeś go w czasach, gdy wciąż jeszcze cierpiał.



– Może – odparł bez przekonania.

Amanda ciągnęła:

– Byłeś dla niego ważny. Przecież pozwolił ci tu zostać.

I to dwa razy. – Gdy Dawson w końcu skinął głową, odstawiła pustą szklankę. – Mogę ci jednak zadać pewne pytanie?

– Jasne.

– O czym ty z nim rozmawiałaś?

– O samochodach. Silnikach. Skrzyżniach biegów. A czasami o pogodzie.

– To musiało być fascynujące – zażartowała.

– Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo. Ale w tamtych czasach i ja nie byłem zbyt rozmowny.

Pochyliła się ku niemu z nagłą powagą.

– No dobrze. Oboje wiemy już coś o Tucku, ty wiesz co nieco o mnie. Tylko ja wciąż prawie nic nie wiem o tobie.

– Przecież wiesz. Opowiedziałem ci wczoraj. Pracuję na platformie wiertniczej, no nie? Mieszkałem w przychacie na wsi. Wciąż jeżdżę tym samym wozem. Nie chodzę na randki.

Amanda leniwie przerzuciła koński ogon przez ramię, ten ruch był wręcz zmysłowy.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – poprosiła. – Coś, czego nikt o tobie nie wie. Coś, co mnie zaskoczy.

– Nie ma tego wiele – zapewnił ją.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Dlaczego jakoś w to nie wierzę?

Ponieważ nigdy nie mogłem niczego przed tobą ukryć, pomyślał.

– Nie mam pojęcia – odparł.

Zamilkła, gdy usłyszała jego odpowiedź, i zaczęła się nad czymś zastanawiać.

– Powiedziałeś wczoraj coś, co mnie zastanowiło. – Spojrzała na nią pytająco, więc mówiła dalej: – Skąd wiedziałeś, że Marilyn nie wyszła powtórnie za mąż?

– Bo wiedziałem i już.

– Tuck ci powiedział?

– Nie.

– No to skąd wiesz?

Splótł palce obu dłoni i pochylił się do przodu w bujającym fotelu. Wiedział, że jeśli nie odpowie, Amanda po prostu ponowi pytanie. Pod tym względem też się nie zmieniła.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli zacznę od początku – oświadczył z westchnieniem. Potem opowiedział jej o Bonnerach... o swojej wizycie w rozpadającym się domu na farmie przed wieloma laty, o wieloletniej walce rodziny z biedą, o tym, że zaczął anonimowo przysyłać im pieniądze, gdy wyszedł z więzienia. I wreszcie o tym, że od lat dostawał raporty prywatnych detektywów na temat sytuacji finansowej Marilyn i jej dzieci. Gdy skończył, Amanda przez chwilę milczała, w widoczny sposób wzburzona.

– Nie wiem, co powiedzieć – wybuchła w końcu.

– Spodziewałem się, że tak zareagujesz.

– Mówię poważnie, Dawsonie – odpowiedziała, nie kryjąc gniewu. – Wiem, że masz dobre intencje i na pewno pomogłeś Bonnerom. Ale jest w tym także coś przygnębiającego. Wciąż nie

możesz sobie przebaczyć, choć to, co się stało, było wypadkiem. A wypadki się zdarzają. Wszyscy popełniamy błędy, nawet jeśli niektóre są poważniejsze niż inne. Ale żeby kazać Bonnerów obserwować? Śledzić, co dzieje się w ich życiu? To już nie w porządku.

– Nie rozumiesz... – zaczęła.

– Nie, to ty nie rozumiesz – przerwała mu. – Nie sądzisz, że mają prawo do prywatności? Fotografowanie ich z ukrycia, grzebanie w życiu prywatnym...

– To nie tak! – zaprotestował.

– Właśnie, że tak! – Amanda uderzyła ręką o oparcie fotela. – A co będzie, jeśli się dowiedzą? Wyobrażasz sobie, jak okropnie się poczują? Oszukani i osaczeni? – Ku jego zaskoczeniu położyła mu dłoń na ramieniu i uściśniła je mocno, żeby ją wysłuchał. – To, co robisz ze swoimi pieniędzmi, to twoja sprawa. Ale reszta? Detektywi i tak dalej? Musisz z tym skończyć. Obiecuj mi, że to zrobisz, dobrze?

Czuł ciepło jej ręki na ramieniu.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Obiecuję, że przestanę.

Przyjrzała mu się, aby sprawdzić, czy mówi szczerze. Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, Dawson wyglądał na zmęczonego. W jego postawie była pewna rezygnacja i gdy tak siedzieli razem, zaczęła się zastanawiać, jaki byłby teraz, gdyby nie odeszła od niego tamtego lata. Albo gdyby chociaż go odwiedziła, gdy siedział w więzieniu. Chciała wierzyć, że to by coś zmieniło, że nie żyłby w cieniu przeszłości. Że jeśli nie byłby szczęśliwszy, to przynajmniej znalazłby spokój. Bo jakoś nigdy nie było mu to dane.

Ale przecież nie jemu jednemu, prawda? Czy wszyscy nie pragną właśnie spokoju?

– Muszę wyznać ci coś jeszcze – odezwał się. – W związku z Bonnerami.

Wypuściła z płuc powietrze.

– Co takiego?

Podrapał się po nosie wolną ręką, jakby chciał zyskać na czasie.

– Dziś rano złożyłem kwiaty na grobie doktora Bonnera. Robiłem to wiele razy po wyjściu z więzienia. Gdy było mi ciężko, wiesz?

Patrzyła na niego, ciekawa, czy jeszcze czymś ją zaskoczy. Ale nie, nie zrobił tego.

– To zupełnie co innego niż tamta sprawa.

– Wiem. Tylko pomyślałem, że powinienem o tym wspomnieć.

– Dlaczego? Bo zależy ci na mojej opinii?

Wzruszył ramionami.

– Być może.

Nie odpowiadała przez chwilę.

– Myślę, że w składaniu kwiatów na grobie nie ma nic niewłaściwego – odezwała się w końcu.

– Dopóki nie przesadzisz. To nawet... stosowne.

Zwrócił się do niej.

– Tak sądzisz?

– Tak. Składanie kwiatów na grobie to gest wymowny, a jednocześnie nienachalny.

Pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Amanda w milczeniu pochyliła się ku niemu jeszcze bardziej.

– Wiesz, co myślę?

– Po tym wszystkim, co powiedziałem, aż boję się zapytać.

- Moim zdaniem jesteś bardziej podobny do Tucka, niż ci się wydaje.
- Spojrzał na nią.
- To dobrze czy źle?
- Wciąż tu z tobą jestem, no nie?

\*

Gdy upał stał się nie do wytrzymania nawet w cieniu, Amanda zaproponowała, żeby przenieśli się do domu. Siatkowe drzwi zamknęły się cicho za nimi.

– Jesteś gotowa przejrzeć rzeczy Tucka? – zapytał Dawson.

– Nie – odrzekła. – Ale chyba musimy się do tego zabrać. Chociaż nie zmieniłam zdania i według mnie jest w tym coś niestosownego. Nie wiem nawet, od czego zacząć.

Dawson doszedł do końca kuchni, a potem odwrócił się do Amandy.

– Dobrze, zróbmy tak. Kiedy przypominasz sobie swoją ostatnią wizytę u Tucka, to co ci przychodzi na myśl?

– Czy ja wiem? Było tak samo jak zawsze. Tuck mówił o Clarze, ja przygotowywałam kolację.

– Lekko wzruszyła ramionami. – Okryłam mu ramiona kocem, gdy zasnął w fotelu.

Dawson zaprowadził ją do salonu i ruchem głowy wskazał kominek.

– To może powinnaś wziąć to zdjęcie?

Pokręciła głową.

– Nie mogłabym.

– Więc wolisz, żeby zostało wyrzucone?

– Nie, oczywiście, że nie. Ty je weź. Znałeś go lepiej niż ja.

– Nie sądzę – odparł. – Nigdy nie opowiadał mi o Clarze. Kiedy zobaczysz tę fotografię, pomyślisz o nich dwojgu, nie tylko o nim. Dlatego ci o niej mówił.

Ponieważ wciąż się wahała, podszedł do kominka i zdjął fotografię z gzymsu.

– Chciał, aby to było dla ciebie ważne. Aby oboje stali się dla ciebie ważni.

Wzięła od niego zdjęcie i spojrzała na nie.

– Ale jeśli je zabiorę, to co zostanie dla ciebie? Nie ma tu tego wiele.

– Nie martw się. Jest coś, co zauważyłem i chciałbym zachować na pamiątkę. – Ruszył do drzwi. – Chodź.

Amanda zeszła za nim po schodach ganku. Gdy skierowali się do garażu, zrozumiała. Ona i Tuck zbliżyli się do siebie w domu, natomiast Dawson i Tuck w garażu. I zanim jeszcze

Dawson znalazł to, czego szukał, już wiedziała, co chciał zatrzymać.

Sięgnął po starannie złożoną wyblakłą bandanę, która leżała na stole.

– Na pewno pragnął, żebym to wziął – oświadczył.

– Jesteś pewien? – Amanda popatrzyła na czerwoną szmatkę spod zmrużonych powiek – To niewiele.

– To pierwsza czysta rzecz, jaką tu widzę, więc na pewno jest przeznaczona dla mnie. – Uśmiechnął się. – Ale, owszem, jestem pewny. Dla mnie właśnie to zostawił Tuck. Chyba nigdy nie widziałem go bez bandany. Zawsze w tym samym kolorze.

– Jasne. – Westchnęła. – Mówimy przecież o Tucku. Panu Niezmiennym?

Dawson wetknął bandanę do tylnej kieszeni spodni.

– To nie musi być wcale wada. Zmiany nie zawsze wychodzą człowiekowi na dobre.

Jego słowa jakby zawisły w powietrzu. Amanda nie odpowiedziała. Gdy jednak Dawson oparł się o stangraya, coś sobie przypomniała i zrobiła krok w jego stronę.

– Pomyniałam zapytać Tannera, co z samochodem.

– Pomyślałem, że mógłbym wyremontować go do końca. Potem Tanner zadzwoniłby do właściciela i poprosił o odebranie wozu.

– Naprawdę?

– Z tego, co widzę, są tu wszystkie części – wyjaśnił. – I jestem prawie pewny, że Tuck by sobie życzył, bym skończył za niego robotę. Poza tym wybierasz się z matką na kolację, więc nie będę miał nic innego do roboty.

– Ile czasu ci to zajmie? – Amanda obrzuciła wzrokiem pudełka z częściami i samochodowymi mi.

– Nie wiem. Kilka godzin?

Skupiła uwagę na samochodzie. Przeszła obok niego i stanęła naprzeciwko Dawsona.

– Dobra – powiedziała. – Potrzebujesz pomocy?

Uśmiechnął się ironicznie.

– Nauczyłaś się naprawiać silniki, odkąd widzieliśmy się ostatnio?

– Nie.

– Więc zabiorę się do tego po twoim odjeździe – oznajmił. Odwrócił się i wskazał w stronę domu. – Możemy już wrócić do środka, jeśli chcesz. Strasznie tu gorąco.

– Nie chcę, żebyś pracował do późna – powiedziała i jak za dawnych czasów podeszła do miejsca, w którym kiedyś siadywała. Odsunęła zardzewiałą felgę, uniosła się na rękach i usiadła na stole. – Jutro czeka nas ciężki dzień. A poza tym zawsze lubiłam patrzeć, jak pracujesz.

Odniosł wrażenie, że słyszy w jej głosie coś jak obietnicę, i pomyślał, że czas cofnął się do lat, gdy był najszczęśliwszy. Odwracając się, przypomniał sobie jednak, że Amanda jest zamężna. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, były komplikacje wynikające z powrotu do przeszłości. Zaczepnął głęboko powietrza i sięgnął po pudełko, które stało na przeciwnym końcu stołu.

– Zanudziś się na śmierć. Zwłaszcza że to potrwa jakiś czas – zauważył, nie zdradzając się ze swoimi myślami.

– Nie martw się o mnie. Jestem przyzwyczajona.

– Do nudy?

Podciągnęła nogi na stół i objęła kolana ramionami.

– Siedziałam tu godzinami. Czekałam, aż skończysz, żebyśmy mogli wreszcie gdzieś pójść i się zabawić.

– Powinnaś być coś powiedzieć.

– Kiedy już nie mogłam wytrzymać, to mówiłam. Ale wiedziałam, że jeśli będę cię odciągać od pracy, Tucknie pozwoli mi tu przychodzić. Dlatego też nie zagadywałam cię przez cały czas.

Jej twarz była częściowo ukryta w cieniu, a głos brzmiał uwodzicielsko. Za dużo wspomnień – a ona jeszcze siedziała tu jak dawniej i mówiła w ten sposób. Wyjął gaźnik z pudełka i obejrzał go. Był najwyraźniej po naprawie, więc odłożył gaźnik na bok, a potem przebiegł wzrokiem po harmonogramie robót.

Przeszedł na przód samochodu, podniósł maskę i zajrzał pod nią. Później usłyszał, że Amanda chrząka, więc spojrzął na nią.

– Cóż, skoro Tucka nie ma – zaczęła – chyba możemy rozmawiać bez ograniczeń, nawet gdy

pracujesz.

– Dobra. – Wyprostował się i podszedł do stołu. – O czym chcesz rozmawiać?

Namyślała się przez chwilę.

– Może o tym? Co zapamiętałeś najlepiej z tego pierwszego lata, kiedy byliśmy razem?

Zastanawiając się nad jej pytaniem, sięgnął po komplet kluczy francuskich.

– Pamiętam, że zachodziłem w głowę, dlaczego chcesz spędzać ze mną czas.

– Pytam poważnie.

– A ja poważnie odpowiadam. Nie miałem nic, a ty wszystko. Mogłaś spotykać się z każdym.

I chociaż nie afiszowaliśmy się ze swoją znajomością, już wtedy wiedziałem, że przeze mnie spadną na ciebie kłopoty. To nie miało dla mnie sensu.

Wsparła brodę na kolanach, które objęła ciasniej rękami.

– A wiesz, co ja zapamiętałam najlepiej? Naszą wycieczkę nad Atlantyk. Wtedy gdy widzieliśmy rozgwiezdy. Jakby morze wyrzuciło je wszystkie na brzeg. Szliśmy plażą i wrzucaliśmy je z powrotem do wody. A później zjedliśmy na spółkę hamburgera i frytki, i patrzyliśmy na zachód słońca. Gadaliśmy wtedy chyba przez dwanaście godzin non stop. – Uśmiechnęła się, bo wiedziała, że on też musi to pamiętać. – Dlatego uwielbiałam być z tobą. Mogliśmy robić wspólnie najzwyklejsze rzeczy, na przykład wrzucać rozgwiezdy do morza, jeść razem hamburgera i rozmawiać. I już wtedy wiedziałam, jakie mam szczęście. Bo byłeś pierwszym chłopakiem, który nie próbował stać na mnie wrażenia. Akceptowałeś samego siebie, takiego, jakim byłeś, a co więcej, akceptowałeś mnie taką, jaką byłam. I nic innego się nie liczyło... ani moja, ani twoja rodzina, nikt inny na świecie. Byliśmy tylko my dwoje. – Przerwała. – Nie wiem, czy kiedykolwiek czułam się szczęśliwsza, ale z tobą zawsze tak było. Nie wyobrażałam sobie, że to może się skończyć.

Spojrzał jej w oczy.

– Może się nie skończyło.

Z perspektywy, którą daje wiek i dojrzałość, zrozumiała, jak bardzo ją wtedy kochał. I wciąż kocha, powiedziało jej coś w głębi duszy i nagle ogarnęło ją dziwne wrażenie, że wszystko, co przeżyli razem w przeszłości, stanowiło pierwsze rozdziały książki, której zakończenie jeszcze nie zostało napisane.

Ta myśl powinna ją przestraszyć, ale, o dziwo, tak się nie stało. Amanda przesunęła dłonią po wyrytych przed laty w stole inicjałach ich obojga.

– Przyjechałam tu po śmierci ojca, wiesz?

– Gdzie? Tutaj? – Kiedy kiwnęła głową, Dawson znowu wziął do ręki gaźnik – Myślałem, że zaczęłaś odwiedzać Tucka zaledwie kilka lat temu.

– Tuck nie wiedział, że tu byłam. Nie powiedziałam mu, że przyjechałam.

– Dlaczego?

– Nie mogłam. Tylko w ten sposób byłam w stanie się pozbierać, a poza tym chciałam być sama. – Urwała. – To było mniej więcej rok po śmierci Bei i wciąż nie mogłam dojść do siebie, gdy zadzwoniła matka i powiedziała, że tata miał zawał. Wydało mi się to niedorzeczne. On i mama odwiedzili nas w Durham tydzień wcześniej, a teraz pakowaliśmy dzieci do samochodu, żeby pojechać na jego pogrzeb. Podróż zajęła nam całe przedpołudnie i kiedy weszłam do domu, mama była ubrana jak spod igły i od razu zaczęła mi opowiadać o spotkaniu w zakładzie pogrzebowym. Nie widać było po niej żadnych emocji. Wydawało się, że najbardziej martwi ją

to, czy wybrała odpowiednie kwiaty do kościoła i czy obdzwoniłam wszystkich krewnych. To było jak koszmarny sen i pod koniec dnia czułam się bardzo... samotna. Więc wymknęłam się z domu w środku nocy i jeździłam bez celu, wreszcie z jakiegoś powodu zatrzymałam się przy drodze i przyszedłam tutaj. Nie potrafię wyjaśnić, jak to się stało. Ale siedziałam tu i płakałam chyba przez wiele godzin. – Odetchnęła głęboko, bo znowu ogarnęła ją fala wspomnień. – Wiem, że mój ojciec nie dał ci szansy, ale nie był zły m człowiekiem. Zawsze dogadywałam się z nim lepiej niż z mamą, a z upływem lat stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Uwielbiał dzieciaki... zwłaszcza Beę. – Zamilkła na moment, ale potem uśmiechnęła się ze smutkiem. – Nie wydaje ci się to dziwne? Że przyjechałam tutaj po jego śmierci?

Dawson zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – odparł. – Wcale nie wydaje mi się dziwne. Po odsiedzeniu wyroku ja także tu przyjechałam.

– Nie miałeś gdzie się podziać.

Uniósł brew.

– A ty miałaś?

Tak, rzeczywiście. Z domem Tucka wiązały się nie tylko idylliczne wspomnienia; przyjeżdżała tu również, żeby się wypłakać.

Mocniej splótła dłonie, odpędzając od siebie wspomnienia. Usiadła wygodnie i patrzyła, jak Dawson składa poszczególne elementy silnika. Popołudnie płynęło powoli, a oni rozmawiali swobodnie o codziennych sprawach, o przeszłości i teraźniejszości, uzupełniając informacje o swoim życiu i wymieniając opinie na temat wszystkiego, od książek aż po miejsca, które pragnęli odwiedzić. Amanda stale miała de ja vu, słysząc znajomy szcęk klucza francuskiego, gdy Dawson ujmował nim nakrętki. Widziała, jak się zmagał, żeby odkręcić śrubę, jak zaciskał szcękę, dopóki ta wreszcie nie ustąpiła. Tak jak w latach młodości od czasu do czasu przerywał robotę i spoglądał na nią, aby wiedziała, że słucha jej uważnie. To, że w ten swój dyskretny sposób dawał jej do zrozumienia, iż zawsze była i będzie dla niego ważna, uderzyło ją z bolesną intensywnością. Później, kiedy zrobił sobie przerwę i poszedł do domu, żeby przynieść dwie szklanki mrożonej herbaty, był taki moment, krótki moment, gdy wyobraziła sobie życie, które mogłaby z nim wieść – życie, którego zawsze pragnęła.

\*

Kiedy popołudniowe słońce stało już nisko nad wierzchołkami sosen, Dawson i Amanda wreszcie wyszli z warsztatu i powoli skierowali się do jej samochodu.

W ciągu ostatnich kilku godzin coś się między nimi zmieniło – może było to nieśmiałe odrodzenie tego, co łączyło ich w przeszłości – i oboje czuli się tym urzeczeni i jednocześnie przestraszeni. Dawson miał ochotę otoczyć ją ramieniem, gdy tak szli obok siebie, ale wyczuł jej zmieszanie i powstrzymał się od tego.

Amanda uśmiechnęła się niepewnie, kiedy wreszcie doszli do samochodu. Uniosła głowę i spojrzała na Dawsona. Zauważyła, że ma grube, gęste rzęsy, których mogłyby mu pozazdrościć wszystkie kobiety.

– Żałuję, że muszę jechać – wyznała.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Na pewno ty i mama będziecie się dobrze bawić.

Może, pomyślała, ale raczej nie.

– Zamkniesz dom, gdy już skończysz?

– Oczywiście, że tak – odrzekł. Zwrócił uwagę na to, jak słońce oświetla jej zaróżowioną twarz, podkreśla blask niesfornych pasemek włosów rozwiewanych przez lekki wiatr. – Jak się umawiamy na jutro? Spotkamy się tutaj, a może wolisz, żebym jechał za tobą?

Rozdarta wewnętrznie rozważała w myślach obie możliwości.

– Nie ma sensu jechać dwoma samochodami, prawda? – zapytała w końcu. – Może spotkajmy się tu o jedenastej i pojedźmy jednym wozem?

Kiwnął głową i spojrzał na nią. Żadne z nich się nie poruszyło. Wreszcie Dawson zrobił mały krok do tyłu, a wtedy czar prysł i Amanda poczuła, że oddycha z ulgą. Nie zdawała sobie sprawy, iż wstrzymała oddech.

Gdy usadowiła się za kierownicą, Dawson zamknął drzwi jej samochodu. Stał na tle zachodzącego słońca, tak że widziała tylko jego sylwetkę, i nagle odniosła wrażenie, iż ma przed sobą nieznanego. Dziwnie się poczuła i szukając kluczyków w torebce, zauważyła, że drżą jej ręce.

– Dzięki za lunch – powiedziała.

– Nie ma za co – odparł.

Ruszając w drogę, spojrzała w lusterko wsteczne i zobaczyła, że Dawson stoi w tym samym miejscu, w którym się pożegnali, jakby miał nadzieję, że Amanda zmieni zdanie i zawróci. Poczula, że budzi się w niej coś niebezpiecznego, coś, co starała się wyprzeć.

Wciąż ją kochał, teraz już była tego pewna, i ta świadomość ją upoiła. Wiedziała, że tak być nie powinno, i usiłowała zwalczyć w sobie to uczucie, ale Dawson i ich wspólna przeszłość już zapadły jej w duszę i nie mogła dłużej zaprzeczać, że po raz pierwszy od lat ma wrażenie, iż wreszcie wróciła do domu.

Ted patrzył, jak panna cheerleaderka wyjeżdża na drogę sprzed domu Tucka, i pomyślał, że kobieta wygląda cholernie dobrze jak na swój wiek. Ale zawsze była z niej laska i kiedyś, w dawnych czasach, nieraz myślał, żeby ją dorwać. Wrzucić do samochodu, zabawić się z nią, a potem pogrzebać ciało gdzieś, gdzie nikt by go nie znalazł. Ale włączył się tatuś Dawsona, powiedział, że dziewczyna jest nietykalna, i Ted uznał, że Tommy Cole wie, co mówi.

Tommy Cole jednak gównem wiedział. Ted zrozumiał to w pace i gdy z niej wychodził, nienawidził go prawie tak samo jak Dawsona. Tommy nie kiwnął palcem po tym, jak jego syn upokorzył ich obu. Naraził ich na pośmiewisko, dlatego znalazł się na czele listy Teda. Nietrudno było tamtej nocy upozorować śmierć z przepicia. Jedyne, co Ted musiał zrobić, to naszprycować starego spirytusem zbożowym, gdy ten stracił przytomność, a potem już tylko zacząć, aż idiota zadławi się na śmierć własnymi rzygami.

A teraz Ted zamierzał skreślić ze swojej listy Dawsona. Czelając, aż Amanda zniknie z pola widzenia, zaczął się zastanawiać, co tych dwoje tam robiło. Pewnie nadrabiali zaległości i kotłowali się w pościeli, wykrzykując nawzajem swoje imiona. Dałby głowę, że ona jest mężatką, i ciekaw był, czy jej mąż podejrzewa, co się dzieje. Pewnie nie. Baby nie chwala się skokami w bok, zwłaszcza te, które jeżdżą takimi brykami. Na pewno wyszła za jakiegoś bogatego dupka, przez całe popołudnie siedziała w salonie kosmetycznym i robiła sobie manikiur jak jej stara. Mąż był pewnie lekarzem albo prawnikiem, zbyt nadętym, aby dopuścić do siebie myśl, że zoneczka przyprawia mu rogi.

A ona pewnie umiała zachować to w tajemnicy. Jak większość bab. Do licha, już on coś o tym wiedział. Mężatka czy nie, dla niego to było bez różnicy; jeśli baba coś mu chciała dać, to brał i tyle. Zaliczył połowę kobiet z farmy, nawet żony kuzynów. Ich córeczki też. On i Claire, żona Calvina, spotykali się kilka razy w tygodniu od sześciu lat i nikomu nie pisnęła o tym słówkiem. Ella pewnie wiedziała, bo przecież prała jego gacie, ale trzymała buzię na kłódkę – dla własnego dobra. Męskie sprawy to męskie sprawy.

Tyłne światła samochodu zabyły mocniej, gdy Amanda pokonywała zakręt. Nie zauważyła jego pick-upa – nic dziwnego, bo zjechał z drogi i ukrył się wśród zarośli. Pomyślał, że zaczeka jeszcze kilka minut, aby się upewnić, że kobieta nie wróci. Nie potrzebował świadka, choć jeszcze nie bardzo wiedział, jak rozegrać sprawę. Jeśli Abee widział Dawsona tego rana, to Dawson na pewno też widział Abeego, a przecież nie był głupi. Więc może teraz siedział tam i czekał ze śrutówką na kolanach. Może miał własny plan, w razie gdyby pokazał się ktoś z rodziny.

Jakostatnim razem.

Ted poklepał glocka przy udzie i doszedł do wniosku, że w tej sytuacji najważniejszy będzie element zaskoczenia. Musi strzelić do Dawsona z bliska, potem załadować jego trupa do pick-upa i odprowadzić wynajęty samochód. Odkręcić tablice rejestracyjne i podpalić złom, żeby został z niego tylko szkielet. Pozbycie się zwłok to nie problem. Wystarczy je obciążyć i wrzucić do



rzeki, a już woda i czas zrobią swoje. Albo zakopać gdzieś w lesie, gdzie nikt ich nie odkryje. Trudno oskarżyć kogoś o zabójstwo, jeśli nie ma ciała. Panna cheerleaderka albo nawet szeryf pewnie by mieli podejrzenia, ale od podejrzeń do dowodów jeszcze daleka droga. Będzie wrzawa, oczywiście, ale potem sprawa przycichnie. A później on i Abee załatwią porachunki między sobą. Dość powiedzieć, że jeśli Abee nie będzie uważał, to też może wylądować na dnie rzeki.

Wreszcie gotowy Ted wysiadł z samochodu i zagłębił się w las.

\*

Dawson odłożył klucz francuski i zamknął maskę samochodu, bo skończył pracę nad silnikiem. Od czasu odjazdu Amandy nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go obserwuje. Gdy pierwszy raz miał takie odczucie, mocniej ścisnął klucz francuski w dłoni i wyjrzał zza maski, ale nikogo nie zobaczył.

Podszedł do wyjścia z garażu i uważnie rozejrzał się po okolicy. Objął spojrzeniem dęby oraz sosny o pniach porośniętych kudzu i zauważył, że cienie się wydłużają. W górze przeleciał jastrząb, rys jego sylwetki przesunął się po podjeździe. Z gałęzi drzew dobiegało ćwierkanie szpaków. Poza tym w upale wczesnego lata panowała cisza.

Ktoś jednak go obserwował. Ktoś tam był, Dawson nie miał co do tego wątpliwości i przypomniał sobie o śrutówce, którą przed laty zakopał za domem, pod dębem – niegłęboko, może ze stopę pod ziemią. Broń owinięta była w ceratę, zabezpieczona przed wilgocią. Tuck też miał broń w domu, pewnie pod łóżkiem, ale Dawson nie był pewny, czy została zarejestrowana. Z tego, co widział, w pobliżu nie było żywego ducha, ale w pewnej chwili dostrzegł jakiś ruch w łępie drzew po drugiej stronie podjazdu.

Gdy jednak wycężył wzrok, niczego nie zobaczył. Zamrugnął powiekami, czekając w napięciu i próbując się zorientować, czy nie poniosła go wyobraźnia, kiedy nagle włoski zjeżyły mu się na karku.

\*

Ted szedł ostrożnie, bo wiedział, że pośpiech byłby przejawem głupoty. Nagle pożałował, że nie zabrał ze sobą

Abego. Dobrze by było, gdyby zaszli Dawsona z dwóch stron. Ale przynajmniej Dawson był na miejscu – chyba że sobie poszedł. Bo warkot silnika Ted by usłyszał.

Zaczął się zastanawiać, gdzie konkretnie Dawson może być. W domu, w warsztacie czy gdzieś na zewnątrz? Miał nadzieję, że nie jest w chałupie, bo trudniej by było dostać się do niej niezauważenie. Dom Tucka stał na małej polanie, nad płynącym z tyłu strumieniem, ale miał okna ze wszystkich stron i Dawson mógł zobaczyć, że ktoś się zbliża. Ted pomyślał, że najlepiej byłoby się przyzaić i zaczekać, aż Dawson w końcu wyjdzie. Problem w tym, że mógł wyjść tylnymi albo frontowymi drzwiami, a Ted nie mógł być w obu miejscach jednocześnie.

Przydałoby się go w jakiś sposób wywabić na zewnątrz. Gdyby Dawson wyszedł z domu, Ted musiałby tylko zaczekać, żeby ten zbliżył się do niego na odległość strzału. Na tę myśl poczuł się pewnie, bo Glock, który nosił za paskiem, miał zasięg około trzydziestu stóp.

Tylko jak wywabić drania z chałupy? To było pytanie.

Podkradł się bliżej, omijając znajdujące się przed nim skupiska kamyków marglowych; margiel występował w całym hrabstwie. Proste, ale skuteczne. Rzuci kilka odłamków w samochód albo w okno. Dawson wybiegnie z domu, żeby sprawdzić, co się dzieje, a Ted już będzie na niego czekał.

Wziął garść kamyków i wsadził je do kieszeni.

\*

Dawson cicho skierował się do miejsca, w którym widział ruch. Jednocześnie przypomniał sobie halucynacje, które miewał od czasu wybuchu na platformie, i pomyślał, że to wszystko wydaje się zbyt znajome. Dotarł do końca polany i zajął między drzewa, próbując zapanować nad przyspieszonym biciem serca.

Zatrzymał się, gdy usłyszał świergot szpaków – na drzewach było ich ze sto. Może nawet z tysiąc. W dzieciństwie zawsze patrzył z fascynacją, jak całym stadem, niczym powiązane sznurkiem, zrywają się z gałęzi, kiedy kłaskał w ręce. Teraz ćwierkały jakoszalałe.

Czyżby to miało być ostrzeżenie?

Tego nie wiedział. Las żył swoim życiem; powietrze było słone i przesycone zapachem gnijącego drewna. Gałęzie niskopiennych dębów opadały ku ziemi, a potem wzniosły się w stronę nieba. Kudzu i mech hiszpański zasłaniały widok już w odległości kilku stóp.

Znowu zauważył ruch kątem oka i odwrócił się szybko w tamtą stronę. Gdy ciemnowłosy mężczyzna w niebieskiej wiatrówce wszedł za drzewo, Dawsonowi zaparło dech w piersiach. Słyszał w uszach własny puls. Nie, pomyślał, to niemożliwe. To nie dzieje się naprawdę, nie może dziać się naprawdę. Pewnie znowu ma zwidy.

Mimo to rozchylił gałęzie i ruszył za mężczyzną w głąb lasu.

\*

Już niedaleko, pomyślał Ted. Przez gałęzie dojrzał komin i pochylił się, ostrożnie stawiając stopy. Tylko bez hałasu, żadnych szelestów. To była podstawowa zasada podczas polowania, a Ted zawsze był dobry w tej dziedzinie.

Człowiek czy zwierzę – co za różnica, gdy myśliwy zna się na rzeczy.

\*

Dawson przedzierał się przez zarośla, lawirując wśród drzew. Oddychał ciężko, bo starał się nadążyć za mężczyzną. Nie chciał się zatrzymać, ale z każdym krokiem ogarniał go coraz większy lęk.

Dotarł do miejsca, w którym widział ciemnowłosego mężczyznę, i szedł dalej, rozglądając się za nim. Cały spływał potem, tak że koszula lepiała mu się do pleców. Powściągnął pokusę, żeby zawołać tamtego; choć nie był pewien, czy w ogóle zdołałby wydobyć z siebie głos, bo zaschło mu w gardle.

Poszycie lasu było suche, pod jego stopami trzaskały sosnowe gałązki. Gdy przeskakiwał nad zwalonym drzewem, dostrzegł ponownie ciemnowłosego mężczyznę. W powiewającej

wiatrówce przedzierał się wśród gałęzi i co chwila nurkował pod konarami drzew.

Dawson puścił się za nim biegiem.

\*

Ted wreszcie doszedł do sterty drewna, która stała na skraju polany. Dom znajdował się bezpośrednio za nią. Ze swojego punktu obserwacyjnego mógł już nawet zajrzeć do garażu. Wciąż paliło się w nim światło i Ted prawie minutę patrzył w tamtą stronę, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Dawson musiał tam wcześniej pracować przy samochodzie, to pewne. Ale już wyszedł, nie było go też przed warsztatem.

A zatem był w domu albo za nim. Ted skrył się z powrotem w lesie, aby zejść chałupę od tyłu. Tu także ani śladu Dawsona. Wycofawszy się, Ted wrócił po swoich śladach za stos drewna. Dawson nie pojawił się jednak w garażu. A to oznaczało, że jest w domu. Pewnie poszedł się czegoś napić albo odlać. Tak czy siak, niedługo wróci.

Ted postanowił czekać.

\*

Dawson dostrzegł mężczyznę po raz trzeci, tym razem w pobliżu drogi. Popędził za nim, nie zważając na chłostające gałęzie, ale nie mógł go dogonić. Ciężko dysząc, po jakimś czasie zwolnił i w końcu zatrzymał się na skraju drogi.

Mężczyzna zniknął. Jeśli, oczywiście, w ogóle był w lesie, bo Dawson nagle stracił co do tego pewność. Opuściło go nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowany, podobnie jak znikł niedawny lodowaty dreszcz strachu; czuł się już tylko zgrzany i zmęczony, no może jeszcze sfrustrowany. Poza tym było mu trochę głupio.

Tuck widział Clarę, a teraz on widywał ciemnowłosego mężczyznę, ubranego w wiatrówkę w gorący letni dzień. Czy obaj zwariowali? Dawson stanął bez ruchu i czekał, aż jego oddech się uspokoi. Był pewny, że ten facet go śledzi, ale po co? Kim był? I czego od niego chciał?

Tego wszystkiego nie wiedział, ale im bardziej próbował sobie przypomnieć, co właściwie widział, tym bardziej mu to umykało. Wspomnienie nikło jak sen kilka minut po przebudzeniu, aż w końcu już niczego nie był pewny.

Pokręcił głową zadowolony, że przynajmniej prawie skończył robotę przy stingrayu. Chciał wrócić do pensjonatu, wziąć prysznic, położyć się i przemyśleć sprawy. Nieznajomy mężczyzna z ciemnymi włosami, Amanda... od czasu wypadku na platformie w jego życiu zapanował zamęt. Spojrzał w stronę, z której przyszedł, i uznał, że nie ma sensu wracać przez las. Łatwiej byłoby wyjść na drogę i złapać okazję. Wkroczył więc na asfalt i uszedł kawałek, gdy zauważył starego pick-upa, który stał na poboczu za kępą krzaków.

Zastanowiło go, co ten samochód tutaj robi; w tej części lasu nie było nic, z wyjątkiem domu Tucka. Pick-up miał nieuszkodzone opony, ale mógł się zepsuć, a jeśli tak, to jego właściciel poszedłby drogą do najbliższego domu szukać pomocy. Dawson wszedł za krzaki i stwierdził, że samochód jest zamknięty; wyciągnął rękę i położył ją na masce. Silnik był ciepły, ale nie gorący. Wóz stał tu godzinę albo dwie.

Dziwne wydawało się także to, że wjechał nim za krzaki. Gdyby trzeba go było wziąć na hol,

łatwiej byłoby to zrobić na poboczu. Wszystko wskazywało na to, że kierowca po prostu nie chciał, aby ktoś zauważył jego samochód.

Może więc zależało mu, aby pozostać w ukryciu?

Nagle wszystko zaczęło do siebie pasować, zwłaszcza że rano widział Abeego. To wprawdzie nie był jego pick-up – siedział przed sklepem w innym wozie – ale to nic nie znaczyło. Dawson ostrożnie obszedł samochód do miejsca, w którym gałęzie zostały odsunięte na bok.

Ktoś tędy ruszył w las, kierując się w stronę domu Tucka.

\*

Zmęczony czekaniem Ted wyjął z kieszeni garść kamyków, ale pomyślał, że jeśli zbije szybę w oknie, Dawson – o ile jest w domu – może jednak pozostać w środku. Jeżeli natomiast coś uderzy w ścianę domu, wyjdzie, aby sprawdzić, co się stało. Pewnie nawet przejdzie obok stosu drewna, w odległości kilku stóp. Wtedy Ted nie chybi celu.

Zadowolony podrzucił w ręce większy kamyk. Ostrożnie wyjrzał zza stosu drewna, ale nie zobaczył w oknie nikogo. Szybko podniósł rękę, zamachnął się i z całej siły rzucił kamieniem w stronę domu, a potem schylił się, gdy ten z głośnym grzmotnięciem uderzył w ścianę.

Z tyłu stado szpaków zerwało się do lotu z gałęzi drzew.

\*

Dawson usłyszał stłumiony huk i nad głową przeleciały mu szpaki, które chwilę później znowu usiadły na drzewach. Dźwięk, który je spłoszył, nie był odgłosem strzału, tylko czegoś innego. Dawson zwolnił i po cichu ruszył w stronę domu Tucka.

Ktoś tam był. Nie miał co do tego wątpliwości. Któryś z jego łuzaków, na pewno.

\*

Ted zaczął się niecierpliwic. Gdzie jest, do cholery, ten Dawson? – zaczął się zastanawiać. Nie mógł nie słyszeć tego uderzenia, więc gdzie się podziewa? Dlaczego nie wychodzi?

Wyjął z kieszeni kolejny kamień i rzucił go z jeszcze większą siłą.

\*

Dawson zamarł, gdy usłyszał kolejny huk, tym razem głośniejszy. Odrpężył się jednak i podszedł bliżej, próbując zlokalizować źródło hałasu.

Ted – ukryty za stosem drewna. I uzbrojony.

Stał tyłem do Dawsona i wyglądał zza drewna, obserwując dom. Czyżby czekał, aż Dawson wyjdzie? Próbował wywabić go na zewnątrz, robiąc hałas?

Dawson nagle pożałował, że zakopał śrutówkę. Albo że nie ma przy sobie innej broni. W garażu znalazłoby się jakieś narzędzie, jednakże nie miał szansy dostania się tam tak, żeby Ted go nie zauważył. Pomyślał o powrocie na drogę, lecz nic nie wskazywało na to, że Ted odejdzie, chyba że miałby jakiś powód. Wszystko jedno; z postawy łuzaka wynikało, że zaczyna się denerwować, a to nie było takie złe. Niecierpliwość to największy wróg łowcy.

Dawson schował się za drzewo. Miał nadzieję, że wyjdzie z tego cały i zdrowy.

\*

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Ted zaczął się już naprawdę wkurzać. Wciąż nic, cisza i spokój. Żadnego ruchu ani od frontu, ani z tyłu, ani nawet w tych cholernych oknach. Ale samochód z wypożyczalni stał na podjeździe – Ted widział nalepkę na zderzaku – no i ktoś przedtem pracował w garażu. A przecież, do licha, nie mógł to być Tuck ani Amanda. Jeżeli więc Dawson nie był przed ani za domem, to musiał być w środku.

Tylko dlaczego nie wychodził?

Może oglądał telewizję albo słuchał muzyki... albo spał, brał prysznic czy Bóg wie co jeszcze. Z jakiegoś powodu nic nie słyszał.

Ted tkwił przyczajony jeszcze pięć minut. Ogarniał go coraz większy gniew. W końcu miał już dość tego czelania. Wyskoczył zza stosu drewna i podbiegł pochylony pod boczną ścianę domu, a potem wyjrzał zza niej w stronę ganku. Nikogo nie zobaczył, więc wypadł zza rogu i wszedł na palcach po schodach. Przywarł płasko do ściany między drzwiami a oknem.

Nadstawił ucha, żeby pochwycić jakikolwiek dźwięk ze środka. Ale nic nie usłyszał... ani skrzy pienia podłogi, ani odgłosów z telewizora, ani muzyki. Gdy się upewnił, że nikt go nie widzi, zajrzał przez okno do środka. Ujął gałkę u drzwi i obrócił ją powoli.

Dom nie był zamknięty. Świetnie.

Ted wyjął broń zza paska.

\*

Dawson patrzył, jak Ted powoli otwiera drzwi frontowe i zamyka je za sobą. Gdy kuzyn zniknął z widoku, Dawson pobiegł do warsztatu. Miał minutę, może nawet mniej. Chwycił porzewiałą felgę ze stołu i cicho ruszył w stronę ganku, licząc, że Ted jest w kuchni albo w sypialni. Modlił się, żeby się nie mylił.

Przebiegł po schodach i przywarł plecami do ściany w tym samym miejscu co wcześniej Ted. Mocniej ujął felgę i przygotował się do akcji. Chwilę później usłyszał, że Ted w środku przeklina, zbliżając się do drzwi frontowych. Kuzyn stanął w progu i Dawson dostrzegł panikę na jego twarzy, gdy ten go zobaczył – o moment za późno.

Zamachnął się felgą i poczuł wibracje w ramieniu, gdy spadła na nos Teda. Zalewając się gorącą czerwoną krwią, kuzyn zatoczył się do tyłu, a wtedy Dawson skoczył za nim. Ted upadł na podłogę, Dawson zaś uderzył go felgą w wyciągniętą rękę i wytrącił mu broń. Rozległ się trzask łamanej kości i Ted zaczął krzyczeć.

Gdy wyl się na podłodze, Dawson sięgnął po pistolet i wymierzył go w Teda.

– Powiedziałem ci, żebyś tu nie przychodził.

Były to ostatnie słowa, które Ted usłyszał, zanim oślepiony bólem wywrócił oczami i stracił przytomność.

\*

Chociaż Dawson nienawidził swojej rodziny, nie mógł zdobyć się na to, żeby zabić Teda. Nie

wiedział jednak, co z nim zrobić. Pomyślał, że powinien zadzwonić po szeryfa, ale wiedział, że i tak on, Dawson, nie przyjechałby do miasteczka na proces kuzyna. Poza tym straciłby wiele godzin, bo musiałby złożyć zeznanie, które pewnie wzbudziłoby podejrzenia. Był przecież jednym z Cole'ów i już raz został skazany. Nie, doszedł do wniosku, nie potrzebuje dodatkowych kłopotów.

Jednakże nie mógł Teda tak zostawić. Kuzyn potrzebował pomocy lekarskiej. Gdyby mimo wszystko Dawson zawiózł go do szpitala, na pewno nie obesłoby się bez szeryfa. To samo by się stało, gdyby wezwał pogotowie.

Pochylił się i przeszukał Tedowi kieszenie. Znalazł telefon komórkowy. Otworzył kłapkę, nacisnął kilka guzików i wszedł w listę kontaktów. Zobaczył w niej wykaz imion, z których większość znał. Dobrze jak na razie. Odszukał kluczyki do pick-upa, a potem pobiegł do garażu i wziął linę elastyczną oraz kable, żeby związać Teda. Później, gdy zaszło słońce, przerzucił sobie kuzyna przez ramię.

Zaniósł go podjazdem do drogi i wrzucił na tył samochodu. Wsiadł za kierownicę, uruchomił silnik i ruszył w stronę kawałka ziemi, na którym się wychował. Gdy zbliżał się do farmy Cole'ów, wyłączył światła, ponieważ nie chciał zwracać na siebie uwagi. Zatrzymał się przed tabliczką z napisem „Wstęp wzbroniony”, wyciągnął Teda z pick-upa i oparł o słup graniczny.

Wyjął telefon i znalazł na liście kontaktów numer Abeego. Kuzyn odebrał po czterech sygnałach. Dawson usłyszał w tle głośną muzykę.

– Ted?! – wrzasnął Abee, przekrzykując hałas. – Gdzie, do cholery, się podziewasz?

– To nie Ted. Ale lepiej po niego przyjeźdź. Nie jest z nim dobrze – rzucił Dawson. Zanim Abee zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wyjaśnił mu, gdzie znajdzie brata. Rozłączywszy się, rzucił telefon na ziemię, między nogi Teda.

Wrócił do pick-upa i pośpiesznie odjechał. Wrzuciwszy pistolet Teda do rzeki, postanowił wpaść do pensjonatu i wziąć swoje rzeczy. Potem zamierzał odstawić samochód Teda tam, gdzie go znalazł, wsiaść do swojego wozu i znaleźć jakiś hotel pod Orientalem, w którym mógłby wreszcie wziąć prysznic i coś zjeść.

Był zmęczony. Miał za sobą długi dzień. Który na szczęście się kończył.

## 9

Abee Cole czuł się tak, jakby ktoś przypalał mu żołądek żywym ogniem. Gorączka go wciąż nie opuszczała i pomyślał, że powinien zapytać lekarza o swoją ranę, gdy ten zajrzy do pokoju Teda. Ale wtedy łapiduch jeszcze i jego zechciałby wziąć do szpitala, a on nie mógł do tego dopuścić. Skończyłoby się na pytaniach, na które nie miał ochoty odpowiadać.

Było późno, dochodziła północ, i w szpitalu wreszcie zapanował spokój. Abee w przygaszonym świetle spojrzął na brata i pomyślał, że Dawson nieźle go urządził. Jak poprzednio. Abee był pewny, że Ted nie żyje, kiedy go znalazł. Twarz zakrwawiona, ramię zgięte pod dziwnym kątem – był wściekły, że brat stracił czujność. Albo Dawson się na niego zaczął – to podsunęło Abeemu myśl, że może kuzyn miał własny plan.

Znowu poczuł ból w trzewiach i ogarnęła go fala mdłości.

Pobyt w szpitalu mu nie służył; gorąco było jak w piecu. Abee siedział w tym pokoju tylko dlatego, że chciał być przy Tedzie, gdy ten się obudzi, żeby dowiedzieć się od niego, co Dawson knuje. Poczuł przypływ strachu, ale pomyślał, że może nie rozumuje racjonalnie. Lepiej, żeby te antybiotyki zadziałały, i to szybko.

Cały wieczór szlag trafił, nie tylko przez Teda. Abee postanowił wyskoczyć z domu i zobaczyć się z Candy wcześniej, ale gdy dotarł do Tidewater, tłoczyła się wokół niej połowa facetów z baru. Wystarczyło, żeby spojrzął na nią raz, i już wiedział, że baba coś knuje. Miała na sobie bluzkę bez pleców, w której wszystko było jej widać, i krótkie szorty, ledwie zakrywające tyłek. Gdy zobaczyła, że przyszedł, od razu się zdenerwowała, jakby ją na czymś przyłapał, i nie wyglądała na uszczęśliwioną jego widokiem. Miał ochotę natychmiast wyciągnąć ją z baru, ale uznał, że przy tylu ludziach to nie jest najlepszy pomysł. Porozmawia z nią później, postanowił, a wtedy wróci jej rozum. Nie ma co do tego wątpliwości. A na razie tylko musiał się dowiedzieć, dlaczego tak się przestraszyła, gdy przyszedł. Co miała na sumieniu. Albo raczej kogo.

Bo o to chodziło, bo na bank o jakiegoś faceta z baru. I chociaż Abeemu kręciło się w głowie od gorączki i miał ogień w brzuchu, zamierzał się dowiedzieć, który to gość.

Usadowił się wygodniej, bo i tak musiał czekać, i po pewnym czasie wytypował najbardziej podejrzanego. Młody facet, ciemnowłosy, który jak na przelotną znajomość trochę za bardzo z Candy flirtował. Ona stale dotykała jego ramienia, a podając piwo, pokazywała mu dekolt. Abee pomyślał, że coś musi z tym zrobić, gdy zadzwonił telefon i okazało się, że to Dawson. niewiele później pędził samochodem do szpitala z Tedem leżącym na tylnym siedzeniu. Ale nawet w drodze do New Barn wyobrażał sobie Candy z tym zarozumiałym dupkiem: jak

zdejmuje tę swoją bluzkę, a potem jęczy w jego ramionach.

W tej chwili właśnie kończyła robotę i ta myśl przepełniła go wściekłością. Bo wiedział dobrze, kto ją odprowadza do samochodu, i nie mógł nic na to poradzić. Musiał się dowiedzieć, co zamierza Dawson.

\*

Ted przez całą noc odzyskiwał i tracił przytomność, na skutek leków i wstrząsu mózgu był zamroczony, nawet gdy się budził. Ale następnego dnia przed południem czuł już tylko wściekłość. Na Abeego, bo wciąż pytał, czy Dawson go szuka; na Ellę, bo bez przerwy ryczała, pociągała nosem i histeryzowała; na krewniaków, bo – dobrze słyszał – szepotali w korytarzu, jakby się zastanawiali, czy mają się go jeszcze bać, czy już nie. Głównie jednak był wściekły na Dawsona. Leżąc w łóżku, Ted wciąż usiłował sobie przypomnieć, co się właściwie stało. Po przebudzeniu się w szpitalu pamiętał tylko to, że Dawson stał nad nim z felgą. Długo nie mógł zrozumieć, co Abee i Ella do niego mówią. W końcu lekarze go skrępowali i zagrozili, że wezwą policję.

Od tego czasu zachowywał się spokojniej, bo był to jedyny sposób, żeby się stąd wydostać. Abee siedział na krześle, a Ella przy łóżku, tuż obok. Wciąż krzątała się przy nim i powściągnął chęć, aby ją walnąć, choć był przywiązany do łóżka i nawet nie mógł tego zrobić. Ponownie sprawdził, jak mocne są pasy, i wrócił myślami do Dawsona. Tym razem faceta wykończy, na bank miał gdzieś zalecenie lekarza, żeby został w szpitalu na obserwację, i jego przestrogi, że wszelkie ruchy mogą okazać się dla niego niebezpieczne. Dawson mógł w każdej chwili wyjechać z miasteczka. Kiedy więc Ted usłyszał, że Ella wśród szlochów dostała czkawki, wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Idź stąd. Muszę pogadać z Abeem.

Ella otarła twarz i wyszła z pokoju bez słowa. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Ted zwrócił się do Abeego. Pomyślał, że brat wygląda jak kupa gówna. Czerwony na twarzy, cały zlany potem. Ta rana. To Abee powinien znaleźć się w szpitalu, nie on.

– Zbierz mnie stąd – warknął.

Abee pochylił się, krzywiąc z bólu twarz.

– Chcesz go dopaść?

– Jeszcze z nim nie skończyłem, to pewne.

Abee wskazał gips na jego ręce.

– Jak zamierzasz go dorwać w takim stanie? Jeśli wczoraj, z obiema sprawnymi rękami, nie dałeś mu rady?

– Wezmę ze sobą ciebie. Najpierw zawieziesz mnie do domu, żebym zabrał drugiego glocka. A potem we dwóch załatwimy sprawę.

Abee odchylił się na oparcie krzesła.

– A dlaczego niby mam się w to bawić?

Ted wytrzymał jego spojrzenie. Przypomniawszy sobie grad pytań, którymi zasypał go wcześniej brat.

– Bo zanim odleciałem, powiedział, że ty będziesz następny.



Dawson wbiegł na połac mokrego piasku na skraju wody, bez zapalu ścigając rybitwy, gdy najpierw podlatywały ku falom, a potem przed nimi uciekały. Mimo wczesnej pory na plaży było całkiem sporo innych biegaczy, ludzi wyprowadzających psy, dzieci budujących zamki z piasku. Za wydrami mieszkańcy domów letniskowych, opierając nogi na balustradach, pili na tarasach kawę i cieszyli się porankiem.

Miał szczęście, że udało mu się dostać pokój. O tej porze roku hotele przy plaży miały zwykłe komplet gości i dopiero po kilku telefonach trafił na taki, w którym ktoś odwołał rezerwację. Mógł szukać kwatery tutaj albo w New Barn. Ale ponieważ w New Barn znajdował się szpital, uznał, że lepiej będzie trzymać się od niego jak najdalej. Postanowił się przyznać. Przypuszczał, że Ted nie zamierzał mu darować następnej zniewagi.

Mimo wszelkich wysiłków nie mógł przestać myśleć o ciemnowłosym mężczyźnie. Gdyby za nim nie poszedł, nie odkryłby, że Ted na niego czeka. Mężczyzna – duch – przywołał go do siebie i on posłuchał, jak wtędy na oceanie, po wybuchu na platformie.

Te dwa zdarzenia wciąż przewijały mu się w głowie i splatały ze sobą. Raz mogło mu się zdawać, że ktoś uratował mu życie, a dwa razy? W końcu zaczął się zastanawiać, czy wizyty ciemnowłosego mężczyzny nie mają głębszego sensu, czy ich celem nie jest uratowanie mu życia z jakiegoś powodu, którego nie znał.

Żeby uciec od tych myśli, Dawson przyspieszył kroku i jego oddech stał się cięższy. Nie zwalnając, zdjął koszulkę i otarł nią pot z twarzy. Dostrzegł w oddali molo i postanowił zwiększyć tempo, dopóki do niego nie dobiegnie. Po kilku minutach poczuł opór w mięśniach. Ale biegł dalej; skupiał się tylko na tym, żeby zmusić swoje ciało do jak największego wysiłku, podświadomie jednak zerkał stale na boki, jakby szukał wśród ludzi na plaży ciemnowłosego mężczyzny.

Gdy dotarł wreszcie do mola, zamiast zwolnić, utrzymał tempo aż do hotelu. Po raz pierwszy od wielu lat zakończył jogging z gorszym samopoczuciem, niż go zaczynał. Pochylił się, żeby odzyskać oddech, nie zbliżywszy się nawet do jakiegokolwiek odpowiedzi na nurtujące go pytanie. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że od czasu gdy przyjechał do miasteczka, bardzo zmienił się wewnątrz. Wszystko wokół niego wydawało się jakieś inne. Nie z powodu ciemnowłosego mężczyzny, Teda ani tego, że Tuckumarł. Wszystko wydawało się inne z powodu Amandy. Nie była już tylko wspomnieniem; nagle stała się aż nadto rzeczywista – była pełnokrwistą, żywą wersją dawnej Amandy, która nigdy tak naprawdę go nie opuściła. Tamta Amanda niejednokrotnie nawiedzała go w snach i miał wątpliwości, czy te sny o niej zmienią się w przyszłości. Kim będzie ona sama? Nie miał pewności. Na pewno wiedział tylko to, że przy niej czuł się spełniony w sposób znany jedynie niewielu ludziom.

Na plaży zapanował spokój, poranni goście wracali do swoich samochodów, a plażowicze jeszcze nie rozłożyli ręczników. Fale uderzały o brzeg w spokojnym rytmie, ich szum był wręcz hipnotyzujący. Dawson spojrział na morze spod zmrużonych powiek, myśli o przyszłości

przepełniły go rozpaczą. Choć bardzo mu na Amandzie zależało, musiał pamiętać, że jest mężatką i ma dzieci. Wystarczająco trudno było zakończyć to wtedy, przed laty; teraz myśl o ponownym rozstaniu stała się dla niego nie do zniesienia. Powiał wiatr, który szepnął mu, że jego czas z Amandą dobiega końca. Dawson wszedł do hotelu przybity tą świadomością, pragnąc z całego serca, żeby wszystko się odmieniło.

\*

Im więcej kawy wypijała Amanda, tym bardziej dojrzewała do rozprawy z matką. Znajdowały się na tylnej werandzie, która wychodziła na ogród. Matka siedziała sztywno w białym wiklinowym fotelu, ubrana tak, jakby spodziewała się wizyty gubernatora, i komentowała wydarzenia poprzedniego wieczoru. Z wyraźnym zadowoleniem bez ustanku doszukiwała się aluzji i podtekstów w tonie i słowach znajomych, z którymi wczoraj jadły kolację i grały w karty.

Właśnie z powodu brydża wieczorna wizyta, która według przewidywań Amandy miała trwać godzinę, najwyżej dwie, przeciągnęła się do dziesiątej trzydzieści. I nawet o tej porze nikt z pozostałych nie miał ochoty wracać do domu. Amanda zaczęła już wtedy ziewać i nie bardzo pamiętała cokolwiek z tego, o czym mówiła teraz matka. Według Amandy prowadzone poprzedniego wieczoru rozmowy nie różniły się od tych sprzed lat, a jeśli o to chodzi, również od wszystkich innych w małym miasteczku. Dotyczyły sąsiadów i wnuków, rosnącej ceny pieczonych żeberek, tego, kto ostatnio miał czytanie z Biblii oraz jak zawiesić komplet zasłon, a wszystko okraszone odrobiną nieszkodliwych plotek. Były to prozaiczne sprawy, ale matka potrafiła podnieść zwykłą pogawędkę do rangi wydarzenia państwowego i rozpatrywać je z taką samą powagą. A ponieważ byłyby w stanie dostrzec dramat nawet we własnej szafie, Amanda cieszyła się, że zdążyła wypić pierwszą kawę, zanim starsza pani zaczęła swoją litanie żalów i pretensji.

Jeszcze trudniej było jej się skupić, bo nie mogła przestać myśleć o Dawsonie. Próbowwała sobie wmówić, że wszystko jest pod kontrolą, ale w takim razie dlaczego wciąż widziała przed oczami, jak gęste włosy opadają mu na kołnierzyk, jak wygląda w dżinsach i jak naturalnie się czuła się w objęciach

Dawsona, gdy witali się po jego przyjeździe? Miała dość długi staż małżeński, aby wiedzieć, że to wszystko jest mniej ważne niż zwykła przyjaźń i wzajemne zaufanie oparte na wspólnocie interesów i że kilka dni razem po ponad dwudziestu latach rozłąki nie wystarczy, by zbudować taką więź. Miała też świadomość, że potrzeba dużo czasu, aby nawiązać przyjaźń, a zaufanie też rodzi się powoli, stopniowo. Czasami zauważała, że kobiety widzą w mężczyźnie to, co chcą zobaczyć, przynajmniej na początku, i przyszło jej do głowy, że popełnia taki sam błąd. Gdy jałowo szukała odpowiedzi na te pytania, matce nie zamykały się usta. Mówiła i mówiła, bez przerwy...

– Czy ty mnie słuchasz? – zapytała w pewnej chwili, wyrывая ją z zamyślenia.

Amanda odstawiła filiżankę z kawą.

– Oczywiście, że słucham.

– Mówiłam właśnie, że powinnaś popracować nad licytacją.

– Od dawna nie grałam w brydża.

– Dlatego powiedziałam, że powinnaś zapisać się do jakiegoś klubu... albo sama go założyć –

zakonkludowała matka. – Czy to cię nie interesuje?

– Przepraszam. Mam dziś dużo spraw na głowie.

– No tak Cicha uroczystość?

Amanda zignorowała zaczepkę, bo nie była w nastroju do kłótni. Dobrze wiedziała, do czego dąży matka, która od samego rana szukała urojonych powodów, aby wreszcie przystąpić do ataku.

– Mówiłam ci, że Tuck chciał, aby go skremowano, a jego prochy rozrzucono – wyjaśniła. Starala się mówić spokojnym tonem. – Jego żona, Clara, także została skremowana. Może uważał, że w ten sposób połączą się ze sobą i zostaną razem na zawsze.

Matka jednak jakby w ogóle jej nie słyszała.

– Jak można chcieć czegoś takiego? Brzmi wręcz... odrażająco.

Amanda odwróciła głowę ku rzece.

– Nie wiem, mamo. Nie zastanawiałam się nad tym.

Twarz matki pozostała nieruchoma i bez wyrazu jak maska.

– A dzieci? Jakiś mają?

– Dziś jeszcze nie rozmawiałam ani z Jaredem, ani z Lynn. Ale z tego, co wiem, mają się dobrze.

– A Frank?

Amanda napiła się lawy, żeby zyskać na czasie. Nie miała ochoty rozmawiać o Franku. Nie po wieczornej kłótni, zresztą takiej samej jak wszystkie inne od pewnego czasu, o których on nigdy długo nie pamiętał. Małżeństwa, zarówno te dobre, jak i złe, to układ oparty na powtarzających się motywach.

– Wszystkie u niego w porządku.

Matka kiwnęła głową. Najwyraźniej czekała na dalszy ciąg. Ale Amanda nic więcej nie powiedziała.

Starsza pani w ciszy wygładziła serwetkę na kolanach i wróciła do poprzedniego tematu.

– To jakie masz plany na dzisiaj? Tak po prostu rozsypiesz prochy tam, gdzie sobie zaży czy?

– Coś w tym rodzaju.

– Nie potrzeba na to zezwolenia? To okropne, że ludziom wolno robić takie rzeczy, gdzie tylko zechcą.

– Prawnik nic na ten temat nie mówił, więc pewnie nie ma problemu. To dla mnie zaszczyt, że Tuck chciał, abym w tym uczestniczyła.

Matka pochyliła się lekko do przodu i uśmiechnęła z wyższością.

– No tak, przecież byliście przyjaciółmi – zauważyła.

Amanda odwróciła się, nagle tym wszystkim zmęczona – matką, Frankiem, drobnymi oszustwami, z których ostatnio składało się jej życie.

– Owszem, mamo, byliśmy przyjaciółmi. Lubiłam jego towarzystwo. Był jednym z najlepszych ludzi, jakich znam.

Matka po raz pierwszy wydała się skonsternowana.

– Gdzie się ma odbyć ta uroczystość? – zapytała.

– Dlaczego chcesz wiedzieć? Przecież tego wszystkiego nie pochwalasz.

– Pytam dla podtrzymania rozmowy. – Prychnęła. – Nie musisz od razu być niemila.

– Jeśli jestem niemila, to dlatego, że cierpię. A może dlatego, że nie okazujesz mi zrozumienia.

Nie powiedziałaś nawet: „Przykro mi z powodu jego śmierci. Wiem, że był ci bliski”. Ludzie zwykle mówią coś takiego, gdy ktoś traci przyjaciela.

– Może bym powiedziała, gdybym wiedziała cokolwiek o tej waszej przyjaźni. Ale zawsze ją przede mną ukrywałaś.

– A czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, dlaczego to robiłam? Może miałam powody?

Matka przewróciła oczami.

– Nie bądź śmieszna. Nie zmuszałam cię do kłamstw. Ani do różnych wybiegów, żeby się z nim spotykać. To ty podejmowałaś decyzje, nie ja, a każda decyzja ma swoje konsekwencje. Musisz nauczyć się brać odpowiedzialność za swoje wybory życiowe.

– Myślisz, że tego nie wiem? – Amanda poczuła, że się czerwieni.

– Wydaje mi się – oświadczyła matka, przeciągając słowa – że czasami jesteś zbyt skoncentrowana na sobie.

– Ja? – Amanda zamrugała powiekami. – Uważasz, że ja jestem zbyt skoncentrowana na sobie?

– Oczywiście – odparła z przekonaniem matka. – Każdy jest, do pewnego stopnia. Ale ty czasami już z tym przesadzasz.

Amanda spojrzała na drugą stronę stołu, zbyt zdumiona, aby odpowiedzieć. To, że coś takiego mówi jej matka – ze wszystkich ludzi właśnie ona! – tylko spotęgowało jej gniew. Dla matki wszyscy ludzie byli tylko lustrami, w których się przeglądała.

Amanda starannie dobrała słowa.

– Myślę, że to nie jest temat do rozmowy.

– A ja myślę, że jest – sprzeciwiła się matka.

– Bo nie powiedziałam ci o Tucku?

– Nie – odparła. – Bo wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z twoimi problemami małżeńskimi.

Amanda poczuła, że wzdryga się wewnątrz na tę uwagę. Jednakże zmusiła się, żeby zachować spokojny ton i obojętną minę.

– Skąd przy puszczenie, że mam problemy małżeńskie?

Matka odpowiedziała neutralnym tonem, ale bez odrobiny ciepła:

– Nie doceniasz mnie, a to, że nie zaprzeczasz, tylko dowodzi, że mam rację. Nie martwi mnie, że nie chcesz rozmawiać ze mną o tym, co dzieje się między wami. To wasza sprawa, twoja i Franka. Nie mogę nic w tej sprawie zrobić ani powiedzieć. Obie o tym wiemy. Małżeństwo opiera się na partnerstwie i nie ma w nim miejsca na demokrację. Ale nasuwa się pytanie, co cię przez te wszystkie lata łączyło z Tuckiem. Jeśli się nie mylę, nie jeździłaś do niego tylko po to, żeby go odwiedzić. Czulaś potrzebę rozmowy z nim.

Matka zawiesiła głos, unosząc pytająco brwi, i w milczeniu, które zapadło, Amanda próbowała zapanować nad zaskoczeniem. Matka poprawiła serwetkę.

– Przypuszczam, że wrócisz na kolację. Wolisz zjeść w domu czy dołądźś pójść?

– Więc to tak? – wypaliła Amanda. – Rzucasz ot tak podejrzenia i oskarżenia, a potem po prostu kończysz rozmowę?

Matka złożyła ręce na kolanach.

– Nie zakończyłam tej rozmowy. To ty nie chcesz ze mną o tym rozmawiać. Gdybym była na twoim miejscu, dobrze bym się zastanowiła, czego naprawdę chcę, bo gdy wrócisz do domu,

będziesz musiała podjąć decyzje dotyczące twojego małżeństwa. Albo wyjdzie ono na prostą, albo nie. I to w dużej części zależy od ciebie.

W jej słowach była brutalna prawda. Tu nie chodziło tylko o nią, Amandę, i Franka; chodziło o ich wspólne dzieci. Nagle ogarnęła ją bezsilność. Odstawivszy filiżankę na spodek poczuła, że opuszcza ją gniew, zostawiając po sobie poczucie kłęski.

– Pamiętasz tamtą rodzinę wydr, które bawiły się niedaleko tarasu? Gdy byłam małą dziewczynką? – zapytała wkońcu. Nie czekała jednak na odpowiedź. – Tata wychodził z domu, kiedy się pojawiały, i zabierał mnie nad rzekę. Siadaliśmy na trawie i patrzyliśmy, jak barszkiują w wodzie i się ganiają. Myślałam wtedy, że to najszczęśliwsze stworzenia na świecie.

– Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z...

– Niedawno znowu je widziałam – ciągnęła Amanda, wchodząc matce w słowo. – W zeszłym roku, gdy podczas wakacji pojechaliśmy nad morze, wybraliśmy się do aquaparku w Pine Knoll Shores na wystawę poświęconą wydróm. Bardzo się na nią cieszyłam. Wcześniej z dziesięć razy opowiadałam Annette o wydrach za domem i ona też nie mogła się już doczekać, kiedy je zobaczy. Ale gdy wreszcie tam się znaleźliśmy, okazało się, że to zupełnie nie to samo co kiedyś, gdy byłam mała. Wydry oczywiście były, ale spały na brzegu sadzawki. Choć czekałismy kilka godzin, nawet się nie poruszyły. W drodze do wyjścia Annette zapytała mnie, dlaczego się nie bawiły, i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. A potem, gdy wyszliśmy z aquaparku, zrobiło mi się... smutno. Bo zrozumiałam powód. – Oderwała palec od brzegu filiżanki, po którym nim sunęła, i spojrzała na matkę.

– Po prostu nie były szczęśliwe. Tamte wydry, które znałam z dzieciństwa, żyły w naturalnym środowisku, w rzece. Te z aquaparku jakimś sposobem znalazły się w niewoli, z której nie mogły uciec, i to czuły. To nie było życie, jakie miały wieść, ale nic nie mogły na to poradzić.

Po raz pierwszy, odkład zasiały przy stole, matka sprawiała wrażenie osoby, która nie wie, co powiedzieć. Amanda odsunęła od siebie filiżankę i wstała. Gdy odchodziła od stołu, usłyszała, że matka chrząka. Spojrzała na nią.

– Rozumiem, że chciałaś mi coś powiedzieć poprzez tę historię? – zapytała matka.

Amanda uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Tak – odparła łagodnie. – Owszem.

Dawson opuścił dach stingraya i oparł się o bagażnik samochodu. Czekał na Amandę. Powietrze było parne, ciężkie, zapowiadało się na burzę po południu, więc zaczął się zastanawiać, czy Tuck ma gdzieś w domu parasol. Wątpił w to. Nie wyobrażał sobie Tucka z parasolem, tak jak nie wyobrażał go sobie w sukience, ale kto wie? Jak się okazało, Tuck był zaskakującym człowiekiem.

Po ziemi przesunął się cień i Dawson zobaczył, że rybołów zatacza w górze powolne, leniwe kręgi. W końcu na podjeździe ukazał się samochód Amandy. Rozległ się chrzęst żwiru pod kołami, gdy zajechała w ocienione miejsce obok jego wozu.

Wysiadła z samochodu zaskoczona widokiem czarnych spodni i białej, starannie wyprasowanej koszuli; najwyraźniej strój ten zrobił na niej wrażenie. Z niedbale przerzuconą przez ramię marynarką Dawson wydawał się wręcz nieprzyzwoicie przystojny, co przywiodło jej na myśl niedawne, jakby prorocze słowa matki. Zaczepnęła głęboko powietrza, zastanawiając się, co robi.

– Spóźniłam się? – zapytała i ruszyła w jego stronę.

Dawson patrzył na nią, gdy się zbliżała. Nawet z odległości kilku kroków widział, że poranne słońce wydobywa jasny błękit jej oczu, które przypomniały świetliste wody dzikiego jeziora. Była ubrana w czarny kostium ze spodniami i jedwabną bluzką bez rękawów. Na szyi miała srebrny medalion.

– Ależ skąd – odpowiedział. – Przyjechałem wcześniej, żeby sprawdzić, czy samochód jest gotowy do jazdy.

– No i?

– Ten, kto go remontował, znał się na rzeczy.

Uśmiechnęła się, gdy do niego podeszła, a potem, pod wpływem impulsu, pocałowała go w policzek Dawson, jakby nie wiedział, co ma o tym myśleć, zmieszał się tak jak ona, kiedy przypomniawszy sobie, co powiedziała jej matka. Starając się o tym zapomnieć, wskazała samochód.

– Opuściłeś dach? – zapytała.

To pytanie wyrwało go z zamyślenia.

– Przyszło mi do głowy, że możemy nim pojechać do Vandemere.

– To nie nasz samochód.

– Wiem. Ale powinienem się nim przejechać, żeby sprawdzić, czy wszystko gra – wyjaśnił. – Wierz mi, że właściciel wolałby wiedzieć, czy ma sprawny wóz, zanim wieczorem skoczy nim do miasta.

– A jeśli zepsuje się po drodze?

– Nie zepsuje się.

– Jesteś pewien?

– Tak

Na jej ustach pojawił się uśmiešek

– To po co go testować?

Rozłożył ręce przy łapanym na podstępie.

– No dobra, może po prostu mam ochotę się nim przejechać. To wręcz grzech trzymać taki wóz w garażu, zwłaszcza że właściciel się o niczym nie dowie, a ja mam kluczyki.

– Niech zgadnę... a później, kiedy wrócimy, wjedziesz nim na rolki i wrzucisz wsteczny, żeby licznik wskazywał tę samą liczbę kilometrów co poprzednio? I właściciel się o niczym nie dowie?

– Tak się nie da.

– Wiem. Dowiedziałam się tego, gdy oglądałam *Wolny dzień Ferrisa Buellera*. – Uśmiechnęła się kącikiem ust.

Pochylił się trochę, obejmując ją wzrokiem.

– A przy okazji, wyglądasz ośniewająco.

Słyszac komplement, poczuła, że fala gorąca oblewa jej szyję. Ciekawa była, czy kiedykolwiek przestanie się przy nim rumienić.

– Dziękuję. – Odsunęła pasmo włosów za ucho i teraz z kolei ona mu się przyjrzała, starając się zachować dystans. – Chyba nigdy wcześniej nie widziałam cię w garniturze? Jest nowy?

– Nie, ale rzadko go noszę. Tylko na specjalne okazje.

– Chyba Tuck byby zadowolony – skomentowała. – Co w końcu robięś zeszłego wieczoru?

Przypomniał sobie o Tedzie i o tym, co się wydarzyło, a także o przenosinach do hotelu na plaży.

– Niewiele. A jak kolacja z matką?

– Nie warto nawet mówić. – Zajrzała do wnętrza samochodu i przesunęła dłonią po kierownicy, a potem znowu spojrzała na Dawsona. – Ale rano odbyłyśmy ciekawą rozmowę.

– Tak?

Pokiwała głową.

– To dało mi do myślenia. Zastanawiałam się nad ostatnimi dniami, nad sobą, tobą... nad życiem. Nad wszystkim. Podczas jazdy tutaj doszłam do wniosku, że Tuck dobrze zrobił, nie mówiac ci o mnie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo wczoraj, gdy byliśmy w warsztacie... – Urwała, żeby znaleźć odpowiednie słowa. – Myślę, że się nie popisałam. Nie postąpiłam właściwie. I chciałabym cię przeprosić.

– Za co mnie przepaszasz?

– Trudno mi to wytłumaczyć. Chodzi o to, że...

Nie dokończyła. Dawson przyglądał jej się przez chwilę, a potem zbliżył się o krok.

– Wszystko w porządku, Amando?

– Sama nie wiem – odparła. – Nic już nie wiem. Kiedy byliśmy młodzi, wszystko było prostsze.

Teraz z kolei on się zawahał.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Musisz zrozumieć, że nie jestem już tą dziewczyną, którą bylam kiedyś – zaczęła. – Zostałam żoną i matką. Nie jestem doskonała, jak nikt z nas. Miotam się, gdy mam dokonać wyboru,

popelniam błędy i często nie bardzo wiem, kim naprawdę jestem, co właściwie robię, czy moje życie w ogóle ma jakiś sens. Nie jestem nikim wyjątkowym, Dawsonie, i powinieneś o tym wiedzieć. Powinieneś zrozumieć, że jestem... całkiem zwyczajna.

– Wcale nie jesteś zwyczajna.

Spojrzała na niego z bólem, ale nieustępliwie.

– Wiem, że tak myślisz. Ale się mylisz, jestem zwyczajna. Chodzi o to, że to, co się teraz dzieje, nie jest zwyczajne. Żałuję, że Tuck nie mówił mi nic o tobie, bo mogłabym się jakoś przygotować na to spotkanie. – Nieświadomie uniosła rękę i dotknęła srebrnego medalionu. – Nie chcę popełnić błędu.

Dawson niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Dobrze rozumiał, dlaczego Amanda mówi mu to wszystko. Był to jeden z powodów, dla których ją kochał, choć wiedział, że nie powinien się z tym wyrywać. Nie to chciała usłyszeć. Więc powiedział najłagodniej, jak potrafił:

– Po prostu rozmawialiśmy, zjedliśmy razem kolację i lunch, wspominaliśmy. I nic więcej. Nie zrobiłaś niczego złego.

– Owszem, zrobiłam. – Uśmiechnęła się, ale nie mogła ukryć smutku. – Nie powiedziałam matce, że tu jesteś. Ani mężowi.

– A chcesz powiedzieć? – zapytał.

To była zasadnicza kwestia, czyż nie? Nieświadomie matka zapytała ją o to samo. Amanda wiedziała, co powinna odpowiedzieć, ale te słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Powoli pokręciła głową.

– Nie – wyszeptała w końcu.

Dawson jakby wyczuł, że przestraszyła się własnej odpowiedzi, i wziął ją za rękę.

– Jedźmy do Vandemere – zaproponował. – I uczcijmy pamięć Tucka, dobrze?

Skłębła głową i pozwoliła sobie ulec sugestii zawartej w jego dotyku. Poczucia jednocześnie, że znowu traci kontrolę nad sobą, i zaczęła godzić się ze świadomością, że nie ma wpływu na to, co będzie dalej.

\*

Dawson zaprowadził ją na drugą stronę samochodu i otworzył drzwi. Amanda wsadła do środka i poczuła zawrót głowy, gdy Dawson wyjął z wynajętego samochodu szkatułkę zawierającą prochy Tucka, a potem ustawił ją za fotelem. Położył marynarkę na tylnym siedzeniu i zajął miejsce za kierownicą. Amanda wyjęła z torebki wskazówkę dotyczące dojazdu i odłożyła ją za siebie.

Dawson kilka razy nacisnął sprzęgło, a potem przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał głośno. Wtedy Dawson zwiększył obroty tak, że samochód zadrżał. W końcu wrzucił wsteczny bieg i wycofał wóz z garażu, a później ruszył powoli do głównej drogi, starając się unikać wybojów. Warkot silnika trochę przycichł, gdy jechali przez Oriental, żeby dostać się na autostradę.

Amanda wreszcie się uspokoiła i odkryła, że kątem oka widzi wszystko, co chce zobaczyć. Dawson trzymał jedną dłoń na kierownicy, tak jak kiedyś, gdy przed laty jeździli bez celu. Zawsze wtedy się odprężał i teraz też tak było; gdy spokojnie zmieniał biegi, mięśnie jego ramion napinały się i rozluźniały.



Kiedy samochód nabrał prędkości, włosy zaczęły powiewać jej na wietrze, więc związała je w koński ogon. Było zbyt głośno, żeby mogli rozmawiać, ale to jej odpowiadało. Cieszyła się, że jest sama ze swoimi myślami, sama z Dawsonem, i w miarę jak pokonywali kolejne mile, jej wcześniejszy niepokój zaczął zniknąć, jakby rozwiął go wiatr.

Dawson jechał ze stałą prędkością, mimo że mieli przed sobą pustą drogę. Nie spieszyło mu się nigdzie, jej też nie. Jechała samochodem z mężczyzną, którego kiedyś kochała, zmierzała z nim do nieznanego im obojgu miejsca, i uzmysłowiła sobie, że ta myśl jeszcze kilka dni wcześniej wydałaby jej się niedorzeczna. Było to niewyobrażalne szaleństwo, ale miało w sobie coś upajającego. Przy najmniej przez jakiś czas nie była żoną, matką ani córką, i po raz pierwszy od wielu lat poczuła się prawie wolna.

Ale przy Dawsonie zawsze tak się czuła. Kiedy wystawił łokieć przez okno, zerknęła na niego, próbując sobie przypomnieć, czy zna kogoś, kto choć trochę byłby do niego podobny. W zmarszczkach wokół jego oczu było coś bolesnego i smutnego, i mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jakim byłby ojcem. Przypuszczała, że dobrym. Łatwo było sobie wyobrazić, jak godzinami odrzuca synkowi piłkę do baseballu, próbuje zapleść włosy córeczce, choćby nie miał pojęcia, jak to się robi. W tej wizji było coś dziwnie urzekającego i jednocześnie niebezpiecznego.

Dawson także spoglądał na nią co jakiś czas i wiedziała, że o niej myśli. Ciekawa była, ile razy mu się to zdarzało, gdy był na platformie wiertniczej. Dawson, podobnie jak Tuck, należał do tych nielicznych osób, które zakochują się tylko raz, a rozłąka jedynie wzmacnia ich miłość. Dwa dni wcześniej ta refleksja wytrąciłaby ją z równowagi, ale teraz Amanda wiedziała już, że Dawson nie potrafi inaczej. Miłość zawsze mówi więcej o tych, którzy ją odczuwają, niż o tych, którzy są jej obiektem.

Powiał lekki wietrzyk z południa, który przyniósł ze sobą zapach morza, a Amanda przymknęła oczy, ulegając czarowi chwili. Kiedy wreszcie dotarli na obrzeża Vandemere, Dawson rozłożył kartkę z trasą dojazdową, spojrzał na nią szybko i pokłiwał głową.

Vandemere było raczej wsią niż miasteczkiem, mieszkało tu zaledwie kilkaset osób. Amanda zauważyła skupisko domów stojących w pewnej odległości od drogi i mały wiejski sklepik z pojedynczym dystrybutorem paliwa od frontu. Chwilę później Dawson zjechał na zrytą koleinami bitą drogę. Jak ją zauważył – nie miała pojęcia. Droga była tak zarośnięta, że z autostrady prawie niewidoczna. Toczyli się nią przed siebie, skręcając raz w lewo, raz w prawo, okrążając gnijące pnie obalonych podczas burzy drzew i lekko posuwając się w górę, razem ze wznoszącym się krajobrazem. Silnik, tak głośny na autostradzie, teraz wydawał się prawie niesłyszalny, jego dźwięk jakby pochłaniała bujna przyroda, która napierała na nich ze wszystkich stron. Droga zwężała się coraz bardziej i nisko rosnące gałęzie pokryte mchem hiszpańskim muskały przejeżdżający pod nimi samochód. Azalie z niepokornym kwieciami walczyły z kudzu o światło słoneczne, zasłaniając widok po obu stronach.

Dawson pochylił się nad kierownicą i gdy posuwali się do przodu, manewrował samochodem, starając się nie zadrasnąć lakieru. Słońce na niebie tymczasem zaszło za kolejną chmurę i otaczająca ich zieleń przybrała jeszcze ciemniejszy odcień.

Droga rozszerzyła się lekko, gdy pokonali jeden i zaraz potem drugi zakręt.

– To szaleństwo – odezwała się w pewnym momencie Amanda. – Jesteś pewien, że dobrze jedziemy?

– Według mapy jesteśmy już prawie na miejscu.

– Dlaczego tak daleko od głównej drogi?

Dawson wzruszył ramionami równie zaintrygowany jak ona. Gdy skręcili po raz trzeci, instynktownie wcisnął hamulec, bo oboje nagle poznali odpowiedź.

Na końcu podjazdu stał mały domek, wokół którego rosły stare wiecznie zielone dęby. Do wielokowego budyneczku z łuszczącą się farbą i czerniejącymi na brzegach okiennicami prowadził mały kamienny ganek z białymi kolumnami. Z biegiem lat jedną z kolumn opłotło dzikie wino, które wspinało się ku dachowi. Na skraju ganku stało metalowe krzesło, a w rogu – kwitnące geranium w małej donicy, które stanowiło wśród zieleni czerwoną plamę.

Ich wzrok przykuły w sposób nieunikniony dzikie kwiaty. Były ich tysiące, tworzyły istną feerię barw, która rozciągała się aż po schodki na ganek – i to morze czerwieni, oranżu, purpury, błękitu i żółci, sięgające prawie do pasa, kołysało się pod wpływem wiatru. Nad łąką latały setki motyli – chmary mieniących się w słońcu kolorów. Pole otaczał niski drewniany płot ze sztachet, ledwie widoczny pośród lilii i mieczyków.

Amanda popatrzyła na Dawsona ze zdumieniem, a potem znowu spojrzała na łąkę z kwiatami. Była to czysta fantazja, wyobrażenie raj. Zaczęła się zastanawiać, jak i kiedy Tuck zasiał te kwiaty, i wtedy, w jednej chwili, uzmysłowała sobie, że zrobił to dla Clary. Zasiał je wszystkie, aby w ten sposób wyrazić, ile dla niego znaczyła.

– To niewiarygodne – szepnęła.

– Wiedziałaś o tym? – W głosie Dawsona brzmiało takie samo zaskoczenie.

– Nie – odpowiedziała. – To należało tylko do nich dwojga.

Gdy to mówiła, przed oczami wyraźnie stanął jej obraz Clary siedzącej na ganku i Tucka opartego o kolumnę, delektujących się odurzającym pięknem tego dzikiego ogrodu. Dawson wreszcie zdjął stopę z hamulca i samochód potoczył się w stronę domku, a otaczające ich kolory zalały się w zatartą smugę jak kropelki żywej farby w blasku słońca.

Zatrzymali się przed domkiem, wysiedli i ponownie ogarnęli wzrokiem scenę. Wśród kwiatów ukazała się wąska, kręta ścieżka. Urzeczeni zagłębili się w to wielobarwne morze pod usianym białymi obłokami niebem. Słońce wyjrzało zza chmury i Amanda poczuła jego ciepło, które natychmiast wydobyło wonie z otoczenia. Odniosła wrażenie, że wyostrzyły jej się wszystkie zmysły, jakby ten dzień miał być tylko dla niej.

Dawson, który siedł obok niej, wziął ją za rękę. Pozwoliła mu na to, bo pomyślała, że to taki naturalny gest. Wydawało jej się, że wyczuwa lata pracy w odciskach na jego dłoni. Miał na skórze także drobne blizny, ale jego dotyk był bardzo delikatny. Wtedy, nagle, z niezachwianą pewnością zrozumiała, że Dawson też stworzyłby dla niej taki ogród, gdyby wiedział, że ona tego chce.

Na zawsze. Wyciął te słowa na stole w warsztacie Tucka. Żarliwa przysięga nastolatka, nic więcej, a jednak jakimś cudem potrafił jej dotrzymać. Poczwała teraz moc tej przysięgi, która zbliżyła ich do siebie, gdy tak szli wśród kwiatów. Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony grzmot i pomyślała, że to wezwanie skierowane do niej, prośba, żeby słuchała.

Otarła się ramieniem o jego ramię i poczuła, że serce bije jej szybciej.

– Ciekawe, czy te kwiaty odradzają się co roku, czy Tuck musiał je za każdym razem wysiewać – odezwał się Dawson.

Jego pytanie wyrwało ją z zadumy.

– Pewnie jedno i drugie – odpowiedziała. Jej głos zabrzmiał dziwnie nawet w jej własnych uszach. – Rozpoznaję niektóre z nich.

– Więc przyjechała tu na wiosnę? Żeby je wysiać?

– Chyba tak. Widzę tu kwiaty dzikiej marchwi. Matka ma ją w ogródku, ale to roślina jednoroczna, umiera z nadejściem zimy.

Przez kilka minut wędrowali dalej ścieżką, podczas gdy Amanda wskazywała rośliny, które znała: jednoroczne rudbekie, liatry kłosowe, powoje, facelie błękitne, a także wieloletnie niezapominajki, ratibidie i maki. W ogrodzie nie było żadnego porządku, jakby Bóg i natura chcieli mieć ostatnie słowo, niezależnie od zamiarów Tucka. Mimo to dziwota jedynie przydawała mu urody i gdy takszli wśród nieregularnych plam koloru, Amanda myślała o tym, jak bardzo cieszy się, że jest z nią Dawson i że mogą przeżyć to razem.

Wiatr się nasilił, przynosząc chłód i przywiewając kolejne chmury. Zauważyła, że Dawson spogląda w niebo.

– Zanosi się na burzę – zauważył. – Chyba muszę podnieść dach samochodu.

Kiwnęła głową, ale nie puściła jego ręki. Gdzieś w głębi duszy bała się, że Dawson drugi raz nie ujmie jej dłoni, że nie będzie już do tego okazji. Ale niewątpliwie miał rację, chmury były coraz ciemniejsze.

– Zaraz dołączę do ciebie w środku – powiedział. W jego głosie brzmiała podobna niechęć i dopiero po chwili rozplótł palce, żeby uwolnić jej dłoń.

– Myślisz, że drzwi nie są zamknięte na klucz?

– Mogę się o to założyć. – Uśmiechnął się lekko. – Przyjdę za minutę.

– Możesz przynieść moją torebkę?

Skinał głową na potwierdzenie i gdy patrzyła, jak się oddalał, przypominała sobie, że nim go pokochała, durzyła się w nim. Było to dziewczęce zauroczenie, pod wpływem którego wypisywała jego imię w zeszytach, zamiast odrabiać lekcje. Nikt, nawet on, nie wiedział, że to, iż stworzyli zespół na zajęciach z chemii, nie było wcale przypadkiem. Gdy nauczyciel poprosił uczniów, żeby dobrali się w pary, wyszła do łazienki, a kiedy wróciła, Dawson, jak zwykle, został sam. Koleżanki rzuciły jej współczujące spojrzenia, ale ona cieszyła się w głębi duszy, że ma okazję poznać tego milczącego, tajemniczego chłopaka, który wydawał się dojrzalszy od swoich rówieśników.

Teraz, gdy zamykał samochód, Amanda miała wrażenie, że historia się powtarza, i ogarnęło ją takie samo podniecenie jak wtedy, w szkole. Dawson miał w sobie coś, co przemawiało tylko do niej i tworzyło poczucie więzi, której brakowało jej w latach, gdy nie byli razem. I wiedziała, że na jakimś poziomie świadomości cały czas na niego czekała, tak jak on czekał na nią.

Nie wyobrażała sobie teraz, że miałyby nigdy więcej go nie zobaczyć; nie mogła pozwolić, aby stał się jedynie wspomnieniem. Włączył się sam los – w postaci Tucka – i gdy szła w stronę domku, rozumiała, że jest ku temu powód. Wszystko to coś oznaczało. Przeszłość odeszła i pozostała im już tylko przyszłość.

Zgodnie z przewidywaniami Dawsona drzwi nie były zamknięte na klucz. Wchodząc do środka, Amanda pomyślała, że musiało to być schronienie Clary.

Domek był zbudowany z cedru jak dom w Orientale, miał podłogę z sosnowych desek i rozkład mniej więcej taki jak tamten, na kanapie leżały kolorowe poduszki, a na ścianach wisiały artystycznie porozmieszczane czarno-białe fotografie.

Cedrowe deski zostały wyszlifowane na gładko papierem ściernym i pomalowane jasnoniebieską farbą, a przez duże okna do pokoju wlewało się naturalne światło. Amanda zwróciła uwagę na dwa wbudowane w ściany regały, zastawione książkami i figurkami z porcelany, które najwyraźniej zbierała Clara. Na oparciu dużego wyściełanego fotela leżał piękny koc ręcznej roboty, a na rustykalnych stolikach nie było nawet śladu kurzu. Po obu stronach pokoju stały lampy podłogowe, a obok radia w kącie opierała się o ścianę ślubna fotografia Clary i Tucka, tylko mniejsza niż ta w Orientale.

Usłyszała, że Dawson za jej plecami wchodzi po schodkach do domu. Po chwili stanął w progu bez słowa. W rękach trzymał jej torebkę i swoją marynarkę. Najwyraźniej odebrało mu mowę.

Amanda także nie kryła zdumienia.

– To jest niesamowite, prawda?

Dawson powoli rozejrzał się po pokoju.

– Mam wątpliwości, czy przyjechaliśmy we właściwe miejsce.

– Spokojna głowa – odparła i wskazała zdjęcie przy radiu. – Jesteśmy tam, gdzie trzeba. Ale wyraźnie widać, że tu rządziła Clara, nie Tuck i tak już pozostało.

Dawson przerzucił marynarkę przez oparcie fotela, a na jego siedzisku położył torebkę Amandy.

– Nie pamiętam, żeby u Tucka kiedykolwiek było tak czysto. Chyba Tanner wynajął kogoś, żeby tu posprzątał na nasz przyjazd.

Oczywiście, że tak, pomyślała Amanda. Tanner przecież wspominał, że wybiera się do Vandemere, a poza tym sugerował, żeby przyjechali tutaj dzień po wizycie w jego kancelarii. Niezamknięte drzwi tylko utwierdziły ją w tych przypuszczeniach.

– Widziałaś resztę domku? – zapytał Dawson.

– Jeszcze nie. Zastanawiałam się właśnie, gdzie Clara pozwalała Tuckowi siedzieć. Na pewno nie wolno mu było tu palić.

Dawson spojrział przez ramię w stronę otwartych drzwi.

– Już wiadomo, skąd to krzesło na ganku. Pewnie tam palił.

– Nawet po jej śmierci?

– Być może bał się, że jeśli zapali w środku, zjawi się jej duch i go zbeszta.

Uśmiechnęła się na to i razem ruszyli w obchód po domku. Gdy wychodzili z saloniku, otarli się o siebie ramionami. Tak jak w Orientale kuchnia znajdowała się na tyłach i wychodziła na rzekę. W niej także najwyraźniej rządziła Clara, sądząc po białych szafkach, skomplikowanych sztukateriach na gzymsie i biało-niebieskich kafelkach nad blatem. Na kuchence stał imbryk do herbaty, a na blacie – wazon z dzikimi kwiatami, najwyraźniej zebranych w ogrodzie. Stół znajdował się pod oknem; stały na nim dwie butelki wina, czerwonego i białego, oraz dwa lśniące kieliszki.

– Staruszek staje się przewidywalny – skomentował

Dawson, patrząc na butelki.

Amanda wzruszyła ramionami.

– To nie najgorsza wada.

Przez chwilę w milczeniu podziwiali rozciągający się za oknem widok na rzekę Bay. Gdy tak stali obok siebie, Amanda rozkoszowała się naturalną ciszą, która nie wywoływała skrępowania, bo wynikała z zażyłości. Czują, jak pierś Dawsona wznosi się i opada wraz z oddechem, i musiała pohamować impuls, aby znowu wziąć go za rękę. Jakby za milczącym porozumieniem oboje jednocześnie odwrócili się od okna i kontynuowali obchód domu.

Naprzeciwko kuchni mieściła się sypialnia, pośrodku której stało wygodne łóżko z baldachimem. Zasłony były białe, a biurko pozbawione zadrapań i rys charakterystycznych dla mebli Tucka w Orientale. Na szafkach nocnych znajdowały się dwie takie same lampki z kryształowymi abażurami, a naprzeciwko szafy wisiał impresjonistyczny pejzaż.

Do sypialni przylegała łazienka z wanną na lwich łapach, z rodzaju tych, które Amanda zawsze chciała mieć. Nad umywalką znajdowało się stare lustro i w pewnej chwili ujrzała swoje odbicie – obok Dawsona. Pierwszy raz, odkąd wrócili po latach do Orientale, zobaczyła się razem z nim. Uświadomiła sobie, że jako nastolatki nie zrobili sobie wspólnego zdjęcia. Mieli taki zamiar, ale nigdy go nie zrealizowali.

Pożałowała tego teraz, ale co by jej przyszło z pamiątkowego zdjęcia? Wsadziłaby je do szuflady i zapomniała, tylko co kilka lat trafiałaby na nie podczas porządków? Albo schowałaby je w jakimś szczególnym miejscu, znanym tylko sobie? Nie miała pojęcia, lecz odbicie własnej twarzy obok Dawsona w łazienkowym lustrze wydało jej się czymś intymnym. Od dawna przy nikim nie czuła się tak atrakcyjna jak przy nim. Miała świadomość, że ciągnie ją do niego. Urzekło ją jego spojrzenie i płynne ruchy ciała; wyczuwała łączące ich niemal pierwotne porozumienie. Choć spotkali się ponownie zaledwie przed dwoma dniami, instynktownie mu ufała i wiedziała, że może zwierzyć się ze wszystkiego. Owszem, pokłócili się tego pierwszego wieczoru przy kolacji i potem znowu, podczas rozmowy o Bonnerach, ale powiedzieli sobie to, co mieli na sercu. Nie uciekali się do podtekstów, ukradkowych prób wywierania presji; dali wyraz temu, co czuli, a potem wszystko wróciło do normy.

Amanda przyglądała się odbiciu Dawsona. On zwrócił się ku niej i pochwycił jej spojrzenie w lustrze. Nie umykając wzrokiem w bok, wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął pasmo włosów, która opadło jej na oczy. I chwilę potem wyszedł, zostawiając ją z poczuciem, że jej życie nieodwołalnie się zmieniło, i to w sposób, którego sobie nie wyobrażała.

\*

Wziąwszy torebkę z saloniku, Amanda znalazła Dawsona w kuchni. Otworzył butelkę czerwonego wina i nalał go do kieliszków. Wręczył jej jeden z nich i bez słowa skierowali się na ganek. Na horyzoncie zbierały się ciemne chmury niosące ze sobą lekką mgłę. Na stromym porośniętym drzewami stoku, który schodził nad rzekę, liście przybrały głęboki odcień zieleni.

Amanda odstawiła kieliszek z winem i wsunęła rękę do torebki. Wyjęła dwie koperty i podała Dawsonowi jedną, tę, na której widniało jego imię. Drugą, którą mieli przeczytać wspólnie przed rozsypaniem prochów Tucka, położyła sobie na kolanach. Dawson złożył swoją kopertę i schował ją do tylnej kieszeni spodni.

Amanda podała mu tę, którą zatrzymała.

– Jesteś na to gotowy?

– Nigdy nie będę, ale trudno.

– Chcesz ją otworzyć? Mielibyśmy przeczytać list przed ceremonią.

– Ty to zrób. – Przynął sobie krzesło do niej. – Będziemy czytać razem.

Amanda podważyła brzeg koperty i rozerwała ją delikatnie. Gdy rozkładała list, uderzył ją niewyraźny charakter pisma na kartkach. Niektóre słowa były przekreślone, a nierówne linijki niewątpliwie wyszły spod drżącej ręki starego człowieka. W kopercie znajdowały się trzy kartki zapisane z obu stron. Amanda ciekawa była, ile czasu zajęło Tuckowi napisanie tego listu. W nagłówku widniała data: 14 lutego bieżącego roku. Walentyńki. Nie zdziwiło jej to.

– Gotowy? – zapytała Dawsona.

Kiedy skinął głową, Amanda pochyliła się nad listem i oboje zaczęli czytać.

*Amando i Dawsonie!*

*Dziękuję Wam, że przyjechaliście. I za to, że robicie to dla mnie. Nie miałem nikogo innego, kogo mógłbym o to poprosić.*

*Nie jestem za dobry w pisaniu, więc chyba zacznę od tego, że będzie to historia miłosna. Moja i Clary,*

*I chociaż mógłbym zanudzić was opowieścią o początkach naszej znajomości, a potem małżeństwa, to tak naprawdę nasza historia – ta, która Was zainteresuje – zaczęła się w 1942 roku. Byliśmy już małżeństwem od trzech lat i Clara miała za sobą pierwsze poronienie. Wiedziałem, jak bardzo je przeżyła, a ja cierpiełem razem z nią, bo nie mogłem jej w żaden sposób pomóc. Trudności i ciosy często powodują, że ludzie oddalają się od siebie. Ale czasami przeciwnie, zbliżają ich.*

*Ale odchodzę od tematu. Starszym ludziom się to zdarza. Sami zobaczycie.*

*Jak powiedziałem, był rok 1942 i w rocznicę naszego ślubu wybraliśmy się do kina na For Me and My Gal z Gene'em Kellym i Judy Garland. Żadne z nas wcześniej nie widziało ruchomych obrazów i musieliśmy pojechać w tym celu aż do Raleigh. Gdy seans się skończył, siedzieliśmy na swoich miejscach bez ruchu, dopóki nie zapaliły się światła. Wątpię, żebyście kiedykolwiek widzieli ten film, i nie chcę Wam zawracać głowy szczegółami, dlatego powiem krótko: to historia mężczyzny, który się okalecza, żeby nie pójść na wojnę, a potem stara się zdobyć względy ukochanej kobiety, która uważa go za tchórza. Ja sam dostałem już powołanie do wojska, do piechoty, więc częściowo rozumiałem bohatera, też nie chciałem zostawić mojej dziewczyny i iść na wojnę. Żadne z nas jednak wołało o tym nie myśleć i dlatego po wyjściu z kina rozmawialiśmy o tytułowej piosence. Nigdy nie słyszeliśmy ładniejszej i bardziej chwytliwej melodii. W drodze powrotnej do domu śpiewaliśmy ją raz po raz. Tydzień później wstąpiłem do marynarki.*

*To było dość dziwne, bo jak wspominałem, miałem pójść do piechoty. Zresztą nawet teraz, z perspektywy czasu, myślę, że piechota byłaby dla mnie lepsza, szczególnie że znałem się na silnikach i nie umiałem pływać. Mogłem wylądować w parku samochodowym, gdzie bym dbał o ciężarówkę i jeepy przetaczające się przez Europę. Wojsko niewiele zdziała bez sprawnych pojazdów, no nie? Ale mimo że byłem wtedy chłopakiem ze wsi, wiedziałem, że armia wyśle cię tam, gdzie chce, a nie tam, gdzie ty sam wolałbyś pójść, a już wtedy ludzie gadali, że to tylko kwestia czasu, kiedy wylądujemy w Europie. Ike właśnie wkroczył do Afryki Północnej.*

Potrzebowali piechoty, ludzi na ziemi, i choć byłem bardzo podekscytowany tym, że dobierzemy się Hitlerowi do skóry, myśl o wstąpieniu do piechoty jakoś mi nie leżała.

A w biurze komisji poborowej wisiał plakat propagandowy, nawołujący do wstępowania do marynarki. Ludzie do działa! – głosił. Przedstawiał marynarzy bez koszul, ładujących pociski do działa, i coś w nim do mnie przemówiło. Mógłbym to robić, pomyślałem sobie, i podszedłem do okienka marynarki zamiast piechoty i zaciągnąłem się. Gdy wróciłem do domu i powiedziałem o tym Clarze, płakała wiele godzin. I kazała mi obiecać, że do niej wrócę. Więc obiecałem.

Przeszedłem podstawowe przeszkolenie i poznałem regulamin. A potem, w listopadzie 1943 roku, dostałem przydział na USS „Johnston”, niszczyciel wyruszający na Pacyfik. Nie wiercie, gdy ktoś wam mówi, że służba w marynarce jest mniej niebezpieczna niż w piechocie czy marines. Albo mniej przerażająca. Jest się tam zdany na okręt, a nie na własny rozum, bo jeśli on zatoni, to idzie się na dno razem z nim. Jeśli wypadniesz za burtę, to konwój nie zatrzyma się, żeby cię wyciągnąć. Nie można nigdzie uciec ani się ukryć, i świadomość, że nie ma się nad niczym kontroli, doprowadza człowieka do szału. Nigdy w życiu bardziej się nie bałem niż wtedy, gdy służyłem w marynarce. Wciąż wybuchy i dym, pożary na pokładzie. Ciągły huk dział głośniejszy niż wszystko, co do tej pory słyszałem. Dziesięć razy większy niż grzmot, ale to i tak nie oddaje rzeczywistości. Podczas wielkich bitew morskich japońskie zera stałe nas ostrzeliwały, a odgłosy eksplodujących na pokładzie pocisków niosły się po całym okręcie. I w trakcie tego wszystkiego załoga musiała wykonywać swoją robotę, jak gdyby nigdy nic.

W październiku 1944 roku przepływałyśmy obok Samaru; przygotowywałyśmy do udziału w inwazji na Filipiny. W naszym konwoju płynęło trzynaście okrętów, co może się wydawać dużą liczbą, ale oprócz lotniskowca były to przeważnie niszczyciele i eskorta, więc nie dysponowałyśmy wielką siłą ognia. I wtedy zobaczyliśmy na horyzoncie okręty nieprzyjacielskie, taką ich masę, jakby płynęła na nas cała flota japońska. Cztery pancerniki, osiem krążowników, jedenaście niszczycieli, które zamierzały posłać nas na dno morza. Ktoś później powiedział, że byliśmy jak Dawid wobec Goliata, tylko nie mieliśmy nawet procy. I się nie mylił. Gdy Japończycy otworzyli ogień, pociski naszych dział nawet nie były w stanie ich dosięgnąć. Co więc mogliśmy w tej sytuacji zrobić? Wiedząc, że nie mamy najmniejszej szansy? Zwiążaliśmy nieprzyjaciela walką. Teraz nazywają to bitwą z zatocze Leyte. Ruszyliśmy prosto na nich. Zaatakowaliśmy jako pierwsi, pierwsi wypuściliśmy dym i wystrzeliliśmy torpedy, wzięliśmy na cel krążownik i pancernik jednocześnie. I nieźle daliśmy im popalić. Ale ponieważ znajdowaliśmy się na czele, nasz los był przesądzony. Otoczyły nas dwa nieprzyjacielskie krążowniki, ostrzelały z obu stron i zaczęłyśmy tonąć. Na pokładzie znajdowało się trzystu dwudziestu siedmiu ludzi i tamtego dnia zginęło stu osiemdziesięciu sześciu. Wielu z nich to moi bliscy przyjaciele. Byłem jednym z tych stu czterdziestu jeden, którzy uszli z życiem.

Na pewno zastanawiacie się, po co Wam to opowiadam – pewnie myślicie, że znowu zboczyłem z tematu – więc zaraz przejdę do rzeczy. Na tratwie ratunkowej, w samym środku bitwy, uświadomiłem sobie, że przestałem się bać. Nagle zrozumiałem, że nic mi się nie stanie, bo Clara i ja mamy jeszcze przed sobą wspólne życie, i ogarnął mnie spokój. Możecie to nazwać objawem nerwicy frontowej, jeśli chcecie, ale ja wiem swoje. Pod eksplodującym



niebem zasnutym dymem z dział przypomniałem sobie naszą rocznicę ślubu sprzed kilku lat i zacząłem śpiewać For Me and My Gal, jak wtedy w samochodzie, gdy jechaliśmy z Raleigh do domu. Ryczałem na cały głos, jakbym nie miał żadnych trosk na głowie, ponieważ czułem, że Clara mnie słyszy i wie, że nie musi się o mnie martwić. Bo przecież złożyłem obietnicę. I nic, nawet bitwa na Pacyfiku, nie mogła mi przeszkodzić w jej dotrzymaniu.

To szaleństwo, wiem. Ale przeżyłem. A potem dostałem przydział na okręt załogowy, który następnej wiosny transportował marines na Iwo-jima, i zanim się zorientowałem, wojna dobiegła końca. Znalazłem się w domu. Po powrocie nie mówiłem o wojnie. Nie mogłem. Nie wspominałem o niej ani słowem. Było to zbyt bolesne i Clara mnie rozumiała. I powoli nasze życie wróciło do normy. W 1955 roku zaczęliśmy budować ten domek. Sam wykonałem większość prac. Któregoś popołudnia po robocie podszedłem do Clary, która w cieniu dziergała na drutach. I usłyszałem, że śpiewa For Me and My Gal.

Zastygłem w bezruchu i natychmiast wróciło do mnie wspomnienie tamtej bitwy na Pacyfiku. Zapomniałem o tej piosence i nigdy nie opowiadałem Clarze, co przeżyłem wówczas na oceanie. Ale ona musiała coś wyczytać z mojej twarzy, bo spojrzała na mnie uważnie. Pamiętasz naszą rocznicę ślubu? – zapytała, a potem wróciła do dziergania i ciągnęła: – Nigdy ci tego nie mówiłam, ale gdy służyłeś w marynarce, pewnej nocy miałam sen. Byłam na łące pełnej dzikich kwiatów i chociaż cię nie widziałam, słyszałam, że śpiewasz dla mnie tę piosenkę. I po przebudzeniu przestałam się bać. Bo do tamtej pory stale się bałam, że do mnie nie wrócisz.

Stałem w miejscu jak skamieniały. To nie był sen, wyznałem w końcu.

Ona tylko się uśmiechnęła, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi. Wiem, powiedziała. Tak jak mówiłam, słyszałam twój śpiew.

Później już nie opuszczało mnie przekonanie, że łączy nas jakaś potężna więź – duchowa, powiedzieliby niektórzy. Więc po kilku latach postanowiłem założyć ogród przy domku i w kolejną rocznicę ślubu przywiozłem tu Clarę, aby go jej pokazać. Nie wyglądał wtedy nadzwyczajnie, nie tak jak dziś, ale Clara mówiła, że to najpiękniejsze miejsce na świecie. Wobec tego rok później zaorałem większy kawałek ziemi i wysiałem więcej kwiatów, cały czas nucąc naszą piosenkę. Robiłem tak co roku, aż w końcu Clara umarła. Rozsypałem tu jej prochy, w miejscu, które tak kochała.

Alle po jej śmierci się załamalem. Byłem pełen gniewu. Piłem i ztracałem się w tym. Przestałem zajmować się ogrodem, wysiewać kwiaty i śpiewać, bo Clara odeszła i nie miałem już dla kogo go uprawiać. Nienawidziłem świata i nie chciałem dalej żyć. Myślałem nawet o tym, żeby się zabić, ale wtedy pojawił się Dawson. Dobrze było mieć go przy sobie. W jakiś sposób pomógł mi zrozumieć, że mam swoje miejsce na tym świecie, że jeszcze nie zrobiłem, co do mnie należy. Później straciłem i jego. Kiedyś po odejściu Dawsona przyjechałem tutaj. Było już po sezonie, ale niektóre kwiaty jeszcze kwitły, i nie wiem dlaczego, ale gdy zaśpiewałem naszą piosenkę, łzy napłynęły mi do oczu. Płakałem nad odejściem Dawsona, lecz również nad sobą. Ale przede wszystkim płakałem z tęsknoty za Clarą.

I tak się to zaczęło. Tamtego wieczoru po powrocie do domu ujrzałem Clarę w oknie kuchennym. I usłyszałem – wprawdzie cicho, ale zawsze – że nuci naszą piosenkę. Jej obraz był niewyraźny, nierzeczywisty, i kiedy do niej podszedłem, zniknęła. Wróciłem więc na działkę i ponownie zacząłem zajmować się ogrodem. I znowu ją zobaczyłem, tym razem na

ganku. Gdy kilka tygodni później wysiałem nasiona, zaczęła pojawiać się regularnie, może raz w tygodniu, i zanim zniknęła, podchodziłem do niej coraz bliżej. Któregoś razu, gdy kwiaty zakwitły, przyjechałem tutaj i przeszedłem się po łące, a po powrocie ujrzałem Clare całkiem wyraźnie, jak za życia. Stała na ganku i czekała na mnie, jakby się zastanawiała, dlaczego tak późno to wszystko zrozumiałem. I tak jest między nami do tej pory.

Ona jest częścią tych kwiatów, pojmujecie? Jej prochy użyły ziemię i im kwiaty rosły bujniej, tym ona stawała się bardziej żywa. Dopóki pielęgnowałem ogród, dopóty Clara do mnie przychodziła.

Dlatego właśnie tu jesteście i dlatego poprosiłem Was, żebyście zrobili to dla mnie. To nasze miejsce, nasz mały zakątek świata, w którym miłość może wszystko. Myślę, że Wy dwoje zrozumiecie to lepiej niż ktokolwiek inny.

Ale przyszła pora, żebym wreszcie do niej dołączył. Pora, żebyśmy zaśpiewali naszą piosenkę razem. Trzeba się zbierać i nie mam o to żalu. Znowu będę razem z nią, a nigdy nie chciałem być nigdzie indziej. Rozsypcie moje prochy na wiatr i nie płaczcie po mnie. Przeciwnie,

chcę, żebyście pożegnali nas oboje uśmiechem; więc uśmiechnijcie się z radością na myśl o mnie i mojej dziewczynie.

Tuck

Dawson pochylił się do przodu i oparł ręce na udach, próbując wyobrazić sobie Tucka podczas pisania tego listu. Jego słowa nie brzmiały lakonicznie, szorstko, jak te wypowiedziane przez człowieka, który kiedyś wziął go do siebie. Wyszły spod pióra Tucka, którego Dawson nie znał, nie miał okazji poznać.

Amanda z czułością złożyła list, starając się go nie rozerwać.

– Znam piosenkę, o której pisze Tuck – powiedziała, schowawszy list bezpiecznie do torebki. – Kiedyś słyszałam, jak ją nucił, siedząc w bujanym fotelu. Gdy go o nią zagadnęłam, nic nie odpowiedział. Tylko odtworzył mi ją z gramofonu.

– W domu w Orientale?

Skinęła głową.

– Pomyślałam wtedy, pamiętam, że to ładna melodia, wpadająca w ucho. Tuck natomiast przytknęła oczy i jakby się... w jedną pograżył. Kiedy się skończyła, wstał i nastawił ją jeszcze raz. Wtedy już zupełnie nie wiedziałam, co o tym myśleć. Ale teraz rozumiem. – Zwróciła się w stronę Dawsona. – On wzywał Clare.

Dawson powoli obrócił w dłoni kieliszek z winem.

– Wierysz w to? Że ją widywał?

– Kiedyś nie wierzyłam. Ale teraz... nie jestem już tego taka pewna.

W oddali przetoczył się grzmot, który przypomniał im, po co tu przyjechali.

– Chyba przyszedł czas – rzekł Dawson.

Amanda wstała, otrzepała spodnie i razem ruszyli w stronę ogrodu. Wiatr się trochę uspokoił, ale robiło się coraz ciemniej. Sielski poranek minął i nadeszło pochmurne popołudnie odzwierciedlające melancholijną przeszłość.

Dawson wziął szkatułkę z prochami Tucka i razem odnaleźli ścieżkę prowadzącą na środek łąki. Włosy Amandy powiewały na wietrze, więc odgarnęła je z twarzy i przyglądała. Zatrzymali się

mniej więcej pośrodku pola.

Dawson czuł w dłoniach ciężar szkatułki.

– Chyba powinniśmy coś powiedzieć – mruknął.

Amanda skinęła głową, więc zaczął pierwszy i podziękował człowiekowi, który zaoferował mu dach nad głową i swoją przyjaźń. Amanda z kolei wyraziła mu wdzięczność za to, że jej słuchał, i powiedziała, że pokochała go jak ojca. Gdy skończyli, wiatr jakby specjalnie się wzmógł, więc Dawson uchylił wieko szkatułki. Prochy wleciały w powietrze i powoli opadły na kwiaty. Patrząc na to, Amanda nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Tuckszuka Clary i woła ją po imieniu.

\*

Później wrócili do domku i albo wspominali Tuclka, albo siedzieli w milczeniu. Na zewnątrz zaczęło padać, nie mocno, ale uporczywie – było to lekki letni deszcz, który wydawał się wręcz błogosławieństwem.

Gdy zgłodnieli, wybiegli na deszcz, wskoczyli do stingraya i wyjechali krętą drogą na autostradę. Mogli wrócić do Orientalu, ale zamiast tego pojechali do New Barn. W pobliżu historycznego centrum miasteczka znaleźli restaurację, która nazywała się Chelsea. Kiedy do niej weszli, była prawie pusta, ale gdy wychodzili, wszystkie stoliki były już zajęte.

Deszcz na krótki czas ustał, więc przepacerowali się cichymi bocznymi uliczkami, wchodząc do sklepów, które były jeszcze otwarte. Gdy Dawson buszował wśród książek w antykwariacie, Amanda wyszła na zewnątrz i zadzwoniła do domu. Porozmawiała z Jaredem i Lynn, a potem odbyła rozmowę z Frankiem. Zatelefonowała też do matki i zostawiła dla niej wiadomość na automatycznej sekretarce, że być może przyjedzie późno i prosi o niezamykanie drzwi na klucz. Rozłączyła się akurat w chwili, gdy ze sklepu wyszedł Dawson, i poczuła ukłucie żalu, że wieczór dobiega końca. Jakby czytając jej w myślach, podał jej ramię, a ona przyjęła je skwapliwie i powoli ruszyli do samochodu.

Kiedy znaleźli się na autostradzie, znowu zaczął padać deszcz, a gdy przekroczyli rzekę Neuse, mgła stała się jeszcze gęstsza – nad lasem unosiły się długie jej pasma, które przypominały niesamowite palce. Reflektory samochodowe słabo oświetlały drogę, a drzewa jakby jeszcze pochłaniały i tę odrobinę światła. Dawson zwolnił i jechali niemal w zupełnych ciemnościach.

Kropki deszczu bębniły regularnie o dach kabrioletu, co przypominało odgłos przejeżdżającego w oddali pociągu, i Amanda mimowolnie zaczęła myśleć o minionym dniu. Podczas kolacji zauważyła, że Dawson zerkał na nią raz po raz, ale to jej wcale nie kłępowało, wręcz przeciwnie – nie chciała, żeby przestał.

Wiedziała, że tak być nie powinno. W jej życiu nie było miejsca na podobne pragnienia, społeczeństwo także ich nie aprobowało. Starła się zbagatelizować swoje uczucia, potraktować je jako przemijający efekt uboczny innych czynników jej sytuacji życiowej. Ale wiedziała, że to nieprawda. Dawson nie był jakimś przygodnym niezamajowym, z którym umówiła się na randkę; był jej jedyną prawdziwą miłością, najtrwalszą ze wszystkich.

Frank byłby zdruzgotany, gdyby znał jej myśl. Mimo kłopotów, jakie mieli, Amanda wciąż go kochała. Wiedziała jednak, że nawet gdyby do niczego między nią a Dawsonem nie doszło – gdyby tego dnia wróciła do domu – nie przestałaby o nim myśleć. Choć od lat nie czuła się szczęśliwa w małżeństwie, nie szukała pociechy gdzieś indziej. To za sprawą Dawsona – i ich

obojga jako pary, którą tworzyli, gdy byli razem – wszystko to wydawało się takie naturalne i nieuniknione. Dlatego nie mogła pozbyć się wrażenia, że między nimi nie wszystko jest jeszcze skończone i że oboje czekają na to zakończenie.

Gdy przejeżdżali przez Bayboro, Dawson znowu zwoznił. Przed nimi znajdował się zjazd na inną autostradę, która prowadziła na południe, do Orientalu. Na wprost zaś leżało Vandemere. Dawson zamierzał skręcić, ale gdy zbliżali się do zjazdu, Amanda zapragnęła powiedzieć, żeby jechał prosto. Nie chciała obudzić się następnego ranka z lękiem, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Ta myśl była dla niej przerażająca, ale jakoś nie mogła wydobyć z siebie słów.

Na drodze poza nimi nie było nikogo. Woda deszczowa spływała z asfaltowej nawierzchni do płytkich rowów po obu stronach autostrady. Tuż przed zjazdem Dawson delikatnie nacisnął na hamulce. Ku jej zaskoczeniu zatrzymał samochód.

Wycieraczki zgarniały wodę z szyb z boku na bok. W świetle reflektorów lśniły krople deszczu. Gdy silnik pracował na jałowym biegu, Dawson zwrócił się ku niej. Jego twarz znajdowała się w cieniu.

– Pewnie matka na ciebie czeka.

Poczuła, że serce bije jej szybciej, coraz szybciej.

– Tak – Kivnęła głową, nic więcej nie mówiąc.

Dawson przez długą chwilę tylko na nią patrzył i jakby widział ją na wylot, wszystkie te jej nadzieje, lęki, pragnienia, które znajdowały wyraz także w jego oczach. Potem z przelotnym uśmiechem spojrział przez przednią szybę i gdy samochód powoli ruszył prosto, w kierunku Vandemere, żadne z nich nie mogło ani nie chciało go zatrzymać.

\*

Nie było żadnego skrępowania przy drzwiach, gdy wrócili do domku. Kiedy Dawson włączył lampę, Amanda skierowała się do kuchni. Nalała wina do kieliszków, czując jednocześnie niepokój i podniecenie.

Dawson w salonie włączył radio, nastawił stację nadającą tradycyjny jazz i przyciszył trochę dźwięk. Z półki na ścianie zdjął jedną ze starych książek telefonicznych i przerzucił żółte strony, gdy z kieliszkiem wina podeszła do niego Amanda. Odłożywszy książkę na miejsce, wziął od niej wino i ruszył razem z nią ku kanapie, a potem patrzył, jak Amanda zrzuca pantofle.

– Tak tu cicho – zauważyła. Odstawiła kieliszek na stół, podciągnęła nogi na kanapę i objęła rękami kolana. – Rozumiem, dlaczego Tuck i Clara chcieli pozostać tu na zawsze.

W przytłumionym świetle salonu jej twarz przybrała tajemniczy wyraz i Dawson odchrząknął.

– Myślisz, że jeszcze kiedykolwiek tu wrócą? – zapytał. – Po tym weekendzie?

– Nie wiem. Być może tak, jeśli nic tu się nie zmieni. Ale musi się zmienić, bo nic nie trwa wiecznie. I chcę zapamiętać to miejsce takim, jakim jest dzisiaj, z kwiatami w pełnym rozkwicie.

– Nie mówiąc już o panującej tu czystości.

– To też – przyznała. Wzięła wino i zakręciła nim w kieliszku. – Wiesz, o czym myślałam, gdy rozsypywaliś prochy? O tamtej nocy, gdy obserwowaliśmy deszcz meteorytów na pomoście. Nie wiem dlaczego, ale nagle odniosłam wrażenie, że jestem tam znowu. Widziałam nas leżących na łocu, szepczących do siebie i słuchających świerszczy, tego idealnego,

harmonijnego echa. Niebo nad nami było takie... pełne życia.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał delikatnie Dawson.

Na jej twarzy pojawiła się melancholia.

– Bo tamtej nocy zrozumiałam, że cię kocham. Że naprawdę się zakochałam, po uszy. I myślę, że moja matka dobrze o tym wiedziała.

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ następnego rana zapytała mnie o ciebie, a kiedy jej powiedziałam o swoich uczuciach, wybuchła między nami straszliwa kłótnia... najgorsza ze wszystkich. Matka nawet uderzyła mnie w twarz. Byłam tak wstrząśnięta, że nie wiedziałam, jak się zachować. I przez cały czas mi powtarzała, że jestem żałosna, że nie wiem, co robię. Wtedy wydawało mi się, że wścieka się z twojego powodu, ale gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że podobnie zareagowałyby na każdego innego. Wiedziała, że dorastam, i bała się, że straci nade mną kontrolę. Nie umiała sobie z tym poradzić... i teraz też nie umie. – Upiła łyk wina, opuściła kieliszek i przesunęła palcami po jego nóżce. – Dziś rano mi powiedziała, że jestem skoncentrowana na sobie.

– Nie ma racji.

– Też tak pomyślałam – przyznała. – Przy najmniej w pierwszej chwili. A teraz już nie jestem tego taka pewna.

– Dlaczego tak mówisz?

– Nie zachowuję się jak zamężna kobieta, prawda?

Nie odpowiedział, tylko na nią patrzył, dawał jej czas, aby zastanowiła się nad własnymi słowami.

– Chcesz, żebym cię odwiózł do domu? – zapytał w końcu.

Zawahała się na moment, a potem pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Właśnie w tym problem. Chcę tu być razem z tobą. Chociaż wiem, że nie powinnam. – Opuściła wzrok i jej rzęsy rzuciły cienie na policzki. – Czy jest w tym sens?

Przesunął palcem po wierzchu jej dłoni.

– Naprawdę mam odpowiedzieć?

– Nie – odrzekła. – Nie. Ale to... skomplikowane. Mam na myśli małżeństwo. – Czują, że Dawson kreśli palcem delikatne wzory na jej skórze.

– Dobrze się czujesz jako mężatka? – zapytał niepewnie. Zamiast od razu odpowiedzieć, Amanda napiła się wina i w tym czasie próbowała się pozbierać.

– Frank to dobry człowiek. To znaczy przeważnie. Ale małżeństwo wygląda inaczej, niż się sądzi. Ludzie chcą wierzyć, że w każdym małżeństwie panuje harmonia, a to nieprawda. Jedno z małżonków zawsze jest bardziej zaangażowane niż to drugie. Wiem, że Frank mnie kocha, i ja też go kocham... ale nie taksamo. I nigdy nie kochałam go taksamo.

– Dlaczego?

– Nie wiesz? – Spojrzała na niego. – Przez ciebie. Nawet gdy stanęliśmy w kościele przed ołtarzem, żeby złożyć przysięgę małżeńską, żałowałam, że to nie ty stoisz obok mnie. Pamiętam to dobrze. Bo nie tylko wciąż cię kochałam, ale kochałam bezgranicznie i bałam się, że nigdy nie obdarzę podobnym uczuciem Franka.

Dawsonowi zaschło w ustach.

– To dlaczego za niego wyszłaś?

– Bo myślałam, że postępuję słusznie. I miałam nadzieję, że się zmienię. Że może z czasem pokocham go tak, jak kochałam ciebie. Ale tak się nie stało i wydaje mi się, że po latach on także zaczął zdawać sobie z tego sprawę. Cierpiał i ja o tym wiedziałam, ale im bardziej próbował mi dowieść, jak jestem dla niego ważna, tym bardziej się dusiłam. Denerwowało mnie to. On sam mnie denerwował. – Skrzywiła się, gdy usłyszała własne słowa. – Jestem okropna, że mówię takie rzeczy.

– Nie jesteś okropna – uspokoił ją Dawson. – Jesteś tylko szczerą.

– Daj mi dokończyć, dobrze? – poprosiła. – Musisz to zrozumieć. Musisz wiedzieć, że naprawdę go kocham i że bardzo zależy mi na rodzinie, którą razem stworzyliśmy. Frank uwielbia nasze dzieci. Wokół nich kręci się jego życie i chyba dlatego śmierć Bei była dla nas takim ciosem. Nie masz pojęcia, jakie to straszne... patrzeć na swoje chore dziecko i wiedzieć, że nic nie możesz dla niego zrobić. Przeżywasz huśtawki emocjonalne, bo najpierw ogarnia cię gniew na Boga, potem poczucie zdrady, następnie całkowitej porażki i wreszcie desperacja. W końcu jednak jakoś poradziłam sobie z bólem. Frank natomiast nie doszedł do siebie. Bo pod tym wszystkim kryje się bezdenne rozpacz, która... cię pochłania. Tam gdzie kiedyś była radość, pozostaje otwarta rana. Bo taka była Bea. Była chodzącą radością. Żartowaliśmy sobie, że wyszła z mojego łona już z uśmiechem na buzi. Nawet jako niemowlę rzadko płakała. I tak już pozostało. Śmiała się przez cały czas; wszystko było dla niej podniecającym odkryciem. Jared i Lynn rywalizowali o jej względy. Wyobrażasz to sobie? – Przerwała i w jej głosie pojawił się gniewny ton. – I wtedy, oczywiście, zaczęły się te bóle głowy. Bea, drepzcząc, wpadała na meble. Więc chodziliśmy od specjalisty do specjalisty, i każdy z nich mówił, że nie ma dla niej ratunku. – Przelknęła ślinę. – A później... było już tylko gorzej. Ale nie przestała być sobą, wiesz? Była taka radosna jak dawniej. Śmiała się nawet pod koniec, gdy już nie mogła samodzielnie usiąść. Za każdym razem, gdy słyszałam ten jej śmiech, pękało mi serce. – Umilkła, patrząc nieobecny m wzrokiem w okno, za którym panowała ciemność. Dawson czekał cierpliwie na dalszy ciąg. – Wtedy godzinami leżałam z nią w łóżku i przytulałam, gdy spała, a kiedy się budziła, przytuliłyśmy na siebie. Nie mogłam się odwrócić, bo pragnęłam ją zapamiętać ze wszystkimi szczegółami: jej nos, brodę, loczki. I kiedy wreszcie zasnęła na zawsze, trzymałam ją przy sobie i tylko płakałam z powodu tej strasznej niesprawiedliwości.

Skonczywszy relację, Amanda zamrugała powiekami, najwyraźniej nieświadoma, że po policzkach spływają jej łzy.

Nie wykonała żadnego ruchu, żeby je wytrzeć, podobnie jak Dawson, który siedział w milczeniu, słuchając uważnie każdego jej słowa.

– Razem z nią umarła jakaś część mnie. I przez długi czas Frank i ja prawie nie mogliśmy na siebie patrzeć. Nie dlatego, że nosiliśmy w sobie gniew, ale dlatego, że to tak bolało. Dostrzegałam we Franku Beę, a on widział ją we mnie, i to było... nie do zniesienia. Ledwie mogliśmy ze sobą wytrzymać, chociaż Jared i Lynn potrzebowali nas bardziej niż kiedykolwiek. Zaczęłam co wieczór wypijać dwa albo trzy kieliszki wina, żeby się znieczulić, a Frank nawet więcej. W końcu jednak zdałam sobie sprawę, że to nie pomaga. Więc przestałam. Ale w wypadku Franka sprawa nie była taka prosta. – Przerwała i uściśnęła dwoma palcami nasadę nosa, bo wspomnienia powodowały dawny ból głowy. – On nie mógł przestać. Myślałam, że pomogą mu narodziny następnego dziecka, ale tak się nie stało. Jest alkohikiem i od dziesięciu lat żyje życiem pozorowanym. A ja już nie mam pojęcia, w jaki sposób go z tego wyciągnąć.

Dawson przelknął ślinę.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Ja też nie wiem. Czasami mówię sobie, że gdyby nie śmierć Bei, Frank nie doprowadziłby się do takiego stanu. Ale potem zaczynam się zastanawiać, czy nie ma w tym także mojej winy. Dlatego że ranię go od wielu lat, od czasów sprzed narodzin Bei. Bo nigdy nie kochałam go tak, jak on kochał mnie.

– Ale to nie twoja wina – zauważył. Sam jednak słyszał, że brzmiało to nieprzekonująco.

Pokręciła głową.

– To miłe, że tak mówisz, i z pozoru masz rację. Ale jeśli Frank pije teraz, żeby uciec od rzeczywistości, to pewnie głównie chce uciec ode mnie. Ponieważ czuje, że jestem zła i rozczarowana, a wie, że nie zdoła wymazać dziesięciu lat żalu, choćby wychodził ze skóry. Kto nie chciałby uciec od takiej świadomości? Zwłaszcza gdy chodzi o kogoś, kogo się kocha? Jeżeli pragnie się tylko tego, aby ten ktoś kochał cię taksamo, jak ty kochasz jego?

– Przestań. – Spojrzał jej w oczy. – Nie możesz brać na siebie winy za jego problemy i zadreżać się nimi.

– Nie wiesz, jak to jest w małżeństwie. – Spojrzała na niego z gorzkim uśmiechem. – Powiem tylko, że im dłużej jestem zamężna, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że w małżeństwie nic nie jest białe ani czarne. I nie twierdzę, że nasze problemy wynikają wyłącznie z mojej winy. Chcę tylko powiedzieć, że w życiu istnieją odcienie szarości. Nikt z nas nie jest doskonały.

– Mówisz jak psychoterapeuta.

– Być może. Kilka miesięcy po śmierci Bei zaczęłam chodzić do psychoterapeutki dwa razy tygodniu. Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez jej pomocy. Jared i Lynn też do niej chodzili, ale nie tak długo jak ja. Dzieci chyba szybciej dochodzą do siebie.

– Pewnie wiesz, co mówisz.

Oparła brodę na kolanach, a na jej twarzy malował się zamęt, który czuła w duszy.

– Nigdy nie powiedziałam Frankowi o nas.

– Nie?

– Wie tylko, że miałam w szkole średniej chłopaka, ale nie orientuje się zupełnie, że to było na poważnie. Chyba nigdy nawet nie wyjawiał mu twojego imienia. A matka i ojciec oczywiście zachowywali się tak, jakbyś w ogóle nie istniał. Matka odetchnęła z ulgą, gdy jej powiedziałam o swoich zaręczynach. Choć nie była zachwycona. Ona nigdy nie jest niczym zachwycona. Pewnie uważa, że to poniżej jej godności. Ale jeśli cię to pocieszy, początkowo musiałam jej przypominać, jak Frank ma na imię. Twoje imię natomiast pamiętała bardzo dobrze...

Dawson się zaśmiał, a potem nagle spoważniał. Amanda pociągnęła łyk wina i poczuła ciepło, gdy alkohol spłynął jej do żołądka, ledwie świadoma cichej muzyki płynącej z radia.

– Tyle się wydarzyło, prawda? Od czasu gdy widzieliśmy się ostatni raz? – zapytała żałośnie.

– Takie jest życie.

– To było coś więcej niż życie.

– O czym ty mówisz?

– O wszystkim. O tym, że tu jestem, że cię widzę. Wracam do czasów, gdy wierzyłam, że moje marzenia się spełnią. Od dawna tak się nie czułam. – Odwróciła się ku niemu, tak że ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali. – Myślisz, że mogło nam się udać? Gdybyśmy stąd wyjechali

i zaczęli wspólne życie?

– Trudno powiedzieć.

– Ale jak ci się wydaje?

– Wydaje mi się, że nam by się udało.

Pokiwała głową, czując jednocześnie, że coś w niej pęka.

– Ja też tak sądzę.

Fala deszczu uderzyła w okno, jakby ktoś rzucił w nie kamylkami. Radio grało cicho melodie z dawnych czasów, które zlewały się z bębnieniem kropel o szyby. W pokoju było ciepło i przytulnie jak w kołonie, i Amanda miała wrażenie, że świat poza nim nie istnieje.

– Zawsze byłeś powściągliwy – powiedziała cicho. – Gdy na lekcji znaleźliśmy się w jednej parze, prawie się do mnie nie odzywałeś. Próbowалам cię sprowokować, żebyś zaprosił mnie na randkę, ułatwiał ci sytuację, ale powoli traciłam nadzieję, że to kiedykolwiek nastąpi.

– Byłaś taka śliczna. – Wzruszył ramionami. – A ja byłem nikim. Brakowało mi pewności siebie.

– Wciąż ci jej brakuje?

– Nie – odparł, ale potem zastanowił się jeszcze nad jej pytaniem. Uśmiechnął się lekko. – Może trochę.

Uniosła brew.

– Mogę coś na to zarządzić?

Ujął jej rękę i obrócił ją w jedną, potem w drugą stronę. Zauważył, że ich dłonie do siebie pasują. To uświadomiło mu dobitnie, z czego kiedyś zrezygnował. Jeszcze przed tygodniem był całkiem zadowolony. Może nie szczęśliwy, bo czuł się trochę na marginesie, ale zadowolony. Wiedział, kim jest, i znał swoje miejsce na ziemi. Był sam, ale z wyboru, i wcale tego nie żałował. Bo żadna inna kobieta nie mogłaby zastąpić Amandy, nawet nie miałyby szansy.

– Zatańczysz ze mną? – zapytał w końcu.

Odpowiedziała z cieniem uśmiechu:

– Tak

Wstał z kanapy i podał jej rękę. Ona też się podniosła, choć nogi lekko jej drżały, gdy szli na środek małego pokoju. Pomieszczenie wypełniła tęskna melodia i przez chwilę żadne z nich nie wiedziało co dalej. Amanda czekała. Dawson odwrócił się do niej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W końcu położył jej rękę na biodrze i przyciągnął ją do siebie. Ich ciała zbliżyły się i Amanda wsparła się na nim. Poczula jego twardą pierś, gdy objął ją w pasie. Powoli zaczęli poruszać się w rytm muzyki.

Było jej z nim dobrze. Wdychała jego zapach, świeży i mocny, taki jak zapamiętała. Czula przy sobie jego napięty brzuch i uda. Zamknęła oczy i oparła głowę na jego ramieniu. Ogarnęło ją pożądanie i przypomniała sobie pierwszą noc, gdy się kochali. Wtedy cała drżała i teraz także.

Piosenka się skończyła, ale stali na środku pokoju objęci, aż zaczęła się następna. Jego gorący oddech owiewał jej szyję i w pewnym momencie poczuła, że odetchnęła głęboko, jakby z ulgą. Zbliżył do niej twarz, a ona w zapamiętaniu odchyliła głowę do tyłu. Pragnęła, żeby ten taniec trwał wiecznie. Żeby oni sami trwali razem wiecznie.

Jego usta najpierw odnalazły jej szyję, potem delikatnie musnęły policzek i choć słyszała gdzieś w głębi duszy ostrzegawczy głos, poddała się tej motylej pieśczoce.

Pocałowali się, najpierw ostrożnie, później bardziej namiętnie, jakby chcieli nadrobić lata



rozłąki. Poczula na sobie jego dłonie, na całym swoim ciele, i kiedy wreszcie się od siebie oderwali, była świadoma tylko tego, jak długo na to czekała. Czekala na niego. Patrzyła na Dawsona spod przymkniętych powiek i pragnęła go bardziej niż kogokolwiek, chciała go całego, tu i teraz. Jednocześnie czuła także jego pożądanie, więc przyciągnęła go do siebie powolnym ruchem, który wydawał się wręcz nieunikniony, i pocałowała go raz jeszcze, a potem zaprowadziła do sypialni.

Dzień był gówniany od samego rana przez popołudnie aż po wieczór. A pogoda też nie lepsza. Abee miał wrażenie, że umiera. Od kilku godzin lało, miał już zupełnie przemoczoną koszulę i nie mógł opanować naprzemiennych dreszczy i zimnego potu, choć robił, co mógł.

Widział, że Ted jest w nie lepszej formie. Wypisał się na własną prośbę ze szpitala, ale ledwie dotarł do samochodu. Oczywiście pojechał prosto do swojej chałupy, żeby zabrać całą broń, jaką trzymał w schowku na tyłach. Załadowali ją do pick-upa, a potem ruszyli w stronę domu Tucka.

Problem jednak polegał na tym, że nikogo tam nie zastali. Przed domem stały wprawdzie dwa samochody, ale właściciele – ani widu, ani słyhu. Abee wiedział, że Dawson i jego lala w końcu wrócą. Musieli, bo zostawili tu bryki, więc oni i Ted rozdzielili się i zaczęli. Pozostało im tylko czekać.

I czekali. Wciąż czekali.

Tkwili tu co najmniej od dwóch godzin, gdy zaczęła padać deszcz. Po trzeciej godzinie Abee dostał dreszczy. Za każdym razem, gdy nim wstrząsały, z bólu w bebechu robiło mu się białe przed oczami. Naprawdę, czuł się, jakby umierał. Dla zabicia czasu myślał o Candy, ale wtedy zaczynał się zastanawiać, co tego wieczoru robi tamten fagas. Na samą myśl o tym ogarniała go wściekłość, przez co trząśł się jeszcze bardziej, i tak w kółko. Ciekaw był, gdzie, do licha, podziewa się Dawson i co porabia. Nie był nawet pewny, czy powinien wierzyć w to, co Ted o nim mówił – a raczej był pewny, że nie powinien – ale gdy zerknął na twarz brata, uznał, że lepiej trzymać gębę na kłódkę. Ted nie zamierzał odpuścić. I po raz pierwszy w życiu Abee z lękiem pomyślał, do czego brat byłby zdolny, gdyby teraz podszedł do niego i oznajmił, że wracają do domu.

Tymczasem Candy i ten fagas pewnie byli w tej chwili w barze. Śmiali się razem i patrzyli na siebie w ten sposób. Gdy to sobie wyobraził, poczuł wściekły łomot serca. Znowu przeszył go ból i przez chwilę był pewien, że zaraz skona. Wykończy tego faceta. Klnie się na Boga. Zabije go przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy, a potem da Candy nauczkę, żeby na przyszłość wiedziała. Najpierw tylko musi załatwić rodzinne porachunki, żeby potem Ted pomógł jemu. Bo, Bóg mu świadkiem, sam sobie nie poradzi.

\*

Minęła kolejna godzina, słońce stało już nisko na niebie.

Ted poczuł, że za chwilę się porzyga. Przy każdym ruchu miał wrażenie, że łeb mu pęka, a ramię tak swędziało go pod gipsem, iż najchętniej by go rozwalili. Z powodu spuchniętego nosa nie mógł oddychać i pragnął już tylko jednego: żeby Dawson pokazał się wreszcie i można było zakończyć tę całą sprawę.

Nie obchodziło go, czy będzie z nim panna cheerleaderka. Poprzedniego dnia wolał nie mieć

świadka, ale to już nie miało znaczenia. Po prostu pozbędzie się dwóch ciał i już. Ludzie pomyślą, że ci dwoje dali razem nogę i tyle.

Ale gdzie, do cholery, ten Dawson? Dokąd mógł pojechać na cały dzień?! I to w deszczu? Tego Ted nie wziął pod uwagę. Abee po drugiej stronie wyglądał, jakby zaraz miał wykitować. Brat był praktycznie zielony, ale Ted wiedział, że sam tego nie załatwi. Nie z jedną sprawną ręką i grzechoczącą w czasie mózgownicą. Przy każdym oddechu czuł ból w piersi, a gdy tylko się poruszył, dostawał zawrotów głowy i musiał się czegoś przytrzymać, bo inaczej by się wywalił.

Gdy zapadł zmrok i pojawiła się mgła, Ted zaczął sobie powtarzać, że jeszcze chwila i Dawson wróci, ale coraz trudniej mu było w to uwierzyć. Od poprzedniego dnia nie miał nic w ustach i coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

O dziesiątej wieczorem wciąż nikogo nie było. Ani o jedenastej. Ani o dwunastej, gdy spomiędzy chmur wyłoniły się gwiazdy i migotały w górze.

Czuł się fatalnie i było mu zimno, w dodatku zaczęły nim wstrząsać torsje. Nie mógł opanować drżenia ani w żaden sposób się rozgrzać.

Minęła pierwsza i wciąż nic. O drugiej przywłókł się do niego Abee, który ledwie trzymał się na nogach. O tej porze i Ted już wiedział, że tamci dwoje nie wrócą przed świtem, więc chwiejnym krokiem ruszyli z bratem do pick-upa. Ledwie przypominał sobie jazdę na farmę i to, jak obaj z Abeem, podtrzymując się nawzajem, dotarli do domu. Pamiętał tylko, że gdy padał na łóżko, czuł zimny gniew, a potem pogrążył się w niebycie.

Obudziwszy się w niedzielny raneek, Amanda dopiero po chwili zorientowała się, gdzie jest, i przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Z zewnątrz dochodził śpiew ptaków, a wąską szczeliną między zasłonami do pokoju wpadało światło słoneczne. Ostrożnie przewróciła się na bok i zobaczyła, że druga strona łóżka jest pusta. Poczwała przelotne rozczarowanie, ale zaraz potem ogarnęło ją zmieszanie.

Usiadła i podciągnęła pod brodę prześcieradło, a potem zerknęła ku łazience, zastanawiając się, gdzie jest Dawson. Widząc, że jego ubranie zniknęło, opuściła nogi na podłogę, owinęła się prześcieradłem i podeszła do drzwi sypialni. Wyjrzała zza nich i zobaczyła, że Dawson siedzi na schodach ganku. Odwróciła się, ubrała pośpiesznie i poszła do łazienki. Tam przeczeswała szybko włosy, po czym ruszyła do drzwi frontowych, bo chciała z nim porozmawiać. I wiedziała, że on będzie chciał porozmawiać z nią.

Dawson odwrócił się, gdy usłyszał za sobą skrzyknięcie drzwi. Uśmiechnął się do niej. Cień zarostu przydawał jego twarzy łobuzerskiego wyrazu.

– Hej! – powiedział na przywitanie i sięgnął ręką w bok. Wziął z ziemi styropianowy kubek; drugi trzymał na kolanach. – Pomyślałem, że będziesz miała ochotę na kawę.

– Skąd to wzięłeś? – zapytała.

– Ze sklepu. Dalej przy drodze. To chyba jedyne miejsce w Vandemere, gdzie można kupić kawę. Pewnie nie jest taka dobra jakta, którą piłeś w piątekrano, ale cóż...

Amanda wzięła od niego kubek i usiadła obok.

– Dobrze spałaś?

– Tak – odparła. – A ty?

– Nie za bardzo. – Nieznacznie wzruszył ramionami, a potem odwrócił głowę i spojrział znowu na kwiaty. – Wreszcie przestało padać – dodał.

– Zauważyłam.

– Chyba będę musiał umyć samochód, gdy wrócimy do Orientalu. Mogę zadzwonić do Morgana Tannera, jeśli chcesz.

– Ja do niego zadzwonię – odpowiedziała. – I tak muszę z nim porozmawiać. – Wiedziała, że ta zdawkowa wymiana zdań ma na celu uniknięcie rozmowy na zasadniczy temat. – Źle się czujesz, prawda?

Opuścił ramiona, ale nic nie powiedział.

– Jesteś przygnębiony – szepnęła ze ściśniętym sercem.

– Nie – zaprzeczył ku jej zaskoczeniu. Otoczył ją ramieniem. – Wcale nie. Dlaczego miałbym być przygnębiony? – Pochylił się ku niej i pocałował ją czule, a potem się odsunął.

– Posłuchaj – zaczęła – jeśli chodzi o wczorajszą noc...

– Wiesz, co znalazłem? – przerwał jej. – Gdy tu siedziałem?

Pokręciła głową zaintrygowana.

– Czerolistną koniczynę – wyjaśnił. – Tu, przy schodkach, tuż przed twoim przyjściem. Rosła sobie, jak gdyby nigdy nic, na widoku. – Podał jej listek na delikatnej lodyżce, leżący w załamaniu kartki z notesu. – Podobno przynosi szczęście, a tego rana akurat zastanawiałem się nad tą kwestią.

Amanda usłyszała niepokojący ton w jego głosie i ogarnęło ją złe przecucie.

– Nad czym się zastanawiałeś, Dawsonie? – zapytała cicho.

– Myślałem o szczęściu – wyjaśnił. – Duchach. Przeznaczeniu.

Te słowa jej nie uspokoiły, więc patrzyła, jak Dawson pije kawę, i czekała na dalszy ciąg. On tymczasem opuścił kubek i zapatrzył się w dal.

– O mało nie straciłem życia – wyznał wreszcie. – Powinienem być zginąć. Tak mi się przynajmniej wydaje. Już sam upadek był śmiertelnie niebezpieczny. Nie mówiąc o wybuchu. Do licha, powinienem był stracić życie także dwa dni temu...

Urwał pogrążony w myślach.

– Nie strasz mnie – wyjąkała w końcu.

Wyprostował się i wrócił do rzeczy wistoci.

– Wiosną na platformie nastąpiła eksplozja – zaczął. Opowiedział jej wszystko po kolei: o tym, jak na pokładzie wybuchł pożar i zapanowało piekło; jak wpadł do morza i zobaczył w oddali ciemnowłosego mężczyznę; jak ten podprowadził go do kamizelki ratunkowej; jak potem pojawił się w niebieskiej wiatrówce na statku dostawczym i zniknął. Zrelacjonował jej wydarzenia następnych tygodni – wspominał o tym, że czuł się obserwowany, a potem zobaczył ciemnowłosego mężczyznę w marinie. I wreszcie opowiedział o piątkowym spotkaniu z Tedem i o niewytłumaczalnym pojawieniu się, a potem zniknięciu ciemnowłosego mężczyzny.

Amanda czuła, że serce bije jej mocniej, gdy próbowała ogarnąć to wszystko, co powiedział.

– Mówisz, że Ted chciał cię zabić? Że zaczął się pod domem Tucka, aby cię dopaść, a ty wczoraj nawet mi o tym nie wspomniałeś?

Dawson pokręcił głową spokojnie.

– Już po wszystkim. Sprawa załatwiona.

Usłyszała, że mówi coraz bardziej podniesionym głosem.

– Zostawiłeś go pod płótem i zadzwoniłeś do Abeego? Zabrałeś broń Teda i pozbyłeś się jej? To nazywasz załatwieniem sprawy?

Był zbyt zmęczony, żeby się kłócić.

– W mojej rodzinie tak się robi – wyjaśnił.

– Ty nie jesteś jednym z nich.

– Zawsze byłem – odparł. – Jestem Cole'em, nie pamiętasz? Oni przychodzą, ja się bronię, więc potem przychodzą znowu. Takto wygląda.

– Z tego wynika, że to nie koniec. Mam rację?

– Dla nich nie.

– Więc co zamierzasz zrobić?

– To samo, co robiłem do tej pory. Trzymać się z dala i nie wchodzić im w drogę. To nie będzie trudne. Muszę tylko umyć samochód i może pójść jeszcze raz na cmentarz, to wszystko. Poza tym nie pokazywać się w okolicy.

Nagle zaświtała jej w głowie pewna myśl, początkowo mglista i niesprecyzowana, potem coraz wyraźniejsza, która wywołała w niej panikę.

– To dlatego zeszedłgo wieczoru nie wróciliśmy do Tucka? – zapytała ostro. – Bo podejrzewałeś, że mogą tam na ciebie czekać?

– Byli tam na pewno – odparł. – Ale nie, nie dlatego przyjechaliśmy tutaj. Nie myślałem o nich przez cały wczorajszy dzień. Spędziłem z tobą wspaniały dzień.

– Nie jesteś na nich zły?

– Nieszczerze.

– Jak ty to robisz? Wyłączasz to, ot tak? Chociaż wiesz, że na ciebie polują? – Amanda poczuła przyły w adrenaliny w żyłach. – Chyba nie wmówiłeś sobie jakichś głupot, na przykład, że takie jest twoje przeznaczenie jako Cole'a?

– Nie. – Pokręcił głową niemal niezauważalnie. – Nie myślałem o nich, bo myślałem o tobie. Tak było zawsze, odkąd pojawiłaś się w moim życiu. Zapominam o nich, ponieważ cię kocham, a na jedno i drugie nie ma miejsca w moim życiu.

Opuściła wzrok.

– Dawsonie...

– Nie musisz tego mówić – uprzedził ją.

– Owszem, muszę – powiedziała nieustępliwie. Nachyliła się ku niemu i pocałowała go. Kiedy odsunęli się od siebie, wypowiedziała słowa, które przysły jej równie naturalnie jak oddech: – Kocham cię, Dawsonie Cole'u.

– Wiem – odparł i delikatnie objął ją ramieniem w pasie. – Ja też cię kocham.

\*

Deszcz oczyścił powietrze, zostawiając po sobie błękitne niebo i słodki zapach kwiatów. Z dachu kapały pojedyncze krople, które zraszały paprocie i powój, sprawiając, że lśniły w złotym świetle. Dawson wciąż obejmował Amandę, a ona siedziała wsparta o niego, rozkoszując się wzajemną bliskością.

Gdy zwinęła koniczynę w papier i schowała ją do torebki, oboje wstali i obeszlą działkę, trzymając się za ręce. Okrążyli łąkę z kwiatami – ścieżka, którą szli poprzedniego dnia, zrobiła się błotnista – i ruszyli za domek. Stał na małej skarpie; za nią, w dole, płynęła rzeka Bay, niemal równie szeroko jak Neuse. Na brzegu dostrzegli niebieską czapkę, która brodziła na mieliźnie; nieco dalej na zwałonym pniu wygrzewały się w słońcu żółwie.

Zostali tam chwilę, podziwiając widok, a potem zatoczyli koło i wrócili do domku. Na ganek Dawson przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował, a ona odwzajemniła pocałunek, uświadamiając sobie ponownie, jak bardzo go kocha. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, usłyszała cichy dzwonek komórki. Własnej komórki, która przypominała jej o życiu toczącym się gdzieś indziej. Na ten dźwięk niechętnie opuściła głowę, podobnie jak on. Ich czoła zetknęły się ze sobą, podczas gdy telefon dzwonił i dzwonił. Amanda przyknięła oczy. Wydawało się, że trwa to wieki, ale komórka wreszcie umilkła. Amanda otworzyła oczy i spojrzała na Dawsona. Miała nadzieję, że on zrozumie.

Dawson skinął głową, położył rękę na gałce u drzwi i otworzył je przed nią. Amanda weszła do środka, ale dotarło do niej, że został na ganek, więc odwróciła się i zobaczyła, że usiadł na schodkach. Niechętnie poszła do sypialni. Wzięła torebkę, wyjęła z niej telefon komórkowy, otworzyła kłapkę i przejrzała listę nieodebranych połączeń.

Nagle zrobiło jej się niedobrze i zaczęła myśleć pospiesznie. Skierowała się do łazienki i po drodze zrzuciła ubranie. Instynktownie zaczęła sporządzać w głowie listę spraw do załatwienia i zastanawiać się, jak wytłumaczy swoje zniknięcie. Włączyła wodę pod prysznicem i przeszukała szafki w poszukiwaniu szamponu i mydła. Na szczęście znalazła jedno i drugie. Następnie weszła pod prysznic, próbując opanować panikę. Później wytarła się ręcznikiem, ubrała się ponownie i osuszyła włosy, jak tylko to było możliwe. Starannie nałożyła na twarz odrobinę podkładu, który zawsze nosiła w torebce.

Wróciła do sypialni i szybko doprowadziła ją do porządku. Zaścieliła łóżko i położyła poduszki na miejsca; wyniosła prawie pustą butelkę do kuchni i wylała z niej do zlewu resztki wina. Gdy wrzucała ją do kosza na śmieci, przez chwilę zastanowiła się, czy jej ze sobą nie zabrać, ale zrezygnowała z tego zamiaru. Wzięła z szafek nocnych do połowy pełne kieliszki. Umyła je pod bieżącą wodą, wytarła i schowała z powrotem do kredensu. Ukryła wszystkie dowody.

Ale co z telefonami? Nieodebrany mi połączeniami? Wiadomościami?

Zamierzała skłamać. Nie mogłaby powiedzieć Frankowi, gdzie spędziła noc. Nie potrafiła znieść myśli, jak przyjęłyby to jej dzieci. Albo matka. Musiała to naprawić. Musiała wszystko naprawić, chociaż temu postanowieniu towarzyszył upór czy wyzwanie: „Wiesz, co robisz?”.

„Tak Ale go kocham” – usłyszała inny głos.

Gdy tak stała w kuchni, miotana sprzecznymi uczuciami, nagle poczuła, że zaraz się rozplacze. I może tak by się stało, gdyby chwilę później, jakby przewidując jej załamanie, do kuchni nie wszedł Dawson. Wziął ją w ramiona, powiedział jej szeptem do ucha, że ją kocha, i przez chwilę, mimo że wydawało się to niemożliwe, poczuła pewność, że wszystko będzie dobrze.

W drodze powrotnej do Orientu oboje milczeli. Dawson wyczuwał niepokój Amandy i wiedział, że lepiej się nie odzywać, więc tylko mocniej ścisnął kierownicę.

Amandzie dołączala suchość w gardle – z nerwów, powiedziała sobie. Jedyne obecność Dawsona powstrzymała ją przed całkowitą rozsyplą. W głowie kotłowały się wspomnienia i plany, obawy i nadzieje, które zmieniały się jak w kalejdoskopie przy każdym skręceniu na drodze. Pograżona w myślach ledwie zauważała, że pokonują kolejne mile.

Dotarli do Orientu tuż po dwunastej w południe i przejechali obok mariny; kilka minut później skręcili w drogę prowadzącą do domu Tucka. Mimo zdenerwowania Amanda dostrzegła, że Dawson stał się bardziej napięty; pochylony nad kierownicą uważnie zlustrował wzrokiem szeregi drzew po obu stronach podjazdu. Był spokojny, ale czujny. Jego kuzyni – przypomniawszy sobie nagle. Gdy samochód zwolnił, na twarzy Dawsona nagle pojawiło się niedowierzanie.

Podążając za jego spojrzeniem, Amanda popatrzyła w stronę zabudowań. Dom i garaż wyglądały tak samo jak zwykle; samochody stały tam, gdzie je zostawili. Kiedy jednak zobaczyła to co Dawson, stwierdziła, że nie czuje prawie nic. Od początku wiedziała, że tak to się skończy.

Dawson zatrzymał wóz, więc odwróciła się do niego. Próbowała się uśmiechnąć, żeby go uspokoić, zapewnić, że sobie poradzi.

– Zostawiła trzy wiadomości – powiedziała w formie wyjaśnienia i bezradnie wzruszyła ramionami.

Dawson skinął tylko głową; wiedział, że będzie musiała stawić temu czoło sama. Odetchnąwszy głęboko, Amanda otworzyła drzwi samochodu i wysiadła, wcale niezdziwiona, że matka wygląda, jakby specjalnie ubrała się na tę okazję.

Dawson patrzył, jak Amanda rusza w stronę domu, dając matce możliwość pójścia za nią. Pani Collier zachowywała się tak, jakby nie wiedziała, co ma zrobić. Najwyraźniej pierwszy raz znalazła się u Tucka; nie było to miejsce dla damy z perłami na szyi i w kremowym kostiumie ze spodniami, zwłaszcza po deszczu. Popatrzyła na Dawsona z kamienną miną, jakby jakkolwiek reakcja na jego obecność była poniżej jej godności.

W końcu odwróciła się i poszła za córką na ganek. Amanda tymczasem usiadła na jednym z bujanych foteli. Dawson wrzucił jedynekę i powoli wjechał do garażu.

Wysiadł z wozu i oparł się o stół. Z miejsca, w którym stał, nie widział Amandy, nie miał też pojęcia, co zamierza powiedzieć matce. Gdy rozglądał się po garażu, przypomniało mu się coś, co usłyszał od Morgana Tannera, gdy byli z Amandą w jego gabinecie. Prawnik wspomniał, że oboje będą wiedzieli, kiedy przeczytać listy, które Tuck do nich napisał. I Dawson nagle zrozumiał, że Tuck chciałby, aby on przeczytał swój właśnie w tej chwili. Pewnie starszynek przewidział bieg spraw.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę. Rozłożył ją i przesunął palcem po swoim imieniu napisanym tą samą drżącą ręką co list, który przeczytali razem z Amandą. Odwrócił kopertę i rozerwał ją. List do niego mieścił się na jednej kartce zapisanej z obu stron. W cichym garażu, który kiedyś nazywał domem, Dawson skupił się i zaczął czytać.

*Dawsonie!*

*Nie bardzo wiem, jak zacząć ten list, więc chyba powiem po prostu, że w ciągu ostatnich lat dość dobrze poznałem Amandę. Chciałbym myśleć, że nie zmieniła się od czasu, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, ale nie mogę wiedzieć tego na pewno. Wtedy Wy dwoje trzymaliście się razem i jak większość młodych ludzi milkliście, gdy pojawiałem się w pobliżu. To mi zresztą nie przeszkadzało. My z Clarą zachowywaliśmy się tak samo. Nie wiem, czy jej ojciec słyszał choć raz mój głos, zanim się z nią ożeniłem, ale to zupełnie inna historia.*

*Zmierzam do tego, że tak naprawdę nie wiem, jaka była wówczas, ale wiem, jaka jest teraz, i powiedzmy, że rozumiem, dlaczego nigdy nie przestałeś jej kochać. Ta dziewczyna ma w sobie wiele dobroci. Pokłady miłości, cierpliwości, bystry umysł i urodę. Zawsze była jedną z najładniejszych istot, jakie chodziły ulicami tego miasteczka, to pewne. Ale najbardziej lubię ją za dobroć, bo żyję dostatecznie długo, aby wiedzieć, jaka to rzadka cecha.*

*Pewnie nie mówię nic, czego byś do tej pory nie wiedział, ale w ostatnim czasie Amanda stała się dla mnie jak córka. A to znaczy, że muszę porozmawiać z Tobą tak, jak zrobiłby to jej ojciec, bo ojcowie są do niczego, jeśli trochę się nie martwią. Zwłaszcza w jej wypadku. Bo przede wszystkim powinieneś zrozumieć, że Amanda cierpi, i to chyba już od dłuższego czasu. Dostrzegłem to, gdy przyjechała do mnie po raz pierwszy; miałem nadzieję, że jej przejdzie, ale im częściej mnie odwiedzała, tym bardziej cierpiała. Od czasu do czasu, gdy budziłem się*



z drzemki, widziałem, że kręci się wokół garażu, i zaczęłam rozumieć, że to Ty jesteś powodem jej cierpienia. Wciąż prześladowała ją przeszłość, czyli Ty. A wierz mi, wspomnienia to dziwna rzecz. Czasami są całkiem realne, ale czasami stają się tym, czym chcemy, żeby były, i myślę, że Amanda usiłowała dociec, co tak naprawdę znaczy dla niej przeszłość. Dlatego zorganizowałam Wam wspólny weekend. Miałem przeczucie, że spotkanie z Tobą pomoże jej znaleźć wyjście z ciemności, cokolwiek to może znaczyć.

Ale tak jak powiedziałem, ona cierpi i jeśli czegoś się w życiu nauczyłam, to tego, że ludzie, którzy cierpią, nie zawsze widzą rzeczywistość tak, jak powinni. Amanda znalazła się na takim etapie życia, że musi podjąć pewne decyzje, i tu zaczyna się Twoja rola. Oboje musicie zdecydować, co dalej, ale pamiętaj, że ona może potrzebować więcej czasu niż Ty. Niewykluczone też, że potem zmieni zdanie, może nawet nie raz, nie dwa. Kiedy jednak wreszcie podejmie decyzję, będziesz musiał się z nią pogodzić. I gdyby nie ułożyło się między Wami, to pamiętaj, żeby nie oglądać się już w przeszłość.

To może zniszczyć nie tylko Ciebie, ale i ją. Żadne z Was nie będzie potrafiło żyć z żalem, bo żal pozbawi Was sił witalnych, i gdy sobie to wyobrażam, pęka mi serce. Bo jeśli Amanda stała się dla mnie jak córka, to Ciebie traktuję jak syna. I gdybym mógł wyrazić jedno ostatnie życzenie, to chciałbym po prostu wiedzieć, że oboje, moje dzieci, jakoś sobie poradzicie.

Tuck

Amanda patrzyła, jak matka bada stopą gnijące stopnie ganku, jakby miała obawy, że się pod nią załamają. Zawahała się także przed bujanym fotelem, niepewna, czy naprawdę musi na nim usiąść.

Amanda poczuła znajome znużenie, gdy matka ostrożnie usadowiła się w fotelu. Siedziała sztywno, jakby chciała mieć z nim jak najmniej styczności.

Potem spojrzała na nią, najwyraźniej czekała, żeby córka odezwała się pierwsza, ale Amanda milczała. Miała świadomość, że nic, co by powiedziała, nie zmieni biegu tej rozmowy, więc celowo spoglądała przed siebie, obserwując grę światła słonecznego, które przesączało się przez daszek.

W końcu matka przewróciła oczami.

– No naprawdę, Amando. Przestań zachowywać się jak dziecko. Nie jestem twoim wrogiem. Jestem twoją matką.

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć. – Amanda mówiła bezbarwnym głosem.

– Być może, a jeśli nawet się nie mylisz, jednym z obowiązków rodzica jest zwrócenie dzieciom uwagi, kiedy popełniają błędy.

– Dla ciebie popełniłam błąd, tak? – Amanda spojrzała na matkę spod zmrużonych powiek.

– A jak ty to byś nazwała? Jesteś zamężną kobietą.

– Myślisz, że tego nie wiem?

– Nie zachowujesz się jak mężatka, to pewne – oznajmiła matka. – Nie jesteś pierwszą kobietą, która nie czuje się szczęśliwa w małżeństwie. Ani pierwszą, która z tego korzysta. Ale w przeciwnieństwie do tamtych przed tobą ty oczywiście uważasz, że to nie twoja wina.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Amanda poczuła, że mimowolnie zaciska ręce na oparciach fotela.

– Winisz wszystkich, tylko nie siebie, Amando. – Matka prychnęła. – Winisz mnie, Franka, a po

historii z Beą, winiłaś nawet Boga. Patrzysz wszędzie, tylko nie do lustra, szukając przyczyny swoich problemów w życiu. I zachowujesz się jak męczennica. „Biedna mała Amanda walczy z przeciwnościami losu w okrutnym, bezwzględny świat”. A prawda jest taka, że świat jest okrutny dla wszystkich z nas. Życie nigdy nie było i nie będzie łatwe. I gdybyś zdobyła się na szczerłość wobec samej siebie, zrozumiałabyś, że nie jesteś wyłącznie ofiarą.

Amanda zacisnęła zęby.

– A ja miałam nadzieję, że stać cię na choćby odrobinę współczucia czy zrozumienia. Chyba byłam w błędzie.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytała Evelyn i jednocześnie strzepnęła wyimaginowany pyłek z ubrania. – Co według ciebie mam ci powiedzieć? Oczekujesz, że wezmę cię za rękę i zapytam, jak się czujesz? A potem skłamię, że wszystko się ułoży? Że nie będzie żadnych konsekwencji, że jakoś zdołasz utrzymać sprawę w sekrecie?

– Urwała na chwilę. – Zawsze są konsekwencje, Amando. Jesteś już na tyle dojrzała, żeby to wiedzieć. Naprawdę chcesz, żebym ci to przypomniała?

Amanda zmusiła się, żeby zachować spokojny ton.

– Nie rozumiesz mnie.

– A ty nie rozumiesz mnie. Wcale nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Znam cię, mamo.

– No jasne. Według ciebie nie jestem zdolna nawet do odrobinę współczucia czy zrozumienia.

– Dotknęła małego brylantowego kołczyka na szyi. – Dlaczego więc kryłam cię poprzedniego wieczoru? Znasz odpowiedź na to pytanie?

– Słucham?

– Kiedy zadzwonił Frank Początkowo udałam, że nie wiem, o co chodzi, gdy opowiadał bezładu i składu o golfie, na który umówił się z jakimś Rogerem. A później, gdy zadzwonił drugi raz, powiedziałam mu, że śpisz, chociaż dobrze wiedziałam, gdzie się podziewasz. Podejrzewałam, że jesteś z Dawsonem, a w porze kolacji miałam już pewność, że nie wrócisz na noc.

– Skąd wiedziałaś? – zapytała ostro Amanda, żeby ukryć zaskoczenie.

– Nie zauważyłaś, że Oriental to bardzo małe miasteczko? Nie ma tu wiele miejsc, w których można by się zatrzymać. Więc przede wszystkim zadzwoniłam do Alice Russell z pensjonatu i odbyłam z nią bardzo miłą rozmowę. Dowiedziałam się, że Dawson zwolnił pokój, ale już samo to, że był w miasteczku, wystarczyło, żebym wszystkiego się domyśliła. Chyba dlatego jestem tutaj, zamiast czekać na ciebie w domu. Pomyślałam, że możemy darować sobie kłamstwa i wypieranie się. I że to ułatwi ci rozmowę ze mną.

Amandzie niemal zakręciło się w głowie.

– Dziękuję ci – wymamrotała – że nie powiedziałaś Frankowi.

– Nie do mnie należy mówienie Frankowi czegokolwiek, zwłaszcza że to mogłoby jeszcze pogłębić wasze problemy małżeńskie. Co mówisz mężowi, to twoja sprawa. Jeśli o mnie chodzi, nic się w ogóle nie stało.

Amanda przełknęła gorycz w ustach.

– To dlaczego tu przyjechałaś?

Matka westchnęła.

– Bo jesteś moją córką. Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, to przynajmniej daj mi coś powiedzieć. – Amanda dosłyszała w głosie matki cień rozczarowania. – Nie chcę słuchać

rzewnych opowieści o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy, ani oskarżeń, że kiedyś nie chciałam zaakceptować Dawsona. Nie zamierzam też omawiać twoich problemów z Frankiem. Chciałabym natomiast dać ci pewną radę. Jako twoja matka. Niezależnie od tego, co sobie czasami myślisz, jesteś moją córką i zależy mi na tobie. Pytanie tylko, czy chcesz mnie wysłuchać?

– Tak – odpowiedziała ledwie słyszalnie Amanda. – Co mam zrobić?

Twarz matki nagle złagodniała, a jej głos przybrał wyrozumiały ton.

– To naprawdę bardzo proste – powiedziała. – Nie korzystaj z moich rad.

Amanda czekała na dalszy ciąg, ale matka zamilkła i nie dodała już nic więcej. Amanda nie bardzo wiedziała, co ma o tym sądzić.

– Mówisz mi, żebym odeszła od Franka? – zapytała w końcu szeptem.

– Nie.

– To może powinnam dojść z nim do porozumienia?

– Tego też nie mówię.

– No to już nie rozumiem.

– Nie analizuj tego za bardzo. – Matka wstała i obciągnęła żakiet. Skierowała się do schodów.

Amanda zamrugała powiekami, usiłując połapać się w tym wszystkim.

– Zaczekaj... odchodzisz? Nic więcej nie powiesz?

Matka odwróciła się do niej.

– Jak to? Powiedziałam już to, co najważniejsze.

– Żebym nie korzystała z twoich rad?

– No właśnie – potwierdziła matka. – Nie korzystaj z moich rad. Ani niczyich innych. Zaufaj sobie. Czy wyjdzie ci to na dobre, czy na złe, czy będziesz szczęśliwa, czy nie, to twoje życie i co z nim zrobisz, zależy wyłącznie od ciebie. – Postawiła stopę w pantoflu z lakierowanej skóry na skrzyjącym stopniu i jej twarz znowu stała się jak maska. – Zobaczymy się później, prawda? Kiedy przyjedziesz po swoje rzeczy?

– Tak

– To przygotuję ci kanapki i owoce na drogę. – Potem zeszła po pozostałych stopniach. Gdy doszła do samochodu, zauważyła Dawsona w wejściu do garażu i przyjrzała mu się krótko. Potem się odwróciła, usiadła za kierownicą, uruchomiła silnik i już jej nie było.

\*

Odłożywszy list, Dawson wyszedł z garażu i spojrzął w stronę ganku. Amanda siedziała wpatrzona w las. Była spokojniejsza, niż przypuszczał, ale nie umiał nic wyczytać z jej twarzy.

Gdy szedł ku niej, uśmiechnęła się do niego słabo, a potem odwróciła głowę. Poczuł, że gdzieś w trzewiach skręca go ze strachu.

Usiadł na bujanym fotelu i pochylił się do przodu. Złożył ręce na kolanach i czekał w milczeniu.

– Nie zapytasz, jak poszło? – odezwała się w końcu.

– Pomyślałem, że prędzej czy później sama mi powiesz – odpowiedział. – Jeśli oczywiście zechcesz o tym rozmawiać.

– Jestem aż taka przewidywalna?

– Nie.

– Owszem, jestem. A moja matka przeciwnie... – Pociągnęła się za płatek uszny, żeby zyskać na czasie. – Jeśli ci kiedyś powiem, że ją rozgryżłam, to przy pomnij mi dzisiaj dzień, dobrze?

Kiwnął głową.

– Możesz na mnie liczyć.

Amanda odetchnęła przeciągle, a kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był dziwnie stłumiony.

– Gdy szła w stronę ganku, wiedziałam, jak potoczy się nasza rozmowa – zaczęła. – Zamierzała spytać, gdzie byłam, i uświadomić mi, jaki straszliwy błąd popełniam. Potem wygłosiłaby wykład o obowiązkach i odpowiedzialności, a ja bym jej przerwała, oświadczając, że zupełnie mnie nie rozumie. Powiedziałabym jej, że kocham cię przez całe życie i że od dawna nie jestem z Frankiem szczęśliwa. I że chcę być z tobą. – Odwróciła się ku niemu, jakby prosiła o zrozumienie. – Już słyszałam samą siebie, jak mówię te słowa, ale później... – Spojrzała w przestrzeń. – Ona potrafi sprawić, że we wszystko tracę wiarę.

– Masz na myśl nas – rzucił. Jego lęk się nasilił.

– Mam na myśli samą siebie – odpowiedziała ledwie słyszalnym szeptem. – Ale tak, owszem, także nas oboje. Bo naprawdę chciałam jej powiedzieć to wszystko. Bardzo chciałam, bo to prawda. – Pokręciła głową, jakby próbowała otrząsnąć się ze snu. – Ale gdy matka zaczęła mówić, wróciłam do rzeczywistości i nagle usłyszałam, że z moich ust wychodzi coś zupełnie innego. To było jak dwa radia nastawione na inne stacje, z których na przemian płynie muzyka. W efekcie powiedziałam, że nie chcę, aby Frank się o czymkolwiek dowiedział. Że mam dzieci, które czekają na mnie w domu. I że niezależnie od tego, co bym im mówiła, jak próbowała się tłumaczyć, w całej tej sprawie zawsze będzie coś egoistycznego. – Przerwała i z roztargnieniem zaczęła obracać na palcu ślubną obrączkę. – Annette jest jeszcze mała – podjęła. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ją zostawić, ale jednocześnie nie potrafiłabym zabrać od ojca. Jak bym jej to wyjaśniła? Tak, żeby rozumiała? A co z Jaredem i Lynn? Są już prawie dorosli, ale czy byłoby im łatwiej? Pogodzić się z tym, że rozbiłam rodzinę, aby być z tobą? Jak gdybyś chciała przeżyć na nowo młodość? – W jej głosie słychać było udrękę. – Kocham moje dzieci i nie mogłabym znieść zawodu w ich oczach.

– One też cię kochają – zauważył Dawson. Czuł gulę w gardle.

– Wiem. Ale nie chcę ich na to wszystko narażać – oświadczyła. Oderwała ławalek kuszyczej się farby z fotela. – Nie chcę, żeby mnie zniechęciły czy zawiodły się na mnie. A Frank.. – Zaczepnęła nerwowo powietrza. – Tak, ma problem, i owszem, od dawna nie mogę się rozeznac w moich uczuciach do niego. Ale to nie jest zły człowiek i mam świadomość, że w głębi duszy zawsze będzie mi na nim zależało. Czasami mam wrażenie, że tylko dzięki mnie funkcjonuje tak, jak funkcjonuje. Ale nie należy do mężczyzn, którzy godzą się z myślą, że żona porzuciła ich dla kogoś innego. Wiem, że nie podniósłby się po takim ciosie. To by go... to by go zniszczyło. I co potem? Rozpiłby się jeszcze bardziej? A może wpadł w głęboką depresję, z której już by się nie wygrzebał? Nie mogłabym mu czegoś takiego zrobić. – Opadły jej ramiona. – A jednocześnie jesteś ty.

Dawson domyślił się, co za chwilę usłyszy.

– Ten weekend był cudowny, ale nie miał nic wspólnego z prawdziwym życiem. To jak miesiąc miodowy, po jakimś czasie zauroczenie mija. Możemy sobie mówić, że tak się nie stanie, możemy sobie składać rozmaite obietnice, ale to nieuniknione i prędzej czy później przestaniesz

na mnie patrzeć tak jak teraz. Nie będę już dla ciebie tą kobietą, o której marzyłeś, ani dziewczyną, którą kiedyś kochałeś. Ty także nie będziesz dla mnie dawnym utraconym ukochanym, jedyną miłością. Staniesz się kimś, kogo nienawidzą moje dzieci, bo rozbił ich rodzinę. I dostrzeżesz, jaka jestem naprawdę. Za kilka lat będę kobietą pod pięćdziesiątkę z trojgiem niechętnych jej dzieci, która w końcu sama siebie zacznie nienawidzić z powodu tego wszystkiego. I ty w efekcie też ją zmienisz.

– To niemożliwe – oświadczył stanowczo.

Amanda próbowała zdobyć się na odwagę.

– Ależ tak – powiedziała. – Miesiące miodowe nigdy nie trwają wiecznie.

Wyciągnął rękę i położył ją na jej udzie.

– Bycie razem to nie miesiąc miodowy. To rzeczywistość, ty i ja z krwi i kości. Chcę rano budzić się obok ciebie, chcę wieczorem jeść z tobą kolację. Chcę opowiadać ci o swoich codziennych, przyziemnych sprawach i słuchać o twoich. Chcę się z tobą śmiać i zasypiać, trzymając cię w ramionach. Bo jesteś nie tylko moją dawną miłością. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, tym, co we mnie najlepsze, i nie wyobrażam sobie, że mógłbym stracić cię ponownie. – Zawahał się, szukając właściwych słów. – Być może tego nie rozumiesz, ale oddałem ci najlepszą część siebie, i gdy odeszłaś, nic już nie było takie samo. – Poczul, że wilgotnieją mu dłonie. – Wiem, że się boisz, ja także się boję. Ale jeśli teraz z tego zrezygnujemy, jeśli będziemy udawać, że nic się między nami nie zdarzyło, możemy już nigdy nie mieć następnej okazji. – Sięgnął ręką i odgarnął jej z oczu kosmyk włosów. – Jeszcze jesteśmy młodzi. Jeszcze możemy wszystko naprawić.

– Nie jesteśmy już młodzi...

– Ależ jesteśmy – nie dawał za wygraną. – Mamy przed sobą drugą połowę życia.

– Wiem – szepnęła. – Dlatego musisz coś dla mnie zrobić.

– Co tylko zechcesz.

Ucisnęła nasadę nosa, żeby powstrzymać łzy.

– Proszę... nie żądam ode mnie, żebym z tobą odeszła, bo jeśli to zrobisz, odejdę. Proszę, nie żądam, abym powiedziała o nas Frankowi, bo powiem. Proszę, nie żądam, abym porzuciła rodzinę i obowiązki. – Wciągnęła powietrze w płuca jak ktoś, kto tonie. – Kocham cię i jeśli ty też mnie kochasz, to nie oczekuj ode mnie tego wszystkiego. Bo nie ręczę już za siebie i mogłabym ci nie odmówić.

Kiedy skończyła, Dawson przez chwilę nic nie mówił. Choć nie chciał tego przyznać, w głębi duszy wiedział, że Amanda ma rację. Odejście od rodziny zmieniloby wszystko, zmieniloby ją, i choć ta myśl go przestraszyła, przypomniał sobie list Tucka. Tuck napisał, że Amanda może potrzebować czasu. A może to naprawdę był już koniec i należało się rozjeść.

To niemożliwe. Pomyślał o tych wszystkich latach, podczas których marzył, że ją jeszcze zobaczy; pomyślał o przyszłości, którą mogliby spędzić razem. Nie chciał dać jej więcej czasu, pragnął, żeby wybrała go już teraz. A jednak wiedział, że jest jej to winien, więc odetchnął głęboko, jakby liczył, że dzięki temu łatwiej wypowie następne słowa.

– Dobrze, w porządku – wyszeptał w końcu.

Wtedy Amanda się rozplakała. Walcząc z miotającymi nim emocjami, Dawson wstał. Ona także wstała, więc przyciągnął ją do siebie i poczul jej ciężar na sobie. Gdy wdychał jej zapach, przed oczami przewinęły mu się niedawne wspomnienia – słońce przeświecające jej przez

włosy, kiedy wyszła z garażu po jego przyjeździe do Tucka; naturalna gracja, z jaką wędrowała po łące z kwiatami w Vandemere; żarliwość, z jaką ich usta zetknęły się ze sobą pierwszy raz, w ciepłym domu, o którego istnieniu wcześniej nie miał pojęcia. A teraz to miało się skończyć i czuł się tak, jakby obserwował ostatni błysk światła w ciemnym, niekończącym się tunelu.

Przytulili się do siebie na ganku i stali tak przez dłuższą chwilę. Amanda słuchała bicia jego serca, pewna, że nigdy nie będzie jej tak dobrze. Zamarzyło jej się niemożliwe: żeby czas się cofnął. Tym razem postąpiłaby właściwie; nie porzuciłaby go, tylko została z nim. Byli sobie przeznaczeni i należeli do siebie wzajemnie. Jeszcze mogli być razem. Kiedy poczuła jego rękę w swoich włosach, niemal wypowiedziała te słowa na głos. Ale nie mogła tego zrobić. Wyszeptała jedynie:

– Cieszę się, że cię znowu spotkałam, Dawsonie Cole'u.

Dawson czuł między palcami jej jedwabście, wręcz luksusowo gładkie włosy.

– Może to kiedyś powtórzy my?

– Może – odpowiedziała. Otarła łzę z policzka. – Kto wie? Może odzyskam rozum i któregoś dnia przyjadę do

Luizjany. Razem z dziećmi.

Zmusił się do uśmiechu, czując przebłysk nadziei.

– Ugotuję obiad – obiecał. – Dla nas wszystkich.

Musiała już iść. Gdy schodzili z ganku, Dawson podał jej rękę, a ona ją przyjęła i uściśniła mocno, niemal boleśnie. Wyjęli jej rzeczy ze stingraya, a potem powoli ruszyli do jej samochodu. Dawson miał niezwykle wyostrome zmysły – przedpołudniowe słońce grzało go w szyję, czuł powiew wiatru, słyszał szum liści, ale to wszystko wydawało mu się nierealne. Bo wiedział, że zaraz nastąpi koniec.

Amanda mocniej uściśniła go za rękę. Kiedy doszli do samochodu, Dawson otworzył jej drzwi i odwrócił się do niej. Pocałował ją czule, a potem przesunął ustami po jej policzku, podążając śladem łez. Musnął linię szczęki i jednocześnie pomyślał o tym, co napisał mu w liście Tuck. Z nagłą jasnością uświadomił sobie, że nigdy nie ruszy naprzód, wbrew temu, o co starszuszko prosił. Bo Amanda była jedyłą kobietą, którą kiedykolwiek kochał i pragnął kochać.

Ona z wielkim wysiłkiem woli odsunęła się od niego. Usiadła za kierownicą, włączyła silnik i zamknęła drzwi, a potem opuściła szybę. Oczy Dawsona, tak jak jej, błyszczały od łez. Niechętnie wrzuciła wsteczny bieg. Dawson odsunął się bez słowa i na jego twarzy odbił się ból, który czuł w duszy.

Zawróciła samochód i ruszyła w stronę głównej drogi. Z powodu łez miała zamglony obraz. Skręcając na podjeździe, spojrzała w lusterko wsteczne i stłumiła szloch, gdy sylwetka Dawsona zaczęła powoli maleć. Stał w miejscu, nawet się nie poruszył.

Rozplakała się, gdy samochód nabierał prędkości. Otoczyły ją drzewa. Chciała się zatrzymać i wrócić do niego, powiedzieć mu, że ma dość odwagi, aby stać się tym, kim pragnęła. Wypowiedziała szeptem jego imię, a on, choć nie mógł jej słyszeć, podniósł rękę i pomachał jej na pożegnanie.

\*

Gdy Amanda przyjechała, matka siedziała na ganku przed domem. Piła mrożoną herbatę,

podczas gdy z radia płynęła cicha muzyka. Amanda minęła ją w milczeniu i weszła po schodach do swojego pokoju. Włączyła wodę pod prysznicem i zdjęła ubranie. Wyczerpana, z poczuciem wewnętrznej pustki, naga stanęła przed lustrem.

Piekące krople wody spadły na nią jak razy. Po wyjściu spod prysznica włożyła dżinsy i skromną białą bawełnianą bluzkę, a potem spakowała pozostałe rzeczy do walizki. Czterolistną koniczynkę umieściła w bocznej kieszonce torebki. Jak to miała w zwyczaju, zdjęła pościel z łóżka, zaniosła ją do pralni i włożyła do pralki. Działała jakna autopilocie.

Po powrocie do pokoju odtworzyła w myśli listę rzeczy do zrobienia. Przypomniała sobie, że ma oddać do naprawy lodownik z lodówki w domu; zapomniała o tym przed wyjazdem. Powinna już także pomyśleć o imprezie na cele dobroczynne. Odłożyła to na jakiś czas, ale wrzesień zbliżał się nieubłaganie. Potrzebowała firmy cateringowej i należało zacząć pozyskiwać datki na kosze prezentowe. Musiała dopilnować, żeby Lynn zapisała się na zajęcia przygotowujące do egzaminów na studia, i sprawdzić, czy Jared zapłacił za pokój w akademiku, bo nie pamiętała. Annette miała przyjechać do domu w tym tygodniu i pewnie chciałyby coś specjalnego na kolację.

Plany na następny tydzień. Powrót do rzeczywistości. Jak woda pod prysznicem, która zmyła z niej zapach Dawsona, to również wydało jej się pewnego rodzaju karą.

Ale nawet gdy jej umysł przestał wreszcie pracować gorączkowo, nie była gotowa zejść na dół. Usiadła więc na łóżku w promieniach słońca, które wpadały przez okno, i natychmiast ujrzała przed oczami Dawsona, jak stał na podjeździe. Jego obraz był wyraźny, żywy, jakby rzeczywiście, i wbrew sobie – wbrew wszystkiemu – nagle zrozumiała, że podjęła złą decyzję. Ale przecież mogła jeszcze do niego pojechać – razem znaleźliby wyjście z sytuacji, choćby było to bardzo trudne. Z czasem dzieci jej wybaczą; z czasem nawet sama sobie wybaczy.

Mimo to wciąż była jak sparalizowana, nie mogła ruszyć się z miejsca.

– Kocham cię – wyszeptala w pustym pokoju. Poczula, że jej przyszłość rozwiewa się jak ziarenka piasku na wietrze, przy szłości, która już wydawała się sennym marzeniem.

Marilyn Bonner stała w kuchni w domu na farmie i beczynn timer patrzyła, jak robotnicy naprawiają system nawadniający w sadzie poniżej. Mimo wczorajszej ulewy drzewa trzeba było podlać i wiedziała, że ludziom zejdzie na robocie prawie cały dzień, chociaż był weekend. Sad, zauważyła to już dawno, przypominał rozpieszczone dziecko, które, nigdy do końca nieusatisfakcjonowane, zawsze potrzebuje jeszcze więcej troski, jeszcze więcej uwagi.

Jednakże prawdziwe serce jej firmy znajdowało się gdzie indziej, w małym zakładzie przetwórczym, w którym produkowano dżemy i konfitury. W dni powszednie pracowało tam dwunastu ludzi, ale w weekendy miejsce to było puste. Kiedy budowała zakład, w miasteczku szeptało, że ta inwestycja jej się nie zwróci. Ale po pewnym czasie te szeptuchy ucichły. Wiedziała, że nie dorobi się fortuny na dżemach i konfiturach, ale interes prosperował na tyle dobrze, że mogła przelać go dzieciom i zapewnić im tym samym wygodne życie. Bo w końcu tak naprawdę tylko tego pragnęła.

Była wciąż w tym samym stroju, w którym poszła do kościoła, a potem na cmentarz. Zazwyczaj przebierała się zaraz po powrocie do domu, ale tego dnia nie miała energii. Nie odczuwała też głodu, co również było nietypowe. Ktoś mógłby pomyśleć, że bierze ją jakaś choroba, ale Marilyn wiedziała, o co chodzi.

Odwróciła się od okna i rozejrzała po kuchni. Odnowiła ją przed kilku laty, tak samo jak łazienkę oraz większość pomieszczeń na dole, i wreszcie zaczęła czuć się w tym starym budynku jak we własnym domu – domu, o którym zawsze marzyła. Do czasu remontu wydawało się jej, że wciąż mieszka u rodziców, co z biegiem lat doskwierało jej coraz bardziej. Przeszkadzało jej zresztą wiele innych rzeczy podczas zmagania z życiem w okresie dorosłości, ale choć niektóre lata były naprawdę ciężkie, doświadczenia nie szły na marne. Mimo wszystko wcale nie była tak zgorzkniała, jak ludzie mogliby sądzić.

Niepokoilo ją jednak to, co zauważyła tego dnia, i wciąż zastanawiała się, co w tej sprawie zrobić. I czy w ogóle powinna coś robić. Zawsze mogła przecież udawać, że nie wie, o co chodzi, i zdać się na upływ czasu.

Ale życie ją nauczyło, że przemykanie oczu nie zawsze wychodzi na dobre. I teraz, gdy sięgała po torebkę, nagle zrozumiała, jak powinna postąpić.

\*

Wcisnąwszy ostatnie pudła na fotel pasażera w samochodzie, Candy wróciła do domu i zdjęła złoty posążek Buddy z parapetu w salonie. Chociaż był brzydki, zawsze go lubiła i wyobrażała sobie, że przynosi jej szczęście. Był także jej polisą ubezpieczeniową; czy rzeczywiście przynosił szczęście, czy nie, zamierzała go zastawić, żeby mieć pieniądze na start.

Owinęła Buddę w gazetę i wsadziła do schowka na rękawiczki w wozie, a potem cofnęła się,



żeby obejrzeć efekt swoich wysiłków. Była naprawdę zdziwiona, że udało jej się wepchnąć wszystko do mustanga. Bagażnik ledwie się zamykał, a tylne siedzenie było tak zawalone, że siedząc za kierownicą, nie dało się wiele zobaczyć przez szybę. Naprawdę powinna skończyć z zakupami internetowymi. W przyszłości będzie potrzebowała większego samochodu, bo inaczej szybko przeprowadzi z miejsca na miejsce stanę się niemożliwe. Oczywiście nie musiała wszystkiego zabierać, na przykład ekspresu do kawy Williams-Sonoma. W Orientale był jej potrzebny, choćby tylko po to, żeby nie czuć się tu jak na kompletnym zadupiu. Przydawał jej życiu trochę wielkomiejskiego szyku, żeby się tak wyrazić.

Tak czy owak, jeden etap miała już za sobą. Wieczorem odbębni swoją zmianę w Tidewater, a potem wydostanie się na autostradę i skręci na południe, gdy tylko dojedzie do I-95. Postanowiła przenieść się na Florydę. Słyszała dużo zachęcających rzeczy o South Beach i miała wrażenie, że będzie mogła zatrzymać się tam na dłużej. A niewykluczone, że nawet osiągnąć na stałe. Wprawdzie już tak myślała kilka razy i nic z tego nie wyszło, ale dziewczyna może sobie trochę pomarzyć, no nie?

Jeśli chodzi o napiwki, sobota wprawdzie okazała się nadszpejdowanie korzystna, ale piątek bardzo ją rozczarował i dlatego poprzedniego wieczoru postanowiła się zbierać. Wieczór zaczął się nie najgorzej – włożyła gorset i obcisłe szorty, więc faceci wręcz wyskakiwali z forsy, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, ale potem pojawił się Abee i wszystko zepsuł. Usiadł przy stole i chociaż wyglądał na chorego i pocił się, jakby dopiero co wyszedł z sauny, przez następne pół godziny gapił się na nią z tą swoją zaciętą miną.

Widowała to już wcześniej – taką paranoiczną zaborczość – ale Abee w piątek przekroczył wszelkie granice. Nie mogła się już doczekać końca weekendu. Miała przeczucie, że jeszcze trochę i Abee popełni jakieś głupstwo, może nawet posunie się do przemocy. Była pewna, że jeszcze tego wieczoru kretyn wywoła awanturę, ale na szczęście odebrał jakiś telefon i szybko wyszedł z baru. Spodziewała się nawet, że zastanie go w sobotę rano pod domem albo wieczorem w barze, ale, o dziwo, nie pokazał się ani tu, ani tam. Ku jej wielkiej uldze nie pojawił się także tego dnia. Dobrze i to, zwłaszcza że załadowany samochód nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej dalszych planów, a Abee nie byłby nimi zachwycony. Choć nie chciała się do tego przyznać, ten facet napawał ją lękiem. W piątek wystraszył też połowę klientów baru. Gdy tylko wszedł, zrobiło się pusto, dlatego tak niewiele zarobiła z napiwków. To, że wkrótce się wyniosł, niewiele potem zmieniło.

Ale już niedługo. Jeszcze tylko jedna zmiana i będzie mogła się stąd ulotnić. I Oriental, jak wszystkie inne miejsca, w których mieszkała, stanie się jednym mglistym wspomnieniem.

\*

Na Alana Bonnera niedziele zawsze działały przygnębiająco, bo miał świadomość, że weekend powoli dobiega końca. A praca nie była jego życiową pasją.

Nie miał jednak wielkiego wyboru. Matka chciała, żeby urządził się w życiu, czy jak to nazywała, i w tym cały szkopuł. Byłoby miło z jej strony, gdyby zrobiła go kierownikiem przetwórci, wtedy siedziałby sobie w klimatyzowanym biurze i wydawał polecenia albo doglądał roboty, a nie rozwoził towar do sklepów. Ale co mógł zrobić? To matka była szefową i trzymała to stanowisko dla jego siostry. W przeciwieństwie do niego Emily bowiem chodziła do college'u.

Choć nie było tak źle. Miał gdzie mieszkać, dzięki matce oczywiście, a wszystkie jego rachunki opłacała firma, co oznaczało, że całą pensję mógł zachować dla siebie i robić z nią, co mu się podoba. Nawet lepiej, mógł wychodzić i przychodzić, kiedy chciał, co stanowiło duży krok naprzód w stosunku do poprzednich lat, gdy mieszkał w domu z matką. Poza tym praca dla niej, choćby i w klimatyzowanym biurze, nie byłaby taką łatwą. Przede wszystkim, gdyby pracował dla matki, miałby z nią stale do czynienia, co byłoby tylko przyczyną kwasów. A jeszcze biorąc pod uwagę to, że matka była okropnie drobiazgową, jeśli chodzi o papierkową robotę – do której on nigdy nie miał serca – już lepsza była dla niego praca w magazynie. Przez większość czasu mógł robić, co chciał i kiedy chciał, a wieczory i weekendy miał tylko dla siebie.

Piątkowy wieczór okazał się szczególnie udany, bo w Tidewater nie było taktłoczno jak zwykle. W każdym razie po tym, jak zjawił się Abee. Większość klientów zmyła się w mgnieniu oka. On jednak został na swoim miejscu, przy barze, i potem zrobiło się... naprawdę przyjemnie. Mógł pogadać z Candy, która nawet wykazywała zainteresowanie tym, co mówił. Oczywiście takie jak ona flirtu jęze wszystkimi facetami, ale odniósł wrażenie, że dziewczyna naprawdę go polubiła. Liczył w sobotę na dalszy ciąg, ale tym razem w barze było jak w menażerii. Przy kontuarze panował tłoki i wszystkie stoliki zostały zajęte.

A jednak za każdym razem, gdy składał zamówienie, Candy uśmiechała się do niego nad głowami innych facetów, i to dało mu nadzieję. W niedzielne wieczory nigdy nie było już ścisku, więc cały ranek zbierał się na odwagę, żeby zaprosić ją na randkę. Nie miał pewności, czy dziewczyna na się zgodzi, ale co miał do stracenia? Przecież nie była mężatką, no nie?

\*

W miejscu oddalonym o trzy godziny jazdy na zachód samochodem Frank stał na greenie przy trzynastym dołku i popijał piwo, podczas gdy Roger przymierzał się do uderzenia. Grał dobrze, znacznie lepiej niż Frank. Tego dnia Frankowi szło wyjątkowo kiepsko. Silne uderzenia zupełnie mu nie wychodziły, krótkie zagrania pozostawiały wiele do życzenia, o zakończeniu dołka w ogóle nie było co mówić.

Przypominał sobie jednak, że nie jest tu po to, żeby bić rekordy. Miał odpocząć od pracy i spotkać się z najlepszym przyjacielem, pobyć na świeżym powietrzu, zrelaksować się. Ale, niestety, te perswazje nie działały. Każdy przecież wiedział, że cała przyjemność z golfa polega na efektywnych odbiciach, precyzyjnych uderzeniach i zagraniach kończących się dwie stopy od dołka. Jak dotąd nie popisał się niczym szczególnym, a przy ósmym dołku wręcz dał plamę. Równie dobrze mógłby próbować przeprowadzić piłkę przez młyn i trafić w usta klauna na lokalnym polu do minigolfa, biorąc pod uwagę poziom jego dzisiejszej gry. Nawet to, że Amanda miała wieczorem wrócić do domu, nie poprawiało mu humoru. Nie był pewny, czy w takiej sytuacji będzie miał ochotę obejrzeć potem mecz. Było mało prawdopodobne, czy sprawi mu to frajdę.

Pociągnął ostatni łyk piwa z puszki. Dobrze, że zapakował ich całą lodówkę, pomyślał. Bo zapowiadał się długi dzień.

Jared cieszył się, że matka wyjechała, bo gdyby była na miejscu, nie mógłby tak późno wracać. Te wszystkie nakazy i zakazy były śmieszne. Przecież chodził już do college'u, a ludzie chodzący do college'ów nie musieli meldować się w domu wczesnym wieczorem, ale

najwyraźniej nikt nie powiedział o tym jego matce. Kiedy wróci z Orientu, będzie musiał ją oświecić.

Nie żeby był jakiś problem w ten weekend. Kiedy ojciec już zasnął, to spał kamiennym snem, co oznaczało, że Jared mógł wrócić do domu, kiedy chciał. W piątek wieczorem bawił się do drugiej, a poprzedniego dnia – aż do trzeciej w nocy. A ojciec tkwił w błogiej nieświadomości. A może i nie, ale Jared nie miał jak tego sprawdzić. Gdy wstał tego rana z łóżka, ojciec był już ze swoim kumpłem Rogerem na polu golfowym.

Jednakże te imprezy do rana kosztowały go sporo zdrowia. Przejrząwszy lodówkę o poszukiwaniu czegoś do jedzenia, Jared pomyślał, że pójdzie do swojego pokoju i trochę się prześpi. Czasami nie ma nic lepszego niż popołudniowa drzemka. Młodsza siostra była na obozie, a Lynn – nad jeziorem Norman. Innymi słowy, w domu panowała cisza, przynajmniej o tyle, o ile było to możliwe w lecie.

Rozciągnąwszy się na łóżku, zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyłączyć telefonu komórkowego. Właściwie nie chciał, żeby go obudzono, ale gdyby dzwoniła Melody...

W piątkowy wieczór wyskoczył razem z nią na miasto, w sobotę wybrali się na imprezę i choć spotykali się od niedawna, zdążył ją polubić. Nawet bardzo.

Nie wyłączył więc komórki i nakrył się kołdrą. Po dziesięciu minutach spał już jak suseł.

\*

Ted po obudzeniu się poczuł w głowie ból i choć obrazy, które stanęły mu przed oczami, były fragmentaryczne, powoli zaczęły układać się w jedną całość. Dawson, który złamał mu nos, potem szpital. Ramię w gipsie. Miniona noc, kiedy czekał z Abeem w deszczu na Dawsona, ale ten przepadł jak kamień w wodę, bawił się z nim...

Dawson. Bawił się. Z nim.

Usiadł gwałtownie i poczuł, że głowa mu pęka, a żołądek podchodzi do gardła. Skrzywił się, ale nawet to powodowało cierpienie, a kiedy dotknął twarzy, ból stał się nie do zniesienia. Nos miał wielkości ziemniaka i raz po raz ogarniały go mdłości. Nie był pewny, czy zdoła dojść do łazienki, żeby się odlać.

Znowu przy pomniał sobie, jak dostał felgą w twarz, pomyślał o okropnej nocy, którą spędził na deszczu, i poczuł, że wzbiera w nim gniew. Słyszał dobiegający z kuchni płacz niemowlęcia, wysokie zawodzenie, które przebijało się przez dźwięki z telewizora. Zmrużył oczy, próbując bez powodzenia odciąć się od tych wszystkich odgłosów, a następnie wstał z łóżka.

Obraz miał zamazany, zwłaszcza na obrzeżach pola widzenia; wyciągnął rękę, żeby oprzeć się o ścianę, bo inaczej by upadł. Wciągnął głęboko powietrze i zazgrzytał zębami, gdy dziecko znowu zaczęło wyć. Dlaczego Ella, do cholery, nie każe się gówniarzowi przymknąć, pomyślał. I dlaczego telewizor tak ryczy.

Potknął się po drodze do łazienki, ale gdy zbyt szybko podniósł rękę w gipsie, aby odzyskać równowagę, miał wrażenie, że ramię przeszył mu prąd. Gdy krzyknął z bólu, drzwi do sypialni za jego plecami otworzyły się gwałtownie. Płacz dziecka był jak nóż wbijający mu się między uszy i kiedy się odwrócił, zobaczył dwie Elle i dwoje niemowląt.

– Zrób coś z tym bachorem, bo ja się nim zajmę – warknął. – I wyłącz ten cholerny telewizor.

Ella wycofała się z pokoju. Ted odwrócił się i przymknął jedno oko, próbując znaleźć glocka.

Powoli przestał widzieć podwójnie i dostrzegł pistolet na stoliku nocnym, obok kluczy do samochodu. Dwa razy próbował go wziąć, zanim mu się to udało. Dawson pogrywał z nim przez cały weekend, ale przyszła pora zrobić z tym porządek.

Ella patrzyła na niego, gdy wyszedł z sypialni, oczy miała wielkie jak spodki. Uciszyła dziecko, ale zapomniała wyłączyć telewizor. Od jego ryku pękała mu czaszka. Wpadł więc do małego salonu i zrzucił odbiornik, który rozbił się o podłogę. Trzylatek zaczął krzyczeć, a Ella i niemowlę popłakiwać. Gdy wychodził z domu, znowu skrzyło go w żołądku i dostał torsji.

Pochylił się i wyrzygał na skraju ganku. Otarł usta, a potem wsadził pistolet do kieszeni. Uchwyciwszy się barierki, ostrożnie zszedł po schodach. Mglisto dostrzegł pick-upa i ruszył w jego stronę.

Dawson mu nie ucieknie. Nie tym razem.

\*

Abee stał przy oknie w swoim domu i patrzył, jak Ted chwiejnym krokiem zmierza do pick-upa. Dobrze wiedział, dokąd brat się wybiera, nawet jeśli nie szedł prostą drogą do wozu. Ted najwyraźniej nie był w stanie iść prosto, zносиło go raz na lewo, raz na prawo.

Choć czuł się fatalnie minionej nocy, Abee obudził się rano w lepszej kondycji niż ostatnio. Leki od weterynarza wreszcie musiały zadziałać, bo gorączka mu przeszła i choć rana w brzuchu wciąż sprawiała ból, nie była już taka czerwona jak poprzedniego dnia.

Oczywiście, że nie czuł się dobrze w stu procentach. O nie. Ale był w lepszej formie niż Ted, to pewne. Wolałyby, żeby reszta rodziny nie widziała brata w takim stanie. Już i tak słyszała, jak gadają na farmie, że Dawson spuścił Tedowi łomot – znowu. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczęli się zastanawiać, czy sami też nie mogą się krewniakowi postawić.

Ktoś powinien zdusić bunt w zarodku. Abee otworzył drzwi i ruszył za bratem.

Po zmyciu ze stingraya pozostawionego przez deszcz brudu Dawson odłożył wąż i poszedł nad potok za domem Tucka. Po południu zrobiło się ciepło, za ciepło, żeby barweny wyskakiwały z wody, i powierzchnia leniwie płynącego potoku przypominała niemal szkło. Trudno było dostrzec jakiś ruch i Dawson przypomniał sobie ostatnie chwile z Amandą.

Gdy odjeżdżała, z trudem powstrzymał się od tego, aby za nią pobiec i spróbować ponownie przekonać ją do zmiany decyzji. Chciał jeszcze raz powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha. Zamiast tego patrzył, jak odjeżdża. Wiedział w głębi serca, że widzi ją ostatni raz, i zachodził w głowę, jak mógł ponownie pozwolić jej odejść.

Nie powinien był wracać w te strony. Nie było tu dla niego miejsca ani teraz, ani dawniej. Nie miał nic do roboty i przyszła pora na wyjazd. Wiedział, że zostając w Orientale tak długo, igrza z losem, jeśli chodzi o kuzynów. Odwrócił się i ruszył wzdłuż domu do samochodu. Musiał załatwić jeszcze jedną sprawę w miasteczku, a później zamierzał wyjechać z niego na zawsze.

\*

Amanda nie bardzo wiedziała, jak długo tkwi w pokoju na piętrze. Godzinę, dwie, może dłużej. Za każdym razem, gdy wyglądała przez okno, widziała matkę siedzącą w dole na ganku, z otwartą książką na kolanach. Wprawdzie nałożyła pokrywę na jedzenie, żeby nie siadały na nim muchy, ani razu jednak nie wstała, żeby zajrzeć do córki na górze, i Amanda nie spodziewała się tego po niej. Matka znała ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż zejdzie, gdy będzie gotowa.

Frank zadzwonił jakiś czas temu z pola golfowego. Rozmawiał krótko, ale Amanda zorientowała się po jego głosie, że jest już na gazie. Po dziesięciu latach od razu potrafiła rozpoznać oznaki. Choć nie miała ochoty na pogawędkę, on tego zupełnie nie zauważył. Nie dlatego, że był pijany, co nie ulegało wątpliwości, ale dlatego, że zakończył rundę w czterech normach mimo kiepskiego początku. Chyba po raz pierwszy w życiu była zadowolona, że się napił. Wiedziała, że będzie zbyt zmęczony, aby czekać na jej powrót, i pewnie zaśnie, zanim ona położy się do łóżka. Jeszcze tego jej brakowało, żeby nasza go ochota na seks. Tego wieczoru nie wytrzymałaby czegoś takiego.

Wciąż jednak nie była gotowa do zejścia. Wstała z łóżka, poszła do łazienki i poszperawszy w szafce z lekarstwami, znalazła buteleczkę visine. Wpuściła kilka kropli do zaczerwienionych, podpuchniętych oczu, a potem przeczesła szorstką włosy. Niewiele to pomogło, ale nie przejęła się tym specjalnie, bo wiedziała, że Franki tak niczego nie zauważy.

Dawson był zauważył. Dla niego zadbałaby o wygląd.

Pomyślała o nim kolejny raz od powrotu do domu, starając się panować nad emocjami. Spojrzawszy na swoje spakowane bagaże, zauważyła wystający z torebki róg koperty. Wyjęła list i zatrzymała wzrok na swoim imieniu napisanym trzęsącą się ręką Tucka. Ponownie usiadła na łóżku, rozerwała kopertę i wyjęła list. Pomyślała, że Tuck udzieli jej odpowiedzi, których szukała.

*Droga Amando!*

*Czytając to, prawdopodobnie będziesz stała przed jedną z najtrudniejszych decyzji w swoim życiu, z poczuciem, że świat Ci się wali.*

*Jeśli się zastanawiasz, skąd to wiem, to powiedzmy, że w ostatnich latach dość dobrze Cię poznałem. Zawsze się o Ciebie martwiłem, Amando. Ale nie po to piszę ten list. Nie wiem, co Ci poradzić, i wątpię, czy jestem w stanie w jakikolwiek sposób Ci pomóc. Zamiast tego opowiem pewną historię, o mnie i Clarze. Nie znasz jej, bo jakoś nie potrafiłem zdobyć się na to, aby Ci ją opowiedzieć. Wstydziłem się i bałem, że przestaniesz mnie odwiedzać, bo pomyślisz, że od początku Cię okłamywałem.*

*Clara nie była duchem. Och, widywałem ją i słyszałem naprawdę. Nie twierdzę, że takie rzeczy się nie zdarzają, ponieważ się zdarzają. To wszystko, co napisałem w liście do Ciebie i Dawsona, było prawdą. Zobaczyłem ją tamtego dnia, gdy wróciłem do domu, i im więcej troski poświęcałem kwiatom w ogrodzie, tym wyraźniej ją widziałem. Miłość potrafi wiele, ale w głębi duszy wiedziałem, że Clary tam nie ma. Widywałem ją i słyszałem, bo za nią tęskniłem. Próbuję przez to powiedzieć, że była wytworem mojego umysłu i niczym więcej, nawet jeśli wmawiałem sobie co innego.*

*Pewnie się zastanawiasz, dlaczego mówię Ci to teraz, więc zaraz wyjaśnię. Pobraliśmy się z Clarą w wieku siedemnastu lat, spędziliśmy ze sobą czterdzieści dwa lata i żyjąc razem, staliśmy się wręcz jednym organizmem, nierozdzielalną, jak mi się wydawało, całością. Następne dwadzieścia osiem lat, które przeżyłem bez niej, były dla mnie taką męczarnią, że niektórzy – łącznie ze mną – myśleli, iż tracę zmysły.*

*Amando, jesteś jeszcze młoda. Może czujesz się stara, ale dla mnie jesteś jak dziecko, które ma przed sobą wiele lat życia. Posłuchaj mnie: żyłem z prawdziwą Clarą i z jej duchem, i podczas gdy ona sama dawała mi szczęście, on był tylko jej bladym odbiciem. Jeżeli teraz odwrócisz się od Dawsona, już zawsze będziesz żyła z duchem. Wiem, że w tym życiu z powodu decyzji, które podejmujemy, cierpię w sposób nieunikniony niewinni ludzie. Możesz nazwać mnie starym egoistą, ale nigdy nie chciałem, abyś była wśród nich.*

*Tuck*

Amanda schowała list do torebki. Wiedziała, że Tuck miał rację. Czula to tak głęboko, jak nigdy nic do tej pory, i ledwie mogła oddychać.

Z nagłą desperacją, nie całkiem dla niej zrozumiałą, wzięła swoje bagaże i zniosła je po schodach. W normalnych okolicznościach postawiłaby je przy drzwiach i pożegnałaby się z matką. Teraz jednak ujęła gałkę u drzwi i skierowała się od razu do samochodu.

Włożyła torby do bagażnika, a potem obesła wóz. Wtedy zobaczyła, że matka stoi na ganku i patrzy na nią.

Amanda nic nie powiedziała, podobnie jak matka. Spoglądały tylko na siebie. Amanda miała wrażenie, że matka zna jej zamiary, ale to jej już nie obchodziło, bo w uszach wciąż słyszała słowa Tucka. Wiedziała, że musi odnaleźć Dawsona.

Mógł być u Tucka, ale wątpiła w to. Umycie samochodu nie mogło zająć mu wiele czasu, a ponieważ wiedział, jakie kuzyni mają wobec niego zamiary, pewnie chciał jak najszybciej wyjechać z miasteczka.

Ale jest jeszcze jedno miejsce, które chciał odwiedzić przed wyjazdem...

Nagle, nie wiadomo skąd, powróciły do niej jego słowa, więc pospiesznie usiadła za kierownicą. Wiedziała, gdzie go znajdzie.

\*

Dawson wysiadł z samochodu pod cmentarzem i przebył krótką drogę do grobu Davida Bonnera.

W przeszłości, gdy tu przyjeżdżał, wybierał takie pory, żeby spotkać jak najmniej ludzi, i starał się nie rzucać w oczy.

Tego dnia było to jednak niemożliwe. W weekendy panował tu większy ruch i alejkami chodziły grupki ludzi. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ale szedł przez cmentarz z opuszczoną głową.

W końcu dotarł na miejsce i zobaczył, że kwiaty, które złożył w piątek rano, zostały przesunięte na bok. Pewnie zrobił to dozorca, gdy kosił trawę. Dawson przykluczył i wyrwał kilka wyrosniętych źdźbeł przy nagrobku, które uszły przed kosiarką.

Znowu pomyślał o Amandzie i ogarnęło go dojmujące poczucie samotności. Jego życie – wiedział o tym – było przekłete od samego początku. Zamknął oczy i zmówił modlitwę za Davida Bonnera, nieświadom tego, że z jego cieniem złą się inny cień. Że ktoś za nim stanął.

\*

Amanda dojechała do głównej ulicy biegnącej przez Oriental i zatrzymała się na skrzyżowaniu. Gdyby skręciła w lewo, minęłaby marinę i zajechała do Tucka, gdyby zaś skręciła w prawo, znalazłaby się na autostradzie, która zaprowadziłaby ją do domu. Przed nią zaś, za ogrodzeniem z kutego żelaza, rozciągał się cmentarz, największy w Orientalu, na którym spoczywał doktor Bonner. Dawson, przypomniawszy sobie, zamierzał pójść jeszcze na jego grób przed wyjazdem z miasteczka.

Brama na cmentarz była otwarta. Amanda zlustrowała samochody i ciężarówki, które stały na parkingu; szukała wozu z wypożyczalni, którym jeździł Dawson, i gdy go dostrzegła, zabrakło jej tchu. Przed trzema dniami Dawson zaparkował go obok jej samochodu, gdy przyjechał do Tucka. Jeszcze tego rana stanął przy niej i pocałował ją ostatni raz.

A teraz był tutaj.

„Jeszcze jesteśmy młodzi – powiedział jej. – Jeszcze możemy wszystko naprawić”.

Położyła stopę na hamulcu. Główną drogą przejechał minivan zmierzający w stronę rynku i na chwilę zasłonił jej widok. Poza nim droga była pusta.

Gdyby przejechała przez skrzyżowanie, zaparkowała wóz i poszła na cmentarz, na pewno zdołałaby odnaleźć Dawsona. Przypomniała sobie list Tucka, jego wieloletnie cierpienie po stracie Clary, i zrozumiała, że podjęła złą decyzję. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez Dawsona.

Ujrzała przed oczami dalszy bieg wypadków. Odnalazłaby grób doktora Bonnera i zastałaby przy nim Dawsona. Wtedy powiedziała mu, że zmieniła zdanie i że nie chce się z nim rozstać. Już czuła szczęście, które by ją ogarnęło, gdyby

Dawson wziął ją w ramiona, bo miała by świadomość, że od tej pory już zawsze będą razem.

Wiedziała, że jeśli teraz odnajdzie go na cmentarzu, to już potem pójdzie za nim wszędzie. Albo on za nią. Ale wciąż nie mogła zapomnieć o swoich zobowiązaniach i w końcu powoli zdjęła stopę z hamulca. Zamiast pojechać prosto, nagle zaczęła kręcić kierownicą i gdy znalazła się na głównej drodze, kierując się w stronę domu, z piersi wyrwał jej się szloch.

Zwiększyła prędkość i usiłowała przekonać samą siebie, że podjęła słuszną decyzję, jedyną, która ma rację bytu. Za nią cmentarz niknął powoli w oddali.

– Dawsonie, wybac mi – szepnęła. Żałowała, że on nie może jej usłyszeć i że w ogóle musiała wypowiedzieć te słowa.

\*

Dawson usłyszał za sobą szmer, który wyrwał go z zamyślenia. Wstał i z lęku odebrało mu mowę, bo rozpoznał ją natychmiast.

– To pan – oświadczyła Marilyn Bonner. – Przy grobie mojego męża.

– Przepraszam. – Opuścił wzrok – Nie powinienem był tu przychodzić.

– Ale pan przyszedł – ciągnęła Marilyn. – I był pan tu niedawno. – Ponieważ nic na to nie powiedział, wskazała kwiaty. – Zawsze przychodzę tu po kościele. W zeszły weekend ich jeszcze nie było, a poza tym są zbyt świeże, żeby mogły leżeć tu od początku tygodnia. Więc był pan tu... w piątek?

Dawson przełknął ślinę, zanim odpowiedział:

– Tak rano.

Spojrzała na niego ostro.

– Przychodzi pan od dawna. Od czasu wyjścia z więzienia? Bo to pan, prawda?

Dawson milczał.

– Tak myślałam – rzuciła. Zbliżyła się do grobu. Dawson cofnął się, aby zrobić jej miejsce, gdy przeniosła wzrok na płytę. – Wielu ludzi składało kwiaty na grobie Davida po jego śmierci. Trwało to rok albo dwa lata, a potem przestali przychodzić. Przez jakiś czas tylko ja przynosiłam kwiaty, a później, ze cztery lata po tym okropnym wypadku, zaczął to robić ktoś jeszcze. Odwiedzał grób dość rzadko, ale na tyle często, żeby mnie to zaciekawiło. Nie miałam pojęcia, ko to może być. Pytałam rodziców, pytałam znajomych, ale nikt się nie przyznawał. Przez krótki czas nawet myślałam, że David miał inną kobietę. Uwierzy pan? – Pokręciła głową i zaczerpnęła głęboko powietrza. – Dopiero gdy kwiaty przestały się pojawiać, uświadomiłam sobie, że to pan. Wiedziałam, że wyszedł pan z więzienia i że przebywał pan tutaj na zwolnieniu warunkowym. Rok później powiedziano mi, że wyjechał pan z miasteczka. Byłam... wściekła, że miał pan czelność to robić. – Splotła ramiona na piersi, jakby chciała odsunąć od siebie tamto wspomnienie. – I dziś rano znowu zobaczyłam kwiaty. Domyśliłam się, że pan wrócił.

Nie była pewna, czy przyjdzie pan jeszcze dzisiaj... ale pan przyszedł.

Dawson wsadził ręce do kieszeni. Miał ochotę zapaść się pod ziemię.

– Nie będę już więcej tu przychodzić ani składać kwiatów – wymamrotał. – Ma pani moje słowo.

Popatrzyła na niego.

– Pana zdaniem miał pan prawo tu przychodzić? Po tym, co pan zrobił? To przez pana mój mąż tutaj leży, zamiast być ze mną. To przez pana nie było mu dane patrzeć, jak rosną



i dojrzewają jego dzieci.

– Nie, wcale taknie myślę – odparł.

– Jasne, że nie. Bo wciąż ma pan wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało. Dlatego przez te wszystkie lata przysyłał nam pan pieniądze, mam rację?

Chciał skłamać, ale nie umiał.

– Od jak dawna to pani wie?

– Od samego początku, gdy przyszedł pierwszy czek – odpowiedziała. – Kilka tygodni wcześniej przyjechał pan pod mój dom, pamięta pan? Nie było trudno skojarzyć jednego z drugim. – Zawahała się. – Chciał pan przeprosić, prawda? Osobiście. Gdy przyszedł pan tamtego dnia na ganek?

– Tak

– Nie dopuściłam pana do słowa. Powiedziałam wtedy... dużo różnych rzeczy. Których być może nie powinnam była mówić.

– Miała pani do tego wszelkie prawo.

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Był pan wtedy po dwudziestce. Zobaczyłam na ganku dorosłego mężczyznę, ale z biegiem czasu, gdy sama stałam się starsza, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że ludzi można uznać za dojrzałych co najmniej po trzydziestce. Mój syn jest w tej chwili starszy niż pan wówczas i wciąż traktuję go jak dziecko.

– Każdy by się tak zachował na pani miejscu.

– Być może. – Nieznacznie wzruszyła ramionami. Podeszła do niego o krok – Pieniądze, które pan przysyłał, bardzo nam pomogły – wyznała. – Pomogły i pomagają, ale już ich nie potrzebuję. Więc niech pan przestanie je przysyłać.

– Chciałem tylko...

– Wiem, co pan chciał – przerwała mu. – Ale żadne pieniądze na świecie nie przywrócą Davidowi życia ani nie zrekompensują mi jego straty. Nie oddadzą dzieciom ojca, którego nie zdążyły poznać.

– Wiem.

– I nie da się kupić za nie przebaczenia.

Dawson poczuł, że opadają mu ramiona.

– Lepiej już pójść. – Odwrócił się, żeby odejść.

– Tak – odparła. – Niech pan idzie. Ale zanim pan to zrobi, powiem panu coś jeszcze.

Gdy zwrócił się do niej, spojrzała mu w oczy.

– Wiem, że to, co się stało, to był wypadek. Zawsze to wiedziałam. I zdaję sobie sprawę, że zrobiliby pan wszystko, żeby cofnąć czas. Świadczy o tym pańskie postępowanie. I owszem, przyznaję, byłam wściekła, przestraszona i samotna, gdy przyszedł pan do mojego domu, ale nigdy, przenigdy nie uważałam, że miał pan złe intencje. To była jedna z tych okropnych, strasznych rzeczy, które zdarzają się czasami, i akurat padło na pana. – Umilkła, żeby jej słowa wywarły pożądany efekt, a kiedy podjęła wątek, w jej głosie brzmiała niemal życzliwość. – Ale już nic mi nie jest, podobnie jak moim dzieciom. Podnieśliśmy się z tego. I wszystko się jakoś ułożyło.

Kiedy Dawson odwrócił się ponownie, zaczęła, żeby spojrzeć na nią jeszcze przed odejściem.

– Przyszłam tutaj, aby panu powiedzieć, że nie potrzebuje pan już mojego przebaczenia – oświadczyła, przeciągając słowa. – Choć wiem, że nigdy o to panu nie chodziło. Nie chodziło panu o moje przebaczenie ani przebaczenie moich dzieci. Sam pan nie mógł i wciąż nie może sobie przebaczyć. Ale zbyt długo żyje pan tą tragiczną sprawą i gdyby był pan moim synem, powiedziałabym panu, że najwyższy czas o niej zapomnieć. Więc zapomnij, Dawsonie – poprosiła. – Zrób to dla mnie.

Patrzyła na niego, aby się upewnić, że ją zrozumiał, a potem odwróciła się i odeszła. Dawson stał jak skamieniały, gdy jej postać oddalała się między nagrobkami, aż w końcu zupełnie zniknęła z widoku.

## 18

Amanda jechała jak automat, nieświadoma nawet typowych dla końca weekendu korków. Rodziny wracały znad morza w minivanach i SUV-ach, niektóre ciągnęły za sobą łodzie.

Gdy tak siedziała za kierownicą, nie mogła sobie wyobrazić, że zjawi się w domu i wymaże z pamięci ostatnie kilka dni. Zdawała sobie sprawę, że nie może nikomu o nich opowiedzieć, a jednak, o dziwo, nie miała poczucia winy z powodu tego, co się stało. Jeśli coś czuła, to smutek i zaczęła żałować, że nie postąpiła inaczej. Gdyby od początku wiedziała, jak zakończy się ich wspólny weekend, pierwszego wspólnego wieczoru zostałyby z Dawsonem dłużej i pozwoliłaby mu się pocałować. Spotkałaby się z nim także w piątkowy wieczór, choćby musiała nie wiadomo co nakłamać matce, i zrobiłaby wszystko, żeby spędzić całą niedzielę w jego ramionach. Gdyby wcześniej uległa uczuciom, sobota zakończyłaby się inaczej. Być może pokonałaby bariery związane z przysięgą małżeńską. Już prawie jej się to udało. Gdy tańczyła z Dawsonem w salonie, myślała tylko o tym, żeby się z nim kochać; kiedy się pocałowali, wiedziała, co będzie dalej. Pragnęła go tak jak kiedyś, gdy byli parą.

Sądziła, że da sobie z tym radę; po dotarciu do sypialni mogłaby udawać, choćby tylko przez jedną noc, że jej życie w Durham nie istnieje. Nawet gdy Dawson ją rozebrał i niósł do łóżka, myślała, że zdoła odsunąć od siebie realia. Ale chociaż bardzo chciała być tej nocy kimś innym, kimś wolnym od obowiązków i obietnic nie do spełnienia, i bardzo pragnęła Dawsona, wiedziała, że przekroczyłaby granicę, za którą nie byłoby dla niej powrotu. Mimo wielkiej pokusy, jaką stwarzała jego bliskość i pieszczoty, nie potrafiła poddać się uczuciom.

Dawson nie miał do niej pretensji; przytulił ją do siebie i przecesał palcami jej włosy. Pocałował ją w policzek i szeptem zapewnił o swojej miłości; mówił, że to nieważne, że nic nie zmieni jego uczuć do niej.

Leżeli obok siebie do świtu, aż w końcu zmogło ich zmęczenie; nad ranem wreszcie zasnęła w jego ramionach. Kiedy się obudziła, miała ochotę przytulić się do niego. Ale on już wstał z łóżka.

\*

Przy barze w Country Clubie, długo po zakończeniu gry w golfa, Frank gestem poprosił barmana o kolejne piwo, nieświadom pytającego spojrzenia, które ten rzucił Rogerowi. Roger jednak tylko wzruszył ramionami. Sam przerzucił się już na dietetyczną colę. Barman niechętnie postawił przed Frankiem butelkę piwa, a Roger pochylił się, żeby przekrzyknąć zgiełk panujący

w sali. W ciągu ostatniej godziny zrobiło się tam tłoczno. Wszyscy oglądali mecz, w tej chwili dziewiątą rundę.

– Pamiętasz, że umówiłem się z Susan na kolację i nie będę mógł cię odwiedzić do domu? A sam nie możesz prowadzić.

– Uhm.

– Zamówić ci taksówkę?

– Później o tym pomyślimy, dobra? Na razie oglądajmy mecz. – Frank podniósł butelkę i pociągnął z niej kolejny łyk, nie odrywając szklisty ch oczu od ekranu telewizora.

\*

Abee usiadł na krześle przy łóżku brata. Kolejny raz zaczął się zastanawiać, dlaczego Ted mieszka w takiej norze. Okropnie tu śmierdziało – osobliwą mieszkanką brudnych pieluch, pleśni i Bóg wie jakiej padliny. Do tego dziecko, które nie przestawało płakać ani na chwilę, i Ella snująca się po domu jak wystraszony duch – dziwne, że Tedowi jeszcze bardziej nie odbiło.

Nie bardzo wiedział, po co wciąż tu tkwi. Ted był nieprzytomny przez większość popołudnia, od kiedy upadł w drodze do samochodu. Ella zaczęła krzyczeć, że trzeba go odstawić do szpitala, ale zjawił się Abee i zaniósł go do domu.

Gdyby Tedowi się pogorszyło, zamierzał zawieźć go na pogotowie, ale wiedział, że lekarze niewiele mogą dla brata zrobić. Ted po prostu potrzebował odpoczynku, więc nie było znaczenia, czy będzie leżał w domu, czy w szpitalu. Doznał wstrząsu mózgu i poprzedniej nocy nie powinien był wstawać z łóżka, ale oczywiście wstał i teraz ma za swoje.

Abee nie chciał spędzić kolejnej nocy przy łóżku brata w szpitalu, zwłaszcza że sam czuł się coraz lepiej. Do licha, nie miał też ochoty tkwić tu przy nim, ale prowadził rodzinny interes, a teraz ten interes był zagrożony, częściowo z winy Teda. Na szczęście większość rodziny nie widziała, co się stało, i Abee zdołał zawlec brata do domu przez nikogo niezauważony.

Cholera, ależ tu cuchnęło – jak z kanalizacji – a popołudniowy upał jeszcze potęgował smród. Abee wyjął telefon komórkowy i przewinął listę kontaktów. Odnalazł numer Candy i wcisnął „połącz”. Dzwonił do niej już wcześniej, ale nie odebrała ani nie oddzwoniła. Nie podobało mu się to. Oj, nie podobało. Nie lubił, gdy ktoś go ignorował.

Dzwonił i dzwonił, a Candy w dalszym ciągu nie odbierała.

\*

– Gdzie ja jestem, do cholery? – nagle zachrypiął Ted. W gardle miał sucho, a łeb bolał go tak, jakby ktoś przewiercał go młotem pneumatycznym.

– Jesteś w łóżku – wyjaśnił Abee.

– Co się stało, do diabła?

– Szedłeś do samochodu, ale wyrznąłeś mordą o ziemię. Przywlokłem cię tutaj.

Ted uniósł się powoli i usiadł. Czekał, że znowu zakręci mu się w głowie, i tak się stało, ale już nie tak gwałtownie jak rano. Ostrożnie wytarł nos.

– Znalazłeś Dawsona?

– Nie szukałem. Przez całe popołudnie pilnuję twojego żaloznego tyłka.

Ted spluł na podłogę obok sterty brudnych ciuchów.

– On może wciąż tu być.

– Może. Ale wątpię. Pewnie wie, że masz do niego sprawę. Jeśli ma rozum, już dawno się stąd wyniósł.

– Uhm, ale może nie ma rozumu. – Ted uniósł się na łóżku i wstał niezgrabnie, zatykając pistolet za pas. – Ty prowadzisz.

Abee wiedział, że brat nie da za wygraną. Ale może krewniacy powinni zobaczyć, że Ted wstał na nogi i pilnuje interesu.

– A jeśli już go tu nie ma?

– No to nie ma. Ale muszę to sprawdzić.

Abee popatrzył na niego nieobecny wzrokiem. Myślał o Candy. Gdzie ona się podziewa i dlaczego nie odbiera jego telefonów? Przypomniał sobie faceta, który podrywał ją w Tidewater.

– Dobra – burknął. – Ale potem ty będziesz musiał zrobić coś dla mnie.

\*

Candy, która siedziała na parkingu przed Tidewater, spojrzała na wyświetlacz swojej komórki. Dwa telefony od Abeego. Dwa nieodebrane połączenia. Zdenerwowała się na ten widok bo wiedziała, że powinna do niego oddzwonić. Wystarczyło, żeby zaćwierkała i wypowiedziała kilka magicznych słów, ale wtedy jeszcze coś by sobie pomyślał i przyjechał się z nią zobaczyć, a tego potrzebowała jak dziury w moście. Na pewno zauważyły na parkingu jej wyładowany samochód i przejrzały ją na wylot, a wówczas kto wie, do czego posunąłby się ten psychol.

Powinna była spać później, po robocie, i wyruszyć spod domu. Ale nie pomyślała o tym, a poza tym zaraz zaczynała się jej zmiana. I choć miała forszę na żarcie i tygodniowy pobyt w motelu, to potrzebowała napiwków na benzynę.

Postanowiła nie zostawiać samochodu na widoku – Abee mógłby go zauważyć. Wrzuciła więc wsteczny, wyjechała z parkingu, zatoczyła koło na rondzie i skierowała się do centrum Orientalu. Za jednym z antykwariatów na skraju miasteczka znajdował się mały parking, na który wjechała i ustawiła samochód w niewidocznym miejscu. Tak już lepiej. Nawet jeśli to oznaczało, że będzie musiała podejść kawalek.

Ale co się stanie, jeśli Abee się zjawi i nie zobaczy jej wozu? To także może ściągnąć na nią kłopoty. A nie miała ochoty odpowiadać na żadne pytania. Zastanowiła się nad tym. Doszła do wniosku, że jeśli Abee zadzwoni jeszcze raz, to odbierze i powie mu od niechcienia, że miała problem z wozem i oddała go do naprawy. Trochę z tym zawracania głowy, ale pocieszyła się myślą, że jeszcze tylko pięć godzin, a potem zostawi to wszystko za sobą i pomknie w siną dal.

\*

Jared wciąż spał, gdy piętnaście po piątej zadzwonił jego telefon. Przetoczył się na bok i sięgnął po niego, zastanawiając się nieprzytomnie, po co ojciec może do niego dzwonić.

Ale, jak się okazało, to nie był ojciec, tylko jego kumpel od golfa, Roger. Prosił Jareda, żeby przyjechał do klubu i odebrał staruszką. Bo ten trochę sobie wypił i nie mógł prowadzić.

Jezu, naprawdę? -pomyślał. Tata? Wypił sobie?

Nie powiedział tego jednak, mimo że miał ochotę. Zamiast tego obiecał, że będzie na miejscu za dwadzieścia minut. Wstał z łóżka, wciągnął szorty i bawełnianą koszulkę, które miał na sobie wcześniej, a potem wsunął stopy w klapki japonki. Wziął z biurka kluczyki od samochodu i portfel. Ziewając, zszedł po schodach i pomyślał, czy aby nie zadzwonić do Melody.

\*

Abee nie zadawał sobie trudu, żeby ukryć pick-upa przy drodze do domu Tucka. Nie miał ochoty przedzierać się potem przez las jak minionej nocy. Zamiast tego, niczym dowódca drużyny SWAT-u, zajechał wyboistym podjazdem pod samą chałupę i zahamował gwałtownie, syjąc żwirem spod kół. Wyskoczył z samochodu przed Tedem i od razu wyciągnął broń. Brat wygramolił się z wozu zadziwiająco sprawnie, zwłaszcza jak na swój stan. Sińce pod oczami zrobiły mu się czarnopurpurowe i wyglądała jak szop pracz w ludzkiej postaci.

W pobliżu nie było żywej duszy, tak jak Abee przypuszczał. Dom wyglądał na opuszczony, nic też nie wskazywało na to, że Dawson jest w garażu. Cwaniak z tego kuzyna. Szkoda, że przed laty dał nogę. Abee znalazłby mu zajęcie, nawet gdyby Ted miał dostać piana na ustach.

Ted nie był zaskoczony, że Dawson się wyniósł, ale to wcale nie znaczyło, że nie jest z tego powodu wściekły. Abee widział, że brat raz po raz zaciska nerwowo szcękę i przesuwa palcem po powucie pistoletu. Po minucie piekdenia się na podjeździe podszedł pod dom Tucka i kopniakiem wyważył drzwi.

Abee oparł się o pick-upa, zostawiając Teda samemu sobie. Brat przeklinał, tłukł się w domu i coś tam zwał. Dając upust wściekłości, wyrzucił przez okno stare krzesło, tak że szyba rozprysła się na tysiąc kawałków. W końcu pojawił się z powrotem w drzwiach, ale furia mu nie przeszła i ruszył szybkim krokiem w stronę garażu.

W środku stał stary stingray. Nie było go tam minionej nocy, co stanowiło kolejny dowód na to, że Dawson przyjechał tu w tym czasie. Abee nie wiedział, czy Ted też doszedł do tego wniosku, ale w gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. Brat musiał się wyładować, i dobrze. Im prędzej przejdzie mu gniew, tym szybciej wszystko wróci do normy. Ted powinien porzucić myśli o zemście i zająć się tym, co Abee mu zlecał.

Ted tymczasem wziął z ławy felgę. Uniósł ją wysoko nad głowę, a następnie opuścił i uderzył z głośnym rykiem w przednią szybę samochodu. Następnie zaczął walić po masce, powodując wgniecenia. Zbił reflektory, a potem lusterka. To była jednak dopiero rozgrzewka.

Przez piętnaście minut Ted rozwał samochód na kawałki, posługując się wszystkim, co wpadło mu w ręce. Silnik, opony, tapicerka, deska rozdzielcza – nic nie uszło cało, bo Ted z maniakłą pasją wyładowywał swoją wściekłość na Dawsona.

Szkoda, zreflektował się Abee. Samochód był piękny, stary unikatowy model. Ale należał do kogoś innego i jeśli Ted, niszcząc go, miał się poczuć lepiej, to wszystko w porządku, pomyślał Abee.

Ted skończył wreszcie i ruszył w stronę brata. Po tym wszystkim lepiej trzymał się na nogach, niż Abee się spodziewał. Dyszał ciężko i w oczach wciąż miał szaleństwo. Nagle Abeemu przyszło do głowy, że brat mógłby teraz wyciągnąć gnata i zastrzelić go z wściekłości.

Jednakże Abee nie bez powodu stał się głową rodziny. Nie miał zamiaru nikomu schodzić

z drogi, nawet rozszalałemu bratu. Stał oparty o pick-upa z wystudiowaną nonszalancją. Patrząc na zbliżającego się Teda, zaczął dukać w zębach.

Potem spojrzął na to, co wy dukał, wiedząc, że Ted jest tuż-tuż.

– Skończyłeś? – zapytał spokojnie.

\*

Dawson siedział na pomoście za hotelem w New Barn, po obu jego stronach na falach kołysały się przykryte pokrowcami łodzie. Przyjechał tu prosto z cmentarza i tkwił nad wodą, aż słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Było to czwarte miejsce, w którym zatrzymał się od przyjazdu do Orientu. Miniony weekend wyczerpał go fizycznie i psychicznie. Choć bardzo się starał, nie potrafił wyobrazić sobie przyszłości. Zarówno następny dzień, jak i całe tygodnie oraz lata wydawały mu się pozbawione sensu. Do tej pory wiódł specyficzne życie ze specyficznych powodów, a teraz to straciło rację bytu. Amanda, a później Marilyn Bonner zwróciły mu wolność, Tuck nie żył. Co miał ze sobą zrobić? Wyjechać? Zostać tu, gdzie był? Zachować pracę? Spróbować czegoś nowego? Co teraz miał obrać za cel, gdy stracił busołą, którą się kierował?

Wiedział, że tutaj nie znajdzie odpowiedzi. Wstał i powlókł się do hotelu. Następnego dnia miał samolot z samego rana, więc musiał wyjechać jeszcze przed świtem, żeby oddać samochód do wypożyczalni i przejść przez odprawę. Według rozkładu lotów miał być w Nowym Orleanie przed dwunastą i niedługo potem – w domu.

Poszedł do swojego pokoju i kompletnie ubrany położył się na łóżku. Czuł się rozbity jak nigdy w życiu. Przypomniał sobie dotyk ust Amandy. Tuck pisał, że być może będzie potrzebowała czasu, więc zanim zapadł w niespokojny sen, Dawson uchwycił się nadziei, że starszy pan miał rację.

\*

Jared zatrzymał się na czerwonym świetle i spojrzął na ojca w lusterku wstecznym. Staruszek próbuje dojść do siebie, pomyślał. Kiedy kilka minut wcześniej zjechał pod Country Club, ojciec stał oparty o jedną z kolumn, wzrok miał mętny, a oddechem mógłby zapalić ogień na grillu za domem. Pewnie dlatego nic nie mówił. Udawał, że wcale nie jest pijany.

Jared przyzwyczaił się już do takich sytuacji. Był nie tyle zły na ojca, ile zasmucony. Wiedział, że matka wpadnie w jeden z tych swoich nastrojów – starała się wtedy zachowywać jak gdyby nigdy nic, a tymczasem jej mąż zataczał się po domu pijany w trupa. Pewnie uważała, że nie warto tracić energii, choć w środku aż gotowała się ze złości. Usiłowała mówić normalnym, cywilizowanym tonem, ale zawsze sadowiła się w innym pokoju niż ojciec, jakby tak robiły wszystkie pary małżeńskie.

Tego wieczoru miało być równie nieprzyjemnie, ale Jared liczył na pomoc Lynn, bo spodziewał się, że siostra wróci do domu, zanim ojciec straci przytomność. Jeśli o niego chodzi, zdążył zadzwonić już do Melody i umówić się z nią, że wpadną razem do kumpla, żeby popływać.

Światło zmieniło się na zielone i Jared, mając przed oczami wizję Melody w bikini, wcisnął pedał gazu, nieświadomy, że z boku nadjeżdża rozpedzony pojazd.

Wóz ten z ogłuszającym hukiem uderzył w jego samochód. Posypało się szkło. W chwili gdy zdeformowane drzwi wgięły się do środka, eksplodowała poduszka powietrzna. Jared zawiśł bezwładnie w pasach bezpieczeństwa i głowa odskoczyła mu w bok. Samochód obrócił się na środku skrzyżowania wokół własnej osi. Umieram, pomyślał Jared, ale nawet nie mógł zaczerpnąć powietrza, żeby wydać jęk.

Kiedy samochód wreszcie się zatrzymał, minęła chwila, zanim Jared zorientował się, że wciąż oddycha. Czuł ból w piersi, prawie nie był w stanie poruszyć szyją i pomyślał, że zaraz udusi się od smrodu gazu uwolnionego przez poduszkę w momencie zderzenia.

Próbował się poruszyć, ale pierś przeszył mu ostry ból. Był uwięziony między wgiętymi drzwiami a kierownicą. Po chwili ostrożnie spróbował się oswobodzić. Wykonał lekki obrót w prawo i nagle uwolnił się od napierającego na niego ciężaru.

Zobaczył, że na skrzyżowaniu zatrzymują się inne samochody. Pospiesznie wysiadali z nich ludzie, niektórzy już dzwonili z komórek pod 911. Przez pajęczynę rozbitej szyby zauważył, że maska wozu zgięła się jak harmonijka.

Jakby z oddali usłyszał okrzyki ludzi, żeby się nie ruszał. Odwrócił jednak głowę, bo nagle przypomniał sobie o ojcu. Zobaczył, że stary ma twarz we krwi. Wtedy zaczął krzyczeć.

\*

Amanda była już godzinę drogi od domu, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy. Wyciągnęła rękę w stronę sąsiedniego fotela, ale ponieważ musiała pogrzebać w torebce, żeby odnaleźć aparat, odebrała dopiero po trzecim sygnale.

Gdy słuchała urywanej relacji Jareda, krew odpłynęła jej do nóg. Syn chaotycznie mówił coś o przyjeździe karetki, o złym stanie Franka. Zapewnił ją, że jemu samemu nic się nie stało, ale każą mu jechać na pogotowie razem z ojcem. Zabierają ich do szpitala przy Duke University.

Amanda kurczowo ścisnęła telefon. Po raz pierwszy od choroby Bei poczuła, że skręca ją ze strachu. Prawdziwego strachu, z rodzaju tych, które nie pozostawiają miejsca na nic innego.

– Juź jadę – odpowiedziała. – Będę tak szybko, jak tylko się da...

Wtedy z jakiegoś powodu połączenie zostało przerwane. Wybrała pośpiesznie numer Jareda, ale nikt nie odbierał.

Zjechała gwałtownie na przeciwny pas, wcisnęła pedał gazu i błyskając światłami, wyprzedziła jadący przed nią samochód. Musiała jak najszybciej dotrzeć do szpitala. A tymczasem ruch na drodze był coraz większy.

\*

Abee doszedł do wniosku, że po krótkiej wyprawie do domu Tucka zrobił się straszliwie głodny. Podczas infekcji nie miał apetytu, ale teraz pożarłby konia z kopytami, co potwierdzało, iż antybiotyki podziałały. Zjechał więc do Irvin's Diner i zamówił cheeseburgera, a do tego krążki cebuli oraz frytki z chilli i serem. Chociaż nie był jeszcze w połowie posiłku, wiedział, że zmiecie wszystko z talerza. Pomyślał, że starczy mu jeszcze miejsca w żołądku na placki i lody.

Ted w przeciwieństwie do niego nie był w najlepszej formie. Też zamówił cheeseburgera, ale jadł mały mi kęsami i żuł wolno. Najwyraźniej demolka samochodu pozbawiła go resztki sił.



Gdy czekali na jedzenie, Abee zadzwonił do Candy. Tym razem odebrała już po pierwszym sygnale i gadali chwilę. Powiedziała mu, że jest już w pracy, i przeprosiła za to, że nie oddzwoniła, ale miała jakiś problem z bryką. Mówiła tak, jakby cieszyła się, że go słyszy, i flirtowała z nim jak zwykle. Po tej rozmowie Abee poczuł się spokojniejszy i nawet zaczął się zastanawiać, czy poprzedniego wieczoru czegoś sobie nie ubzdurał.

Czy to za sprawą jedzenia, czy generalnie lepszego samopoczucia, gdy pochłaniał burgera, odtworzył w myśli niedawną rozmowę telefoniczną, żeby dojść, co takiego w niej mu nie pasuje. Bo coś mu zdecydowanie nie pasowało. Candy powiedziała, że ma problem z samochodem, nie z telefonem, i czy byłaby zajęta, czy nie, pewnie by oddzwoniła, gdyby chciała. Ale nie był pewien, czy o to chodzi.

Ted zjadł tylko połowę tego, co zamówił, a potem poszedł do łazienki i spędził w niej jakiś czas. Gdy wracał do stolika, Abee pomyślał, że brat mógłby grać w jakimś kiepskim horrorze. Goście baru unikali jego wzroku, jak mogli, i wpatrywali się w swoje talerze. Uśmiechnął się na ten widok. Dobrze być Cole'em, pomyślał.

Wciąż jednak nurtowała go rozmowa z Candy i gdy między kolejnymi kęsami oblizywał palce, w dalszym ciągu zastanawiał się nad przyczyną swojego niepokoju.

\*

Frank i Jared mieli wypadek samochodowy.

Te słowa przewijały się w głowie Amandy jak jakiś okropny wydruk taśmowy i z każdą chwilą ogarniał ją większy strach. Jeszcze mocniej ścisnęła kierownicę i ponownie błysnęła światłami, żeby jadący przed nią samochód ustąpił jej z drogi.

Zabrało ich pogotowie. Do szpitala. Jareda i Franka, jej męża i syna...

Wreszcie wóz przed nią zjechał na prawy pas, Amanda wyprzedziła go szybko i dojechała do kolumny samochodów na przodzie.

Przekonywała samą siebie, że Jared jest po prostu w szoku, nic więcej.

Ale ta krew.

Jared wspominał z przerażeniem w głosie, że Frank był cały zakrwawiony. Chwyciła więc komórkę i ponownie zadzwoniła do syna. Nie odebrał przed kilkoma minutami, ale pomyślała, że pewnie jest w karetce, gdzie nie wolno używać telefonów. Powiedziała sobie, że służby paramedyczne, lekarze albo pielęgniarki na pewno już udzielają pomocy im obu i kiedy Jared wreszcie odbierze, będzie żałować, że nie potrzebnie ją wystraszył. W przyszłości będą opowiadać tę historię przy obiedzie – jak to matka bez powodu biła na drodze rekordy prędkości.

Jednakże Jared i tym razem nie odebrał, podobnie jak Frank. Kiedy w obu przypadkach zgłosiła się poczta głosowa, poczuła, że już nie tylko ścisła ją w żołądku, ale wręcz skręca. Nagle nabrała pewności, że wypadek był poważny. Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale to przekonanie jej nie opuszczało.

Rzuciła telefon na fotel pasażera, wcisnęła pedał gazu i zbliżyła się do jadącego przed nią wozu na odległość kilku cali. Kierowca zjechał jej w końcu z drogi i pomknęła przed siebie, nawet nie dziękując mu skinieniem głowy.

Dawson we śnie znalazł się na platformie wiertniczej, zaraz po serii wybuchów, które nią wstrząsnęły, ale tym razem panowała cisza i wydarzenia rozgrywały się jakby w zwolnionym tempie. Zobaczył, że zbiornik z ropą nagle eksploduje i w niebo strzelają płomienie; przesunął wzrokiem po czarnym dymie, który zaczął powoli przybierać dziwny kształt przypominający grzyb. Pokład załała lśniąca w słońcu fala uderzeniowa, która niespiesznie pochłaniała wszystko, co napotykała na drodze, porywała słupy i urządzenia. Podczas kolejnych eksplozji ludzie wypadali do morza i Dawson widział każdą wykręconą nienaturalnie rękę. Pożar obejmował platformę cal po calu, jak w sennym koszmarze. Wszystko wokół było powoli unicestwiane.

On jednak tkwił w miejscu, odporny na fale uderzeniowe i unoszące się w powietrzu szczątki platformy, które omijały go magicznym sposobem. Przed sobą, obok dźwigu, zobaczył człowieka, który wyłonił się z kłębow tustego dymu i jak on wydawał się niezniszczalny. Na chwilę znowu spowił go dym, ale zaraz potem rozsunął się i odsłonił go jak uniesiona kurtyna. Dawson wciągnął powietrze, bo zobaczył, że to ciemnowłosy mężczyzna w niebieskiej wiatrówce.

Nieznajomy zatrzymał się, ale jego rysy były wciąż niewidoczne, bo stał dość daleko. Dawson chciał do niego zawołać, nie mógł jednak wydobyć głosu; pragnął podejść bliżej, ale nie był w stanie oderwać stóp od podłoża. Po prostu patrzyli na siebie przez całą długość platformy i mimo dzielącej ich odległości Dawson odniósł wrażenie, że powoli go rozpoznaje.

Wtedy się obudził. Rozglądając się wokół, zamrugał powiekami, wciąż pod wpływem adrenaliny. Znajdował się w hotelu w New Barn, tuż nad rzeką, i chociaż wiedział, że to był tylko zły sen, poczuł ciarki na całym ciele. Usiadł i spuścił nogi z łóżka.

Spojrzał na zegar i zorientował się, że spał ponad godzinę. Na zewnątrz słońce już prawie zaszło i kolory w pokoju były przygaszone.

Jak we śnie...

Wstał i potoczył wzrokiem dookoła; portfel i kluczyki od samochodu leżały przy telewizorze. Gdy je zobaczył, coś mu się przypomniało, i idąc na drugą stronę pokoju, przeszukał kieszenie marynarki, którą miał na sobie. Sprawdził je jeszcze raz, dla pewności, a potem szybko przerzucił zawartość walizki. Wreszcie wziął portfel oraz kluczyki i zbiegł pospiesznie po schodach, a następnie wypadł na parking.

Przeszukał dokładnie cały wóz, zajrzał do schowka na rękawiczki, do bagażnika, między fotele. Ale powoli zaczął sobie przypominać, co się stało.

Po przeczytaniu listu Tucka odłożył go na stół. Obok warsztatu przeszła pani Collier, więc spojrzał w stronę ganku, gdzie siedziała Amanda, i zapomniał o liście.

Na pewno zatem leżał na stole w warsztacie. Oczywiście mógłby go tam zostawić... tylko że jakoś nie potrafił. Był to przecież ostatni list, który Tuck do niego napisał, jego ostatnie przesłanie, i Dawson chciał go zabrać ze sobą do domu na pamiątkę.

Wiedział, że Ted i Abee przetrząsną całe miasteczko, żeby go odnaleźć, mimo to niebawem

jechał już mostem w stronę Orientalu. Spodziewał się, że będzie na miejscu za mniej więcej czterdzieści minut.

\*

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, Alan Bonner wszedł do Tidewater i zobaczył, że jest tam mniej tłoczno, niż się spodziewał. Przy barze siedziało dwóch facetów, a kilku innych w głębi sali grało w bilard; tylko jeden stolik był zajęty przez parę, która właśnie przeliczała drobne i wyglądało na to, że zamierza lada chwila wyjść. Nie to co w sobotni wieczór czy choćby piątkowy, jeśli o to chodzi. Z muzyką płynącą z szafy grającej na tyłach i włączonym telewizorem przy kasie panowała wręcz domowa atmosfera.

Candy wycierała kontuar i uśmiechnęła się do niego, a potem pomachała ścierką. Miała na sobie dżinsy i bawełnianą koszulkę, a włosy spięła w koński ogon, i mimo że nie była odstawiona tak jak zwykle, w miasteczku nie znalazłoby się ładniejszej od niej dziewczyny. Poczuł motyle w brzuchu, gdy wyobraził sobie, że zaraz umówi się z nią na randkę.

Wyprostował się i pomyślał: „Żadnych wymówek”. Usiadł przy barze jak zwykle i tak pokieruje rozmową, żeby w pewnym momencie zaproponować spotkanie. Przypomnił sobie, że flirtowała z nim, i choć być może po prostu była kokieta, miał wrażenie, że jest w tym coś więcej. Czuił to. Wiedział. Więc znowu wziął głęboki oddech i podeszedł do kontuaru.

\*

Amanda wpadła na pogotowie szpitala przy Duke University i rozejrzała się gorączkowo w tłumie pacjentów i ich bliskich. Zaczęła wołać Jareda i Franka, ale bez skutku. Wreszcie zdesperowana zadzwoniła do Lynn. Córka była wciąż nad jeziorem Norman, kilka godzin jazdy od szpitala. Bardzo się zdenerwowała, słysząc złe wieści, i obiecała, że przyjedzie najszybciej, jak tylko się da.

Stanąwszy na progu izby przyjęć, Amanda rozejrzała się z nadzieją, że dostrzeże Jareda. Modliła się, żeby jej strach okazał się nieuzasadniony. Potem ku własnemu zaskoczeniu po drugiej stronie korytarza zobaczyła Franka. Wstał i ruszył do niej. Najwyraźniej był w lepszym stanie, niż się obawiała.

Spojrzała ponad jego ramieniem, szukając wzrokiem syna. Ale nigdzie go nie dostrzegła.

– Gdzie Jared?! – zapytała niecierpliwie, gdy Frank wreszcie znalazł się przy niej. – Nic ci nie jest? Co się stało? Co się dzieje?

Wciąż wyrzucała z siebie pytania, gdy Frank wziął ją pod ramię i wyprowadził na zewnątrz.

– Jared został przyjęty do szpitala – wyjaśnił. Mimo że wyszedł z klubu przed kilkoma godzinami, wciąż trochę bełkotał. Amanda widziała, że starał się sprawiać wrażenie trzeźwego, lecz czuła od niego woń alkoholu, którym przesiąknięty był jego oddech i pot. – Nie mam pojęcia, co się dzieje. Nikt nic nie wie. Ale pielęgniarka wspomniała coś o kardiologu.

Te słowa jeszcze bardziej ją przeraziły.

– Dlaczego? Co jest nie tak?

– Nie wiem.

– Wyjdzie z tego?

– Wydawało się, że jest z nim nieźle, gdy tu przyjechaliśmy.

– To dlaczego wzywają do niego kardiologa?

– Nie wiem.

– Mówił, że ty byłeś cały zakrwawiony.

Frank dotknął opuchniętego nosa, gdzie obok małego rozcięcia widniał siniak

– Nieźle oberwałem, ale udało im się zatamować krwotok. To drobiazg. Nic mi nie będzie.

– Dlaczego nie odbierałeś telefonu? Dzwoniłam ze sto razy!

– Telefon został w samochodzie...

Ale Amanda przestała słuchać, bo powoli docierało do niej znaczenie tego, co powiedział wcześniej. Jareda wzięli do szpitala. To jej syn został ranny. Syn, nie mąż. Jared. Jej pierworodny...

Poczuła się tak jakby dostała cios w brzuch, i ponieważ nie mogła znieść dłużej widoku Franka, ominęła go i podeszła prosto do pielęgniarki za kontuarem w izbie przyjęć. Starając się opanować rosnącą histerię, zapytała, co się dzieje z synem.

Pielęgniarka nie potrafiła udzielić jej odpowiedzi, powtarzała tylko to, co mówił Frank. Pijany Frank, przypomniała sobie Amanda i ogarnęła ją fala gniewu. Uderzyła obiema rękami o kontuar, tak że wszyscy w poczekalni aż podskoczyli.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje z moim synem! – zawołała. – Chcę coś wiedzieć!

\*

Problem z samochodem, pomyślał Abee. Zrozumiał, że to go nurtowało od czasu rozmowy telefonicznej z Candy. Bo skoro miała niesprawny wóz, to jak dotarła do pracy? I dlaczego nie poprosiła go, żeby odwiózł ją do baru albo stamtąd przywiózł?

Czyżby ktoś inny ją woził? Na przykład tamten fagas z Tidewater?

Ale przecież nie byłaby taka głupia. Oczywiście mógł do niej zadzwonić i zapytać wprost, uznał jednak, że jest lepszy sposób na poznanie prawdy. Niedaleko Irvin's Diner znajdował się domek, w którym mieszkała Candy, więc mógł tam podjechać i sprawdzić, czy napod jeździe stoi jej wóz. Bo gdyby stał, toby znaczyło, że ktoś ją wozi, a wtedy mieliby ze sobą do pogadania, no nie?

Rzucił kilka monet na stół i powiedział Tedowi, że ma iść za nim. Brat prawie się nie odzywał podczas posiłku, ale chyba czuł się już lepiej mimo kiepskiego apetytu.

– Doład jedziemy? – zapytał teraz.

– Chcę coś sprawdzić – wyjaśnił Abee.

Candy mieszkała zaledwie kilka minut jazdy od knajpki, na końcu rzadko zabudowanej uliczki, w nędznym parterowym domku obłożonym aluminiowym sidingiem i otoczonym zdziczałymi krzakami. Było to skromne lokum, ale Candy to chyba nie przeszkadzało, bo nie starała się go upiększyć.

Skęciszwy w podjazd, Abbe stwierdził, że jej samochodowi nie ma. Może go już naprawili, pomyślał, ale gdy tak siedział za kierownicą pick-upa i patrzył na domek, odniósł wrażenie, że coś jest nie tak. Czegoś tu brakowało, żeby się tak wyrazić, i dopiero po chwili zorientował się czego.

Zniknął posążek Buddy, ten, który trzymała w oknie. Mówiła, że przynosi jej szczęście, więc dlaczego miałyby go stamtąd zabrać. Chyba że...

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Kiedy Ted spojrział na niego pytająco, pokręcił głową.  
– Zaraz wracam.

Przedarł się przez krzaki i wszedł na ganek. Zajrzał przez okno od frontu i zobaczył, że posażka rzeczywiście nie ma. Poza tym nic się w środku nie zmieniło. Ale oczywiście to nie musiało nic znaczyć, bo Candy wynajęła domek z umeblowaniem. Jednakże zaniepokoiło go to, że Budda zniknął.

Obszedł domek i zajrzał po kolei we wszystkie okna, choć przeważnie zasłony utrudniały widok. Niewiele zobaczył.

Wreszcie zmęczony śledztwem po prostu kopniakiem otworzył tylne drzwi, jak wcześniej Ted w domu Tucka.

I wszedł do środka, zachodząc w głowę, co też ta Candy knuje.

\*

Amanda po raz kolejny od przyjazdu na izbę przyjęć podeszła do stanowiska pielęgniarki, żeby zapytać, czy są jakieś informacje o Jaredzie. Robiła to co piętnaście minut. Pielęgniarka wyjaśniła cierpliwie, że powiedziała jej już wszystko, co wie: Jared został wzięty na oddział, bada go najlepszy kardiolog i wie, że rodzice pacjenta czekają. Gdy tylko będą jakieś dalsze wiadomości, Amanda pozna je jako pierwsza. Mówiła to wszystko ze współczuciem w głosie i Amanda podziękowała jej, zanim wróciła na krzesło.

Mimo że wiedziała, gdzie jest, wciąż nie docierało do niej, co tutaj robi i jak do tego doszło. Chociaż Frank i pielęgniarka próbowali jej to wytłumaczyć, niewiele rozumiała z ich słów.

Nie chciała rozmawiać z nimi, tylko z Jaredem. Musiała go zobaczyć, usłyszeć jego głos, aby się przekonać, że nic poważnego mu się nie stało.

Kiedy Frankuspołajającym gestem położył jej rękę na plecach, wzdrygnęła się jak oparzona. Przede wszystkim dlatego, że Jared znalazł się tu z jego winy. Gdyby Frank nie pił, Jared zostałby w domu, byłby gdzieś z dziewczyną albo u kolegi. Nie skończyłby na tamtym skrzyżowaniu, nie wyładowałby w szpitalu. Chciał tylko pomóc. Bo czuł się odpowiedzialny.

Natomiast Frank..

Nie mogła na niego spojrzeć. Woląa więc nie patrzeć, bo zaczęłaby krzyczeć.

Wskazówki zegara na ścianie poruszały się jakby w zwolnionym tempie.

Miała wrażenie, że minęła wieczność, gdy wreszcie drzwi prowadzące na oddział się otworzyły i wyszedł zza nich lekarz w fartuchu operacyjnym. Skierował się do pielęgniarki za kontuarem, która skinęła głową i wskazała w jej stronę. Amanda siedziała jak skamieniała, gdy lekarz zbliżał się do niej. Wpatrywała się w jego twarz, usiłując dostrzec zapowiedź tego, co zamierzał jej powiedzieć. Ale nic nie mogła z niej wyczytać.

Wstała. Frank poszedł za jej przykładem.

– Jestem doktor Mills – przedstawił się lekarz i dał im znak, żeby przeszli za nim przez dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na inny korytarz. Gdy zamknęli je sobą, odwrócił się do nich. Mimo że miał siwe włosy, prawdopodobnie był młodszy od niej.

Po tej pierwszej rozmowie nie w pełni do niej dotarło wszystko, co powiedział, ale zrozumiała sens: Jared, choć z pozoru nie odniósł żadnych ran, doznał urazu na skutek uderzenia drzwiami samochodu. Lekarz z pogotowia stwierdził u niego szmery w sercu na skutek szoku i zabrał go do

szpitala na dalsze badania. Tutaj stan Jareda nagle się pogorszył. Doktor Mills wypowiedział kilka razy słowo *cyanosis* i oświadczył, że wszczepili pacjentowi rozrusznik, ale wydajność serca spada. Podejrzał, że została uszkodzona zastawka trójdzielna i konieczne będzie wszczęcie bajpasu, ale żeby przeprowadzić operację, potrzebna jest zgoda najbliższych.

Jared umrze.

Amanda wyciągnęła rękę, żeby oprzeć się o ścianę, podczas gdy lekarz patrzył raz na nią, raz na Franka.

– Muszą państwo wyrazić na to zgodę – wyjaśnił.

W tej chwili Amanda uświadomiła sobie, że musiał poczuć od Franka alkohol. I wówczas obudziła się w niej nienawiść do męża, prawdziwa nienawiść. Jak we śnie złożyła podpis na formularzu, sunąc po papierze ręką, która jakby nie należała do niej.

Potem doktor Mills zaprowadził ich do innej części szpitala i zostawił w pustej poczekalni. Amanda była otępiała na skutek szoku.

Muszą zoperować Jareda, bo inaczej umrze.

A przecież nie mógł umrzeć. Miał dopiero dziewiętnaście lat. I całe życie przed sobą.

Zamknęła oczy i usiadła na krześle. Próbowwała zrozumieć sens tego, co się wokół niej działo, ale nie potrafiła.

\*

Candy nie potrzebowała kłopotów. Zwłaszcza tego wieczoru.

Ten młody facet przy końcu kontuaru, Alan, Alvin czy jak mu tam, wychodził ze skóry, żeby umówić się z nią na randkę. A co gorsza, mały ruch w knajpie wskazywał, że raczej nie uda się jej uzbierać dość napiwków, aby starczyło na benzynę. Super. Po prostu super.

– Hej, Candy! – To znowu ten młody facet. Gdy tak pochylał się nad barem, wyglądał jak szczeniak z wywieszonym jęzorem. – Mogę prosić o jeszcze jedno piwko?

Zmusiła się do uśmiechu, otworzyła butelkę piwa i podeszła do gościa. Gdy była już przy końcu kontuaru, facet powiedział coś do niej, ale nagle na drzwi frontowe padło z zewnątrz światło reflektorów; albo jakiś samochód minął bar, albo ktoś wjeżdżał na parking. Candy z niepokojem spojrzała w stronę wejścia i zastygła w bezruchu.

Nikt jednak nie wszedł do środka, więc odetchnęła z ulgą.

– Candy? – Głos tamtego faceta przywołał ją do rzeczywistości. Chłopak odgarniał ciemne włosy z czoła.

– Przepraszam. Co mówiłeś?

– Pytałem, jak ci leci.

– Fantastycznie – odpowiedziała z westchnieniem. – Po prostu fantastycznie.

\*

Frank siedział na krześle na wprost Amandy, wciąż chwiał się lekko i miał zamglone spojrzenie. Usiłowała udawać, że go nie widzi.

Poza tym nie mogła się skupić na czymkolwiek, myślała tylko o Jaredzie. W panującej w pomieszczeniu ciszy przewinęło jej się przed oczami całe życie syna. Przy pomniała sobie, jaki

wydawał jej się mały, gdy trzymała go w ramionach jako kilkutygodniowe niemowlę. Jak go czesała i pakowała mu drugie śniadanie do pudełka z Jurassic Park, kiedy pierwszy raz szedł do przedszkola. Jaki był zdenerwowany przed pierwszą zabawą taneczną w szkole średniej; jak pił mleko z kartonu, choć setki razy prosiła go, żeby tego nie robił. Od czasu do czasu ze wspomnień wyrywały ją odgłosy szpitala i wtedy uzmyslała sobie, gdzie jest i co się stało. I znowu ogarniał ją strach.

Przed odejściem lekarz powiedział im, że operacja może potrwać wiele godzin, niewykuczone, że nawet do północy i dłużej, i Amanda zastanawiała się, czy ktoś wcześniej powiadomi ich o jej przebiegu. Chciała wiedzieć, co się dzieje. Chciała, żeby wyjaśniono jej wszystko w sposób zrozumiały, ale przede wszystkim pragnęła, aby ktoś ją przytulił i zapewnił, że jej synkowi – choć już był prawie dorosłym mężczyzną – nic nie będzie.

\*

Abee zatrzymał się w sypialni Candy i zacisnął usta w wąską kreskę, gdy wreszcie do niego dotarło.

Wszystko zostało opróżnione. Szafa, szuflady, nawet cholerna kosmetyczka.

Nic dziwnego, że tego dnia nie odbierała jego telefonów. Była zajęta pakowaniem. A kiedy wreszcie odebrała? Hm, widocznie zapomniała wspomnieć o takim drobiazgu jak zamiar wyniesienia się z miasteczka. Ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś wystawił Abeego Cole'a do wiatru. Nie było takiego.

A jeśli to wszystko przez tego jej nowego kochasia? Jeśli zamierzali uciec razem?

Na tę myśl wypadł przez wyważone wcześniej drzwi. Obiegł domek i wskoczył do pick-upa, bo wiedział jedno: musi jak najszybciej dostać się do Tidewater.

Candy i jej chłopca dostaną tego wieczoru nauczki. Oboje. Nauczki, której żadne z nich nie zapomni.

Dawson nie pamiętał ciemniejszej nocy. Nie było widać księżycy, w górze rozciągała się bezkresna czarna pustka, tylko gdzieś tam słabo migotały gwiazdy.

Zbliżał się już do Orientalu i nie mógł pozbyć się wrażenia, że wracając do niego, popełnia błąd. Żeby dotrzeć do domu Tucka, musiał przejechać przez całe miasteczko, i wiedział, że kuzyni mogą czekać na niego wszędzie.

Przed sobą, za zakrętem, za którym jego życie na zawsze się zmieniło, zobaczył światła Orientalu, które wylały się już zza drzew. Jeśli miał zawrócić, należało to zrobić teraz.

Nieświadomie zdjął stopę z gazu i gdy samochód zwolnił, Dawson nagle znowu odniósł wrażenie, że jest obserwowany.

\*

Abee ścisnął kierownicę z całej siły, pędząc pick-upem przez miasteczko z piskiem opon. Skręcił ostro na parking przed Tidewater i gdy zahamował, samochodem aż zarzuciło. Po raz pierwszy od zdemolowania stingraya Ted także wykazywał oznaki życia, bo rozróżba wisiała w powietrzu.

Abee wyskoczył z wozu, gdy tylko go zatrzymał, a brat ruszył za nim. Nie mieściło mu się w głowie, że Candy śmiała go okłamywać. Najwyraźniej planowała ucieczkę już od jakiegoś czasu i próbowała to przed nim zataić. Przyszła pora pokazać jej, kto tu ustala zasady. Bo na pewno nie ty, Candy, i zaraz się o tym przekonasz.

Zmierzając do wejścia, Abee zauważył, że na parkingu nie ma jej mustanga, co oznaczało, że zostawiła go gdzieś indziej. Pewnie pod domem tego faceta i oboje śmieją się teraz za jego plecami. Niemal usłyszał, jak Candy szydzi z jego głupoty, i to go tak rozwścieczyło, że miał ochotę wparować do baru, wycelować pistolet w stronę kontuaru i nacisnąć spust.

Jednakże nie zamierzał tego zrobić. O nie. Ponieważ najpierw powinna skapować, na co się zanoszą. Zrozumieć, że on tu rządzi.

Idący przy nim Ted nawet nie chwiał się na nogach i był wręcz podniecony. Ze środka dobiegały słabe dźwięki muzyki z szafy grającej, a neon z nazwą baru rzucał na ich twarze czerwone światło.

Abee skinął na Teda, a potem zamachnął się nogą i kopniakiem otworzył drzwi.

\*

Dawson zwolnił i wręcz włożył się drogą. Nerwy miał napięte do granic możliwości. W oddali widział światła Orientalu. Nagle doznał deja vu, jakby wiedział, co za chwilę nastąpi, ale nie mógł temu zapobiec, nawet gdyby bardzo chciał.

Pochylił się nad kierownicą. Gdy zmrzyli oczy, mógł dostrzec sklep spożywczy, ten, który



mijał podczas porannego joggingu. Nad dzielnicą handlową wznosiła się iglica kościoła Pierwszego Zboru Baptystów, dobrze widoczna w blasku światła miasteczka. Halogenowe latarnie uliczne rzuciły dziwny blask na drogę prowadzącą do domu Tucka i jakby zapowiadały, że nigdy tam nie dotrze. Gwiazdy, które wcześniej widział, zniknęły i niebo nad Orientalem było wręcz nienaturalnie czarne. Przed nim, po prawej stronie, zarysował się niski budynek stojący na miejscu dawnego lasu, tuż przy zakręcie na skraju miasteczka.

Dawson powoli zlustrował okolicę, jakby ... na coś czekał.

I niemal w tej samej chwili ujrzał jakiś ruch za oknem po swojej stronie.

On tam był, stał tuż za zasięgiem światła samochodowych na łące przy drodze. Ciemnowłosa mężczyzna.

Duch.

\*

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że Alan z trudem pojął, co się dzieje.

Siedział sobie przy barze i gawędził z Candy – a w każdym razie próbował – gdy ta podawała mu kolejne piwo, aż tu nagle drzwi frontowe otworzyły się tak gwałtownie, że górna ich część została wyrwana z zawiasów.

Alan wzdrygnął się nerwowo, a Candy znieruchomiała z butelką w ręce. Na jej twarzy pojawiła się panika, a z ust wydobyły się słowa: „O cholera”. A potem piwo wypadło jej z dłoni.

Gdy butelka rozbiła się w drobny mak na betonowej podłodze, dziewczyna odwróciła się i zaczęła biec przed siebie, bełkocząc coś niewyraźnie.

Za plecami Alana rozległ się głośny krzyk, który odbił się od ścian:

– WYDAJE CI SIĘ, ŻE KIM JESTEŚ, DO CHOLERY?!

Alan skulił się, podczas gdy Candy dobiegła już do drugiego końca baru, gdzie znajdowało się biuro. Przychodził do Tidewater wystarczająco długo, aby wiedzieć, że drzwi gabinetu kierownika są wzmocnione stalą, bo trzymano tam sejf.

Wciąż skulony Alan zobaczył, że Abee, mijając go, namierzył dziewczynę, i szybko ruszył za jej powiewającym końskim ogonem. On także wiedział, dołąd ona biegnie.

– O NIE, NIE WAŻYSZ SIĘ, TY SUKO!

Candy obejrzała się z przerażeniem, a potem chwyciła za gałkę u drzwi biura i zniknęła za nimi z krzykiem.

Zamykała je właśnie za sobą, gdy Abee oparł się ręką o kontuar i przeskoczył przez niego. Puste butelki i szklanki poszybowały w powietrze. Kasa spadła na podłogę, ale on zdążył przerzucić nogi za bar.

Prawie.

Zeskoczył na podłogę, ale potknął się i potracił na półce pod lustrem butelki z alkoholem, które poprzewracały się jak kłęby.

To go nie zatrzymało. W jednej chwili odzyskał równowagę i dopadł do drzwi biura. Alan widział to wszystko, każdą scenę po kolei, z surrealistyczną, przerażającą wyrazistością. A gdy wreszcie zrozumiał, co się dzieje, ogarnęła go panika.

To nie jest film.

Abee zaczął walić w drzwi i rzucać się na nie, rycząc jednocześnie:

– OTWIERAJ! OTWIERAJ TE PRZEKŁĘTE DRZWI!

To dzieje się naprawdę.

Zza drzwi dobiegły histeryczne krzyki Candy.

O mój Boże...

Po drugiej stronie sali faceci, którzy do tej pory grali w bilard, ruszyli pospiesznie do wyjścia ewakuacyjnego, porzucając w biegu kiję. Alan, słysząc, jak upadają na podłogę, poczuł, że serce zaczyna szybko walić mu w piersi i budzi się w nim pierwotny instynkt, instynkt samozachowawczy.

Musi stąd uciekać.

Musi stąd uciekać, i to już!

Jak dźgnięty nożem zeskoczył ze stołka barowego, który przewrócił się pod nim, i przytrzymał się baru, żeby nie upaść. Odwrócił się w stronę wyważonych drzwi i zobaczył przed sobą parking. Biegająca za nim droga wyglądała zapraszająco, więc pospiesznie skierował się ku niej.

Był ledwie świadomy, że Abee wali w drzwi i grozi Candy śmiercią, jeśli ta nie otworzy. Nie widział przewracanych stołów i krzeseł. Myślał tylko o tym, żeby dotrzeć do wyjścia i zmyć się z Tidewater tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Słyszał własne kroki, odgłos tramppek na betonowej podłodze, ale drzwi wciąż znajdowały się daleko. Jakte na festynie w wesołym miasteczku, które jakby stale się oddalają.

Z daleka dobiegł do niego krzyk Candy: „Zostaw mnie w spokoju!”.

Nie widział Teda ani krzesła, które ten wyciągnął w jego stronę, dopóki nie uderzyło go w nogi; runął jak długi na podłogę. Instynktownie próbował złagodzić upadek, ale leciał ze zbyt dużym impetem. Uderzył czołem o posadzkę i aż go zamroczyło. Zobaczył przed oczami gwiazdy, a potem zapadła ciemność.

Po chwili powoli odzyskał świadomość.

Gdy próbował wypłatać nogi z krzesła i obrócić się trochę, poczuł w ustach smak krwi. Wtedy jego twarz przygniół but, którego obcas wbił mu się w szczękę, przyciskając głowę do podłogi.

Szalony Ted Cole stał nad nim i z rozbawioną miną mierzył do niego z pistoletu.

– A ty dokąd się wybierasz?

Dawson zjechał na pobocze. Spodziewał się, że gdy wysiądzie z samochodu, ciemnowłosy mężczyzna zniknie w mroku, ale on wciąż tkwił w tym samym miejscu. Stał w wysokiej do kolan trawie, w odległości pięćdziesięciu jardów, na tyle blisko, że Dawson mógł zauważyć, jak jego wiatrówka powiewa na wietrze. Gdyby Dawson rzucił się do biegu, to mimo trawy i krępującego ruchów ubrania znalazłby się przy nim w niespełna dziesięć sekund.

Dawson wiedział, że незнаjomy nie jest wytworem jego wyobraźni. Czuł jego obecność tak samo wyraźnie jak bicie własnego serca. Nie odrywając od niego wzroku, sięgnął do samochodu i wyłączył silnik, a razem z nim światła. Nawet w ciemności widział białą koszulę mężczyzny, która wizerowała spod rozpiętej wiatrówki. Jego twarz była jednak zbyt niewyraźna, jak zwykle, aby dostrzec rysy.

Dawson zszedł z asfaltu na wąskie, żwirowe pobocze.

Nieznajomy się nie poruszył.

Dawson zagłębił się w trawę, ale mężczyzna wciąż stał bez ruchu.

Ruszył dalej w stronę nieznanego, nie spuszczaając go z oczu. Pięć kroków. Dziesięć. Piętnaście. Gdyby to działało się za dnia, widziałby mężczyznę wyraźnie. Mógłby dostrzec jego

usta, nos, oczy; w mroku wszystkie te szczegóły pozostawały niewidoczne.

Był już blisko. Poruszał się ostrożnie, czując, jak narasta w nim niedowierzanie. Jeszcze nigdy nie był tak blisko nieznanego, mógłby go złapać, gdyby zrobił szybki wypad.

Patrzył czujnie, niepewny, czy wykonać skok. Ale mężczyzna jakby czytał mu w myślach – zrobił krok do tyłu.

Dawson się zatrzymał. Mężczyzna także.

Dawson posunął się o krok do przodu; tamten znowu się cofnął. Gdy jeden robił szybkie kroki w przód, drugi, w odpowiedzi – dwa szybkie kroki w tył.

Rezygnując z ostrożności, Dawson rzucił się do biegu. Ciemnowłosy mężczyzna odwrócił się i zaczął uciekać. Dawson przyspieszył, ale odległość między nimi dziwnie się nie zmieniała. Wciąż widział przed sobą powiewającą wiatrówkę, która jakby z niego szydziła.

Przyspieszył i nieznajomy skręcił, zmieniając kierunek. Nie oddalał się już od drogi, ale biegł równoległe do niej, Dawson zaś podążał za nim. Zmierzali w stronę Orientalu, a konkretnie do niskiego przy sadzistego budynku na zakręcie.

Zakręt...

Dawson już się nie spieszył, bo nieznajomy nie zwiększał dystansu. Podążał cały czas w tę samą stronę i po raz pierwszy Dawson odniósł wrażenie, że mężczyzna ma jakiś cel i ktoś go prowadzi. Było w tym coś niepokojącego, ale Dawson, nie chcąc stracić mężczyzny z oczu, nie miał czasu się zastanowić.

\*

Ted wciąż przyciskał twarz Alana butem do podłogi. Alan czuł, że ma miażdżone uszy i że obcas wbija mu się boleśnie w szczękę. Pistolet wycelowany w jego głowę wydawał się ogromny, wypełniał całe pole widzenia, i Alan popuścił w spodnie. Zginę, pomyślał nagle.

– Widzisz, co mam? – zapytał Ted. Machnął bronią, ale wciąż mierzył z niej do Alana. – Jeśli cię puszcze, nie będziesz już uciekał, co?

Alan próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle.

– Nie – wycharczał.

Ted mocniej przy cisnął twarz. Ból stał się nie do zniesienia i Alan krzyknął. Uszy piekły go od ucisku i miał wrażenie, że zostały spłaszczone na grubość kartki. Zezując w górę i bełkotliwie prosząc o litość, zauważył, że Ted ma ramię w gipsie, a twarz w czarnopurpurowych sińcach. Co mu się stało? – zastanowił się półprzytomnie.

Ted podniósł nogę.

– Wstawaj – polecił.

Alan z trudem wyplątał nogę z krzesła i podniósł się powoli, ale znowu niemal upadł, bo kolano przeszyło mu ostry ból. Do drzwi miał zaledwie kilka kroków.

– Nawet o tym nie myśl – warknął Ted. Wskazał na bar. – Dupek!

Alan, utyłając, powlókł się w stronę kontuaru. Abee wciąż stał pod drzwiami biura, walił w nie i przeklinał. W końcu się odwrócił.

Przekrzywił głowę na bok i spojrzął na Alana. Wyglądał jak obłąkany. Alan znowu popuścił w spodnie.

– Mam tu twojego kochasia! – zawołał Abee.

– On nie jest moim kochaniem! – odwróciła Candy, ale jej głos był stłumiony. – Dzwonię na policję.

Abee już ruszył w kierunku Alana, obchodząc bar. Ted wciąż trzymał chłopaka na muszce.

– Myślicie, że uda wam się razem uciec? – zapytał ostro Abee.

Alan otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale ze strachu nie mógł wydobyć głosu.

Abee pochylił się i wziął z podłogi jeden z kijów bilardowych, a potem poprawił uchwyt, jak gracz wybijający piłkę, tylko że wściekły i niepanujący nad sobą.

O Boże, proszę, nie...

– Sądziście, że się nie dowiem? Że się nie domyślę, co knujecie? Widziałem was dwoje w piątek wieczorem!

Alan stał kilka kroków od niego jak skamieniały, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Tymczasem Abee podniósł kij w górę. Ted cofnął się o pół kroku.

O Boże...

Alan wyjął w odpowiedzi:

– Nie wiem, o czym ty mówisz.

– Zostawiła samochód u ciebie? – zapytał Abee. – Tak czy nie?

– Ja nie...

Zanim skończył zdanie, Abee podszedł do niego i zamachnął się kijem. Alan dostał w głowę i przed oczami eksplodowały mu gwiazdy, a potem znowu zapadła ciemność.

Osunął się na podłogę, a Abee drugi raz zamachnął się kijem, i trzeci. Alan bezradnie usiłował się zasłonić i wtedy usłyszał trzask kości. Miał złamane ramię. Kiedy kij pękł na pół, Abee nastąpił Alanowi na twarz okutym butem. Ted zaczął go kopać w nerki, co wywołało kolejne fale potwornego bólu.

Gdy Alan zaczął krzyczeć, zabrali się do niego na poważnie.

\*

Biegając przez łąkę z wysoką trawą, zbliżali się do przysadzistego niskiego budynku. Dawson zobaczył przed nim kilka samochodów osobowych i ciężarówek i po raz pierwszy zauważył czerwony neon nad wejściem. Powoli zaczęły skręcać w tamtym kierunku.

Kiedy ciemnowłosy mężczyzna mknął przed nim bez wysiłku, Dawson odniósł niepokojące wrażenie, że go rozpoznaje. Swobodny układ ramion, rytmiczne ruchy rąk przy bokach, naprzemienny sprężysty wyrzut nóg... Widział już ten krok i to nie tylko w lesie za domem Tucka. Nie pamiętał, gdzie to było, ale czuł, że zaraz sobie przypomni, że jest już blisko. Mężczyzna obejrzał się przez ramię, jakby odbierał każdą jego myśl, i Dawson pierwszy raz dostrzegł twarz nieznajomego. Już go kiedyś widział.

Przed wybuchem na platformie.

Potknął się, ale gdy odyskał równowagę, poczuł, że przenika go lodowaty chłód.

Niemożliwe.

To było dwadzieścia cztery lata temu. Potem poszedł do więzienia; został z niego zwolniony; pracował na platformach wiertniczych w Zatoce Meksykańskiej. Kochał i stracił miłość, nawet dwa razy, a człowiek, który wziął go kiedyś do siebie, umarł w podeszłym wieku. A tymczasem nieznajomy – bo zawsze był nim dla niego – zupełnie się nie postarzał. Wyglądał tak samo jak

tamtego wieczoru, gdy po przyjęciu wszystkich pacjentów postanowił pobiegać, w dniu, w którym padał deszcz. To był on i Dawson teraz to widział; ta sama zdziwiona twarz, którą zobaczył, gdy gwałtownie zjechał z drogi tamtego wieczoru. Wiózł zamówione przez Tucka opony, wracał do Orientalu...

To było tutaj, uszy słowił sobie nagle. To tu zginął doktor David Bonner, mąż i ojciec.

Dawson gwałtownie zaczerpnął powietrza i znowu się potknął, ale mężczyzna jakby znał jego myśli. Dotarłszy do żwirowego podjazdu prowadzącego na parking, skinął głową bez uśmiechu. Potem znowu spojrzął przed siebie i przyspieszył kroku. Biegł teraz wzdłuż budynku. Dawson poczuł, że się spocił, gdy wpadł na parking. Nieznajomy – doktor Bonner – przestał biec. Stał przy wejściu do budynku w dziwnym czerwonym blasku neonu.

Nie spuszczać z niego wzroku, Dawson podbiegł bliżej, a wtedy duch się odwrócił i wszedł do budynku.

Dawson przyspieszył i kilka sekund później wbiegł przez drzwi do słabo oświetlonego baru. Doktor Bonner już zniknął.

Dawson w jednej chwili objął wzrokiem scenę: przewracane stoły i krzesła, stłumione krzyki kobiety dobiegające gdzieś z głębi, głośne dźwięki z telewizora. Jego kuzyni, Abee i Ted, pochylali się nad kimś i bili go brutalnie, niemal jakby to był jakiś rytuał. Potem przestali i podnieśli wzrok na niego. Dawson zauważył zakrwawioną postać na podłodze i rozpoznał ją natychmiast.

Alan...

W ciągu minionych lat widział twarz młodego człowieka na setkach zdjęć, ale dopiero teraz zauważył jego uderzające podobieństwo do ojca. Do człowieka, którego Dawson widywał przez ostatnie miesiące i który przywodził go tutaj.

Gdy patrzył na to, co się dzieje, w barze zapadła martwa cisza. Ted i Abee znieruchomieli, żaden z nich najwyraźniej nie mógł uwierzyć, że ktoś odważył się tu wejść. Oddychali chrapliwie, patrząc na niego jak wilki, którym przzerwano szaleńczą ucztę.

Doktor Bonner uratował go nie bez powodu.

Ta myśl przyszła mu do głowy w chwili, gdy w oczach Teda pojawił się błysk. Kuzyn zrozumiał. Podniósł pistolet, ale zanim zdążył nacisnąć spust, Dawson rzucił się przed siebie i ukrył za stołem. Nagle pojął, po co się tu znalazł – i być może po co w ogóle żył.

\*

Przy każdym charczącym oddechu Alan czuł się tak, jakby dźgano go nożem.

Nie mógł wstać z podłogi, ale mimo że miał zamglony wzrok, orientował się mniej więcej w tym, co się dzieje.

Ted i Abee przestali go bić, gdy jakiś mężczyzna wpadł do baru, rozglądając się gorączkowo, i z jakiegoś powodu skupili całą swoją uwagę na tamtych. Alan nie rozumiał tego, ale gdy usłyszał strzały, zwinął się w kłębek i zaczął się modlić. Nieznajomy dał nura za stół i Alan stracił go z oczu, a w następnej chwili nad jego głową poszybowały butelki alkoholu wymierzone w Teda i Abeego, czemu towarzyszyły następne strzały. Abee krzyknął i rozległ się stłumiony trzask łamanego drewna, gdy obok niego rozbiło się krzesło. Ted zniknął z pola widzenia, ale wciąż było słychać strzały z jego broni.

Alan był przekonany, że umiera.

Dwa jego zęby leżały obok na podłodze, z ust ciekła mu krew. Czuł, że Abee kopniakami połamali mu żebra. Miał mokro w spodniach: albo się zmoczył, albo od ciosów w nerki zaczął krwawić.

Mgliście zarejestrował wycie syren, ale przekonany, że zaraz wyzionie ducha, stracił wszelką energię i nic go już nie obchodziło. Usłyszał trzask krzesła i brzęk szkła. Z oddali dobiegł go jęk Abeego, gdy butelka z alkoholem uderzyła o jakiś twardy przedmiot.

Nieznamy przebiegł obok niego w kierunku baru. Zaraz potem zabrzmiały krzyki, po nich strzał i wreszcie brzęk sztucznego lustra za barem. Na Alana posypały się kawałki szkła, które kaleczyły mu skórę. Nastąpiły kolejne krzyki i odgłosy szamotaniny. Abee wydał wysoki przejmujący jęk, który urwał się wraz z głuchym uderzeniem o podłogę.

Ktoś walnął o nią głową?

Znowu szamotanina. Alan ze swojego punktu obserwacyjnego na podłodze zauważył, że Ted zachwiał się do tyłu i o mało nie nastąpił mu na nogę. Odzyskał jednak równowagę i coś wykrzyknął, a Alanowi przebiegło przez myśl, że słyszy w jego głosie przerażenie. Potem w małej sali rozległ się kolejny strzał.

Alan zamknął oczy. Otworzył je ponownie, gdy w powietrzu przeleciało następne krzesło. Ted desperacko strzelił w sufit i nieznamy rzucił się na niego, pchając go na ścianę. Pistolet potoczył się po podłodze, gdy jego właściciel runął obok jak długi.

Przybysz skoczył na Teda, gdy ten próbował umknąć i zniknął Alanowi z pola widzenia. Jednakże Alan nie mógł się ruszyć. Za sobą usłyszał ciosy pięścią w twarz, jeden, potem drugi. Ted zaczął wyć, jego krzyki cichły za każdym razem, gdy na szczękę spadał cios. Potem Alan słyszał już tylko same uderzenia, bo Ted umilkł. Łup, łup, łup, z coraz dłuższymi przerwami.

Wreszcie nastąpiła cisza. Słysząc było tylko dyszenie.

Dźwięk syren stał się coraz głośniejszy, ale Alan na podłodze wiedział, że jest już dla niego za późno na ratunek

Zabili mnie, rozbrzmiewał głos w jego głowie i na brzegach pola widzenia ujrzał ciemność. Nagle poczuł, że ktoś obejmuje go ramieniem w pasie i podnosi.

Przeniknął go straszliwy ból. Krzyknął mimowolnie, gdy mężczyzna zarzucił sobie jego rękę na ramię i pociągnął go w górę. Jakimś cudem nogi zaczęły poruszać się samodzielnie, gdy tamten go na wół ciągnął, na wół niósł w kierunku wyjścia. Alan zobaczył ciemne niebo za oknem od frontu i dostrzegł wyważone drzwi, ku którym zmierzali.

Wtedy nie wiadomo po co wycharczał:

– Nazywam się Alan. – Wsparł się na mężczyźnię. – Alan Bonner.

– Wiem – odpowiedział tamten. – Jestem tu, żeby cię z tego wyciągnąć.

\*

„Jestem tu, żeby cię z tego wyciągnąć”.

Ledwie przytomny Ted nie do końca zrozumiał te słowa, ale instynktownie pojął, co się dzieje. Dawsonowi znowu się upiekło.

Wściekłość, która ogarnęła go na tę myśl, była silniejsza od samej śmierci.

Otworzył obrzmiałe oko i zobaczył, że Dawson kieruje się do wyjścia, wlokąc fagasa Candy. Był odwrócony tyłem, więc Ted rozejrzał się szybko w poszukiwaniu glocka. Tam. Za ledwie kilka

stóp dalej, pod strzaskanym krzesłem.

Syreny były już blisko.

Przywołując resztki siły, Ted rzucił się w stronę pistoletu i chwilę później poczuł jego uspokajający ciężar w dłoni. Skierował broń ku drzwiom i wymierzył w Dawsona. Nie wiedział, czy w magazynku zostały jeszcze jakieś pociski, ale miał świadomość, że to ostatnia szansa.

Wycelował dokładniej. A potem pociągnął za spust.

Okolo północy Amanda otępiiała już całkowicie. Wyczerpana fizycznie, psychicznie i umysłowo była na skraju wytrzymałości. Siedziała w poczekalni od wielu godzin. Zdążyła przejrzeć wszystkie czasopisma, choć tak naprawdę nic w nich nie widziała, a potem nerwowo krążyła po korytarzu i próbowała zapanować nad przerażeniem, które ogarniało ją na każdą myśl o synu. Jednakże przed północą stwierdziła, że paraliżujący strach powoli jej przechodzi, zostawiając po sobie jedynie zmęczenie i poczucie pustki.

Lynn przyjechała przed godziną w stanie paniki. Przypadła do Amandy i zasypała ją gradem pytań, na które ta nie potrafiła odpowiedzieć. Następnie zwróciła się do Franka, żeby poznać szczegóły wypadku. Ktoś przejeżdżał bardzo szybko przez skrzyżowanie – wyjaśnił jej ojciec i tylko bezradnie wzruszył ramionami. Już wytrzeźwiał i choć niewątpliwie martwił się o syna, nie wspominał ani słowem, jak to się stało, że Jared znalazł się w tej części miasta i dlaczego odwoził ojca.

Amanda nie odzywała się do niego przez cały ten czas, który spędzili w poczekalni. Zdawała sobie sprawę, że Lynn musiała zauważyć panujące między nimi milczenie, ale sama też niewiele mówiła, przejęta lękiem o brata. W pewnym momencie zapytała, czy ma odebrać Annette z obozu. Amanda poprosiła, żeby poczekała z tym, aż będą wiedzieli coś więcej na temat stanu Jareda. Annette była jeszcze zbyt mała, żeby w pełni zrozumieć powagę sytuacji, a poza tym Amanda odczuwała, że nie jest w stanie zająć się w tej chwili córeczką. Sama ledwie się trzymała.

Dwadzieścia po dwunastej najdłuższego dnia jej życia doktor Mills wreszcie zjawił się w poczekalni. Był zmęczony, ale przebrał się w czysty fartuch, zanim do nich przyszedł. Amanda zerwała się z krzesła, a za nią Lynn i Frank.

– Operacja przebiegła pomyślnie – oświadczył bez wstępów lekarz. – Możemy powiedzieć z dużą dozą pewności, że Jared z tego wyjdzie.

\*

Jared przebywał na sali pooperacyjnej przez kilka godzin, ale Amandzie nie pozwolono go zobaczyć, dopóki nie został przeniesiony na oddział intensywnej opieki medycznej. Choć zazwyczaj w nocy nie było tam wstępu, doktor Mills zrobił dla Amandy wyjątek.

Wcześniej Lynn odwozila do domu Franka, który twierdził, że od uderzenia w twarz dostał okropnego bólu głowy.

Zapowiedział jednak, że rano przyjedzie. Córka powiedziała, że wróci do szpitala, żeby dotrzytać jej towarzystwa, ale Amanda się sprzeciwiła. Oświadczyła, że sama posiedzi z Jaredem do rana.

I siedziała przy łóżku syna przez następne kilka godzin; słuchała piknięć wydawanych przez



urządzenia rejestrujące pracę serca i nienaturalnych syków respiratora wspomagającego płuca. Jared miał zapadnięte policzki, a jego cera przybrała barwę starego plastiku. Nie przypominał syna, którego pamiętała i którego wychowała; w tym otoczeniu wydawał jej się obcy, odległy od codziennego życia.

Tylko dlonie miały takie same jak dawniej, więc ujęła jedną z nich i czerpała siłę z jej ciepła. Kiedy pielęgniarka zmieniała mu opatrunek, Amanda dostrzegła fioletową szramę na piersi syna i odwróciła wzrok.

Lekarz powiedział, że Jared prawdopodobnie obudzi się za kilka godzin, i gdy tak siedziała w szpitalnej separacie, zastanawiała się, ile będzie pamiętał z wypadku i jazdy do szpitala. Czy bardzo się bał, gdy jego stan nagle się pogorszył? Czy chciał, aby znalazła się przy nim? Ta myśl była dla niej niczym cios w spłot słoneczny i obiecała sobie, że zostanie przy synu dopóty, dopóki będzie jej potrzebował.

Od przyjazdu do szpitala nie zmrużyła oka. Jared spał, i w miarę upływu czasu Amanda stawiała się coraz bardziej senna, a dodatkowo usypiały ją ciche, regularne dźwięki sprzętu medycznego. Pochyliła się i oparła głowę o barierkę przy łóżku. Po dwudziestu minutach obudziła ją pielęgniarka, która zasugerowała, żeby pojechała do domu się przespać.

Amanda pokręciła jednak głową i znowu spojrzała na syna. Pragnęła przekazać temu wątłemu ciału trochę własnej siły. Na pocieszenie przypominała sobie zapewnienia doktora Millsa, że po powrocie do zdrowia Jared będzie prowadzić niemal całkiem normalne życie. Mogło być znacznie gorzej, zakonkludował lekarz i Amanda powtarzała sobie te słowa jak mantrę, żeby zachować spokój.

Gdy za oknami separaty na oddziale intensywnej opieki medycznej zaczęło świtać, szpital obudził się do życia. Przyszły pielęgniarki z następnej zmiany, salowe zaczęły ładować wózki ze śniadaniem, lekarze przystąpili do obchodu. Zapanował ruch i skończyła się cisza. Pielęgniarka poinformowała ją znacząco, że musi sprawdzić Jaredowi cewnik, więc Amanda niechętnie wyszła z pokoju i skierowała się do kafeтерии. Pomyślała, że może kawa da jej trochę potrzebnej energii, bo przecież musiała być na miejscu, gdy Jared odżył przytomność.

Mimo wczesnej pory kolejka do lady była długa, ustawili się w niej ludzie, którzy jak Amanda spędzili noc w szpitalu. Za nią stanął młody mężczyzna, po dwudziestce.

– Żona mnie zabije – wyznał, gdy brali tace.

Amanda uniosła brew.

– Dlaczego?

– Urodziła w nocy dziecko i wysłała mnie po kawę. Kazała mi się pospieszyć, bo rozboleła ją głowę, ale ja musiałem po drodze zajrzeć na salę noworodków, żeby jeszcze raz popatrzeć.

Amanda uśmiechnęła się mimowolnie.

– Chłopczyk czy dziewczynka?

– Chłopczyk – odparł. – Gabriel. Gabe. Nasz pierworodny.

Amanda pomyślała o Jaredzie. Potem o Lynn i Annette, i wreszcie o Bei. W szpitalu przeżyła najszczęśliwsze i najsmutniejsze chwile swojego życia.

– Moje gratulacje – powiedziała.

Kolejka posuwała się wolno, ludzie nie spieszyli się z wyborem dań i zamawiali rozmaite rzeczy na śniadanie. Zapłaciwszy wreszcie za kawę, Amanda spojrzała na zegarek. Od jej wyjścia z separaty minęło piętnaście minut. Była pewna, że nie pozwoli jej wnieść kawy na

oddział, więc usiadła przy stoliku pod oknem. Parking przed szpitalem powoli się zappełniał.

Po wypiciu kawy poszła do toalety. Twarz, którą zobaczyła w lustrze, była wymizerowana i zmęczona, wręcz obca. Amanda ochlapała zimną wodą policzki oraz szyję i przez kilka minut robiła, co mogła, aby doprowadzić się do porządku. Potem wsiadła do windy, pojechała na górę i skierowała się na oddział intensywnej opieki medycznej. Gdy była już pod drzwiami separacji, podeszła do niej pielęgniarka i zatrzymała ją.

– Przykro mi, ale nie może pani tam teraz wejść – oznajmiła.

– Dlaczego? – zapytała Amanda, nieruchomiejąc.

Pielęgniarka nie odpowiedziała, a jej twarz niczego nie zdradzała. Amanda poczuła, że znowu budzi się w niej panika.

Przez prawie godzinę czekała na oddziale, aż wreszcie wyszedł do niej doktor Mills.

– Przykro mi – zaczął – ale pojawiły się poważne komplikacje.

– Byłam przy nim prawie cały czas – wyjąkała, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Doszło do zawału – ciągnął. – Niedokrwienie prawej komory serca. – Pokręcił głową.

Amanda ściągnęła brwi.

– Nie rozumiem, co chce mi pan powiedzieć! Niech pan mówi tak, żebym zrozumiała!

Lekarz popatrzył na nią ze współczuciem.

– Pani syn, Jared – zaczął wreszcie łagodnym tonem – miał... rozległy atak serca.

Amanda zamruwała powiekami. Miała wrażenie, że napierają na nią ściany korytarza.

– Nie – jęknęła. – To niemożliwe. On przecież spał... dochodził do siebie, gdy wyszłam.

Doktor Mills nie odpowiedział i Amanda poczuła, że kręci jej się w głowie, jakby miała zaraz zemdleć. Ale mówiła dalej nerwowo:

– Powiedział pan, że nic mu nie będzie. Że operacja się udała. I że Jared dziś się obudzi.

– Przykro mi bardzo...

– Jak to możliwe, że dostał ataku serca? – zapytała z niedowierzaniem. – Ma zaledwie dziewiętnaście lat!

– Nie wiem tego do końca. Pewnie powstał skrzep. Na skutek pierwotnego urazu albo powikłań pooperacyjnych, trudno powiedzieć – wyjaśnił doktor Mills. – To dość nietypowe, ale po tak poważnych obrażeniach wszystko może się zdarzyć. – Położył jej rękę na ramieniu. – Napocieszenie mogę pani powiedzieć jedynie to, że gdyby chłopak doznał zawału poza oddziałem intensywnej opieki, pewnie by nie przeżył.

Amanda wydusiła drżącym głosem:

– Ale przeżył. I wyjdzie z tego, prawda?

– Nie wiem. – Lekarz znowu przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Jak to pan nie wie? Co chce pan przez to powiedzieć?

– Mam trudności z utrzymaniem rytmu zatokowego.

– Niech pan przestanie mówić do mnie językiem medycznym! – zawołała. – Proszę mi wyjaśnić wszystko tak, żebym zrozumiała! Czy mój syn wyjdzie z tego?

Po raz pierwszy doktor Mills odwrócił wzrok.

– Serce pani syna przestaje pracować – powiedział. – Bez interwencji... długo nie wytrzyma.

Amanda zachwiała się pod wpływem tych słów. Oparła się o ścianę, próbując ogarnąć znaczenie tego, co powiedział lekarz.

– To nie znaczy, że on umrze, prawda? – wyszeptała. – Nie może umrzeć. Jest młody, zdrowy

i silny. Musicie coś zrobić.

– Robimy, co możemy – odparł doktor Mills ze zmęczeniem.

Nie, tylko nie to znowu, pomyślała. Najpierw Bea. A teraz Jared.

– To róbcie więcej! – zawołała na wół błagalnie. – Weźcie go na operację, wymyślcie coś!

– Operacja nie wchodzi już w rachubę.

– To zróbcie coś innego, żeby go ratować! – Głos jej się załamał.

– To nie takie proste...

– Dlaczego? – Spojrzała na niego tępo.

– Muszę zwołać pilne zebranie komisji transplantologicznej.

Amanda poczuła, że traci resztki panowania nad sobą.

– Przeszczep?

– Tak – potwierdził lekarz. Spojrzał w stronę oddziału, a potem znowu na nią. Westchnął. – Pani syn potrzebuje nowego serca.

\*

Później Amandę zaprowadzono do tej samej poczekalni, w której przebywała podczas operacji Jareda.

Tym razem nie była jednak sama. Oprócz niej znajdowały się tam jeszcze trzy osoby, wszystkie z takim samym napięciem i bezradnością w oczach jak ona. Opadła na krzesło i bezskutecznie próbowała zapanować nad przerażającym *deja vu*.

„Serce pani syna przestaje pracować. Bez interwencji długo nie wytrzyma”.

O Boże...

Nagle pomyślała, że nie może pozostać dłużej w poczekalni. Zapach środków odkażających, ohydne fluorescencyjne światło, ściągnięte, zaleźnione twarze... wszystko to już знаła z czasów choroby Bei, bo w takich samych pomieszczeniach spędziła tygodnie, całe miesiące. Bezsilność, strach – musiała od tego uciec.

Wstała, zarzuciła torebkę na ramię i pobiegła bezosobowymi, białymi korytarzami do wyjścia. Wyszła na mały taras przed budynkiem, usiadła na kamiennej ławce i wciągnęła głęboko w płuca świeże poranne powietrze. Potem wyjęła telefon komórkowy. Zastała Lynn w domu, oboje z Frankiem właśnie mieli jechać do szpitala. Amanda opowiedziała jej, co się stało, podczas gdy Frank słuchał z drugiego aparatu. Lynn znowu zarzuciła ją pytaniami. Amanda nie potrafiła na nie odpowiedzieć, więc przerwała córce i poprosiła ją, aby zadzwoniła na obóz, na którym przebywała Annette, i po nią pojechała. Lynn zaprotestowała, bo chciała zobaczyć Jareda, a podróż po siostrę zajęłaby jej trzy godziny. Amanda jednak oznajmiła stanowczo, że bardzo jej na tym zależy. Frank się nie odzywał.

Po rozmowie z Lynn zatelefonowała do matki. Opowiedziała jej, co się wydarzyło w ciągu minionych dni, ale przez to cały ten koszmar wydał jej się jeszcze bardziej realny i pod koniec relacji się załamała.

– Przyjadę do was – oświadczyła po prostu matka. – Przyjadę tak szybko, jak tylko się da.

\*

Gdy Frank przyjechał do szpitala, oboje spotkali się z doktorem Millsem w jego gabinecie na drugim piętrze, aby omówić możliwość przeszczepienia Jaredowi serca.

Choć Amanda usłyszała i zrozumiała wszystko, co doktor Mills mówił o procedurach, tak naprawdę zapamiętała z tego tylko dwie rzeczy.

Po pierwsze to, że kandydatura jej syna może nie zostać zatwierdzona przez komitet transplantologiczny – mimo że Jared był w bardzo groźnym dla życia stanie, do tej pory na listę oczekujących nie wpisywano ofiar wypadków samochodowych. Nikt nie mógł zagwarantować, że zostanie pozytywnie zweryfikowany.

Po drugie, nawet jeśli kandydatura Jareda przejdzie, nie wiadomo, czy znajdzie się dla niego odpowiednie serce. Była to kwestia szczęścia, ślepego trafu.

Innymi słowy, szanse były niewielkie.

„Serce pani syna przestaje pracować. Bez interwencji długo nie wytrzyma”.

W drodze powrotnej do poczekalni Frank sprawiał wrażenie równie oszołomionego jak Amanda. Jej gniew i jego poczucie winy sprawiły, że wyrósł między nimi mur nie do pokonania. Godzinę później zjawiła się pielęgniarka, która poinformowała ich, że stan Jareda na razie się ustabilizował i będą mogli go odwiedzić na oddziale intensywnej opieki.

Stan się ustabilizował. Na razie.

Amanda i Frank stanęli przy łóżku Jareda. Amanda widziała w synu chłopca, którym był kiedyś, i mężczyznę, którym się stał, ale nie mogła pogodzić tych dwóch wizji z obrazem leżącej na łóżku nieprzytomnej postaci. Frank wyszeptał przeprosiny pod adresem syna i zakończył słowami: „Trzymaj się”, ale jego zachowanie tylko spotęgowało gniew Amandy i wywołało w niej niedowierzanie, nad czym starała się zapanować.

Frank jakby postarzał się o dziesięć lat od poprzedniej nocy; przybity i niechlujny stanowił żalony widok, ale Amanda nie potrafiła wzbudzić w sobie współczucia dla niego, choć musiał mieć straszliwe wyrzuty sumienia.

Przesunęła natomiast palcami po włosach Jareda przy wtórze odmierzających czas dźwięków aparatury medycznej. Pielęgniarki zajęły się innymi pacjentami na oddziale: sprawdzały kroplówki, zmieniały opatrunki i w ogóle zachowywały się tak jakby to był całkiem zwyczajny dzień. Zwyczajny dzień w ruchliwym życiu szpitala, choć dla Amandy nie było w nim nic zwyczajnego. Ten dzień stanowił koniec normalnego życia jej samej i rodziny.

Wkrótce miało się odbyć zebranie komisji transplantologicznej. Do tej pory nie było precedensu, żeby wpisano na listę takiego pacjenta jak Jared. Jeśli komisja nie wyrazi na to zgody, jej syn umrze.

Lynn przyjechała do szpitala z Annette, która ścisła w rękach swojego ulubionego pluszaka małpkę. Pielęgniarki w drodze wyjątku pozwoliły siostrze wejść razem na oddział, żeby mogły zobaczyć brata. Lynn zbliżyła się i pocałowała Jareda w czoło. Annette położyła obok niego na szpitalnym łóżku swoją małpkę.

\*

W sali konferencyjnej kilka pięter nad oddziałem intensywnej opieki medycznej komisja transplantologiczna zebrała się na pilne głosowanie. Doktor Mills przedstawił przypadek Jareda i podkreślił, że sytuacja jest krytyczna.

– Tu jest napisane, że pacjent cierpi na niewydolność serca – zauważył jeden z członków komisji. Zjrzał ze zmarszczonym czołem do leżącego przed nim raportu.

Doktor Mills pokręcił głową.

– Wspomniałem w nim, że prawa komora uległa poważnemu uszkodzeniu na skutek martwicy niedokrwiennej.

– Ale martwica niedokrwienna nastąpiła w wyniku urazu podczas wypadku samochodowego – zauważył tamten. – Z zasady nie przyznajemy serc ofiarom wypadków.

– Tylko dlatego, że przeważnie wcześniej umierają – zaznaczył doktor Mills. – Ten pacjent jednak przeżył. To młody zdrowy mężczyzna, który ma przed sobą wspaniałe perspektywy. Przyczyna zawału nie jest znana, a martwica niedokrwienna odpowiada kryteriom komisji. – Odsunął od siebie teczkę z dokumentacją medyczną i spojrzął po kolei na kolegów. – Według mojej oceny ten pacjent nie przeżyje kolejnej doby bez przeszczepu. Musimy wpisać go na listę. – Dodał z błagalną nutą w głosie: – Jest jeszcze młody, ma przed sobą całe życie. Powinniśmy dać mu szansę.

Kilku członków komisji wymieniło sceptyczne spojrzenia. Doktor Mills wiedział, co myślą: mało tego, że przypadek jest bezprecedensowy, to jeszcze ramy czasowe są zbyt ograniczone. Istniała znikoma szansa na to, że w tak krótkim czasie znajdzie się odpowiedni dawca, co oznaczało, że pacjent prawdopodobnie umrze, niezależnie od decyzji, jaką podejmą. W grę wchodziła też chłodna kalkulacja, o której nie wspomnieli. Dotyczyła pieniędzy. Gdyby wpisali Jareda na listę, wynik jego operacji – pomyślny albo nie – wpłynąłby na notowania całego programu transplantologicznego, a od tego zależała reputacja szpitala. Dobre notowania skutkowały dodatkowymi funduszami na badania naukowe i operacje. A także na następne transplantacje w przyszłości. A to oznaczało, że można by uratować życie większej liczbie ludzi, nawet jeśli w tej chwili trzeba by było poświęcić jednego z nich.

Doktor Mills znał jednak dobrze swoich kolegów; wiedział, że do każdego pacjenta i jego przypadku podchodzą indywidualnie. Bo zdają sobie sprawę, że liczby nie są najważniejsze. Byli profesjonalistami, którzy czasami podejmowali ryzyko, aby pomóc komuś tu i teraz. Większość z nich poszła na medycynę właśnie po to. On również. Chcieli ratować życie ludzkie i tego dnia postanowili, że spróbują ocalić jeszcze jedno.

A więc komisja transplantologiczna udzieliła rekomendacji jednogłośnie. Po godzinie pacjent uzyskał status A1, czyli najwyższy priorytet – jeśli jakimś cudem znajdzie się dawca.

\*

Kiedy doktor Mills przyniósł im dobrą wiadomość, Amanda zerwała się z krzesła i uściślała go z niezwykłą siłą.

– Dziękuję – wydygotała. – Dziękuję.

Powtarzała to raz po raz. Bała się powiedzieć cokolwiek innego, wyrazić głośno nadzieję, że mimo wszystko zdarzy się cud, czyli dawca się znajdzie.

\*

Evelyn wkroczyła do poczekalni. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na przerażoną rodzinę, aby

rozumieć, że ktoś musi przejąć dowodzenie. Ktoś, kto by ich wsparł, a nie sam potrzebował wsparcia.

Uściśnęła wszystkich po kolei, a najdłużej trzymała w objęciach córkę. Potem cofnęła się o krok, objęła spojrzeniem całą grupkę i zapytała:

– Kto z was jest głodny?

\*

Evelyn chętnie zaprowadziła Lynn i Annette do kafeтерии.

Frank i Amanda zostali sami. Amanda nie mogłaby nic przełknąć. A czy Frank mógłby, to jej nie obchodziło. Myślała wyłącznie o Jaredzie.

Czekała.

I modliła się żarliwie.

Kiedy korytarzem obok poczekalni przechodziła jedna z pielęgniarek z oddziału intensywnej opieki, Amanda podbiegła do niej i zatrzymała ją. Drżącym głosem zadała to najważniejsze pytanie.

– Nie – odparła tamta. – Przykro mi, ale wciąż nic nie wiadomo o potencjalnym dawcy.

\*

Amanda na korytarzu zasłoniła dłońmi twarz.

Frank, wyszedłszy z poczekalni, podszedł do niej, gdy pielęgniarka oddaliła się pospiesznie.

– Znajdą dawcę. – Starał się ją pocieszyć.

Czując niepewny dotyk jego ręki, obróciła się na pięcie.

– Na pewno znajdą – powtórzył.

W jej oczach pojawił się błysk

– Ze wszystkich ludzi ty akurat nic nie możesz o tym wiedzieć.

– Nie, oczywiście, że nie...

– Więc lepiej nic nie mów – rzuciła. – Daruj sobie puste słowa.

Frank pomacał się po opuchniętym nosie.

– Próbuje tylko...

– Co próbujesz? – zapytała ostro. – Poprawić mi samopoczucie? Mój syn umiera! – Jej głos poniósł się po białym korytarzu i ludzie zwrócili głowy w ich stronę.

– To także mój syn! – zauważył cicho Frank

Amanda wybuchła długo tłumionym gniewem.

– Dlaczego do niego zadzwoniłeś i kazałeś mu po sobie przyjechać?! – zawołała. – Upiłes się i nie mogłeś prowadzić?

– Amando...

– Tak było! – napadła na niego. Pacjenci z sal po obu stronach korytarza zaczęli wyglądać przez otwarte drzwi, a pielęgniarki zatrzymały się w pół kroku. – On nie powinien był znaleźć się w tym samochodzie! Nie miał powodu! Ale ty tak się spiłeś, że nie mogłeś usiąść za kierownicą! Znowu! Jak zwykle!

– To był wypadek – próbował wtrącić Frank

– Wcale nie! Nie rozumiesz! Zabrałeś ze sobą piwo i je wypileś... to wszystko przez ciebie! Przez ciebie Jared znalazł się na drodze tamtego! – Amanda oddychała ciężko, nie dostrzegając zdziwionych spojrzeń na korytarzu. – Prosiłam cię, żebyś przestać pić. Ale nie przestałeś. Nigdy nie obchodziliśmy cię ani ja, ani dzieci. Zawsze myślałeś tylko o sobie i tym, jak bardzo cierpiełaś po śmierci Bei. – Chrapliwie wciągnęła powietrze w płuca. – A wiesz co? Dla mnie to także był cios. To ja wydałam ją na świat. To ja trzy małam ją na rękach i karmiłam, zmieniałam jej pieluchy, gdy ty byłeś w pracy. To ja jej nie odstępowałam, gdy zachorowała. Ja, nie ty. Ja. – Dźgnęła się palcem w pierś. – Ale jakimś sposobem to ty nie mogłeś poradzić sobie z bólem. I wiesz, co się stało w efekcie? W końcu straciłam nie tylko dziecko, ale i męża, człowieka, za którego wyszłam. I nawet wtedy nie mogłam się poddać, musiałam wziąć się w garść i iść dalej. – Odwróciła się od Franka z twarzą wykrzywioną goryczą. – Mój syn jest teraz podłączony do aparatury podtrzymującej życie, bo nie miałam odwagi od ciebie odejść. A powinnam była to zrobić już dawno temu.

W połowie jej tyrady Frank opuścił głowę i wbił wzrok w podłogę. Wyczerpana Amanda ruszyła w głąb korytarza, żeby się od niego oddalić.

Po drodze przy stanęła, odwróciła się i dodała:

– Wiem, że to był wypadek i że jest ci przykro. Ale to, że żałujesz, nie wystarczy. Gdyby nie ty, nie bylibyśmy tu teraz, i oboje jesteśmy tego świadomi.

Jej ostatnie słowa były jak wyzwanie, które poniosło się echem po korytarzu, i Amanda liczyła, że Frank je podejmie. Ale on nic nie powiedział, więc w końcu odeszła.

\*

Kiedy rodzinie pozwolono znowu odwiedzić Jareda na oddziale intensywnej opieki medycznej, Amanda siedziała przy synu na przemian z córkami. Została prawie godzinę. Wysłała jednak, gdy tylko zjawił się Frank. Potem do Jareda zajrzała Evelyn, ale tylko na kilka minut.

Gdy reszta rodziny wyszła, Amanda wróciła na stanowisko przy łóżku syna i została tam aż do końca zmiany pielęgniarek.

Wciąż nie było żadnych wiadomości o dawcy.

\*

Przyszła pora obiadu i upłynęły następne godziny. Wreszcie pojawiła się Evelyn i niemal siłą wyprowadziła Amandę z oddziału. Poszła z nią do kafeтерии. Chociaż na myśl o jedzeniu Amandzie robiło się niedobrze, pod okiem matki zjadła w milczeniu pozbawioną smaku kanapkę. Przeżyła z wysiłkiem każdy kęs, aż doszła do końca, i wreszcie zmieła celofanowe opakowanie.

Później wstała i wróciła na oddział.

\*

O ósmej wieczorem, kiedy oficjalnie kończyła się pora odwiedzin, Evelyn uznała, że dzieci powinny pojechać do domu. Miał je odwieźć Frank, bo doktor Mills znowu zrobił dla Amandy wyjątek i pozwolił jej zostać na oddziale.

Wieczorem ruch w szpitalu ustał. Amanda siedziała wytrwale przy łóżku Jareda. Mimo

oszołomienia zauważyła, że pielęgniarki się zmieniły, ale nie mogła zapamiętać ich imion. Nieustannie błagała Boga, żeby ocalił jej synowi życie, tak samo jak niegdyś błagała go, aby uratować Beę.

Miała nadzieję, że tym razem wysłucha jej próśb.

\*

Po północy do pokoju wszedł doktor Mills.

– Powinna pani pojechać do domu i trochę odpocząć – powiedział. – Zadzwoń do pani, gdy tylko coś będzie wiedział. Obiecuję.

Amanda nie chciała jednak puścić dłoni Jareda i uniosła głowę w wyrazie sprzeciwu.

– Nie zostawię syna – odparła z uporem.

\*

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy doktor Mills wrócił. Amanda była już zbyt wykończona, żeby wstać.

– Mam wiadomość – oznajmił.

Zwróciła się ku niemu, nagle przepełniona lękiem, że wyczerpano już wszystkie możliwości. A więc to tak, pomyślała otepiale. To już koniec.

Ale w jego twarzy dostrzegła nikłą nadzieję.

– Znaleźliśmy odpowiedniego dawcę – ciągnął. – Była jedna szansa na milion, ale jakoś się udało.

Amanda poczuła przypływ adrenaliny w całym ciele. Gdy próbowała ogarnąć znaczenie jego słów, napięły się jej wszystkie nerwy.

– Odpowiedniego dawcę?

– Tak, dawcę serca. Został właśnie przywieziony do szpitala i już wyznaczono termin operacji. W chwili gdy rozmawiamy, zbiera się zespół lekarzy.

– Czy to znaczy, że Jared będzie żył? – spytała Amanda ochryłym głosem.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – odparł.

Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w szpitalu, Amanda zaczęła płakać.



Pod wpływem nalegań doktora Millsa Amanda w końcu pojechała do domu. Powiedziano jej, że Jared zostanie zabrany na salę przedoperacyjną i przygotowany do przeszczepu, więc i tak nie będzie mogła przy nim być. Sama operacja miała potrwać od czterech do sześciu godzin, w zależności od tego, czy pojawią się komplikacje.

– Nie – oznajmił doktor Mills, zanim zdążyła o to zapytać. – Żadnych komplikacji nie przewidujemy.

Mimo nieustającej złości na męża Amanda zadzwoniła do niego z dobrą wiadomością przed wyjściem ze szpitala. Frank, podobnie jak ona, nie mógł spać i choć spodziewała się, że usłyszy w słuchawce bełkot, był całkiem trzeźwy. Z ulgą przyjął wieści i podziękował jej za to, że go zawiadomiła.

Nie widziała się z nim po przyjeździe do domu.

Przypuszczała, że skoro matka zajęła pokój gościnny, Frank przeniósł się na kanapę w gabinecie. Mimo że była wyczerpana, przede wszystkim chciała wejść pod prysznic i przez długi czas stała pod kojącym strumieniem wody. Potem wreszcie położyła się do łóżka.

Do świtu pozostała jeszcze godzina czy dwie, więc zamykając oczy, Amanda obiecała sobie, że nie będzie długo spała, zdrzemnie się tylko, a potem wróci do szpitala.

Spała jednak sześć godzin kamiennym snem.

\*

Matka trzymała kubek z kawą, gdy Amanda przyszła do kuchni gotowa jechać do szpitala. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, gdzie zostawiła kluczyki od samochodu.

– Dzwoniłam tam kilka minut temu – powiedziała uspokajająco Evelyn. – Lynn mówi, że na razie nie ma żadnych wiadomości poza tą, że operacja trwa.

– Muszę jechać – wymamrotała Amanda.

– Oczywiście. I pojedziesz. Ale najpierw napij się kawy. – Evelyn wyciągnęła rękę z kubkiem.

– Zaparzyłam specjalnie dla ciebie.

Amanda przerzuciła leżącą na blacie kuchennym pocztę i reklamy, bo wciąż szukała kluczyków.

– Nie mam czasu...

– To zajmie ci tylko kilka minut. I niczego nie zmieni – zauważyła matka głosem nieznoszącym sprzeciwu. Podała córce parującą kawę. – Obie wiemy, że po przyjeździe do szpitala będziesz mogła tylko czekać. Ważne, żebyś była przy Jaredzie, gdy się obudzi, a to nastąpi dopiero za kilka godzin. Więc zaczekaj chwilę, zanim wyjdiesz. – Matka usiadła na jednym z krzeseł kuchennych i wskazała Amandzie drugie, tuż obok siebie. – Wypij kawę i zjedz coś.

– Nie będę jadła śniadania, gdy mój syn przechodzi operację! – zaprotestowała Amanda.

– Wiem, że umierasz z niepokojem – ciągnęła Evelyn zaskakująco delikatnie. – Ja też się martwię. Ale jako matka martwię się także o ciebie, bo zdaję sobie sprawę, że masz pod opieką całą rodzinę. A obie wiemy, że znacznie lepiej funkcjonujesz, gdy jesteś najedzona i po kawie.

Amanda zawałała się, a potem podniosła kubek do ust. Kawa smakowała cudownie.

– Myślisz, że mogę? – Niepewnie zmarszczyła brwi i usiadła obok matki przy stole.

– Oczywiście. Bieda przed sobą ciężki dzień. Jared będzie potrzebował silnej matki, gdy odzyska przytomność.

Amanda objęła kubek obiema dłońmi.

– Tak się boję – wyznała.

Ku jej zdumieniu matka położyła ręce na jej dłoniach.

– Wiem. Ja też się boję.

Amanda popatrzyła na swoje ręce wokół kubka i na spoczywające na nich wypielęgowane drobne dłonie matki.

– Dziękuję ci, że przyjechałaś.

Evelyn pozwoliła sobie na nieznaczny uśmiech.

– Chyba nie miałam wyboru – oświadczyła. – Jesteś moją córką i potrzebujesz mnie.

\*

Pojechały do szpitala obie i spotkały się z resztą rodziny w poczekalni. Annette i Lynn podbiegły do Amandy, objęły ją i wtuliły twarze w jej szyję. Frank jedynie skinął głową i wymamrotał coś na przywitanie. Matka, która od razu wyczuła panujące między nimi napięcie, zabrała dziewczynki na wczesny lunch.

Frank zwrócił się do Amandy, gdy zostali sami.

– Przepraszam – zaczął. – Za wszystko. Bardzo mi przykro.

Amanda spojrzała na niego.

– Wiem.

– To ja powinienem być tam teraz zamiast Jareda.

Amanda nie odpowiedziała.

– Mogę cię zostawić samą, jeśli chcesz – odezwał się znowu. – Usiądę sobie gdzieś indziej.

Amanda westchnęła, a potem pokręciła głową.

– Nie, w porządku. To także twój syn. Twoje miejsce jest tutaj.

Frank przełknął ślinę.

– Przestałem pić, jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie. Tym razem serio. Na zawsze.

Amanda machnęła ręką, żeby mu przerwać.

– Proszę, nie... dobrze? Nie chcę w tej chwili o tym rozmawiać. To nie jest odpowiednie miejsce ani czas. Tylko jeszcze bardziej się zdenerwuję. Słyszałam to wszystko już wcześniej i mam za dużo problemów, żeby zajmować się jeszcze tym.

Frank pokławił głową. Odwrócił się i usiadł na poprzednim miejscu. Amanda usadowiła się pod przeciwległą ścianą. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, dopóki Evelyn nie wróciła z dziećmi.

\*

Niedługo po południu do poczekalni wkroczył doktor Mills. Wszyscy wstali. Amanda spojrzała mu w twarz badawczo; spodziewała się najgorszego, ale wyczuła, że mimo zmęczenia jest zadowolony, i natychmiast przestała się bać.

– Operacja przebiegła dobrze – zaczęła, a potem opowiedział o wszystkim po kolei.

Kiedy skończył, Annette pociągnęła go za rękaw.

– Czy teraz Jared będzie zdrowy?

– Tak – odpowiedział lekarz z uśmiechem. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie. – Twój brat będzie zdrowy.

– Kiedy będziemy mogli go zobaczyć? – spytała Amanda.

– Przebywa w tej chwili na sali pooperacyjnej, ale może za kilka godzin.

– Wtedy się obudzi?

– Tak – potwierdził doktor Mills. – Już będzie przytomny.

\*

Kiedy wreszcie poinformowano rodzinę, że może zobaczyć Jareda, Frank pokręcił głową.

– Ty idź – powiedział do Amandy. – My zaczekamy. Wejdziemy do niego po twoim wyjściu.

Amanda ruszyła za pielęgniarką do sali pooperacyjnej. Chwilę później dogonił ją doktor Mills.

– Jest przytomny. – Zrównał z nią krok – Ale muszę panią uprzedzić, że miał mnóstwo pytań i nie przyjął wiadomości zbyt dobrze. Proszę się starać go nie denerwować.

– Co mam mu powiedzieć?

– Niech pani po prostu z nim porozmawia – odparł. – Będzie pani wiedziała, co mówić. Jest pani matką.

Pod salą pooperacyjną Amanda zaczerpnęła powietrza i doktor Mills otworzył przed nią drzwi. Wkroczywszy do jasno oświetlonego pomieszczenia, od razu dostrzegła syna na łóżku z odsuniętymi zasłonami.

Jared był śmiertelnie blady i miał wymizerowaną twarz. Obrócił głowę na bok i uśmiechnął się słabo.

– Cześć, mam – szepnął niewyraźnie, bo był jeszcze pod wpływem środków usypiających.

Amanda dotknęła jego ręki, starając się nie potrącić żadnej z mnóstwa rurek, którymi był podłączony do różnych urządzeń.

– Cześć, kochanie. Jaksię czujesz?

– Jestem zmęczony – wymamrotał. – I obolały.

– Wiem. – Odgarnęła mu włosy z czoła, a potem usiadła na twardym plastikowym krześle obok jego łóżka. – I pewnie będziesz czuł się słaby przez jakiś czas. Ale nie zostaniesz tu długo. Może przez tydzień.

Zamrugał wolno powiekami. Tak jak kiedyś w dzieciństwie, gdy gasiła światło na noc.

– Mam nowe serce – powiedział. – Lekarz mówił, że musieli mi je wszczepić.

– Uhm – potwierdziła.

– Co to znaczy? – Poruszył ręką ze wzburzeniem. – Będę mógł normalnie żyć?

– Oczywiście, że tak – odparła uspokajająco.

– Wyjęli mi serce, mam. – Zmiał dłonią prześcieradło na łóżku. – Mówią, że już zawsze będę musiał brać leki.

Na jego twarzy pojawił się niepokój i dezorientacja. Zdawał sobie sprawę, że jego życie zmieni się nieodwołalnie, i choć Amanda chciała go chronić przed rzeczywistością, wiedziała, że nie będzie mogła.

– To prawda – powiedziała, cały czas patrząc na niego spokojnie. – Przeszedłeś transplantację serca. I będziesz już zawsze brał leki. Ale to także znaczy, że będziesz żył.

– Jak długo? Nawet lekarze nie mogą mi tego powiedzieć.

– A czy to w tej chwili takie ważne?

– Oczywiście, że ważne – burknął. – Mówili, że ludzie z przeszczepionym sercem żyją od piętnastu do dwudziestu lat. Potem pewnie będę potrzebował następnego serca.

– To je dostaniesz. A do tego czasu będziesz normalnie żył. Potem też. Jak wszyscy inni.

– Nie rozumiesz, co chcę powiedzieć. – Jared odwrócił twarz do ściany po drugiej stronie łóżka.

Amanda patrzyła na jego reakcję; szukała słów, które by do niego przemówiły, które pomogłyby mu odnaleźć się w nowej sytuacji.

– Wiesz, o czym myślałam, kiedy przez kilka ostatnich dni czekałam w szpitalu? – zaczęła. – O tym, że jeszcze nie zrobiłeś tylu wspaniałych rzeczy, tylu nie doświadczyłeś. Na przykład satysfakcja z ukończenia college’u, radość z kupna domu czy zdobycia świetnej pracy, podniecenie wywołane poznanieniem dziewczyny swoich marzeń i zakochaniem się w niej.

Jared jakby w ogóle jej nie słyszał, ale widząc, jak leży sztywno, Amanda zorientowała się, że słucha.

– Masz szansę na przeżycie tego wszystkiego – ciągnęła. – Przy okazji będziesz popełniał błędy i zmagał się z życiem jak każdy, ale jeśli znajdziesz właściwą osobę, zaznasz wielu radości i będziesz się czuł, jakbyś był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. – Wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu. – Tak naprawdę przeszczep serca nie ma z tym nic wspólnego. Ponieważ wciąż żyjesz. A to oznacza, że możesz kochać i być kochany... a tak naprawdę nic innego się nie liczy.

Jared leżał nieruchomo, jakby zasnął na skutek osłabienia i zamroczenia po operacji. Ale potem powoli odwrócił głowę.

– Naprawdę wierzysz w to, co powiedziałas? – W jego głosie brzmiało powątpiewanie.

Po raz pierwszy od czasu gdy dowiedziała się o wypadku, Amanda pomyślała o Dawsonie Cole’u. Pochyliła się nad synem.

– W każde słowo.

Morgan Tanner stał w warsztacie Tucka ze splecionymi na piersi rękami i oglądał zniszczonego stingraya. Skrzywił się, bo pomyślał, że właściciel samochodu nie będzie zadowolony.

Dewastacji dokonano całkiem niedawno. Z pogiętej tylnej części nadwozia wystawała wbita tam felga i Tanner był pewien, że ani Dawson, ani Amanda nie zostawiłyby tego tak, gdyby to widzieli. I z pewnością nie wyrzucili przez okno krzesła, które leżało na ganku. Prawdopodobnie wszystko to była robota Teda albo Abeego Cole'ów.

Choć nie urodził się w Orientale, dostroił się do rytmu życia miasteczka. Przekonał się z biegiem czasu, że nastawiając ucha w Irvin's Diner, można wiele się dowiedzieć o historii tej części świata i jej mieszkańcach. Oczywiście każdą informację w takim miejscu jak bar należy przyjmować z pewną dozą nieufności. Pogłoski, plotki i insynuacje były tam na porządku dziennym. Mimo to wiedział o rodzinie

Cole'ów więcej, niż przypuszczała większość miejscowych. A szczególnie o Dawsonie.

Gdy Tuck opowiedział mu o swoich zamiarach wobec Dawsona i Amandy, Tanner dla własnego bezpieczeństwa przeprowadził dokładny wywiad na temat Cole'ów. Choć Tuck ręczył za swojego dawnego podopiecznego, Tanner znalazł czas, żeby porozmawiać z szeryfem, który kiedyś Dawsona aresztował, a także z obrońcą publicznym i oskarżycielem, biorącymi udział w jego procesie o zabójstwo doktora Bonnera. Świątek prawniczy w hrabstwie Pamlico nie był duży i łatwo było nakłonić kolegów do rozmowy o jednej z najgłośniejszych spraw sądowych w Orientale. Zarówno prokurator, jak i obrońca sądzili, że tamtej nocy na drodze znalazł się jeszcze inny samochód i Dawson zjechał na pobocze, żeby go ominąć. Ale ponieważ sędzia i szeryf przyjaźnili się z rodziną Marilyn Bonner, mieli związane ręce. To Tannerowi wystarczyło, wiedział, jak w małym miasteczku funkcjonuje wymiar sprawiedliwości. Potem odbył rozmowę z emerytowanym strażnikiem z więzienia w Halifaxie, który powiedział mu, że Dawson był wzorowym więźniem. Tanner zadzwonił także do pracodawców Dawsona w Luizjanie, aby się upewnić, że jest on porządnym, godnym zaufania człowiekiem. Dopiero wtedy zgodził się spełnić życzenie Tucka.

Poza sfinalizowaniem ostatnich szczegółów dotyczących majątku Tucka – i załatwieniem sprawy stingraya – rola Tannera w tym wszystkim dobiegła końca. Biorąc pod uwagę, co się stało, łącznie z zatrzymaniem Teda i Abeego Cole'ów, miał szczęście, że jego nazwisko nie padło podczas rozmów w Irvin's Diner, które do tej pory podsłuchał. A jako dobry prawnik sam w ogóle nie zabierał głosu w tej sprawie.

Mimo to cała sytuacja bardziej go niepokoiła, niż to po sobie pokazywał. Posunął się nawet do tego, że w ostatnich dniach zadzwonił gdzieś, gdzie nie powinien, wychodząc poza swoją strefę bezpieczeństwa.

Odwrócił się od stingraya, uważnie zlustrował stół do pracy i dostrzegł wykaz zleceń. Miał nadzieję, że znajdzie w nim telefon właściciela samochodu. Zauważył go na formularzu na

podkładce, gdzie widniały również wszystkie inne potrzebne informacje. Odkładał papiery z powrotem na stół, gdy dostrzegł znajomą wyglądającą kopertę. Gdzieś już ją widział.

Wziął ją do ręki i przyjrzał jej się dokładnie. Zanim sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy, zastanowił się nad konsekwencjami tego, co zamierzał zrobić. Przewinął listę kontaktów, znalazł nazwisko, którego szukał, i wcisnął „połącz”.

Telefon, z którym chciał się połączyć, zaczął dzwonić.

\*

Całe dwa ostatnie dni Amanda spędziła w szpitalu przy Jaredzie i marzyła o tym, aby następną noc przespać już we własnym łóżku. Krzesło, na którym siedziała, było okropnie niewygodne, a ponadto sam Jared namawiał ją, żeby pojechała do domu.

– Muszę pobyć trochę sam – przekonywał.

Gdy siedziała w małym ogrodzie przed szpitalem i oddychała świeżym powietrzem, Jared po raz pierwszy spotkał się z psychologiem, zresztą ku jej wielkiej uldze. Bo choć pod względem fizycznym syn szybko wracał do zdrowia, to z jego formą psychiczną było inaczej. Chociaż Amanda chciała wierzyć, że rozmowa, którą odbyła z nim zaraz po operacji, wpłynęła na zmianę jego początkowego sposobu myślenia, to jednak Jared wciąż miał poczucie, że odebrano mu kilka lat życia. Chciał wrócić do poprzedniego stanu, mieć jak dawniej całkowicie zdrowe, sprawne ciało i stosunkowo nieskomplikowaną przyszłość przed sobą, a to było niemożliwe. Przyjmował immunosupresanty, aby organizm nie odrzucił przeszczepu, a ponieważ był przez to narażony na wszelkiego rodzaju infekcje, brał także wysokie dawki antybiotyków oraz środki moczopędne zapobiegające zatrzymywaniu płynów. I chociaż miał być wypisany ze szpitala już w następnym tygodniu, musiał regularnie zgłaszać się na badania kontrolne przez co najmniej rok, bo trzeba było monitorować stan jego zdrowia. Zalecono mu również fizykoterapię i surową dietę. I cotygodniowe sesje z psychologiem.

Najbliższa przyszłość stanowiła wyzwanie dla całej rodziny, ale Amanda zdołała uporać się z rozpaczą i czuła już nadzieję. Jared był silniejszy, niż sam przypuszczał. Z czasem znajdzie sposób, żeby jakoś przejść przez to wszystko. Już w ostatnich dwóch dniach zauważyła oznaki tej siły, nawet jeśli on sam nie był ich świadomy. Amanda wiedziała, że psycholog też mu pomoże.

Frank i matka na zmianę przywozili Annette do szpitala; Lynn przyjeżdżała sama. Amanda zdawała sobie sprawę, że poświęca córkom za mało czasu. One też przechodziły ciężki okres, ale jaki miała wybór?

Postanowiła, że po drodze do domu kupi pizzę. Później może obejrzą razem film. To niewiele, ale na razie na więcej nie było jej stać. Gdy Jared wyjdzie ze szpitala, życie wróci do normalności. Pomyślała, że powinna zadzwonić do matki i zawiadomić ją o swoich planach...

Wsadziła rękę do torebki, wyjęła komórkę i zobaczyła na wyświetlaczu nieodebrane połączenie z numeru, którego nie знаła. Ktoś nagrał się na jej poczcie głosowej.

Zaciekawiona połączyła się z pocztą, przyłożyła telefon do ucha i odsłuchiwała wiadomość od Morgana Tannera, który, przeciągając samogłoski w charakterystyczny dla siebie sposób, prosił, żeby do niego zadzwoniła, gdy będzie miała czas.

Wystukala jego numer. Tanner odebrał od razu.

– Dziękuję za telefon – powiedział z tą samą kordialną uprzejmością, którą wykazywał podczas

spotkania z nią i Dawsonem w swoim gabinecie. – Zanim przejdę do rzeczy, chciałbym tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu tego, co się stało.

Zamrugała powiekami, zastanawiając się, skąd Tanner wie.

– Dziękuję panu... ale Jared jest już w znacznie lepszym stanie. Bardzo się cieszymy.

Tanner zamilkł, jakby próbował zrozumieć to, co powiedziała.

– Doskonale... dzwoniłem, bo pojechałem rano do Tucka i gdy oglądałem samochód...

– A tak – przerwała mu Amanda. – Miałam pana o tym powiadomić. Dawson przed wyjazdem skończył remont. Wóz powinien być sprawny.

Tanner znowu odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział.

– Chodzi mi o to, że znalazłem list, który Tuck napisał do Dawsona – ciągnął. – Dawson musiał go tam zostawić. Nie wiem, co mam z nim zrobić... czy przekazać pani?

Amanda przełożyła telefon do drugiego ucha. Nie bardzo mogła się zorientować, po co Tanner do niej dzwoni.

– Należy do Dawsona – odpowiedziała. – Więc niech go pan odeśle jemu.

Usłyszała, że starszy pan odetchnął głęboko.

– Rozumiem, że nie wie pani, co się stało? – zaczął powoli. – W niedzielę wieczorem? W Tidewater?

– Nie, a co takiego? – Amanda zmarszczyła czoło zupełnie zdezorientowana.

– Przykro mi, że muszę to pani powiedzieć przez telefon. Czy mogłaby pani wieczorem przyjechać do mojej kancelarii? Albo jutro rano?

– Nie – odparła stanowczo. – Wróciłam już do Durham.

O co chodzi? Co się stało?

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać osobiście.

– To niemożliwe – odpowiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. – Proszę mi powiedzieć teraz. Co wydarzyło się w Tidewater? I dlaczego nie może pan odesłać listu Dawsonowi?

Tanner zawahał się, a potem odchrząknął.

– W barze wybuchła... bójka. Doszło do strzelaniny, bar został zdemolowany. Ted i Abee Cole'owie trafili do aresztu, a młody mężczyzna, Alan Bonner, doznał poważanych ran. Wciąż przebywa w szpitalu, ale z tego, co słyszałem, dojdzie do siebie.

Gdy usłyszała kolejno te nazwiska, jedno po drugim, krew zaczęła tętnić jej w skroniach. Wiedziała oczywiście, co je łączy. Zapytała niemal szeptem:

– Czy był tam też Dawson?

– Tak – potwierdził Morgan Tanner.

– Co się stało?

– Z tego, co zrozumiałem, Ted i Abee Cole'owie bili Alana Bonnera, gdy Dawson wszedł do baru. I wtedy Cole'owie rzucili się na niego. – Przerwał na chwilę. – Ale jeszcze nie ma oficjalnego raportu policji, więc...

– Czy z Dawsonem wszystko w porządku? – zapytała nieustępliwie. – Tylko to chcę wiedzieć.

Usłyszała, że Tanner znowu wzdycha ciężko.

– Dawson wyprowadzał już Alana Bonnera z baru, gdy Ted wystrzelił ostatni pocisk i trafił.

Amanda poczuła, że całe jej ciało napina się w oczekiwaniu na to, co miało nieuchronnie nastąpić – wiedziała o tym. Te słowa, jak wszystko inne w ostatnich kilku dniach, wydawały jej się nie do pojęcia.

– Dawson został postrzelony w głowę. Nie miał szansy, Amando. Gdy zawieźli go do szpitala, był w stanie śmierci mózgowej.

Tanner mówił dalej, ale telefon wysunął się jej z ręki i upadł na żwir. Patrzyła na aparat, a potem podniosła go i wyłączyła.

Dawson. Nie, tylko nie on. To niemożliwe, że nie żyje.

Ale przecież słyszała, co powiedział Tanner. Dawson poszedł do Tidewater. Byli tam Ted i Abee Cole'owie. Uratował Alana Bonnera, ale sam zginął.

Życie za życie, pomyślała. Okrutna sztuczka Boga.

Nagle stanął jej przed oczami obraz ich dwojga trzymających się za ręce i idących przez pole dzikich kwiatów. Wtedy do oczu napłynęły jej łzy. Zaczęła oplakiwać Dawsona i wszystkie te dni, których nie dane im było spędzić razem. Chyba że, jak w wypadku Tucka i Clary, ich prochy odnajdą się na zalanej słońcem łące, daleko od utartych ścieżek codziennego życia.



# Epilog

## *Dwa lata później*

Amanda włożyła do lodówki dwie blachy z lasagne, a potem zerknęła na ciasto w piekarniku. Chociaż Jared kończył dwadzieścia jeden lat dopiero za dwa miesiące, data 23 czerwca stała się dla niej jego drugimi urodzinami. Tego dnia przed dwoma laty dostał nowe serce, a wraz z nim drugie życie. Zdaniem Amandy, jeśli coś było warte świętowania, to właśnie to.

Była sama w domu. Frank pracował, Annette nie wróciła jeszcze z pizama party u koleżanki, a Lynn dorabiała przez wakacje w Gapie. Jared natomiast zamierzał spędzić jeden z ostatnich wolnych dni przed rozpoczęciem stażu w firmie zarządzającej kapitałem, grając w softball z grupą kolegów. Amanda uprzedziła go, że tego dnia ma być gorąco, więc obiecał, że będzie pił dużo wody.

– Będę na siebie uważać – uspokoił ją przed wyjściem z domu. Ostatnio jej syn – może dlatego, że dorósł, a może z powodu tego, co go spotkało – zaczął rozumieć, że macierzyństwo jest nierozzerwalnie związane z lękiem o dzieci.

Nie zawsze był taki wyrozumiały. Po wypadku i operacji wszystko go irytowało. Gdy patrzyła na niego z niepokojem, mówił, że się dusi, gdy próbowała zagaic rozmowę, odpowiadał burkliwie. Rozumiała powody jego zniecierpliwienia; dochodził do zdrowia powoli i nie bez trudu, a lekarstwa, które przyjmował, powodowały u niego mdłości. Niegdyś silne, wyrobione mięśnie ulegały zanikowi mimo fizykoterapii, co jeszcze wzmagalo jego poczucie bezradności. Emocjonalne dochodzenie do formy komplikowała świadomość, że – w przeciwieństwie do wielu pacjentów, którzy czekali na przeszczep dłuższy czas z nadzieją na przedłużenie życia – Jared mimowolnie czuł, iż jego życie zostało skrócone. Często był nieprzyjemny dla kolegów, gdy przychodzili go odwiedzić, a Melody, dziewczyna, którą był tak bardzo zainteresowany tamtego fatalnego weekendu, poinformowała go kilka tygodniu po wypadku, że spotyka się z innym chłopakiem. Przybity tym wszystkim Jared postanowił na rok zawiesić naukę.

Była to długa i wyboista droga, ale z pomocą terapeutki Jared stopniowo zaczął odbijać się od dna. To właśnie ona zaproponowała Amandzie i Frankowi, żeby przychodzili do niej na rozmowy o wyzwaniach, przed jakimi stał Jared, i o tym, jak mogliby mu pomóc. Ze względu na własne problemy małżeńskie czasami trudno im było zapomnieć o wzajemnych pretensjach, aby skutecznie służyć synowi wsparciem i dać mu poczucie bezpieczeństwa; w końcu jednak ich miłość do niego przeważała nad wszystkim innym. Robili, co mogli, żeby go wspierać w okresach przygnębienia, żalu i gniewu, aż doszedł do punktu, w którym powoli zaczął się godzić z realiami.

Na początku lata zapisał się na zajęcia z ekonomii w miejscowym college'u i ku wielkiej uldze oraz dumie obojga rodziców niedługo później oznajmił, że postanowił jesienią wstąpić na normalne dzienne studia w Davidson. W tym samym tygodniu wspomniął przy kolacji, niemal od niechcenia, że czytał o pewnym mężczyźnie, który po przeszczepie serca żył trzydzieści jeden lat. Dodał, że ponieważ medycyna rozwija się z każdym rokiem, być może on sam pożyje nawet

dłużej.

Gdy Jared wrócił do nauki, jego stan psychiczny wyraźnie się poprawił. Po konsultacji z lekarzami znowu zaczął biegać i doszedł do tego, że pokonywał szczęście mil dziennie. Trzy, cztery razy w tygodniu chodził na siłownię i stopniowo odzyskiwał dawną formę fizyczną. Zafascynowany kursem, na który zapisał się latem, postanowił po powrocie na Davidson skupić się na ekonomii. Na początku nowego roku akademickiego poznał Lauren, zdolną dziewczynę studiującą na tym samym kierunku. Oboje zakochali się w sobie po uszy i zaczęli mówić o ślubie po ukończeniu studiów. Dwa ostatnie tygodnie spędzili na Haiti, gdzie pojechali z misją organizowaną przez Kościół, do którego należała Lauren.

Jeśli nie liczyć konieczności stałego brania leków i zakazu picia alkoholu, Jared żył jak normalny dwudziestoletni. Może dlatego nie miał matki za złe, że chce mu upiec tort w rocznicę przeszczepu. Po dwóch latach zrozumiał, że mimo wszystko powinien uważać się za szczęśliwca.

Jednakże ostatnio w stosunku syna do całej sprawy zaszła zmiana, która ją zaniepokoiła i dała jej do myślenia. Kilka dni wcześniej bowiem, gdy Amanda wkładała naczynia do zmywarki, Jared zjawił się w kuchni i oparł o blat.

– Hej, mam, wrócisz tej jesieni do organizowania imprez?

Imprezami nazywał lunchy na cele dobroczynne. Z oczywistych powodów od czasu wypadku Amanda przestała się tym zajmować, zrezygnowała także z pracy ochotniczej w szpitalu.

Amanda kiwnęła głową.

– Tak. Zaproponowali mi, żeby znowu objęła przewodnictwo komitetu organizacyjnego.

– Bo nie radzili sobie bez ciebie w ostatnich dwóch latach? Tak mówi mama Lauren.

– Nie to, że sobie nie radzili. Po prostu imprezy nie wypadły tak dobrze, jak się spodziewali.

– Cieszę się, że znowu się tym zajmiesz. Ze względu na Beę.

Uśmiechnęła się.

– Ja też.

– Szpital też będzie zadowolony, no nie? Bo zdobędzie więcej pieniędzy...

Wzięła ręczniki i wytarła ręce, przyglądając mu się uważnie.

– Dlaczego nagle się tym zainteresowałaś?

Jared z roztargnieniem podrapał się po bliźnie na piersi pod koszulką.

– Miałem nadzieję, że będziesz mogła wykorzystać swoje kontakty w szpitalu i czegoś się dla mnie dowiedzieć – wyznał. – Czegoś, co mnie nurtuje.

\*

Gdy ciasto stygło na blacie, Amanda wyszła na tylny ganek i zajrzała do ogrodu. Mimo automatycznych zraszaczy, które w tym roku zainstalował Frank, trawa, nie wiadomo dlaczego, schła w wielu miejscach. Amanda zauważyła, że rano, przed wyjściem do pracy, jej mąż ze zmarszczonym czołem stał nad jednym z takich brązowych placzków. W ciągu ostatnich dwóch lat pielęgnacja trawnika stała się jego pasją. W przeciwieństwie do większości sąsiadów sam go kosił i wszystkim, którzy go o to zagadywali, odpowiadał, że pomaga mu to odpocząć po całym dniu wypełniania ubytków i nakładania koron w gabinecie. Choć pewnie mówił prawdę, w tym jego nowym hobby było coś z zachowań kompulsywnych. Kosił bowiem trawę codziennie –

niezależnie od tego, czy padał deszcz, czy świeciło słońce – robiąc na trawniku wzór szachownicy.

Mimo jej początkowego sceptycyzmu Frank od czasu wypadku samochodowego nie wypił ani jednego piwa, ani nawet łyka wina. W szpitalu zapowiedział, że przestanie pić już na zawsze, i trzeba mu przyznać, że dotrzymał obietnicy. Po dwóch latach Amanda przestała się wreszcie obawiać, że mąż wróci do dawnych nawyków, i to w dużej mierze wpłynęło na poprawę stosunków między nimi. Nie były to idealne relacje, ale już nie tak złe jak poprzednio. Po wypadku, w następnych dniach i tygodniach, kłócili się niemal codziennie. Pod wpływem bólu, poczucia winy i złości słowa, które wypowiadali pod swoim adresem, były jak ciosy nożem. Frank przez kilka miesięcy spał w pokoju gościnnym, a raniem unikał jej wzroku.

Chociaż przeżywali trudne miesiące, Amanda nie zdobyła się na to, aby wnieść pozew o rozwód. Jared był w kiepskim stanie emocjonalnym i bała się, że to by go rozchwiało jeszcze bardziej. Jej decyzja o pozostaniu z Frankiem niewiele jednak zmieniła, z czego Amanda nie zdawała sobie sprawy. Kilka miesięcy po powrocie Jareda ze szpitala Frank rozmawiał z synem w salonie, gdy weszła. Wówczas, jak to miał w zwyczaju, wstał i wyszedł z pokoju. Jared odprowadził go wzrokiem, a potem zwrócił się do matki.

– To nie była jego wina – powiedział. – Ja prowadziłem.

– Wiem.

– Wobec tego przestań go obarczać winą – poprosił.

Jak na ironię, to właśnie psychoterapeutka Jareda w końcu przekonała Amandę i Franka, żeby zwrócili się o pomoc do specjalisty. Napięcie panujące w domu utrudnia Jaredowi powrót do zdrowia, oznajmiła, i jeśli naprawdę chcą synowi pomóc, powinni rozważyć poddanie się terapii dla par małżeńskich. Bez stabilnej sytuacji w domu Jared będzie miał trudności z zaakceptowaniem nowych okoliczności i przystosowaniem się do nich.

Amanda i Frank pojechali oddzielnie na pierwszą wizytę u psychologa, którego poleciła im terapeutka Jareda. Sesja ta zamieniła się w kłótnię, którą prowadzili od kilku miesięcy. Podczas drugiej wizyty mogli już rozmawiać ze sobą, nie podnosząc głosu. A pod wpływem delikatnych, ale stanowczych namów psychologa Frank zaczął także uczęszczać na spotkania Anonimowych Alkoholików, co Amanda przyjęła z wielkim zadowoleniem. Początkowo chodził na nie pięć razy w tygodniu, ale ostatnio już tylko raz, a przed trzema miesiącami sam stał się sponsorem. Regularnie spotykał się na śniadaniu z trzydziestoczteroletnim bankowcem po rozwodzie, który, inaczej niż Frank, nie mógł wytrwać w trzeźwości. Dopiero wtedy Amanda uwierzyła, że Frankowi uda się wyjść z alkoholizmu.

Nie było wątpliwości, że Jared i dziewczęta odczuli poprawę atmosfery w domu. Ostatnio były nawet takie chwile, gdy Amanda sądziła, że mogą zacząć z Frankiem od nowa. Kiedy ze sobą rozmawiali, to rzadko nawiązywali do przeszłości, od czasu do czasu też byli w stanie śmiać się w swojej obecności. W każdy piątek chodzili na randkę – było to kolejne zalecenie psychologa – i choć czasami czuli się skępowani, oboje zdawali sobie sprawę, że to ważne. Pod wieloma względami poznawali się na nowo.

Były więc powody do satysfakcji, ale Amanda wiedziała, że ich związek nigdy nie będzie namięty. Frank nie był do tego zdolny – ani teraz, ani nigdy – i to jej nie przeszkadzało. Zaznała już przecież miłości, dla której warto wszystko zaryzykować, miłości równie rzadkiej jak przeblyskaju.

Dwa lata. Minęły dwa lata od weekendu, który Amanda spędziła z Dawsonem Cole'em; dwa lata od czasu gdy Morgan Tanner zadzwonił do niej z wiadomością o jego śmierci.

Zachowała listy, które wraz ze ślubnym zdjęciem Tucla i Clary oraz czterolistną koniczyną trzymała na dnie szuflady z bielizną nocną, w miejscu, do którego Frank nigdy nie zaglądał. Od czasu do czasu, gdy było jej szczególnie ciężko, wyjmowała te pamiątki. Czytała od nowa listy i obracała w palcach koniczynkę, zastanawiając się, kim byli dla siebie w tamten weekend. Kochali się, ale nie byli kochankami; przyjaźnili się ze sobą, ale po tylu latach byli dla siebie obcy. Jednakże łączyła ich prawdziwa namiętność, co do tego nie było wątpliwości.

Przed rokiem, kilka dni po pierwszej rocznicy śmierci Dawsona, wybrała się do Orientału. Pojechała na cmentarz i poszła na jego kraniec, gdzie na małym pagórku z widokiem na gęstą kępę drzew spoczywał Dawson pochowany z dala od Cole'ów i jeszcze dalej od Bennettów oraz Collierów. Gdy stała przy skromnym nagrobku i patrzyła na świeże lilie, które ktoś na nim złożył, wyobraziła sobie, że gdyby jakimś zrzędzeniem pochowano ją w rodzinnym grobie, ich dusze wreszcie by się połączyły – tak jak za życia, nie raz, ale dwa razy.

W drodze powrotnej zatoczyła koło, żeby w imieniu Dawsona odwiedzić grób doktora Bonnera. A tam na płycie nagrobnej zobaczyła identyczny bukiet lilii. Od Marilyn Bonner w obu wypadkach, jak się domyśliła, ze względu na to, co Dawson zrobił dla Alana. Gdy to sobie uświadomiła, łzy napłynęły jej do oczu i wracając do samochodu, płakała cicho.

Czas nie zatarł jej wspomnień o Dawsonie; jej uczucie do niego nawet się wzmocniło. W dziwny sposób jego miłość dawała jej siłę, której potrzebowała, żeby pokonywać trudności w ostatnich dwóch latach.

Teraz, siedząc na ganku swojego domu, gdy popołudniowe słońce przeświecało przez gałęzie drzew, zamknęła oczy i pomyślała o nim. Przypomniała sobie jego uśmiech i to, jak trzymał ją za rękę, przypominała sobie weekend, który spędzili razem, a także następny dzień. Zdarzało jej się to wiele razy. Nie mogła zapomnieć ani jego, ani tego, co wspólnie przeżyli – to byłoby zdradą, a jeśli Dawson na coś zasługiwał, to na lojalność... taką samą, jaką okazywał jej w tych długich latach, gdy żyli oddzielnie. Kochała go dawniej i pokochała znowu – i nic nie mogło zmienić jej uczuć. W końcu Dawson odmienił jej życie w sposób, którego sobie nie wyobrażała.

Amanda wstawiła lasagne do piekarnika i właśnie mieszała sałatę, gdy Annette wróciła do domu. Frank przyjechał parę minut po niej. Szybko pocałował Amandę w policzki i zamienił z nią kilka słów, a potem poszedł się przebrać. Annette, szczebiocząc bez przerwy o piżama party, polukrowała tort.

Po nich zjawił się Jared, który przywiózł trójkę przyjaciół. Wypił szklankę wody i poszedł pod prysznic, podczas gdy koledzy usadowili się na kanapie i zajęli gramy wideo.

Lynn wróciła pół godziny później. Ku zdziwieniu Amandy zaprosiła dwie przyjaciółki. Wszyscy młodzi ludzie instynktownie przeszli do kuchni; koledzy Jareda zaczęli flirtować z koleżankami Lynn: pytali je, jakie mają plany na wieczór, i dawali do zrozumienia, że chętnie by się przyłączyli. Annette uściśkała Franka, który tymczasem wrócił do kuchni, i zaczęła go prosić, żeby zabrał ją na jakiś film o bliźniaczkach; on jednak z dietetyczną colą w dłoni, zapowiedział przekornie, że pójdą na jakiś film akcji, co wywołało z jej strony pikiwne protesty.

Amanda przeglądała się temu wszystkiemu jak postronny obserwator i na jej twarzy pojawił

się uśmiech rozbawienia. To, że cała rodzina zebrała się na kolację, nie było ostatnio takie rzadkie, ale też nie zdarzało się codziennie. Obecność obcych zupełnie jej nie przeszkadzała; dzięki nim było weselej.

Nalała sobie kieliszek wina i wymknęła się na tylny ganek.

Tam zauważyła parę kardynałów, które przelatywały z gałęzi na gałąź, i przez chwilę je obserwowała.

– Idziesz?! – zawołał Frank z progu za jej plecami. – Rodzina się niecierpliwi.

– Nakładajcie sobie! – odrzyknęła. – Zaraz przyjdę.

– Tobie też nałożyć na talerz?

– Byłby miło – odparła, kiwając głową. – Dzięki. Ale najpierw zadbaj o gości.

Frank wrócił do środka i przez okno widziała, jak przechodzi wśród zebranych do jadalni.

Drzwi za nią otworzyły się ponownie.

– Hej, mamó. Wszystko w porządku?

Głos Jareda wyrwał ją z zamyślenia i odwróciła się w jego stronę.

– Tak

Po chwili syn wyszedł na ganek i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

– Na pewno? – zapytał. – Wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

– Jestem po prostu zmęczona. – Przywołała na twarz uspokajający uśmiech. – A gdzie Lauren?

– Niedługo przyjedzie. Chciała wrócić do domu, żeby wziąć prysznic.

– Dobrze się bawiła?

– Chyba tak. Raz nawet udało jej się odbić piłkę. Była bardzo tym podekscytowana.

Amanda spojrzała na niego; przesunęła wzrokiem po linii jego ramion, szyi, zarysie policzka. Wciąż widziała w nim małego chłopca.

Zawahał się.

– Nieważne... Chciałem cię zapytać, czy mi pomożesz. Bo wczoraj wieczorem nic nie odpowiedziałas. – Przesunął stopą po jakiejś rysie na deskach ganku. – Chciałbym wysłać list do rodziny tego człowieka. Z podziękowaniem. Bo gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj.

Amanda opuściła wzrok bo przypomniała sobie pytanie syna.

– To naturalne, że chcesz się dowiedzieć, kim był dawca twojego serca – odparła w końcu, starannie dobierając słowa. – Ale są powody, dla których utajnia się takie dane.

W tym, co powiedziała, była prawda, nawet jeśli niecała.

– Aha. – Opadły mu ramiona. – Tego się obawiałem. Powiedzieli mi tylko, że miał czterdzieści dwa lata, gdy umarł. Chciałem... dowiedzieć się o nim czegoś, jaki był i tak dalej.

Mogłabym ci powiedzieć więcej – pomyślała. Znacznie więcej. Domyślała się prawdy od rozmowy z Morganem Tannerem i kilka telefonów potwierdziło jej przypuszczenia. Dawson, jak się dowiedziała, został zabrany do regionalnego ośrodka medycznego Caroline East i w poniedziałek późnym wieczorem odłączony od aparatury podtrzymującej funkcje życiowe. Do tej pory utrzymywano go przy życiu, mimo że nie miał szans na wyzdrowienie, bo lekarze wiedzieli, iż jest dawcą organów.

Dawson uratował życie Alanowi Bonnerowi, wiedziała o tym, ale w końcu ocalił także Jareda. I dla niej oznaczało to... wszystko. „Dałem ci to, co miałem najlepszego”, powiedział jej kiedyś i każde uderzenie serca w piersi jej syna potwierdzało to z całą mocą.

- Chodź do mnie, zanim wejdziemy do środka – poprosiła syna.  
Jared przewrócił oczami, ale rozłożył ramiona.
- Kocham cię, mamo – wymamrotał i przytulił się do niej.  
Amanda zamknęła oczy, czując stały rytm jego serca.
- Ja też cię kocham.